

Anna
Kańtoch
Zabawki diabła



powergraph

Anna Kańtoch

Zabawki diabła



powergraph

Warszawa 2019

Anna kańtoch
Zabawki diabła

ISBN: 978-83-64384-99-8

> Wydawca:

Powergraph

ul. Ceglowska 16/2

01-803 Warszawa

tel. 22 834 2519

e-mail: powergraph@powergraph.pl

www.powergraph.pl

Copyright © 2005-2019 by Anna Kańtoch

Copyright © 2016-2019 by Powergraph

Copyright © 2016-2019 for the cover illustration by Rafał Kosik

Copyright © 2016-2019 for the cover by Rafał Kosik

Wszelkie prawa zastrzeżone.

All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik

Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik

Korekta: Maria Aleksandrow

Skład i łamanie: Powergraph

Ilustracja na okładce: Rafał Kosik

Projekt graficzny i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączna dystrybucja:



Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. 22 721 30 00 / 11

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[0. Mandracourt](#)

[1. Strażnik Nocy](#)

[2. Cień w słońcu](#)

[3. Ciernie](#)

[4. Karnawał we krwi](#)

[5. Zabawki diabła](#)

0. Mandracourt

— Dość na dzisiaj. Wystarczy!

Stary Petrus powstrzymał chłopców. Linus roześmiał się, zadowolony, bo przez ostatnie kilka minut wyraźnie wygrywał i czuł się zwycięzcą. Niedbałym ruchem cisnął floret w kąt wewnętrznego dziedzińca, otarł pot z czoła i odwrócił się.

Domenic zaatakował. W ostatniej chwili wyhamował cios i stępione ostrze lekko uderzyło w plecy Linusa. Ten okręcił się na pięcie, zacisnął dłonie i chciał skoczyć na brata, lecz skutecznie powstrzymał go czubek floretu, który dotykał teraz jego szyi.

— Nie żyjesz — powiedział radośnie Domenic.

— To nieuczciwe! Zaatakowałeś mnie od tyłu!

— Nie należy odwracać się do przeciwnika plecami — pouczył go młodszy brat.

— A prawdziwa walka nie zawsze skończy się z chwilą, gdy odłożysz broń.

— Idiota — skrzywił się Linus. Łatwo wpadał w gniew i równie łatwo się uspokajał, teraz tym łatwiej, że brata lubił, choć ten często go irytował.

— Powiedziałem: dość. — Petrus podniósł się z ławki, splunął flegmą na dziedziniec, po czym przedramieniem otarł usta i gęstą brodę, w której wciąż tkwiły okruszki śniadania. Utykając, podszedł do uczniów.

— Dość mielenia jęzorami. Podnieś broń, Linus. I pamiętajcie, że jak mi który jeszcze raz floret na ziemię rzuci, to uszy oberwę. Czekaście chwilę... — Odetchnął, najwyraźniej szykując się do dłuższej przemowy. — Ty, Linus, jesteś silny i walczysz dobrze, ale ciut za mało myślisz. Pracuj głową, chłopcze, bo bez tego daleko nie zajdziesz. A ty, Domenicu — zwrócił się do młodszego z braci, podczas gdy starszy za plecami nauczyciela wykrzywił twarz w małym grymasie — mógłbyś być lepszy. Dużo lepszy. Za mało się przykładasz. Zrobiłbym z ciebie pierwszego szermierza w królestwie...

Domenic nie odpowiedział, skłonił tylko z szacunkiem głowę. Nie zamierzał tłumaczyć, że powodem ociągania się w ćwiczeniach nie jest lenistwo, lecz przemyślany wybór. W wieku czternastu lat zdecydował już, które umiejętności będą mu potrzebne w życiu bardziej, a które mniej. Szermierka była niewątpliwie ważna, ale nie najważniejsza i nie zamierzał poświęcać jej czasu kosztem ciekawszych zajęć.

* * *

Z południowej wieży widać było miasteczko leżące u stóp wzgórza, na którym zbudowano zamek. W oddali rysowały się przysadziste szczyty Gór Tanabryjskich, wciąż okryte śniegiem. Ciągnął od nich zimny wiatr, pod którego wpływem oczy chłopców zaszyły łzami, a z nosów zaczęło cieknąć. Linus wytarł twarz w rękaw, jego brat sięgnął po chusteczkę. Domenic Jordan był jedynym chyba w Tanabrii czternastolatkiem, który zawsze nosił przy sobie nieskazitelnie czystą, wykrochmaloną chusteczkę.

Jordanowie szybko dojrzewali, tak więc barczysty Linus w wieku szesnastu lat miał już posturę dorosłego mężczyzny. W przeciwieństwie do niego Domenic, który urodę odziedziczył raczej po zmarłej matce niż po ojcu, wydawał się pod wieloma względami jeszcze dzieckiem. Wzrostem dorównywał bratu i zanosilo się na to, że będzie jeszcze wyższy, ale twarz miał wciąż delikatną, długie ręce i nogi nadawały mu zaś niezgrabny wygląd. Wrażenie złudne, bo mimo niezbyt proporcjonalnej sylwetki chłopiec był zaskakująco zwinny.

Drogą od miasteczka zbliżał się jeździec na koniu. Podkowy dźwięcznie uderzały o kamienie, płaszcz mężczyzny łopotał na wietrze. Pierwszy rozpoznał go Linus.

— Turibi — powiedział z nienawiścią, zaciskając pięści.
— Suczy syn. Diabli pomiot...

Domenic chciał zapytać, czy ma na myśli Turibiego, czy może ojca, ugryzł się jednak w język, bo twarz brata wykrzywiło cierpienie, a w oczach znów zabłyśły łzy. Tym razem nie miały one nic wspólnego z dmącym od gór wiatrem.

* * *

Słońce świeciło mocno, a jego blask był zimny i żółty jak cytrynowy syrop. W kątach dziedzińców, załomach murów i na krużgankach leżały cienie, przez kontrast z intensywną żółcią głębsze niż w jakiegokolwiek innej porze roku. Wiosną w Mandracourt granica pomiędzy światłem i cieniem zawsze była bardzo wyraźna, a w kwietniu tego roku wydawała się ostra jak brzytwa.

Właśnie z takiego mrocznego, zimowego jeszcze cienia wychynął Ptasznik. Wyszedł na słońce i kucnął. Nosił czarny płaszcz, a jego ciężka, nieproporcjonalnie wielka głowa skrywała się w głębi obszernego kaptura. Wyciągnął ręce, po czym sypnął ziarnem na dziedziniec. Niemal natychmiast zleciały się wróble, orzechówki i czyżyki. Obsiadły przykucniętą czarną postać, skakały wokół jej nóg, wydziobywały ziarno z dłoni.

Na widok Ptasznika schodzący z wieży chłopcy przystanęli. Domenic pochylił się do ucha Linusa.

— Bardzo bym chciał wiedzieć, kim on naprawdę jest — szepnął.

— Przecież wiesz. — Starszy brat wzruszył ramionami.

Nie cierpiał tego pokurcza, ale też nie widział w nim nic interesującego. Karzeł-idiota, który nie miał nawet własnego imienia, był ulubioną maskotką ich ojca. Nikim więcej. Zgadując, że o nim mowa, Ptasznik zerknął w ich stronę. Twarz miał ni to starczą, ni dziecięcą: okrągłą, z głębokimi bruzdami zmarszczek na pucułowatych policzkach.

— Widzę, że ptaki bardzo cię lubią — zagadnął młodszy chłopiec, podchodząc bliżej.

Dzikie ptaki poderwały się, spłoszone. Niektóre krążyły jeszcze nad zakapturzoną postacią, jakby uwiązane niewidzialnymi nićmi, potem dopiero niechętnie odleciały.

Karzeł wymamrotał coś, co brzmiało jak „dobre ptaszki, ładne ptaszki”, i uciekł spojrzeniem w bok. Na krótką chwilę, co nie uszło uwagi Domenica, jego twarz przybrała wyraz głupiej, okrutnej chytryści. Unieśli głowy, słysząc gong wzywający na posiłek.

— Daj spokój. — Linus chwycił brata za ramię i pociągnął w stronę sali jadalnej. — Widzisz, że on nawet gadać do rzeczy nie potrafi.

— Wcale nie jestem pewien, czy to naprawdę idiota — zaprotestował Domenic. — Jest w nim coś dziwnego, coś, co mnie niepokoi... A poza tym — zachichotał cicho — ciekawi mnie, skąd się wzięło jego przezwisko. Może od ptaków, które tak lubi karmić, a może...

— No? — ponaglił go starszy chłopiec zaciekawiony i jednocześnie już odrobinę zirytowany.

— *Avicularia*, czyli po okcytańsku ptasznik, to drapieżny pająk, który poluje nocą. Swoje ofiary paraliżuje jadem.

Linus skrzywił się. Poniewczasie zawsze żałował, że dawał się wciągać w spekulacje brata. Niewiele znajdował w nich sensu, a Domenic pod wieloma względami był strasznym dziwakiem. Odprowadziło ich spojrzenie oczu błyszczących w głębi czarnego kaptura.

* * *

Sala jadalna zamku była wielka i chłodna. U sufitu wisiało czterdzieści tarcz herbowych tanabryjskiego rycerstwa – ozdoba tyleż pouczająca, co zbędna. Nikt nie zwracał na nie uwagi, tak jak nikt nie interesował się ponurymi rodzinnymi portretami ani nawet przykurzonym gobelinem, na którym znudzona nimfa przez dwa ostatnie stulecia uwodziła jasnowłosego i obojętnego flecistę.

Od dziesięciu lat, czyli od śmierci pani na Mandracourt, posiłki w tej sali przypominały stypę. Biesiadnicy jedli w milczeniu,

pracowicie obracając sztucami, nie patrząc na towarzyszy stołu. Ten posiłek w niczym nie różnił się od typowych, mimo że gościli na obiedzie Silvestre Turibiego. Chudy jak grochowa tyka plenipotent Jordanów zajął miejsce obok gospodarza. Od lat cierpiał na dolegliwości żołądka, które pozwalały mu spożywać jedynie lekkostrawne dania. Jadł więc tłuczone ziemniaki bez żadnej okrasy i gotowaną cebulę, obficie popijając wodnistym piwem. Nabierał na łyżkę kolejne kęsy, po czym pakował je do ust z metodycznością sługi, który dorzuca drew do kominka, a jego łysina błyszczała od potu, jakby proces przeżuwania był dla niego niezwykłym wysiłkiem.

Ciekawe, co ojciec sprzedał tym razem, myślał Domenic, pochylając się nad swoim talerzem. Wysokie Łąki? A może las? I ciekawe, jakiego znowu szemranego czarnoksiężnika czy maga opłaca. Tak czy inaczej, biedny Linus znów jest wściekły. On utratę każdego skrawka naszej ziemi przeżywa tak, jakby odcinano mu kawałek ciała.

Miejsce naprzeciw Domenica pozostało puste. Starał się nie patrzeć w tamtą stronę, a gdy usłyszał gniewny pomruk, zgarbił się, wciągając głowę w ramiona. Wiedział, że ojciec jest wściekły i że wściekłość tę wyładuje na którymś z synów. Prawdopodobnie właśnie na nim.

— Domenicu?

Drgnął i wyprostował się. Ojciec spoglądał na niego spod krzaczastych brwi. Jego twarz przypominała groteskową maskę, bo prawy kącik ust unosił się w lekkim uśmiechu, a lewy opadał smutno. Trzy lata temu don Albert Jordan, pan na Mandracourt,

rozniewał się na swego młodszego syna i bił go tak długo, aż sam bez ducha upadł na podłogę. Przez kilka dni leżał w łóżku, bełkocząc coś bez sensu, niezdolny nawet podnieść się o własnych siłach. Wrócił do zdrowia, jednak lewa połowa jego ciała nigdy nie odzyskała pełnej sprawności. Rysy twarzy z tej strony miał obwisłe, dłoni nie potrafił zacisnąć w pięść, a nogą, choć starał się to ukryć, odrobinę powłóczył.

— Czy uporządkowałeś już moje notatki?

— Tak, ojcze.

— Tak... szybko? — Albert Jordan przeciągnął te dwa słowa, nadając im ton groźby.

Domenic milczał. Żadna odpowiedź nie wydawała się teraz właściwa. Ale oczywiście milczenie także nie było dobrym rozwiązaniem.

— Odpowiadaj, kiedy do ciebie mówię.

— Potrafię pracować bardzo szybko — odparł i spojrzał ojcu w oczy. Nie hardo, nie z wyzwaniem, a po prostu pogodzony z tym, co się za chwilę stanie.

Mężczyzna gwałtownie odsunął krzesło, wstał i podszedł do syna.

— Widziałem w twoich oczach diabła — szepnął, pochylając się nad nim. — Dzisiaj wyjrzał już trzy razy. Pierwszy raz rano w pracowni, dokładnie o wpół do ósmej. Drugi, gdy mijalesz mnie w korytarzu, kwadrans po dziesiątej. I trzeci przed chwilą.

— Ojciec pomylił się co najmniej raz — powiedział chłopiec spokojnie, bo teraz jego słowa nie miały już i tak żadnego znaczenia. — Kwadrans po dziesiątej diabeł poszedł zjeść

śniadanie.

Albert Jordan uniósł prawą, sprawną rękę i uderzył go na odlew w twarz. Przez moment Domenic miał wrażenie, że głowa spadnie mu z ramion jak ułamana makówka. Zacisnął zęby i czekał na kolejny cios. Tym razem dostał prosto w nos. Gdy oszołomiony bólem chwycił w usta powietrze wraz z krwią, ojciec złapał go za włosy i przysunął jego czoło do stołu, najwyraźniej gotów wyrzucić nim w półmisek z mięsem. Różowobrazowe plastry dziczyzny z jednej strony otoczone były warstwą ściętego sosu, a z drugiej powiększającą się kałużą świeżej krwi.

Przestraszona służba pochowała się po kątach. W sali jadalnej zapanowało milczenie.

Linus nie śmiał podnieść wzroku znad talerza. Próbował jeść, ale kęs chleba utknął mu w ustach, z każdą chwilą coraz większy i bardziej suchy. Chłopak czuł przerażenie, odrobinę pogardy dla brata, a głęboko na dnie jego serca tkwiło jeszcze coś na kształt urazy. Albert Jordan nie wiedzieć czemu większą niechęcią darzył Domenica, choć ten był posłuszny i uprzejmy. A przecież, niejasno uświadamiał sobie Linus, ten konflikt powinien rozgrywać się pomiędzy ojcem a nim, czyli starszym, prawie już dorosłym synem.

Silvestre Turibi wymamrotał coś, na co nikt nie zwrócił uwagi, wstał i chyłkiem, niczym długonogi pająk, pomknął w stronę drzwi. W progu wykonał niezgrabny ukłon, mruknął: „obowiązki, rozumiecie” i wybiegł, niemal zderzając się z jasnowłosą panną, która właśnie weszła do sali jadalnej.

Dziewczyna stanęła, szeroko otwartymi oczami spoglądając na scenę, która rozgrywała się przy stole.

Pan na Mandracourt puścił włosy syna, a ten natychmiast sięgnął po chusteczkę i przyłożył ją do nosa, by zatamować krwotok.

Nowo przybyła nie wyglądała na przestraszoną. Była po prostu smutna, przejęta bólem. Śliczna szesnastolatka z dołeczkami w policzkach, ubrana w brązową lnianą suknię. Wyraz cierpienia sprawił, że jej łagodna twarz upodobniła się do oblicza frasobliwej madonny.

— Alais — Albert Jordan warknął jej imię, jakby rzucał obelgę — kazałem ci przychodzić punktualnie na posiłki, prawda?

— Wybacz, wuju, ja...

— Znów byłaś w mieście?

Skłamał, poprosił ją w myślach Domenic, powiedz, że źle się czułaś albo nawet że czytałaś książkę i nie usłyszałaś gongu. Ale nie mów, że poszłaś do miasta. Wiesz, że stary tego nie cierpi. Uwierzy ci. Tobie nie sposób nie wierzyć.

Lecz oczywiście Alais nie mogła skłamać. Zawsze mówiła prawdę, nie znała wątpliwości ani lęku. Wypełniała ją moc boża, silna i czysta. Obecność dziewczyny była w ponurym Mandracourt jak zimny płomień rozpalony pośrodku ciemności.

— Odwiedziłam cioteczkę Vianne — odparła z odruchową szczerością. Patrzyła przy tym nie na wuja, lecz na młodszego kuzyna. — Chorowała, ale na szczęście poczuła się dużo lepiej, gdy tylko przyszałam.

Domenic spojrział jej w oczy i lekko pokręcił głową. Napięcie na twarzy Alais zelzało, ale wciąż nie spuszczała z niego pełnego współczucia wzroku.

— Patrz w moją stronę, kiedy do mnie mówisz! — wysyczał Albert Jordan z furią.

Posłuchała. Mężczyzna cofnął się odruchowo.

— Proszę mnie nie bić, bo to będzie już drugi grzech wuja. Źle jest bić ludzi.

Chłopiec zachichotał i zaraz umilkł, gdyż śmiech wywołał nową falę bólu.

Źle jest bić ludzi.

Słowa, które wypowiedziane przez kogoś innego zabrzmiałyby dziecinnie, w ustach Alais miały nieoczekiwaną powagę, niczym prosta, a zapomniana biblijna prawda.

Wargi don Alberta zadrgały. Odwrócił się, oparł ręce o stół, pochylając głowę. Domenic kątem oka dostrzegł wyraz jego twarzy i pojął ze zdumieniem, że pan na Mandracourt boi się swej wychowawicy.

— Wynoście się stąd — powiedział mężczyzna, z trudem panując nad głosem. — Wszyscy.

* * *

— Boli?

— Nie, już nie — odparł Domenic zgodnie z prawdą.

Alais dotknęła jego posiniaczonej twarzy i to wystarczyło, by ból minął.

Linus uważał kuzynkę za wariatkę, ale młodszy chłopiec wierzył bez zastrzeżeń w jej moc. Nieraz odczuł ją przecież na własnej skórze.

Posunął się, robiąc dziewczynie miejsce na otomanie, którą

obito błękitnym adamaszkiem malowanym w barwne rajskie ptaki. Komnata Alais, niegdyś należąca do matki chłopców, była najprzytulniejszym pomieszczeniem w zamku. Wciąż zaznaczał się tu wpływ kobiecego gustu, choć jaskrawe barwy obić i zasłon dawno już spłowiały.

— Usiądź tutaj.

Przytuliła się do jego boku. W świetle słońca, które wpadało przez wysoko umieszczone okno, jej włosy miały barwę starego złota.

— Naprawdę ciotka Vianne wyzdrowiała, gdy ją odwiedziłaś?

— Tak. — Uśmiechnęła się pogodnie. — Od razu spadła jej gorączka i przestała kaszleć. A potem jeszcze szwagierka cioteczki Vianne przyszła ze swoją córeczką, która była cała opuchnięta od bólu zębów, i jej też pomogłam.

— Alais, to może być... — nie miał pojęcia, jak to ująć — niebezpieczne. Ludzie z miasteczka prawie się do ciebie modlą...

Dwa dni temu widział coś takiego na własne oczy. Dziewczyna szła przez łąkę, kiedy jakiś mężczyzna, z wyglądu stateczny i zamożny mieszczanin, dogonił ją, poprosił o błogosławieństwo, po czym ukląkł u jej stóp i z szacunkiem ucałował skraj sukni. Wszyscy w miasteczku wiedzieli, że Alais obdarzona jest szczególną łaską i zapowiada się na przyszłą świętą. Trudno było znaleźć w tym coś złego, ale czasem dziewczyna budziła w najmłodszym Jordanie lęk. Pozbawiona najmniejszej skazy, zdawała się nieludzka w swojej bezgrzesznej doskonałości. Ogień miłości bożej, który w niej płonął, raził słabych śmiertelników

i Domenic wolałby chyba, aby jego śliczna jasnowłosa kuzynka była zwyczajną panną.

A może i nie. Może pociągała go właśnie ze względu na tajemnicę, którą w sobie nosiła. Zawsze intrygowało go to, co nieznanne, a ona była tak niezwykła i obca, że za nic nie potrafił jej zrozumieć. Pragnął ją pocałować nie tylko ze względu na jej złote włosy i ładną buzię, ale także dlatego, że ciekawiło go, jak na pocałunek zareaguje przyszła święta.

— Oni nie modlą się do mnie, tylko do Boga, który przeze mnie przemawia — zaprotestowała łagodnie. — I do aniołów, które czasem mi towarzyszą.

Nie miał wątpliwości, że Alais mówi prawdę, choć przecież nikt prócz maleńkich dzieci nie wierzył w anioły, ale ona nigdy jeszcze nie skłamała i – wbrew temu, co wygadywał Linus – nie była też wariatką.

Z ociąganiem wstał z kanapy. Na ramieniu, tam gdzie opierała głowę, wciąż czuł ciepło jej ciała.

— Muszę iść — powiedział. — Linus prosił, żebym przyszedł na północną wieżę. Podobno ma mi do powiedzenia coś ważnego.

* * *

U stóp północnej wieży rozciągała się głęboka przepaść. Dawniej Domenicowi kręciło się w głowie, gdy w nią patrzył.

Patrzył więc tak długo, aż się przyzwyczaił, i teraz ten widok nie robił na nim wrażenia.

Cztery wieże obronne zamku Mandracourt były ulubionymi miejscami spotkań obu chłopców, przyjemniejszymi niż krużganki

i dziedzińce, po których kręciła się służba, czy komnaty, w których pachniało zakurzoną chwałą dawno minionych dni. Tylko tu mogli spokojnie porozmawiać, bez obaw, że ktoś im przeszkodzi.

— Wypij. — Linus na powitanie wcisnął w dłoń brata butelkę wina. — To złagodzi ból.

— Nie trzeba. Alais już mi pomogła.

Starszy chłopiec spróbował wyszczerzyć zęby w radosnym uśmiechu, ale gniew i ból sprawiły, że zamiast tego wykrzywił usta. Domenic domyślił się, że brat wie już, co takiego sprzedał ich ojciec dzisiejszego dnia.

— Szybko się uczysz. Nie ma to jak ładna dziewczyna, żeby ulżyć w cierpieniu, co? Pogłaskała cię i pocałowała? A może i coś więcej?

Linus mówił bez kpiącej wyrozumiałości, jakiej zazwyczaj używał, gdy żartował z przywiązania Domenica do Alais. Dopełnił rytuału, lecz jego myśli krążyły teraz wokół zupełnie innych spraw.

— Ojciec sprzedał Wysokie Łąki. Najlepszy kawałek naszej ziemi. Wiem, bo go zapytałem. Ledwo zebrałem się na odwagę, ale zapytałem. I odpowiedział. Sprzedał je w zamian za jakąś księgę, której nawet jeszcze nie dostał, bo czarownik, jakiś szarlatan z Talavere, zażądał pieniędzy z góry.

Domenic milczał. Bał się odpowiedzieć czy choćby zmienić wyraz twarzy. Bał się, że cokolwiek zrobi, tylko jeszcze bardziej zrani brata. Współczuł mu, ale nie potrafił tego okazać. Jego samego sprzedaż Wysokich Łąg niewiele obeszła. Nigdy nie czuł się zbyt przywiązany do Mandracourt. Wiedział, że gdy tylko osiągnie odpowiedni wiek, odejdzie stąd, może z gniewem i żalem,

ale bez nienawiści w sercu. A potem ruszy na południe, do stolicy, pójdzie na studia i zapomni o ojcu. Ta świadomość sprawiała, że trudno go było naprawdę urazić, co doprowadzało Alberta Jordana do wściekłości. Dlatego właśnie tak często bił młodszego syna, mimo iż ten był pracowity i spokojny.

— Linus... — zaczął po chwili niepewnie i urwał. Starszy chłopiec wyjął z kieszeni monetę, obracał ją przez chwilę w palcach, obserwując błyski światła na srebrnej powierzchni, a potem cisnął w dół.

Pochylili się nad przepaścią. Czekali w słońcu, a wiatr, cieplejszy teraz i mniej gwałtowny, bawił się ich włosami. W końcu usłyszeli uderzający o skałę metal, odgłos tak cichy i odległy, że wydawał się tylko duchem prawdziwego dźwięku.

Pierwszy uniósł głowę Linus.

— Powinniśmy zabić naszego ojca — powiedział.

Mury zamku nadal rzucały za plecami chłopców głęboki i chłodny cień, ponad nimi krążyły ptaki, a z głównego dziedzińca dobiegały piski jakiejś pokojówki przerywane od czasu do czasu tubalnym męskim śmiechem. Nic się nie zmieniło, a jednocześnie zmieniło się wszystko. Gdy Domenic spojrział w oczy brata, zobaczył w nich chęć, by cofnąć te słowa, udać, że nigdy nie zostały wypowiedziane. Lecz to nie było możliwe. Słowa wisały w powietrzu równie realne jak srebrna moneta niewidoczna z wieży, a przecież wciąż leżąca głęboko na dnie przepaści.

— Zgadzasz się ze mną?

Młodszy chłopiec powoli skinął głową. Linus mówił, nie podnosząc głosu, ale był przy tym tak spięty, że wydawało się, iż

wystarczy jedno nieostrożne słowo ze strony brata, jedno skrzywienie warg, by spowodować wybuch. Wściekłości lub płaczu. Albo jednego i drugiego.

— Jeśli tego nie zrobimy, on sprzeda wszystko, całe nasze dziedzictwo, a my jak dziady proszalne zostaniemy wygnani z własnego domu. Nie wiem jak ty, ale ja nie zamierzam do tego dopuścić.

Według Linusa świat był prosty: ojcowie mieli prawo bić dzieci, a dzieci z kolei, gdy już dorosły, miały prawo buntować się przeciwko ojcom. I choć proces ten ze względu na okrucieństwo Alberta Jordana przebiegał w Mandracourt z niezwykłą ostrością, to Linus nie widział w nim nic niezwykłego. Chciał zabić ojca bynajmniej nie dlatego, że ten znęcał się nad synami. To sprzedaż rodzinnego majątku uważał za coś nienaturalnego, co łamało odwieczny porządek rzeczy, i tego właśnie nie mógł wybaczyć. Był Jordanem z krwi i kości, a miłość do Mandracourt płynęła w jego żyłach.

Zabijemy go dla stu dwudziestu tysięcy eccu, pomyślał z goryczą Domenic, gdyż tyle mniej więcej były warte ich ziemie. Mimo to znów przytaknął. Nie kochał Mandracourt, ale kochał brata, a tylko w ten sposób potrafił go o tym zapewnić.

Linus wyjął z kieszeni kolejną srebrną monetę, po czym zważył ją w dłoni.

— Jeśli wypadnie król, ja to zrobię, jeśli reszka, ty — powiedział. — Tak będzie sprawiedliwie.

Rzucił pieniążek i zręcznie chwycił go na płasko podłożoną dłoń.

Domenic wstrzymał oddech. Nie widział nic prócz srebrnego kółka, które rozmazywało się przed jego oczami i przypominało teraz maleńki księżyc odbity w falującej powierzchni stawu.

— Król — powiedział Linus.

Przyjął to spokojnie, bo tak musiało być. W ten sposób przecież urządzonego został świat. Młodszy bracia starali się dorównać starszym, a starsi żartowali sobie z młodszymi, karcili ich, by nauczyć rozumu, ale i opiekowali się nimi, a także – jeśli tamci byli wystarczająco dorośli – pozwalali im czasem uważać się za równych sobie. Zatem sprawiedliwe było, że rzucali monetą, bo Domenic wyrósł z wieku dziecięcego i należało wziąć go pod uwagę, i sprawiedliwe było, że los wskazał Linusa, starszego z braci, silniejszego i mądrzejszego.

* * *

Na dolnym dziedzińcu minęli Ptasznika. Szedł rozkołysanym, kaczym chodem, z twarzą jak zawsze osłoniętą głębokim kapturem. Uskoczył chłopcom z drogi i pomknął schronić się w cieniu ślepego portyku. Linus rzadko przepuszczał okazję, by kopnąć go albo choćby szturchnąć, a Domenic miał zwyczaj zadawać pytania, na które karzeł nie potrafił odpowiedzieć.

Tym razem żaden z braci nie zwrócił na niego uwagi.

— Linus? — zatrzymał brata. — Kiedy... no wiesz, zamierzasz to zrobić? I jak?

— To moja sprawa. Nie martw się, Domenico, dam sobie radę.

— Gdybyś potrzebował pomocy...

— Wiem.

Starszy brat poszedł w stronę lewego skrzydła zamku, a młodszy zawrócił w kierunku bramy pod wschodnią wieżą. Tam w niszy, pogrążony w wiecznym półmroku, stał posąg świętego, którego zwano Strażnikiem Nocy.

Chłopiec przyglądał mu się przez chwilę. Wyrzeźbiona z kruchego piaskowca sylwetka była tak stara, że z trudem dało się rozpoznać w niej ubranego w mnisie szaty mężczyznę. Lecz wciąż promieniowała mocą, o tak, zdecydowanie wciąż miała w sobie moc.

Ciekawe, czy to, co zamierza zrobić Linus, w jakikolwiek sposób obejdzie Strażnika, pomyślał Domenic.

Prawdopodobnie nie. Strażnik Nocy nie przepadał za Albertem Jordanem.

Święty, od trzystu lat mieszkający w murach zamku, dawał panom na Mandracourt zdolności takie jak niezwykła siła, zręczność czy umiejętność widzenia w ciemności. Dostawał je każdy Jordan w chwili, gdy po śmierci swego poprzednika sam stawał się panem na Mandracourt. Z jednym wyjątkiem – Albert Jordan odziedziczył tytuł, lecz daru od świętego nie dostał. Nikt nie wiedział, dlaczego jedynie on z całej długiej linii Jordanów nie otrzymał żadnego niezwykłego talentu. Po zamku krążyła plotka, że stało się tak z powodu żony, którą don Albert przywiózł z dalekiego Południa i dręczył tak bardzo, że zmarła po pięciu latach małżeństwa. Ponoć wzruszony jej cierpieniem Strażnik postanowił ukarać mężczyznę. Było to o tyle mało prawdopodobne, że święty nie miał miękkiego serca. Jednak nigdy nikomu nie udało się znaleźć lepszego wyjaśnienia.

Odrzucenie przez Strażnika było największą tragedią w życiu don Alberta. Równało się uznaniu go niemal za bękarta. Nie dostał tego, co mu się należało i na co czekał od najwcześniejszego dzieciństwa. Gdy schodził czasem do miasteczka, zdawało mu się, że wszyscy patrzą na niego szyderczo i za plecami wyśmiewają jego kalectwo.

Magia miała mu to wynagrodzić. Skoro nie mógł dostać niezwykłych zdolności od świętego, chciał uzyskać je dzięki czarom. Było mu wszystko jedno, jakie to właściwie będą talenty. Domenic myślał czasem, że jego ojciec równie chętnie zmieniałby ołów w złoto, jak i złoto w ołów. Pragnął potęgi dla niej samej, a nie z powodu tego, co mogłaby mu dać.

Zaczął od alchemii, do pomocy angażując młodszego syna, zręczniejszego i bystrzejszego niż starszy, a przy tym zdecydowanie bardziej zainteresowanego nauką.

Eksperymenty alchemiczne skończyły się przed trzema laty, gdy Domenic źle zrozumiał jedno z poleceń. Wówczas to ojciec uderzył go, przewracając na stolik pełen słoików, retort i probówek, a potem kopał, podczas gdy syn leżał zwinięty na kawałkach szkła, które wbijały mu się w ciało. Ten atak wściekłości Albert Jordan przypłacił uderzeniem krwi do głowy, chłopiec zaś bliznami, które rozbite szkło pozostawiło na jego plecach i ramionach.

Mężczyzna szybko odzyskał siły. Może nawet zbyt szybko, by było to naturalne, i Domenic zastanawiał się, czy święty jednak nie zdecydował się dać panu na Mandracourt niewielkiego daru. Gdy tylko Albert Jordan wstał z łóżka, zostawił w spokoju alchemię i zainteresował się magią. Kupował drogie zaklęcia, które

okazywały się zlepkiem bezsensownie połączonych liter, niedziałające amulety, przeżarte wilgocią księgi, z których nic nie dało się odczytać, i nie wiadomo do czego służące artefakty. A przede wszystkim porady domorosłych magów, którzy przyjeżdżali do Mandracourt po to, by najeść się do syta, szczypać ładne pokojówki i w końcu wyjechać stąd z sakiewką pełną złotych monet. Linus rozpaczał nad wyprzedają rodzinnego majątku, a młodszego brata bolało przede wszystkim to, że don Albert, niecierpliwy i obsesyjnie marzący o potędze, gubił w tym wszystkim okrucy prawdziwej wiedzy.

* * *

Po zmroku Domenic zszedł do piwnic i odszukał specjalnie skonstruowaną pułapkę, która dzięki zapadce więziła szczura w środku. Żywego. Już z daleka chłopiec słyszał ciche popiskiwanie.

Ukląkł, postawił świecę na ziemi i ostrożnie sięgnął w głąb pułapki. Chwycił zwierzę wpół, tak by nie mogło go ugryźć. Maleńkie serce biło bardzo szybko, pazurki drapały skórę Domenica, a zimny ogonek uderzał jak bicz.

Zadowolony, zaniósł zwierzątko do ojcowskiej pracowni i wpuścił do drucianej klatki. Szczurek – bardzo młody, właściwie jeszcze szczurze dziecko – usiadł w kącie, ruszając wąsikami.

Chłopiec zapalił jeszcze kilka świec, bo w pracowni nie było okna, które wpuszczałobyienne światło. Później wśród zakurzonych grimoire'ów, notatek, stępionych piór, amuletów, resztek aparatu destylacyjnego i poplamionych atramentem plansz

z astrologicznymi diagramami odnalazł słoiczek z trucizną. Nasiona *Strychnos nux vomica*, w tych stronach zwanej po prostu wronim okiem. Wysypał odrobinę na stół, po czym sięgnął po kulkę siekanego mięsa, którą wcześniej przyniósł z kuchni, ugniół ją wraz z proszkiem i wrzucił do klatki.

Zamierzał podsunąć pomysł użycia trucizny Linusowi, ale najpierw należało sprawdzić, czy ona wciąż działa.

Głód zwyciężył strach i szczurek rzucił się na mięso. Zjadł, potem wcisnął się z powrotem w kąt, spoglądając lękliwie oczkami jak czarne paciorki.

Domenic usiadł naprzeciw klatki i patrzył.

Gdy zwierzę skonało, wyjął je delikatnie. Drobne ciało wciąż było ciepłe, miękkie futerko kusilo, by je pogłaskać.

Ktoś zapukał i nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi. W progu stanęła Alais. Chłopiec odruchowo schował ręce za plecami, niczym dziecko przyłapanie na podbieraniu cukierków. Szczur wydawał mu się teraz cięższy i zimniejszy, bardziej... martwy. Martwy dowód winy.

— Domenicu... — zaczęła. — Och...

Zawsze bezbłędnie wyczuwała cierpienie.

— Co się stało?

Położył na stole martwego szczura. Z oczu Alais płynęły dwie błyszczące łzy.

— Dlaczego go zabiłeś?

— Żeby wypróbować działanie pewnego specyfiku. Czasem, aby ocalić życie ludziom, trzeba poświęcić jakieś zwierzę — odparł, bo w ten właśnie sposób tłumaczył swoje wcześniejsze

eksperymenty.

Alais nigdy tego nie rozumiała. Teraz też potrząsnęła głową i ostrożnie dotknęła martwego ciała. Poglaskała je delikatnie, jednym palcem. Wciąż płakała. Domenic nie miał pojęcia, co robić. Widok jej łez sprawiał mu ból i najchętniej po prostu wyszedłby, żeby go uniknąć. Albo gdyby miał wystarczająco dużo odwagi, przytuliłby ją i uspokoił.

Miał odwagę. Przyciągnął dziewczynę do siebie, objął, po czym wsunął dłoń w jasne włosy. Były miękkie, chłodne i pachniały rumiankiem. Szlochała z twarzą ukrytą na jego ramieniu, a jej ciało drżało tak, że wyczuwał drobne kości poruszające się pod ciepłą i gładką skórą. Przyszło mu do głowy, że jest chyba jedynym mieszkańcem Mandracourt, który ośmielił się tak poufale potraktować Alais. Nawet Berengera, która niegdyś pełniła rolę niańki, odnosiła się do niej z szacunkiem i odrobiną lęku. Alais znała tylko światło, nie cień. Tego, co mroczne i grzeszne, nie rozumiała, nie potrafiła i nie chciała zrozumieć. Była opętana przez Boga, tak jak bywają ludzie opętani przez demony. Inny, fascynujący gatunek człowieka: *Dei potitia*. Groźny i budzący współczucie.

Tuliła się do niego przez chwilę, potem uniosła głowę. Po raz pierwszy zobaczył w jej oczach zakłopotanie, a także odrobinę lęku, jakby kuzynka wystraszyła się własnych uczuć.

— Wuj prosi, żebyś pomógł mu w rachunkach.

— Zaraz przyjdę.

Gdy Alais zamknęła za sobą drzwi, odwrócił się, by sprzątnąć ze stołu szczurze truchło.

Szczurek stał słupka, a na widok chłopca pisnął i smyrnął wzdłuż stołu. Domenic rzucił się szczupakiem i chwycił go, nim zwierzak zdążył zeskoczyć na ziemię. Stworzenie znów tkwiło w uwięzi dłoni, maleńkie serce biło szybko, pazurki drapały skórę. Było żywe i zdrowe jak przed półgodziną.

Usiadł, czując, że nogi robią mu się miękkie niczym topione masło.

— „I Pan zawołał donośnym głosem: Łazarzu, wstań i wyjdź na zewnątrz” — mruknął.

Podniósł szczura na wysokość oczu i spojrzał w jego paciorkowate ślepka. Zwierzę wciąż się szarpało, próbując odzyskać wolność.

— Boisz się mnie, Łazarzu, prawda? — szepnął. — I masz rację. Ale nie martw się. Co prawda Alais nie ma zbyt wysokiego mniemania o mojej dobroci, ale nawet ja nie jestem tak okrutny, by mordować jednego szczura dwa razy.

* * *

Następnego dnia o świcie Domenic wymknął się do pracowni ojca. Tam zapalił świecę, naostrzył pióro i wyjął z biurka kartkę papieru, po czym zaczął w punktach opisywać swoją wiedzę na temat Ptasznika.

Spieszył się. Albert Jordan, który pojawiał się w pracowni tuż przed śniadaniem, nie cierpiał, gdy ktoś brał bez pozwolenia przybory do pisania.

Punkt pierwszy: Ojciec przywiózł Ptasznika z jednej ze swoich podróży na Południe, na dobrą sprawę nie bardzo wiadomo skąd.

Czy Ptasznik jest cudzoziemcem? Wątpliwe – co prawda odzywa się tak rzadko, że na podstawie jego słów trudno cokolwiek wnioskować, ale okcytański z pewnością doskonale rozumie.

Punkt drugi: Ojciec nigdy nam nie powiedział, jak naprawdę nazywa się Ptasznik i kim jest. Sam nie wie, czy specjalnie ukrywa to przed nami? Jeśli tak, to dlaczego?

Punkt trzeci: Ptasznik jest ulubioną maskotką ojca. Czas spędza albo spacerując po zamku i dokarmiając ptaki, albo właśnie w komnatach ojca. Śpi na podłodze obok jego łóżka, jada resztki ze stołu, które przynosi mu służba. Ojciec wyjąwszy godziny posiłków i czas, który spędza wraz ze mną w pracowni, niemal wciąż przebywa w jego towarzystwie. Dlaczego? Co takiego jest w tym karle, że tak go sobie ceni? Ze względu na jego małomówność trudno przecież uznać go za błazna.

Zagadka Ptasznika – choć na pozór dość błaha – intrygowała Domenica. Chciał znać jej rozwiązanie i nie brał nawet pod uwagę, że może go ono rozczarować. A ponadto podobne spekulacje pozwalały mu odciągnąć uwagę od tego, o czym zdecydowanie nie chciał myśleć.

Od zabójstwa, które planował Linus.

Punkt czwarty: Czy jest możliwe, że ojciec bez mojej wiedzy eksperymentuje na Ptaszniku za pomocą zaklęć albo magicznych mikstur?

Zawahał się, po czym dodał jeszcze punkt piąty.

Przy tej właśnie czynności zastał go Linus.

— Tak myślałem, że cię tu znajdę — powiedział z niechęcią.
— Co robisz?

Nie czekając na odpowiedź, podniósł kartkę i przeczytał:

Punkt piąty: Być może on się zmienia.

— Co to, u diabła, znaczy?

— Jego niekształtna sylwetka — szybko wyjaśnił Domenic. Pośpiechem chciał ułagodzić brata, choć w gruncie rzeczy wiedział, że to, co zamierza powiedzieć, i tak mu się nie spodoba. — Może on naprawdę jest karłem, a może...

— Co? — w głosie Linusa wzbierała złość. Szukał brata z bardzo ważnego powodu, a on zajmował się takimi głupstwami.

— Może po prostu... zmienia formę. Na przykład w olbrzymiego ptaka.

Brzmiało to tak dziwacznie, że starszy chłopiec, zamiast się rozgniewać, parsknął śmiechem. Niespodziewanie przypomniał sobie pewne słowa. „Nasz Domenic obdarzony jest inteligencją i żywą wyobraźnią, tylko ta wyobraźnia nie służy snuciu barwnych historyjek, lecz dociekaniu prawdy. Ten chłopak nie opowiada baśni – on po prostu stawia hipotezy, czasem nazbyt śmiałe i fantastyczne”. Kto to powiedział?

Ach tak, sędzia Bertran Grech. Głupiec, bo pomysły Domenica były po prostu dziecinne i tyle.

— Żartujesz, prawda? — Linus odłożył kartkę na biurko. — Zresztą mniejsza z tym. Chodź ze mną.

* * *

— Stąd go zrzucę. — Starszy brat stanął na murze i spojrzał w przepaść. — Będzie wyglądało na wypadek. Ty tylko musisz go namówić, żeby przyszedł tu w nocy. Powiedz mu, że to jest

potrzebne do jakiegoś magicznego rytuału czy coś w tym rodzaju.

— Coś wymyślę. — Domenic rozejrzył się. Miejsce zostało wybrane idealnie, bo za plecami mieli część zamku, w której znajdowała się wozownia. Nocą nikt tu nie bywał.

— Najlepiej zrobić to jak najszybciej. Nawet jutro. — Linus na pozór był opanowany, lecz poruszał się odrobinę zbyt szybko, zbyt energicznie, z trudem hamując nerwowe gesty. Spokój, który zamienił jego rysy w nieruchomą maskę, mógł w każdej chwili prysnąć.

Domenic skinął głową, po czym spróbował wzrokiem dodać mu odwagi. Na wieży, gdy rzucili monetą, poczuł ulgę i teraz męczyło go z tego powodu poczucie winy. Nadal jednak sądził, że los okazał się sprawiedliwy, gdy wybrał starszego brata. Linus był wystarczająco silny, by wziąć na siebie taki ciężar.

* * *

Ze wszystkich mieszkańców zamku to Linus najczęściej bywał w miasteczku, on też był tam najbardziej lubiany. Albert Jordan budził w ludziach lęk i niechęć, Alais podziw i miłość, a Domenic ze względu na swoją schludność oraz zamiłowanie do nauki – ciekawość i odrobinę rozbawienia. Tylko Linus otoczony był po prostu sympatią. Uwodził młode służące i wraz z grupą przyjaciół wszczynał po pijanemu burdy w karczmach, lecz wybaczano mu wszystko, bo gdy chciał, potrafił być uroczy. W pojęciu mieszkańców Mandracourt młody dziedzic powinien być swawolny i tryskać młodzieńczą energią. Starsi mieszkańcy spoglądali na jego wybryki przez palce i z niecierpliwością czekali, aż Albert Jordan

umrze, a jego miejsce na zamku zajmie ten wesoły chłopiec, który z pewnością – gdy już się wyszumi – będzie dobrym panem. Jedyne ojciec nie miał pobłażania dla synowskich eskapad i jeśli tylko przyłapał na nich chłopca, zawsze surowo go karał.

Domenic nie zdziwił się więc, gdy wieczorem Linus wrócił pijany, w podartej i zakrwawionej koszuli. Nietypowy był jedynie ponury wyraz jego twarzy, lecz młodszy brat bez trudu domyślił się, że tym razem Linus poszedł do miasteczka z nieco innych powodów niż zazwyczaj.

Tego wieczoru chłopak pił, aby zapomnieć o jutrzejszym dniu, i w końcu udałoby mu się, gdyby nie jasnowłosa dziewczyna, którą spotkał na dolnym dziedzińcu.

— Patrzyła na mnie... — bełkotał, podczas gdy brat przemywał mu paskudnie rozharatany łuk brwiowy. — Pa... trzyła...

Domenic w pierwszej chwili pomyślał, że Linus mówi o jakiejś służącej, jednym ze swoich miłosnych podbojów, którymi tak się lubił chwalić. Potem dopiero w ucho wpadło mu imię kuzynki i zaczął słuchać uważniej.

— Alais... patrzyła, jakby wiedziała... Właśnie tak. Ona ma nie po kolei w głowie, wiesz? — syknął i chwycił dłoń brata, który oczyszczał właśnie brzeg rany zamoczoną w alkoholu szmatką. Domenic wolną ręką ujął jego łokieć i odsunął delikatnie. — Nie tknąłbym jej, nawet gdyby mi zapłacili. Czasem, jak ją widzę, to ciarki mnie przechodzą. To wariatka. Ładna, ale wariatka... — parsknął pogardliwie. — Udaje, że rozmawia z aniołami...

Stracił wątek. Przez chwilę siedział, kiwając się lekko i patrząc pustym wzrokiem przed siebie.

— Gapiła się dziś na mnie — podjął. — Ze smutkiem. Jakbym potrzebował jej współczucia!

Domenic pomógł mu zdjąć podartą koszulę.

— Ona chyba się domyśla... — wymamrotał Linus spod materiału.

— Gdyby się domyślała, ostrzegłaby go — odparł rozsądnie. Jednocześnie wewnętrzny głos poprawił: „Ostrzegłaby naszego ojca. Powiedz to. Przecież potrafisz”.

Domenic zadrżał, bo nagle uświadomił sobie coś bardzo ważnego. Chwytał brata za ramię i ścisnął tak, że ten krzyknął cicho z bólu i spojrzał zdziwiony, ale zaskakująco przytomny.

— Gdy już będzie po wszystkim... — zaczął młodszy chłopiec, a sarkastyczny głos znów go poprawił: „Gdy już zabijemy naszego ojca”. Przełknął ślinę. — Gdy... zabijemy naszego ojca, Alais nie może się zbliżyć do ciała.

— Czemu?

— Z powodu Łazarza. Co prawda nasz Łazarz jest tylko szczurem, ale osobiście wolę nie ryzykować.

* * *

Po wielu latach Domenic Jordan próbował przypomnieć sobie ten dzień. Próbował i nie potrafił. Minuty zmieniały się w kwadransy, a kwadransy w godziny wypełnione bezcelowymi czynnościami, którymi starał się zabić wolno płynący czas. Pamiętał tylko, że w jego głowie wciąż wirowały hipotezy, wszystkie zaczynające się tak samo: co stałoby się, gdyby...

Gdyby don Albert nie sprzedał Wysokich Łąk.

Gdyby on, Domenic, wyjechał z Mandracourt już zeszłej jesieni.

Gdyby ostrzegł ojca...

Rozwagał te myśli, a potem wyrzucał je z głowy. Wszystkie, nawet tę ostatnią.

Wieczorem kładł się do łóżka przekonany, że nie zaśnie. Lecz zeszłej nocy niewiele wypoczął. Był zmęczony, teraz więc zapadł w płytki, niespokojny sen.

Obudził go wilgotny dotyk na policzku, który w jego nękanym koszmarami umyśle zlał się w jedno z jakąś przerażającą wizją. Przez moment miał to mdlące, ściskające w dołku uczucie, jakiego doznają ludzie wyrwani przemocą ze snu – uczucie, że jest się gwałtownie wyciąganym z jakiejś bezdennej otchłani, zupełnie jak uwiązane do sznurka wiaderko ze studni. Ledwo otworzył oczy, uderzyło w niego przerażenie. Tak mocno, że przez chwilę nie mógł złapać oddechu. Wiedział, że stało się coś strasznego i powinien się bać. Lecz nie wiedział jeszcze czego. Potem zorientował się, że postać klęcząca przy łóżku to Linus, że Linus coś szeptem chrapliwie, a jego palce, których dotyk czuł na twarzy, są śliskie i lepkie.

— Domenico. Obudź się, Domenico.

— Co się stało? — wykrztusił i wystraszył się własnego głosu, który brzmiał niczym skrzek. Nogi i ręce miał jak odlane z ołowiu. Najmniejszy ruch wydawał się ponad jego siły. Pragnął, żeby brat sobie poszedł, żeby zostawił go samego i pozwolił mu z powrotem zapaść w sen, choćby i najkoszmarniejszy.

— Nie mogłem tego zrobić, nie mogłem tego zrobić...

— powtarzał Linus.

Domenic uświadomił sobie, że palce są wilgotne nie od potu czy łez, lecz od krwi.

— Uspokój się — powiedział. Zrobił to całkowicie bezmyślnie i odruchowo, ale podziałało. Nie na Linusa. Na niego, bo Domenic, raz przewyciężywszy bezwład, zaczął jasno myśleć. I działać.

Nie trudził się zapalaniem świecy. Wystarczył mu wpadający przez okno blask księżyca w pełni. Odnalazł buty, założył je i wypchnął brata z pokoju.

Zamkowy korytarz oświetlały rozmieszczone w równych odstępach kaganki. Szli szybko, w milczeniu. Linus oddychał ciężko, a jego ramionami od czasu do czasu wstrząsał dreszcz. Ciemne oczy Domenica błyszczały gorączkowo w bladej twarzy, ale chłopiec poruszał się cicho i pewnie.

Nie zauważyli otwierających się za ich plecami drzwi i drobnej dziewczęcej sylwetki, która zza nich wychynęła.

* * *

Albert Jordan stał przy schodkach prowadzących na północny mur. Zgięty w pół opierał się dłońmi o stopnie. Gdy usłyszał nadchodzących synów, wyprostował się i uniósł głowę.

Wyglądał jak wywiedziony z grobu upiór. Po jego brodzie spływała struga krwi, w świetle księżyca czarnej niczym diabelska smoła. Koszulę miał rozdartą i poznaczoną ciemnymi plamami, a twarz wykrzywił mu grymas nienawiści silniejszej niż ból. Lewą dłoń przyciskał do brzucha, prawą zwinął w pięść.

Bracia zatrzymali się. Pomiedzy nimi a rannym mężczyzną

leżał nóż. Jego ostrze lśniło srebrzyście.

Linus, ty idioto, pomyślał Domenic. Jakim cudem człowiek z ranami od noża może być uznany za ofiarę nieszczęśliwego wypadku?

Zdumiała go trzeźwość własnych myśli. Tej nocy nie poznawał samego siebie.

Także Linus zdołał wziąć się w garść.

— Boże, Domenico, trzeba z tym skończyć — wymruczał już spokojniejszym głosem. — On nam tego nie daruje. Zabije nas.

Lecz nie ruszył się z miejsca.

Don Albert wolno zmierzał w kierunku noża. Zatoczył się lekko, potem pochylił, z trudem utrzymując równowagę.

Młodszy chłopiec postąpił parę kroków w przód i przydepnął ostrze.

Albert Jordan wyprostował się, spojrzął synowi w oczy.

— No dalej — wychrypiał. — Zrób to, na co nie starczyło odwagi twojemu bratu. Masz w sobie diabła, zawsze o tym wiedziałem.

Splunął mu w twarz śliną zmieszaną z krwią i roześmiał się nieoczekiwanie. Wraz z ostatnim spazmem śmiechu z jego ust znów połała się struga smolistoczarnej cieczy, spłynęła na podbródek, a później na pierś.

Domenic schylił się i to był błąd. Ojciec z całą siłą, jaką jeszcze w sobie miał, kopnął go w twarz, a potem runął na ziemię, bo wysiłek zachwiał jego równowagę. Tuż obok upadł oszołomiony bólem chłopiec. To on poderwał się pierwszy, chwytając nóż. Oparł kolano o klatkę piersiową mężczyzny, który gramolił się niczym

niezdarny żuk, i sięgnął ostrzem gardła. Ciął mocno, pewnie, z lewej strony do prawej. Ciepła krew trysnęła mu w twarz. Z cichym okrzykiem zasłonił się przedramieniem i czekał, aż podrygujące pod jego ciężarem ciało wreszcie znieruchomieje.

Albert Jordan umierał długo. Miał w sobie mnóstwo krwi i jeszcze więcej słów, które zmieniały się w niezrozumiały bulgot. A może tak się tylko zabójcy zdawało. Może pan na Mandracourt umarł szybko, nic nie próbując powiedzieć. Tylko krwi było naprawdę bardzo dużo.

Gdy ojciec skonał, Domenic odszukał wzrokiem brata.

Ten spoglądał na Alais, która stała niedaleko. W mroku nie było widać jego twarzy, ale zamarła w pół ruchu sylwetka świadczyła, że chłopak właśnie przed chwilą dostrzegł kuzynkę i wciąż jest zbyt oszołomiony, by zrobić cokolwiek.

Bezruch trwał ledwie przez jedno uderzenie serca. Potem Linus w kilku skokach przebył odległość, która dzieliła go od dziewczyny, i uderzył ją pięścią w twarz. Upadła z cichym okrzykiem, a on chwycił ją za włosy i wyrznął jej głową w bruk. Jeden raz. Drugi już nie zdążył. Domenic chwycił go za nadgarstek z siłą, jakiej nikt nigdy się po nim nie spodziewał.

— Ona nas widziała — powiedział Linus tępo. Nie patrzył na brata, a cała jego energia wyparowała pod wpływem ucisku palców, które wciąż czuł na skórze. — Widziała nas i teraz wszystko wygada. Musi umrzeć.

— Nie — głos młodszego chłopca nie dopuszczał sprzeciwu. Nie zabiłby Alais i nie pozwoliłby tego zrobić bratu. Nawet za cenę życia, nawet gdyby miano go powiesić za morderstwo. Wiedział, że

tej granicy nie wolno mu przekroczyć.

Linus chciał zaprotestować, ale zrezygnował, skulił się w sobie i zwiesił głowę. Tej nocy bał się brata.

* * *

Ciało zostawili tam, gdzie upadło. Mogliby je zrzucić z murów, jak planowali na początku, ale krwi i tak nie zdołaliby w ciemnościach zmyć z bruku – było jej po prostu zbyt dużo. Poza tym Domenic chciał jak najszybciej opatrzeć Alais i wierzył, że jeśli tylko dziewczyna będzie milczeć, nikt nie oskarży ich o morderstwo. Słowa szlachcica nie podaje się w wątpliwość bez ważnych dowodów.

Zakrwawione koszule spalili w kuchennym piecu, gdzie przez całą noc tlił się ogień, a młodszy z braci zadbał nawet o to, by umyć podeszwy butów. Siniak na jego twarzy nie powinien budzić podejrzeń. Zawsze mógł wytłumaczyć go sprzeczką z Linusem.

Alais miała rozbitą głowę i straciła sporo krwi, ale wyglądało na to, że będzie żyła. Przed świtem odzyskała na chwilę przytomność, była jednak zbyt słaba, by cokolwiek powiedzieć. Potem znów zemdlała.

Domenic czuwał przy niej do rana, nasłuchując, czy z sąsiedniej komnaty nie dobiegają jakieś odgłosy. Daremnie – w sypialni Linusa panowała cisza.

* * *

On wie, pomyślał Domenic, o, tak, on już wie.

Petrus rankiem znalazł ciało don Alberta i wezwał Bertrana

Grecha. Sędzia przybył na zamek przed godziną. Był to mężczyzna dość jeszcze młody, ale bardzo otyły. Pocił się obficie przy każdym ruchu i bezustannie ocierał chusteczką czoło, obwisłe policzki oraz szyję, która ledwo mieściła się w ozdobionym żabotem kołnierzu. Na początek udał się do kaplicy, rzucił okiem na ciało, a później usiadł w sali jadalnej. Jak wyjaśnił, dla ochłody – choć przecież w zamku panował ziąb – wypił pół flaszki wina. Nie odmówił także, gdy Petrus zaproponował mu śniadanie.

Sędzia Grech zjadał ze smakiem, a jego wzrok wędrował po zgromadzonych w sali osobach. Najpierw spoczął na Petrusie, który zachowywał spokój i powagę, jak przystało na pogrążonego w żałobie sługę, potem przeniósł się na apatycznego i bladego Linusa. Najdłużej zatrzymał się na młodszym bracie. Wtedy właśnie w oczach sędziego pojawił się osobliwy błysk, a kąciki wydatnych ust wygięły się w drapieźnym, kocim uśmiechu.

On wie, powtórzył w myślach Domenic i zacisnął dłonie w pięści tak mocno, że poczuł wbijające się w skórę paznokcie. Zastanawiał się, jak długo uda mu się jeszcze trzymać nerwy na wodzy.

— Alais. — Bertran Grech przełknął ostatni kęs chleba, popił ostatnim łykiem zupy serowej. — Nasza Alais, niechaj Bóg szybko przywróci jej zdrowie. Mówisz, Domenico, że w nocy usłyszałeś jej krzyk i znalazłeś ją ranną tuż obok jej komnaty?

Znał obu braci od lat i zwrócił się do młodszego pieścizotliwym imieniem, jakim nazywano go w dzieciństwie, ale łagodność w głosie sędziego była w oczywisty sposób fałszywa, obliczona właśnie na to, by wywołać niepokój.

Chłopiec przytaknął. Nie mógł powiedzieć, że znalazł ją przy północnych murach, gdyż z tej odległości, śpiąc grzecznie we własnym łóżku, z pewnością nie usłyszałby jej krzyku. Na szczęście sypialnie jego, Linusa i Alais położone były blisko siebie, a i ślady krwi w korytarzu, która kapała, gdy niósł kuzynkę, zdawały się potwierdzać jego wersję. Według niej dziewczyna została zraniona przez tego samego napastnika, który zabił Alberta Jordana, po czym oszołomiona próbowała o własnych siłach wrócić do sypialni.

Tłusty, wygodnie rozparty na krześle sędziego przypominał kota, który czeka tylko, by wysunąć pazury.

— Powiedz mi więc — przeciągał słowa, jakby pieścił każde z nich w ustach, zanim wypuści je w świat — dlaczego nikogo nie zbudziłeś?

— Bałem się zostawić ją samą. Znam się trochę na opatrywaniu ran, więc przede wszystkim chciałem jej pomóc — odparł może odrobinę za szybko, ale z dużą pewnością siebie i patrząc rozmówcy prosto w oczy.

Nie należał do dobrych kłamców, potrafił jednak zachować spokój i to właśnie było jego atutem. Co z tego, że on wie? – pomyślał. Nie zdoła niczego udowodnić. Wszystko będzie dobrze, jeśli tylko się nie załamie.

Powoli wypuścił powietrze z płuc, uważając, by nie zdradzić się westchnieniem ulgi. Odprężył się, jego blade policzki okrył lekki rumieniec. Dopiero kilka lat później chłopiec przyznał sam przed sobą, że ta rozmowa sprawiała mu przyjemność. Walczył o życie, i to nie na pięści czy szpady, lecz na inteligencję. Jego spryt przeciwko sprytowi sędziego. Wciąż się bał, ale jednocześnie

z trudem udawało mu się ukryć podniecenie.

Bertran Grech wstał, niezgrabnym krokiem grubasa podszedł do Domenica i pochylił się nad jego uchem. Chłopiec poczuł na karku ciepło oddechu, potem usłyszał szept:

— Znam ciebie i Linusa od lat i wiem, że tylko ty masz dość charakteru, by zrobić coś takiego. Tylko ty. Ciekawe, czy masz w sobie także odwagę, by się przyznać?

Domenic zawahał się. Wiedział, że powinien milczeć, ale pokusa okazała się zbyt silna.

— Zakładając, że naprawdę go zabiłem, to czy sądzisz, panie, że dałbym się nabrać na takie tanie sztuczki? — odparł cicho, patrząc w podłogę, by ukryć błysk w oczach.

Bertran Grech zachichotał i pochylił się jeszcze niżej.

— Twój ojciec bał się ciebie — tchnął mu w ucho. — Teraz już wiem dlaczego.

Petrus poruszył się niespokojnie gotów zaprotestować. Jego zdaniem sędzia dręczył niewinnego, nieszczęśliwego chłopca. Młodość Domenica, jego dziecięco zaokrąglone policzki, długie rzęsy, które rzucały cienie na jasną skórę, i grzecznie spuszczone wzrok – wszystko to budziło w starym słudze współczucie.

Bertran Grech otworzył usta, by zadać kolejne pytanie. Przerwał mu odgłos otwieranych drzwi.

— Panienska Alais — powiedział służący grzecznie — pragnie widzieć się z panem sędzią. Najlepiej natychmiast.

— Dobrze się czujesz, Domenicu? — spytał z niepokojem Petrus.

Chłopiec miał na tyle siły, by skinąć głową, na nic więcej nie

było go stać. Liczył, że Alais będzie nieprzytomna jeszcze przez kilka najbliższych dni, a gdy dojdzie do siebie, uda mu się jej wmówić, że to, co widziała, było pomyłką, złudzeniem, że to przecież nie mogło się zdarzyć. Teraz wszystko przepadło. Ona nas zabije, pomyślał. Zabije nas, bo nie zna litości. Nikt, kto nigdy nie popełnił żadnego grzechu, nie może jej naprawdę znać.

* * *

— Niech się panienka nie męczy... — bąknął sędzia zażenowany i przejęty współczuciem.

— Muszę to powiedzieć... — Alais zaciskała palce na brzegu kołdry, a jej czoło pod płóciennym opatrunkiem pokrywały kropelki potu. — Widziałam tego mężczyznę. Miałam przeczucie, że dzieje się coś złego i dlatego wyszłam na zewnątrz. On... ten bandyta, właśnie atakował mego wuja. Dostrzegł mnie i uderzył, a potem uciekł, bo pewnie sądził, że nie żyję. Nie wiem, kto to był. Nigdy wcześniej go nie widziałam...

— Czy panienka mogłaby go opisać?

— Było ciemno, a ja się bardzo bałam... — szepnęła, pochylając się tak, że rozpuszczone włosy zasłoniły jej rysy.

Domicowi z poczucia ulgi zakręciło się w głowie i przez moment miał wrażenie, że zemdleje. Opanował się, wytrzymał spojrzenie sędziego. Ten spoglądał na niego przez chwilę z uwagą, a potem przeniósł wzrok na Alais. Na jego twarzy malowała się niepewność, która szybko przeszła w złość, że sprzątnięto mu sprzed nosa tak smakowity kąsek.

Alais nigdy nie kłamała. Wszyscy o tym wiedzieli.

— Proszę mnie powiadomić, jeśli tylko panienka sobie coś przypomni — powiedział już opanowany sędzia, po czym schylił się i z szacunkiem ucałował rękę dziewczyny. — Zrobimy wszystko, żeby złapać tego człowieka. To cud, że panienka przeżyła. Bóg musi panienkę naprawdę bardzo mocno kochać...

Domenic spojrział na brata porozumiewawczo. Widzisz, jest dobrze, mówił jego wzrok. Jest dobrze.

Linus, który od rana nie odezwał się ani słowem, uniósł głowę. W jego oczach płonęła nienawiść tak silna, że młodszy chłopiec cofnął się odruchowo. Dopiero znacznie później zrozumiał, co było przyczyną tej nienawiści.

Linus nie mógł wybaczyć bratu, że poradził sobie tam, gdzie on zawiódł. Ten czternastoletni dzieciak, który większość czasu spędzał z nosem w książkach i który zawsze nosił przy sobie czystą chusteczkę. Traktowany z sympatią, ale i wyrozumiałą kpina młodszy brat zrobił coś, na co jemu nie starczyło odwagi.

* * *

Ptasznik zniknął.

Po wyjeździe sędziego, gdy życie w zamku jako tako wróciło do równowagi, okazało się, że karła nigdzie nie ma. Powszechnie sądzono, że uciekł, bo bał się Linusa, nowego pana na Mandracourt.

Domenic nie był tego taki pewien.

Stał w komnacie ojca obok pustego posłania Ptasznika. Patrzył w szeroko otwarte okno, przez które wpadały świeże poddmuchy wiosennego wiatru.

Może karzeł rzeczywiście wymknął się, korzystając

z zamieszania, a może po prostu... odfrunął?

Zagadka Ptasznika, tak drobna, tak nieistotna, zwłaszcza na tle ostatnich wydarzeń, tkwiła w chłopcu jak zadra. Wcześniej nie zależało mu jakoś szczególnie na jej rozwiązaniu – ot, traktował to jak rodzaj ćwiczenia intelektualnego i sposób, by zająć czymś myśli, gdy bardzo tego potrzebował, lecz gdy tylko stracił szansę, że kiedykolwiek pozna prawdę, natychmiast zapragnął wiedzieć, kim Ptasznik naprawdę był. Zapragnął tego o wiele mocniej niż dotychczas, i to wcale nie dlatego, że próbował rozwiązać zagadkę i porażka uraziła jego ambicję. Po prostu chciał wiedzieć.

* * *

Dwa dni później Albert Jordan leżał w kaplicy umyty już i ubrany w pogrzebowy strój, a do Mandracourt wreszcie zawitała wiosna w pełnej krasie. Słońce wypłoszyło z zamku zimowe cienie. Jego blask kładł się złocistociepłymi plamami na bladej twarzy Alais. Obok jej łóżka kulił się na krześle Domenic. Trudno było rozpoznać w nim chłopca, który tak śmiało odpowiadał sędziemu. Zgarbiony, wyglądał jak nieszczęśliwe dziecko.

— Linus prawie się do mnie nie odzywa. — Spróbował nonszalancko wzruszyć ramionami, ale wypadło to żałośnie. — Powtarza tylko, że lepiej dla wszystkich będzie, jeśli jak najszybciej wyjadę z Mandracourt. I tyle. Wygląda na to — skrzywił usta i spojrzał wyzywająco na kuzynkę — że straciłem brata. Taką właśnie cenę zapłaciłem za to, co zrobiłem...

— Linus jest... prosty — odparła wolno. Ubieranie w słowa tego, co rozumiała instynktownie, przychodziło jej z trudem.

— Odważny i silny, ale bardzo prostoduszny. Ma jasno określone zasady i granicę pomiędzy tym, co jest dobre, a co złe. Skrytobójstwo nie leży w jego naturze, choć mogło mu się zdawać, że to będzie słuszne. Otwartemu niebezpieczeństwu dzielnie stawiałby czoła i z pewnością by się nie załamał, ale zabójstwo...

— Wiem, nie leży w jego naturze — rzucił, wciąż patrząc jej w oczy, gotów odeprzeć słowa, które nie padły. — Ale leży w mojej, prawda?

Nie odpowiedziała.

Alais dokładnie w momencie, gdy skłamała po raz pierwszy w życiu, straciła łaskę bożą. Zgasł ogień, który płonął w jej duszy, zamilkł głos Boga, a aniołowie odeszli. Mimo to w oczach dziewczyny było tyle łagodności, że Domenic nie potrafił tego znieść. Z jej ust nie padło ani jedno słowo wyrzutu, nie mówiąc już o oskarżeniu. Po prostu była smutna i zdumiona niczym skrzywdzone dziecko, a on czuł, że wzbiera w nim wrzask rozpaczy.

— Ty jesteś inny. Bardziej... giętki, a to, co giętkie, trudniej jest złamać.

— Ta giętkość ma niby dotyczyć moich zasad moralnych? Wcale nie jestem pewien, czy to komplement — powiedział cicho.

— To nie miał być komplement.

Odwrócił głowę. Słońce świeciło tak mocno, że oboje oślepieni jego blaskiem mrużyli oczy.

Jeszcze niedawno śmiało obejmował kuzynkę, choć wypełniała ją moc boża i towarzyszyli jej aniołowie. Teraz nie miał odwagi dotknąć jej pachnących rumiankiem włosów ani nawet zapytać,

czemu uratowała go tym kłamstwem. I była to jego wina, nie Alais.

Nigdy nie czuł się we własnym domu tak obcy jak tego wiosennego poranka. Zupełnie jak gość, który przyszedł z wizytą i na chwilę przysiadł w fotelu. Myślami uciekł daleko, do Alestry. Jutro opuści zamek i jeśli wszystko pójdzie dobrze, to za kilka tygodni dotrze do stolicy.

Ból zelżał i w sercu czuł już tylko pustkę, lecz był na tyle młody, żeby żałować tego, iż nie potrafi żałować. Opłakiwał więc utracone dzieciństwo, udając, że wiosenne słońce razi go w oczy.

1. Strażnik Nocy

Dziewczyna biegła. Pod stopami miała zlodowaciałą trawę, przed sobą łagodnie opadające zbocze. Oblane księżycowym światłem krawędzie szarych głazów odcinały się od mroku. Za plecami, wciąż zdecydowanie zbyt blisko, zostawiła pogrążone w nocnej ciszy mury zamku. Podkasała spódnicę i zmusiła się do jeszcze szybszego biegu. Zimny wiatr dął jej w twarz, w uszach świszczało, a nogi same niosły w dół zbocza tak prędko, że bała się, iż lada moment zabraknie jej tchu. Nie zwolniła.

Urodziła się w Mandracourt, znała tu każdą piędź ziemi, a światło księżyca pomagało jej zgrabnie omijać większe głazy i przeskakiwać mniejsze. Była młoda, silna, biegła szybko, unosząc w dłoniach brzegi spódnicy. Miała szansę wymknąć się ścigającym. Do miasteczka pozostało jej jeszcze tylko kilkadziesiąt kroków. Tam mogła zmylić pogoń, klucząc w wąskich zaułkach, mogła też prosić o pomoc. Słyszała już ujadanie psów – przerywane i oszczędne, wystarczające, by wzbudzić strach w osaczanej ofierze, ale jednocześnie nienadwerężające sił biegnącego zwierzęcia. Odwróciła się tylko raz. Po prostu musiała to zrobić, musiała wiedzieć, kto ją ściga, choć doskonale wiedziała, co zobaczy. Kilkanaście zwinnych, czarniejszych od księżycowego mroku sylwetek śmigało w dół zbocza. W ciemności psy poruszały się o wiele pewniej niż ona. I o wiele szybciej. Za nimi dojrzała

kolejne, znacznie większe plamy czerni, w których domyśliła się jeźdźców. Nie spieszyli się w obawie, że na stromym zboczu wierzchowce połamią nogi. To psy miały dopaść ofiarę, nie oni.

Dziewczyna gnała w stronę pierwszych zabudowań miasta. Jeszcze tylko czterdzieści kroków, trzydzieści...

Z tyłu słyszała głuchoe uderzenia psich łap odbijających się w długich susach od kamieni. A potem ciężkie cielsko skoczyło jej na plecy. Runęła na ziemię, rozkrzyżowując ręce. W brzuchu i piersi poczuła nagły ból, na moment straciła oddech. Potężna łapa wsparła się o jej szyję, a pazury zraniły skórę. Dziewczyna ostrożnie nabrała powietrza i w nozdrza uderzył ją ciepły smród gnijącego mięsa. Powoli odwróciła głowę, przez cały czas starając się oddychać płytko. Leżąc z policzkiem przyciśniętym do ziemi, widziała cztery psy, które stały tuż obok. Powarkkiwały cicho, gotowe w każdej chwili zaatakować. Ich oczy lśniły w mroku. Reszty sfory nie potrafiła dojrzeć, choć wiedziała, że jest niedaleko.

Zamknęła oczy, próbując opanować dławiącą falę strachu. Nie udało się. Drgnęła i pazury wparły się mocniej w jej kark, twarz znów owionął cuchnący oddech, a w uszach zabrzmiał warkot.

Zamarła w bezruchu, zamknęła oczy. Czekała.

Odgłos końskich kopyt uderzających o kamienie był coraz bliższy. Ktoś gwizdnięciem odwołał psy. Wycofały się posłusznie. Wyczuwała ich żądzę mordy, ledwo trzymaną w ryzach przez lata tresury.

Ktoś zsiadł z konia, podszedł do niej. Zmrożona trawa trzeszczała pod podszwami jego butów.

— Wstań — powiedział.

Wstała. Więcej – hardo podniosła głowę, chcąc spojrzeć w twarz tego, który przyszedł zdecydować o jej życiu. Lecz w świetle księżyca dojrzała tylko czerń układającą się miękko wokół barczystej sylwetki. Mężczyzna zbliżył się jeszcze bardziej. Otulający go cień zafalował, błyskawicznie dopasowując się do nowej pozycji. Pozostali jeźdźcy również zsiadli z koni i otoczyli ich kołem, trzymając w dłoniach wodze niespokojnych wierzchowców. Stali zbyt daleko, by mogła widzieć ich twarze. Możliwe zresztą, że i oni ubrani byli w ciemność, magię Strażników Nocy z Mandracourt.

Dziewczyna cofnęła się i potknęła o kamień. Z trudem zdołała utrzymać równowagę.

— Po co przyszedł do zamku? — zapytał stojący przed nią mężczyzna. W jego głosie brzmiał szczery żal i to właśnie przeraziło ją najbardziej. — Taka śliczna panna jak ty... Po co ci to było?

Zawahała się, po czym w desperackim akcie odwagi wyszeptała odpowiedź.

* * *

Zmęczony koń stapał ciężko. Pod jego kopytami zmarznięte liście pękały z cichym trzaskiem. Choć była już połowa grudnia, nie spadł jeszcze ani jeden płatek śniegu, co tutaj, u podnóża Gór Tanabryjskich, zdarzało się bardzo rzadko. W nocy mróz ścinał brązową trawę i opadłe liście, ale śniegu wciąż nie było. Tego roku w Mandracourt karuzela pór roku zatrzymała się pomiędzy jesienią a zimą. Chwila, która zazwyczaj trwa nie dłużej niż kilka dni,

rozciągnęła się do tygodni. Ów jeszcze nie zimowy, a już nie jesienny krajobraz, martwy i nieruchomy, wyglądał jak zatopiony w kryształach. Wiatr nie poruszał nagimi gałęziami drzew, nie padał deszcz ani śnieg, a niebo miało ten sam sinoniebieski odcień. Tylko słońce wciąż wędrujące ze wschodu na zachód pozwalało wierzyć, że czas nie stanął w miejscu.

Znużony jeździec kiwał się w siodle. Koń szedł coraz wolniej, pochylając głowę z każdą chwilą niżej i niżej. Gdy drogę przegrodziła płytka rzeka, zatrzymał się, parsknął, po czym na dobre zwiesił łeb, uznając, że bez zachęty swego pana nie będzie moczył kopyt w lodowatym nurcie.

Na środku rzeki, po kolana w wodzie, stała młoda kobieta. Patrzyła w stronę brzegu.

Domenic Jordan podniósł głowę i spojrzał na nią z ciekawością. Biała suknia miękko opinała drobne piersi i smukłe biodra, niżej mokry materiał kusząco lepił się do nóg. Rozpuszczone włosy o barwie dojrzałych kasztanów spływały jej na plecy. Twarz z dużymi oczami, wyraźnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi i delikatnym podbródkiem kształtem przypominała serduszek. Była to miła buzia panny stworzonej do tego, by śmiać się i flirtować. Ale dziewczyna spoglądała na Jordana bez śladu uśmiechu. Woda, która wokół jej nóg tworzyła małe, pieniste wiry, naraz rozbłysła różem, jakby przejrzało się w niej zachodzące słońce. Lecz słońce stało wysoko na niebie, a w wodzie, dokładnie tam, gdzie nurt załamywał się pieniście o dwa zgrabne kolana, pojawiło się pasmo bladej czerwieni. Potem drugie, którego nasycony kolor zabarwił bąbelki piany, i jeszcze jedno, ciemniejsze. Później

następne, rozlewające się wokół nóg dziewczyny bogatą barwą świeżej krwi.

— Nie skrzywdź Montserrat — powiedziała. — Proszę cię, nie zrób krzywdy Montserrat.

Szarpnął głową, budząc się gwałtownie. Koń zatrzymał się nad brzegiem rzeki. W wodzie stała kobieca postać. Jordan przetarł oczy. Strach na moment zjeżył mu włoski na karku, ale kiedy mężczyzna odjął dłonie od twarzy, zobaczył, że w zagradzającej mu drogę rzece płynie zwyczajna woda, nie krew, a pośrodku nurtu tkwi nie dziewczyna w białej sukni, lecz zwyczajna wieśniaczka okutana chustami i dźwigająca na plecach tobołek. I oczywiście stała nie po kolana w wodzie, ale na płaskim, ostatnim w szeregu głazie. Była bezradna, bo jesienne deszcze musiały porwać resztę kamieni, a do brzegu zostało jej jeszcze kilkanaście kroków.

Zsiadł z konia, odetchnął głęboko. Mroźne powietrze przepędziło resztki snu, ale ból głowy, który męczył go od kilku dni, pozostał. Ból głowy i niepokój, bo przecież przed chwilą widział we śnie dokładnie to samo miejsce, a stojąca w rzece krwi dziewczyna prosiła go, by nie krzywdził Montserrat, o której nigdy nie słyszał.

Wprowadził konia do wody, nie fatygując się, by stąpać po wystających ponad nurt kamieniach. Wiedział, że rzeka jest płytka, ponadto wysokie skórzane buty znakomicie chroniły go przed wilgocią.

— Pomogę ci — powiedział do wieśniaczki, która spoglądała na niego z niepokojem.

Była bardzo młoda, miała chyba nie więcej niż siedemnaście

lat, ale – jak to się często zdarza u wiejskich panien – po urodzeniu dziecka szybko straciła urodę. Bo to, co Jordan z początku wziął za tobolek, okazało się kwilącym teraz cicho niemowlęciem, a dziewczyna miała napęczniałe mlekiem piersi i szeroką, rozlaną twarz kogoś, kto gwałtownie utył.

Pomógł jej usiąść w siodle, potem poprowadził konia w stronę brzegu. Gdy kopyta dotknęły suchej ziemi, młoda wieśniaczka zsunęła się z kulbaki zaczerwieniona i wystraszona.

— Jak ci na imię? — zapytał.

— Justa — odparła cicho.

— Idziesz do Mandracourt, prawda?

Skinęła ostrożnie głową, starając się dostrzec w jego słowach pułapkę. Nie ufała temu młodemu, ubranemu w czerń mężczyźnie. Justa, jakkolwiek wdzięczna za pomoc, najchętniej powędrowałaby dalej sama. Lecz on nie zamierzał dać za wygraną.

— W takim razie możemy pójść razem — zaproponował.

— Zasypiam w siodle i odrobina ruchu dobrze mi zrobi. Jeśli chcesz, możesz sięść na konia, poprowadzę go.

Pokręciła głową. Jordan zwolnił kroku, by dostosować się do tempa dziewczyny.

Nie towarzyszył jej z uprzejmości. Wciąż zastanawiał się, dlaczego po raz pierwszy ujrzał ją dokładnie w tym samym miejscu, w którym chwilę wcześniej – we śnie, a nie na jawie – widział tamtą dziwną pannę w bieli.

Wkrótce pożałował swej decyzji. Justa była dokładnie tym, kim się wydawała: po prostu głupią wieśniaczką. Trzy miesiące temu urodziła nieślubne dziecko, a że w rodzinnej wsi wytykano ją

palcami, postanowiła zabrać synka i poszukać szczęścia w Mandracourt. Mieszkała tam jej daleka krewna, która wraz z mężem prowadziła gospodę. Justa liczyła, że „ciotuchna Vianne” przygarnie ją albo przynajmniej pomoże znaleźć pracę i urządzić się jakoś w mieście. Ot, historia, jakich wiele. Jordan wysłuchał wszystkiego cierpliwie, ale nie znalazł w jej słowach nic, co pozwoliłoby mu rozwiązać zagadkę tamtego snu.

Wyszli z lasu. Przed nimi rozciągał się teraz typowy dla Tanabrii krajobraz. Podłużne wzgórza o poszarpanych kamienistych stokach, wystające ponad zrudziałą trawę krawędzie szarych głazów, ciemna zieleń świerków i poskręcane wiatrem konary nagich drzew, które odcinały się czernią od zimnego nieba. Dalej wznosiły się szczyty gór, ciemne i przysadziste niczym cienie przykucniętych olbrzymów w śniegowych czapkach.

Miasteczko leżało w wąskiej i długiej dolinie pomiędzy dwoma bliźniaczymi wzgórzami. Na grzbiecie jednego z nich stali Domenic Jordan i Justa, na szczycie drugiego, w przejrzystym powietrzu widoczny jak na dłoni, znajdował się zamek od wieków należący do rodziny Jordanów. Zamek ów nazywał się dokładnie tak samo, jak leżące u jego podnóża miasto. Mandracourt.

Justa spojrzała na mężczyznę, który jej towarzyszył. Była zdenerwowana i dlatego nie zwróciła uwagi na osobliwy wyraz jego twarzy.

— Gdybyś zechciał, panie... — wydukała. — Pomogłeś mi przecież... Ciotka moja z pewnością nie odmówi ci gościny, jeśli tylko zechcesz...

Przyjął propozycję.

Należąca do ciotki Vianne i jej męża gospoda była niewielka, ale przytulna, z wesoło buzującym na kominku ogniem i ścianami udekorowanymi bukietami zasuszonych kwiatów. Zgodnie z tradycją tych stron nad wejściem widniała wypisana maksyma: „Kto zbyt często zagląda do kieliszka, ujrzy tam uśmiechniętą twarz diabła”. Jednak bywalcy gospody nie mieli takich kłopotów. Byli to stateczni, choć ubodzy mieszczanie. Siedzieli przy stołach, wolno pociągając z kubków grzane wino, rozmawiali przyciszonymi głosami, a w myślach – Jordan miał pewność – liczyli każdy wydany tu grosz.

Usiadł przy wolnym stole, poprosił o zupę serową, chleb i wino. Po raz pierwszy od wielu dni jadł z prawdziwą przyjemnością. W drodze do Mandracourt nie miał apetytu, niewiele też sypiał. Zdawał sobie sprawę, że to nie skutki męczącej podróży, lecz efekt niepokoju wywołanego zbliżaniem się do miejsca, którego nie chciał już nigdy oglądać. Teraz jednak było za późno, by się wycofać, i ta świadomość paradoksalnie przyniosła mu spokój.

Ciotka Vianne kręciła się po sali, zagadując gości. Wysoka i koścista, z brązową, wysmaganą wiatrem skórą, przypominała na pierwszy rzut oka sękaty pień, ale w jej siwych oczach było tyle ciepła, że ludzie odruchowo darzyli ją sympatią. Uważniejszy obserwator dostrzegłby jednak, że coś ją martwi. Rysy twarzy miała napięte, uśmiech chwilami znikał z jej ust. Przystanęła obok stołu, przy którym siedzieli czterej mężczyźni, po czym wdała się z nimi w rozmowę. Jordan jadł zupę i nadstawiał uszu.

— To już drugi raz w ciągu tygodnia — mówił z przejęciem brodaty grubas. — W poniedziałek słyszeliśmy szczekanie psów

i proszę: młody Rafael Sanie znalazł się nazajutrz martwy, leżący na ziemi z przegryzionym gardłem. Ledwo go pochowaliśmy, gdy Veronica d'Amat powędrowała wieczorem do zamku, w nocy znów słyszeliśmy ujadanie psów Strażnika, a dziś rano okazało się, że panna d'Amat nie wróciła do domu. Mówcie, co chcecie, ale na mój rozum dziewczyna już nie żyje. Już po niej, moi mili. Te bestie rozdarły ją na strzępy, mówię wam...

— W takim razie gdzie jest ciało? — mruknął jego sąsiad, równie tęgi, ale dla odmiany łyсы jak kolano.

— Ona żyje — szepnęła ciotka Vianne, odwracając się plecami do rozmówców. — Veronica wciąż żyje i ma się dobrze.

Jordan wyciągnął rękę i zatrzymał ją, gdy przechodziła obok.

— Rafael Sanie? — zapytał cicho, rozchylając palce, w których zabłysła złota moneta.

Zawahala się, po czym usiadła przy nim.

— Zginął przed sześcioma dniami — powiedziała. — Poszedł do zamku prosić Strażnika o kolejną łaskę. Już raz to zrobił, kilka lat temu. Oddał uszy w zamian za umiejętność widzenia w ciemności, a także za rękę i oko tak pewne, że nigdy nie chybiał celu. Potem wyjechał z miasta. Wrócił dwa tygodnie temu ze strzaskanym łokciem. Myślę, że chciał prosić Strażnika, by wrócił mu sprawną rękę. Ale niewielu udaje się dwa razy stanąć przed obliczem świętego. Rafael zginął rozszarpany przez psy. Nasz pan hoduje je specjalnie po to, by ściagały tych, którzy chodzą do Strażnika...

Moneta przewędrowała z rąk do rąk. Kobieta obejrzała ją uważnie.

— Kim jesteś, panie? — spytała, nie podnosząc wzroku.

— Domenic Jordan, młodszy brat Linusa Jordana, pana na Mandracourt — odparł.

Przyjrzała mu się i gwałtownie wciągnęła powietrze. W tym momencie on też ją rozpoznał. Vianne, nim wyszła za mąż, była piastunką Veroniki d'Amat.

— A więc wróciłeś... — szepnęła. Przez chwilę myślał, że kobieta po prostu wstanie i odejdzie. Najwyraźniej nazwisko Jordanów nie budziło w tym mieście miłych skojarzeń.

Lecz ona spróbowała tylko oddać mu monetę.

— Chciałam prosić o przysługę. Zapłacę...

— Nie. — Zacisnął jej palce na złotym krążku. — Najpierw chcę zobaczyć grób Rafaela Sanie. Potem porozmawiamy o przysłudze.

* * *

Stali nad prostą, usypaną z ziemi mogiłą. Napis na drewnianym krzyżu głosił: Rafael Sanie, zmarł, mając 22 lata. Niechaj Bóg zaopiekuje się jego duszą.

Na grobie ktoś położył wieniec suszonych kwiatów i zapalił woskową świecę. Płomień właśnie dogasał. Gdy Vianne cicho odmawiała modlitwę, błękitny jęczyczek ognia skurczył się, zmienił w maleńką iskierkę i znikł. Wstążka dymu, która wzbijała się w powietrze, pachniała lekko miodem.

A więc wszystko na próżno, pomyślał Jordan. Mogłem się tego spodziewać. Wiedziałem przecież, że Rafael będzie chciał znów mieć sprawną rękę, wiedziałem też, że Strażnik Nocy lubi zabijać –

sam lub za czyimś pośrednictwem, choćby i psów, które niewątpliwie pomógł wytresować.

Powiniem wrócić do Alestry i zapomnieć o wszystkim.

Jednak zbyt daleką drogę przebył, by teraz się wycofać. Wcześniej wmawiał sobie, że przyjechał tutaj tylko po to, by dopaść Rafaela Sanie, który na początku grudnia w Alestrze zabił pewną kobietę. Teraz zrozumiał, że tak naprawdę wrócił do Mandracourt, bo chciał się znów zobaczyć z bratem.

* * *

Znaleźli koślawą ławkę. Vianne usiadła, Jordan stanął obok. Nie chciał ryzykować ubrudzenia eleganckiego płaszcza. Tutaj, na cmentarzu, w chłodnej ciszy przerywanej tylko krakaniem wron, mogli spokojnie porozmawiać.

— Proszę o jedno — powiedziała kobieta. — Chcę, aby zapytał pan brata, co zrobił z Veronicą. Jeśli puścił ją wolno, chciałabym wiedzieć, dokąd poszła. Jeśli rozszarpały ją psy, chcę wiedzieć, gdzie jest ciało. Tylko tyle. — Uniosła głowę, zaciskając usta, jakby spodziewając się, że Jordan o coś ją oskarży. Spokojnie wytrzymał jej wzrok.

— Przyjechałem do Mandracourt dzisiejszego ranka i nie mam pojęcia, co tu się dzieje — przypomniał. — Veronicę d'Amat trochę pamiętam. Gdy wyjeżdżałem z miasta, miała jakieś osiem lat, więc teraz powinna mieć około dwudziestu dwóch. Jej ojciec nadal żyje? Jeśli tak, to czy nie on powinien pytać o córkę?

— Veronica została sierotą w dziewiętnastym roku życia — wyjaśniła. — Teoretycznie jej prawnym opiekunem i zarządcą

majątku aż do zamążpójścia jest Rogier de Barratin, ale tak naprawdę dziewczyna robi, co jej się podoba. Kocham Veronicę, wychowałam ją i myślę, że pod wieloma względami udało mi się zastąpić jej matkę. Ale ona... Don Domenicu, nie podoba mi się to, jak ona żyje. Z tego nie mogło wyniknąć nic dobrego.

Mówiła na przemian niepewnie, wstydząc się za wychowanekę, to znów niespodziewanie w jej głosie pojawiały się twarde nuty, a kobieta spoglądała na Jordana wyzywająco, dając do zrozumienia, że nie pozwoli, by ktokolwiek powiedział o Veronice złe słowo.

Słuchał uważnie. Opowieść nie zrobiła na nim większego wrażenia. Znał sporo dziewcząt w typie panny d'Amat.

Veronica bez skrupułów korzystała z tego, że prawny opiekun niewiele się interesował jej losem. Była młoda, ładna i lubiła się bawić. Nie zgrzeszyła niczym poważniejszym niż to, że sprowadzała sobie ubrania ze stolicy, spacerowała samotnie po zmroku, a raz podczas balu maskowego miała na sobie suknię stylizowaną na skąpą szatę tesalijskiej pasterki. Lecz w tak małej miejscowości jak Mandracourt tyle było aż nadto. Ludzie wzięli ją na języki, szepcząc za plecami, że pozbawiona opieki panna schodzi na złą drogę. Mówiono, że najwyższy czas, by wyszła za mąż, ale ona nie kwapiła się rezygnować z wolności. Z opowieści ciotki Vianne wyłaniał się obraz typowej małomiasteczkowej kokietki, podziwianej przez młodzież i potępianej przez starszych, uroczej i kapryśnej.

Ta właśnie panna wczorajszego wieczoru oznajmiła pokojówce, a następnie swemu prawnemu opiekunowi, że idzie do zamku. Oboje uznali to za żart. Nie sposób było uwierzyć, że Veronica

d'Amat postanowiła oddać uszy albo małe palce w zamian za siłę, niezwykłą szybkość czy umiejętność władania szpadą – a takie właśnie zdolności, przydatne zwłaszcza zabójcom, dawał Strażnik Nocy. Najwyraźniej jednak tak zrobiła. Rankiem plotki o zniknięciu dziewczyny rozeszły się błyskawicznie. A że nocą słyszano ujadanie psów z Mandracourt, nasuwał się oczywisty wniosek.

Jordan powoli pokręcił głową. Takie zachowanie nie zgadzało się z wizerunkiem panny d'Amat, który stworzył sobie na podstawie słów Vianne. Odłożył kwestię niezgodności na później. Miał jeszcze kilka pytań.

— Kto teraz mieszka w zamku? Prócz mojego brata, jego żony i służby?

— W Mandracourt od paru lat nie ma służby. Mieszkają tam natomiast... sama nie wiem, jak ich nazwać... przyjaciele naszego pana? Jego towarzysze? Żyją tam wszyscy razem niczym marynarze na statku: sami sprzątają i gotują, a nikt poza dostawcami nie ma wstępu do zamku. Niby nic w tym złego, tylko że... — zawahała się.

Czekał cierpliwie. Nad ich głowami wrona z głośnym krakaniem zatoczyła krąg, po chwili dołączyły do niej inne, dotąd siedzące na drzewie. Niebo poczerniało od skrzydeł, słowa kobiety utonęły w łopocie.

— ... wszyscy sądzili, że aby uzyskać coś od świętego, trzeba albo być Jordanem, albo oddać mu w zamian część własnego ciała. Jakiś czas temu jednak rozeszły się plotki, że wystarczy mieszkać przez dłuższy czas w zamku, a święty sam obdarzy człowieka odpowiednimi zdolnościami. Dlatego właśnie tamci przyjechali do

Mandracourt, a don Linus pozwolił niektórym zostać. Ludzie nazywają ich Strażnikami Nocy. Od przydomku naszego świętego, oczywiście. Hodują psy, których zadaniem jest ścigać tych, którzy przychodzą do zamku. Psy są wytresowane tak, by osaczyć ofiarę, nie robiąc jej przy tym krzywdy. Potem don Linus decyduje o losie takiego człowieka. Czasem puszcza go wolno...

— A czasem pozwala psom rozszarpać ciało.

— Owszem, jeśli uzna, że ktoś na to zasłużył — przyznała.

— Nikt nie buntuje się przeciw sprawiedliwości mojego brata?

— spytał Jordan cierpko.

Wzruszyła ramionami. Tanabria była krajem ludzi ciężko pracujących, uczciwych i niezbyt wrażliwych. Jeśli ktoś szedł do zamku po to, by za cenę utraty ucha wybłagać u świętego coś tak mało rozsądnego jak umiejętność rzucania nożem, to w opinii mieszkańców Mandracourt sam prosił się o kłopoty.

Jednak z pewnością inaczej spoglądano tu na śmierć awanturnika takiego jak Rafael Sanie, a inaczej na śmierć najbogatszej i najładniejszej panny w miasteczku. Może to właśnie było wyjaśnienie tajemnicy. Veronica ubzdurała sobie, że święty da jej miłość przystojnego mężczyzny albo sprawi, że znikną piegi na jej nosie. Coś równie głupiego i niewinnego. Potem dziewczynę dopadły psy i raz jeden tresura zawiodła – sfora rozszarpała ją, a Linus, bojąc się konsekwencji, ukrył ciało.

Być może tak właśnie było. Ale tylko być może.

* * *

Jordan bez trudu odnalazł dom, w którym mieszkała Veronica

d'Amat – dużą, zdobioną w roślinne motywy kamienicę z szarego kamienia. Przed laty był tu kilka razy, a pamięć miał dobrą.

Ciotka Vianne wyprzedziła go w drzwiach, po czym zamieniła parę cichych słów z odźwiernym. Sługa poprowadził ich do salonu, po drodze gawędząc z kobietą przyjaźnie. Stara piastunka już od dawna nie mieszkała w tym domu, ale wyglądało na to, że wciąż czuje się tu jak u siebie.

Wkrótce zszedł do nich opiekun prawny Veroniki, don Rogier. Jordan słabo go pamiętał. Ze słów towarzyszki wiedział, że mężczyzna jest zapalonym kolekcjonerem rękopisów i niewiele poza tym go obchodzi, Jego troska o los podopiecznej wydawała się szczerą, choć niezbyt głęboką. Nerwowo wycierał w chusteczkę okrągłe okulary i spoglądał na Jordana z nadzieją, że ten zdejmie z niego ciężar odpowiedzialności.

— Nie pojmuję, co się stało — mówił, podczas gdy jego pulchna twarzyczka z obwisłymi jak u chomika policzkami trzęsła się w takt wypowiedzianych słów. — Veronica zawsze wydawała się taką rozsądną panną. Może nazbyt samodzielną, owszem, ludzie czasem mieli jej to za złe, ale w końcu dlaczego nie? Ufałem, że wie, co robi, a teraz już niczego nie jestem pewien. Krążą plotki, że rozszarpały ją psy z zamku, ale jakoś nie mogę w to uwierzyć. Nie znaleziono przecież ciała...

Nasadził okulary na nos i pochylił głowę. Za późno. Jordan dostrzegł błysk w jego oczach, leciutkie drgnienie warg.

Wolałbyś, żeby odnaleziono ciało, prawda? – pomyślał. Chcesz ją pochować i wrócić do dawnego życia. Lubisz tę dziewczynę na tyle, na ile cię stać, ale nie masz pojęcia, co zrobić, gdzie i jak jej

szukać, a także co mówić ludziom. Martwa Veronica rozwiązuje te problemy.

Po chwili Jordan przerwał milczenie:

— Chciałbym obejrzeć komnaty panny d'Amat. A także jej portret, jeśli jakiś jest w domu.

Gospodarz spojrział na Vianne.

— Pomożesz panu, prawda? Niestety, ja... hmm... brak mi teraz czasu...

* * *

Z miniaturowej spoglądała wycięta w kształt serduszka buzia okolona kasztanowymi lokami. Na czerwonych ustach błąkał się psotny i przekorny uśmiech.

Była to twarz dziewczyny, którą dzisiejszego ranka Jordan ujrzał w rzece krwi.

Oddał portret, po czym poprosił Vianne, by zaprowadziła go do pokoi panny d'Amat.

Komnaty tonęły w różu i błękicie, falbankach i koronkach. Ściany pokrywały kwieciste tapety, a wyszywane w chabry zasłony były zakończone wielkimi kokardami. Z półeczek spoglądały lalki o szeroko otwartych, wiecznie zdziwionych oczach. Na czereśniowym biurczku, na konsoli z czerwonej laki, a także na kominku stały bibeloty: delikatne figuryнки tancerek w zwiewnych spódnickach, fauny, pastuszkowie i pasterki. Tu wszystko było delikatne, niewinne. I dziewczęce. Pokoje te zdawały się być twierdzą dziewczęcości. Twierdzą, która miała chronić przed... właśnie, przed czym?

Jordan podszedł do biureczka i zaczął przetrząsać szuflady. Ciotka Vianne spoglądała na niego w milczeniu, a jej zaciśnięte usta świadczyły o wzrastającej niechęci. Nie zwracał na nią uwagi, nie widział też potrzeby, by jakoś się wytłumaczyć. Nie lubił się wtrącać w prywatne sprawy innych, ale w pewnych okolicznościach było to po prostu nieuniknione. Panna d'Amat – żywa czy martwa – pojawiła się w jego śnie, on zaś chciał wiedzieć, jakim cudem zdołała tego dokonać, kim jest Montserrat, co łączy ją z Veronicą i w końcu gdzie, u licha, dziewczyna podziewa się teraz.

Nie znalazł nic ciekawego. Żurnale z rycinami, które przedstawiały najmodniejsze kreacje, kilkadziesiąt listów, w tym sporo od alestrańskich domów mody – te przejrzał bardzo pobieżnie, bo nie interesowało go, że pannie d'Amat nie przypadł do gustu kolor zamówionej mantylki. Dłużej zatrzymał się przy prywatnej korespondencji, lecz Veronica z innymi dziewczętami wymieniała tylko plotki i porady dotyczące strojów czy kosmetyków. Z listów, a także ze słów Vianne jasno wynikało, że nie miała prawdziwej przyjaciółki, którą można by wypytać. Wiersze od wielbicieli, zapewnienia o gorącej miłości, zaproszenia na przeróżne uroczystości – Jordan przerzucał stertę papierów coraz bardziej zniechęcony.

Przeczytał niedokończony list Veroniki do jednej z koleżanek: *... burmistrz poprawiał wstążki przy sukni swej bratowej. Zajęło mu to z kwadrans, jeździł nosem po jej spódnicy, wytrzeszczał swoje krótkowzroczne oczy i wyglądał – wypisz, wymaluj – jak szukająca trufli świnia. A ta niesamowita kobieta nie widziała w tym nic zdroźnego! Jest tak cnotliwa i bogobojna, że sama nie grzeszy*

i nikogo innego o grzech nie posądza. Nie rozumiem, po co ona w ogóle chodzi do spowiedzi. Powinna okazać trochę chrześcijańskiego miłosierdzia i dać spokój nieszczęsnemu księżulkowi, który słuchając jej, kona w konfesjonale z nudów...

Odłożył list, po czym zajrzał do kolejnej szufladki, tak maleńkiej, że mieścił się w niej tylko obrazek dwojga dzieci idących ramię w ramię przez mroczny las oraz oprawiony w skórę notesik.

Sięgnął po niego i otworzył.

Montserrat.

Nakreślone czarnym atramentem imię biegło śmiało przez środek białej kartki. Pismo było zamaszyste, pełne ostrych kątów. Jordan spoglądał na nie przez chwilę, po czym przewrócił stronę.

Montserrat – tym razem litery były drobniejsze, bardziej krągłe. Kolejna strona i znów to imię rozwleczone na całą linijkę.

Wciąż przewracał kartki. *Montserrat, Montserrat, Montserrat...* Czarne litery: po uczniowsku proste, eleganckie i ozdobne, a nawet dziecinnie niezgrabne, tańczyły mu przed oczami.

Montserrat, Montserrat...

Zaciekawiona Vianne podniosła głowę. Jordan zorientował się, że mówi na głos.

— Czy Veronica znała kogoś, kto się tak nazywa? — zapytał. — Nie... To dziwne imię, nietypowe. Z Południa, jeżeli się nie mylę. U nas w miasteczku kobiety noszą porządne, chrześcijańskie imiona. Nigdy nie słyszałam o żadnej *Montserrat*.

Zamknął notesik i włożył z powrotem do szuflady.

Przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl.

W górnej szufladzie znalazł ułożone w równy stosik bibuły. Tę, która leżała na wierzchu, już wykorzystywano. Odcisnięte litery były blade, w niektórych miejscach ledwo widoczne, ale przy odrobinie wysiłku dałoby się coś odczytać.

Poszukał w toalecie lusterka, po czym przyłożył je do kartki.

... ogrodzie, gdzie dusze zmarłych kwiatów pachną słodką zgnilizną... Trupimi Palcami... poruszają się delikatnie... białe robaki kłębiące się pod skórą...

I dalej, na dole strony:

... księżyc to olbrzymie zamknięte oko. Bałam się wtedy, że... i oko spojrzy na mnie z nieba.

Jordan niedbałym gestem podarł bibułę, jakby nie wyczytał z niej nic ciekawego.

— Czy Veronica prowadziła pamiętnik? — zapytał.

Młode panny często tak robiły, zwłaszcza jeśli nie miały zaufanej przyjaciółki.

Vianne milczała. Zbyt długo. Jej palce szarpały koniec paska przy sukni.

— Nic o tym nie wiem — odparła po chwili, zaciskając usta z niechęcią.

Przeklął własną niezręczność. Niepotrzebnie pozwolił, by patrzyła, jak przegląda prywatne papiery panny d'Amat.

Pozornie jednak przyjął słowa starej piastunki za dobrą monetę. Odprowadził ją do drzwi i pożegnał, uprzejmie, ale i stanowczo tłumacząc, że nie chce jej dłużej zatrzymywać. Potem zawrócił w głąb domu. Zatrzymał pierwszego z brzegu służącego i zadał mu kilka pytań. Chwilę później rozmawiał już z niedawno przyjętym na

służbę Leonem. Potem Jordan przeszkodził jeszcze don Rogierowi, który odkurzał właśnie miotelką jakąś wyjątkowo wielką księgę. Zamienił z nim ledwo parę słów, lecz miał nadzieję, że to wystarczy.

Zamek Mandracourt, późne popołudnie

Zamek zbudowano na szczycie wzgórza, wkomponowując go w krajobraz tak precyzyjnie, że miejscami nie sposób było rozpoznać, gdzie kończy się skała, a zaczynają ułożone ludzkimi rękami kamienie. Zwieńczone blankami mury wznosiły się na wysokość ponad dwunastu stóp, posępne i szare na tle odrobinę tylko jaśniejszego nieba.

Jordan ujął ciężką kołatkę i zastukał w bramę.

Nikt nie otworzył.

Odczekał chwilę i zastukał raz jeszcze, mocniej. Wciąż żadnej odpowiedzi. Odsunął się, zadarł głowę.

— Jest tam ktoś?! — krzyknął.

Chłodna cisza zaniósła jego słowa daleko. Ktoś powinien go usłyszeć. Lecz Mandracourt jakby na złość wciąż pozostawało głucho i milczące.

Odetchnął. Wrzeszcząc przed bramą własnego domu, czuł się jak głupiec.

Odrobinę rozbawiony tą osobliwą sytuacją podniósł z ziemi kamień, zważył go w dłoni i rzucił. Kamień przeleciał ponad murem, ale zamiast oczekiwanego stukotu o bruk dziedzińca rozległo się miękkie, lepkie plaśnięcie, a zaraz później oburzone krakanie. W powietrze wzbily się kruki. Jeden z nich usiadł na

murze. Połykał coś pospiesznie, lśniące czarne pióra na jego gardle drgały leciutko.

Jordan poprawił na ramieniu pasek skórzanej torby. Miał w niej parę najpotrzebniejszych rzeczy. Resztę bagaży, a także konia zostawił w gospodzie ciotki Vianne. Skierował się w lewo, chcąc obejść zamek dookoła.

Na główny dziedziniec można się było dostać jeszcze jedną drogą – wąską bramą, która prowadziła na przestrzał przez wschodnią basztę. Nikt nigdy nie próbował zamknąć tego przejścia. Nie było takiej potrzeby.

Jordan zatrzymał się, palcami przeczesał włosy potargane podczas szybkiego marszu. Stał obok kłującego krzewu jałowca, przed wąskim tunelem. Widział już kawałek dziedzińca. Dzieliło go od niego tylko dwadzieścia kroków w półmroku przez bramę, w której czekał Strażnik Nocy.

Jestem bratem pana na Mandracourt, pomyślał. Powiniennem przejść bez trudu. Lecz wcale nie było to takie oczywiste. Od czasu, gdy opuścił rodzinny dom, sporo się tu zmieniło.

Raz jeszcze poprawił zsuwający się z ramienia pasek torby, nabrał w płuca powietrza i zanurkował w półmrok.

Był tam, dokładnie taki, jakim go pamiętał. Ustawiony w niszy po lewej stronie posąg, niewyraźny zarys postaci, którą dawno temu ktoś wyrzeźbił z piaskowca. Nikt już nie pamiętał, czy święty miał jakieś imię. Wszyscy nazywali go po prostu Strażnikiem Nocy, bo kiedyś wierzono, że dawane przez niego zdolności służą stróżom prawa, tym, którzy pilnują, by noc była spokojna. Przydomek pozostał, choć niewiele miał sensu. Strażnika nic nie łączyło

z prawem i porządkiem. Ani z Bogiem.

Jordan liczył kroki. Przeszedł już osiem lub dziewięć. Może nawet dziesięć. Tak, z pewnością dziesięć. Dlaczego więc wyjście nie przybliżyło się ani odrobinę? Spojrzał w tył i zobaczył krzak jałowca. Wystarczająco daleko, by mógł uwierzyć, że przez ostatnie sekundy nie stał w miejscu. Odetchnął z ulgą, odwrócił głowę.

Wyjścia nie było. Zamiast niego widział kamienny mur, dokładnie taki sam, jak po prawej i lewej stronie. Obejrzał się. Z tyłu też miał ścianę. Mrok wewnątrz tunelu zgęstniał, kontury posągu zatarły się. Każdy oddech zabierał resztki drogiego powietrza.

Nie wyjdę stąd. Dlaczego liczyłem, że mi się uda? Nigdy tu nie pasowałem, wciąż powtarzano mi, że podobny jestem nie do ojca, lecz do matki, obcej na tej ziemi...

„Widziałem w twoich oczach diabła. Dzisiaj wyjrzał już trzy razy. Pierwszy raz rano w pracowni, dokładnie o wpół do ósmej. Drugi, gdy mijales mnie w korytarzu, kwadrans po dziesiątej. I trzeci przed chwilą”.

Zasłonił twarz dłońmi.

Nazywam się Domenic Jordan i mam prawo tędy przejść, nawet jeśli odziedziczyłem urodę matki, a z moich oczu wygląda diabeł.

Opuścił ręce i ruszył w stronę wyjścia.

Na zewnątrz oślepiło go słońce. Zamrugał, powoli przyzwyczajając się do światła. Zrobił jeden krok, potem następny.

I cofnął nogę.

Czubek buta miał ubrudzony krwią.

Na dziedzińcu rozlewały się wielkie, nieregularne kałuże,

różowe, jasnoczerwone i purpurowe. Krew zmieszana w nierównych proporcjach z wodą. Pośrodku stała kobieta w białej sukni, wokół leżały rozrzucone ciała. Nie ludzkie. Psie. Kilkanaście czarnych jak smoła brytanów zastrzelonych albo zarąbanych siekierą. Budząca postrach w całej okolicy sfera Strażnika Nocy. Martwa.

Kobieta dostrzegła Jordana. Powoli odstawiła trzymane w rękach wiadro, wytarła ręce w suknię. Na materiale pozostał czerwony ślad.

Woda, krew, biel sukni. Zupełnie jak nad rzeką w owym dziwnym śnie na jawie.

— Witaj, Alais — powiedział miękko.

Alais, jego kuzynka, a teraz także żona jego brata, nie odpowiedziała. Jej błękitne oczy były szeroko otwarte, jasne włosy naturalnymi lokami opadały na blade czoło i szyję. Przekroczyła trzydziestkę, skórę miała mniej jędrną, rysy ostrzejsze, a w kącikach oczu rysowały się kurze łapki. Świeżość młodzieńczej urody przeminęła, ale ona wciąż była piękna jak dzika róża zerwana z łąki i zaszuszone.

Zamrugła. Poznała go, choć nie widzieli się od piętnastu lat. Pomyślał przelotnie, jak dziwnym musi jej się wydawać w swoim modnym i eleganckim, lecz całkowicie czarnym stroju, który przypominał ubiór księdza albo diabła z jasełek.

— Domenic... Nie powinieneś tu wracać...

— Mnie także miło cię widzieć, kuzynko.

Nie uśmiechnęła się. Alais, którą pamiętał z dzieciństwa, nie miała poczucia humoru. A także wielu innych ludzkich cech. Była

błogosławiona, rozmawiała z aniołami i czyniła cuda, bo przepełniała ją moc boża.

Potem tamta Alais umarła, a na jej miejsce zjawiała się ta kobieta. Jordan niewiele o niej wiedział.

Wyciągnęła ręce. Gdy podszedł, by ją przywitać, cofnęła się spłoszona.

— Jestem brudna od krwi — wymruczała.

— Co tu się stało?

— Linus zabił o świcie wszystkie psy. Wyprowadzał je jednego po drugim z psiarni, wiązał przy studni i zabijał. Gdy zabrakło mu kul, wziął siekierę. Czuły zapach śmierci, a mimo to żaden nie odważył się zaatakować.

— Dlaczego to zrobił?

Pokręciła głową znużona, postarzała. A także krucha, niewinna i piękna. Alais, która nic nie wiedziała i nie chciała wiedzieć o życiu i śmierci.

— Nie wiem. Próbowалаm go powstrzymać, naprawdę próbowałam, ale nie potrafiłam...

— Nikt inny nie zaprotestował?

Patrzyła na niego bez słowa, jakby zdziwiona tym pytaniem.

— Zostaliśmy tu tylko my — odparła po chwili. — Ja, ty i Linus. Zamek jest pusty. Linus, nim pozabijał psy, kazał wszystkim odjechać.

— Podał jakieś powody?

— Nie. Po prostu powiedział, że natychmiast wszyscy mają się wynieść. Pozwolił im zabrać część rzeczy, tyle, ile mogły udźwignąć ich konie. Nawet nie podniósł głosu, ale i tak go

posłuchali. Jak zawsze — w jej głosie słychać było zmęczenie.
— Odjechali, gdy niebo zaczęło szarzeć. Każdy w swoją stronę.

— A Linus? Gdzie jest teraz?

— Położył się spać.

Odpowiedź zabrzmiała na tyle absurdalnie, że Jordan zastanawiał się przez chwilę, czy aby się nie przesłyszał.

— Chcesz powiedzieć, że mój brat rozpedził swoich kompanów na cztery wiatry, pozabijał wierne psy, po czym zasnął? O świcie? I śpi aż do teraz, choć jest późne popołudnie?

Alais skinęła głową.

— Pytałaś, dlaczego to zrobił?

— Próbowалам. Odepchnął mnie i zamknął się u siebie. Powiedział tylko, żebym pozwoлиła mu spać. To... nic aż tak niezwykłego. On nie przepada za słońcem. Zasypia więc rano, a budzi się wieczorem.

Od kiedy to jego brat nie lubił dziennego światła? I dlaczego? Kolejna zagadka, której rozwiązanie bardzo chciał poznać.

— Próbowалаś go budzić?

— Tak. Chciałam, żeby pomógł mi uporządkować dziedziniec.

— I nic z tego?

Pokręciła głową.

— Ostatni raz dobijałam się do jego drzwi przed kwadransem. Nie otworzył. Postanowiłam więc zabrać się do tego sama.
— Wymownym gestem wskazała wiadro z wodą i trupy psów.

Do jednego z nich dobierał się kruk tak obżarty, że miał trudności z oderwaniem się od ziemi. Mimo to wciąż szarpał zawzięcie zwłoki, biciem skrzydeł odpędzając inne ptaki. Alais

wzdrygnęła się i pobladła.

— Pomóż mi, Domenicu. Proszę.

— Dobrze. Ale najpierw musimy pozbyć się ciała. Krew z dziedzińca zmyjemy potem.

A jeszcze później, pomyślał, powiem mojemu bratu, co o tym wszystkim sądzę.

— Potrzebujemy też czegoś, na czym będzie można je przenieść — dodał na głos. — Nie mam ochoty tulić ich do piersi.

Alais wzięła z bieliźniarki płócienne prześcieradło, a Jordan zdjął płaszcz i kaftan. Wychodząc z powrotem na dziedziniec, podwinął rękawy koszuli.

Mężczyzna przeciągał ciała na prześcieradło; później nieśli je na zaimprovizowanych noszach po wąziutkich schodkach na mury obronne i zrzucali w dół od północnej strony, tam gdzie otwierała się głęboka na kilkadziesiąt stóp przepaść.

Dokładnie w tym właśnie miejscu piętnaście lat temu Domenic Jordan zabił swego ojca.

Gdy skończyli, z niesmakiem spojrział na ubrudzone krwią ręce.

— Przydałaby mi się kąpiel — mruknął. — Myślę, że poradzę sobie z zagrzaniem wody w łaźni.

— Ja zmyję krew z dziedzińca. Przyjdź potem do kuchni. Zaczekam tam na ciebie.

* * *

Gorąca woda przyniosła ulgę zmęczonym mięśniom, rozleniwiła ciało. Jordan, ułożony wygodnie w drewnianej balii, przymknął oczy. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo jest

znużony. Od kilku dni był w drodze, wyruszał często jeszcze przed świtem, a zatrzymywał się na nocleg późnym wieczorem, bo żałował czasu na dłuższe postoje. Ponadto źle sypiał, a gdy dziś zasnął w siodle, śnił o Veronice d'Amat stojącej po kolana...

Gorącą wodę, w której leżał, barwiła lekko krew.

Na korytarzu rozległ się odgłos pospiesznych i ostrożnych kroków. Ktoś mijał drzwi łaźni. Kto? Jeden ze służących? Pewnie tak...

Jordan poruszył się niespokojnie, otworzył oczy. Złudzenie znikło i woda nie wyglądała już na zmieszaną z krwią. Zamek był opustoszały, korytarzem mogła iść tylko Alais bądź Linus.

Nasłuchiwał przez chwilę, ale wokół panowała cisza.

Zamek Mandracourt, pora zmierzchu

— Schodziłaś do łaźni? — zapytał.

Alais siedziała skulona przy piecu, w którym płonął ogień. Padający z za drzwiczek blask ledwo oświetlał jej twarz. Reszta kuchni: kredensy, stoły, a także wielkie palenisko, w którym można było upiec na rożnie całego wołu, tonęła w mroku.

— Nie. To jedyne miejsce, gdzie udało mi się podtrzymać ogień. Siedziałam tu przez cały czas.

— Jeśli chcesz, możesz się wykąpać. Zostało jeszcze sporo gorącej wody.

Alais wstała, zapaliła świecę. Jordan zatrzymał ją w drzwiach.

— W której komnacie śpi Linus?

— Tam gdzie kiedyś była pracownia... — Zawahała się, ale nie musiała kończyć.

Pracownia ojca, pomyślał.

* * *

Wejście do komnaty zamykały okute żelazem drzwi, a ponadto nie było tu żadnych okien, przez które można by zajrzeć. Ta ciemna nawet w dzień cela wydawała się osobliwym miejscem na sypialnię.

Dla wszystkich z wyjątkiem Linusa, który nie lubił słonecznego światła.

Jordan uderzył pięściami w drzwi, nawołując brata. Pochylił się do dziurki od klucza. W nozdrza uderzyła go delikatna woń, tak ulotna, że ledwo zdołał ją rozpoznać. Wyjął z mankietu koszuli spinkę, wsunął ją w zamek i wypchnął klucz. Woń stała się odrobinę wyraźniejsza i przynajmniej jedna zagadka została wyjaśniona.

Linus Jordan był pijany, dlatego spał pomimo walenia w drzwi.

Zamek Mandracourt, godzina szósta wieczorem

Jasne włosy Alais schły powoli przy piecu. Skuliła się na krześle, objęła kolana ramionami. Obok usiadł Jordan.

— Chciałbym zapytać o dwie rzeczy — powiedział cicho. — Po pierwsze: wczoraj ktoś przyszedł do świętego. Wiesz, kto to był i czego chciał od Strażnika?

Wolno pokręciła głową.

— Linus nie życzył sobie, bym mieszała się w takie sprawy. Wiem, że ktoś tu był, bo w nocy obudziło mnie szczekanie i widziałam przez okno, jak Linus i jego towarzysze dosiadają koni

i w ślad za psami wyjeżdżają przez wschodnią bramę. Ale nie mam pojęcia, czy puścili tego kogoś wolno czy nie. — Zapatrzyła się w płonący w piecu ogień.

— A Linus? Dlaczego nie lubi słonecznego światła? Choruje na coś?

Odpowiedziała dopiero po chwili.

— To nie choroba. Przynajmniej... niezupełnie. Towarzysze Linusa też unikają słońca, choć w ich przypadku to coś jest znacznie słabsze.

— Co to jest?

— Nie mogę ci powiedzieć. Nie proś o to. Lepiej, aby Linus sam ci wszystko wyjaśnił.

Wiedział, że nie ma sensu nalegać. Alais, gdy raz podjęła jakąś decyzję, nigdy jej nie zmieniała.

Wtem kobieta zasłoniła oczy dłońmi.

Jordan spodziewał się, że usłyszy szloch, ale ona zaczęła szeptać, szybko wyrzucając słowa, jakby parzyły jej wargi.

— Boję się, Domenicu. Tak bardzo się boję. Moc Strażnika rośnie z każdym dniem. Wiem, że w zamku dzieją się złe rzeczy, wiem, że powinnam coś zrobić. Ale nie potrafię. Kiedyś, gdy Bóg był ze mną, nie wahałam się ani nie wątpiłam. Miałam w sobie odwagę i pewność. Wszystko wydawało się wtedy takie proste i... czyste. A potem... potem tamtej strasznej nocy wszystko się zmieniło... Bóg odszedł, a ja chciałam tylko, żeby znów było dobrze... Nic więcej... Ale nie wiem, co robić. Boję się własnego męża i boję się, że nie zdołam go ocalić. Boję się Strażnika Nocy, którego nazywają świętym...

— Strażnik umarł, a tylko żywi potrafią rozmawiać z Bogiem — powiedział łagodnie. — Tak jak ty umiałaś. Pamiętasz? Umarli tracą kontakt z Bogiem, a śmierć to największa próba dla ludzkiej duszy. Jeśli nie odrodzi się wkrótce w nowym ciele, pozostaje samotna w świecie duchów i demonów. Bez Boga, który mógłby jej pomóc. Nie wierz więc świętym. Czasami to szalone istoty, które dawno już zapomniały o boskich przykazaniach...

Spojrzała na niego niepewnie.

— Nie powtarzaj nikomu tego, co ci teraz powiedziałem, proszę.

Skinęła głową. Kiedyś rozmawiała z Bogiem i aniołami. Ale to było dawno temu i niemal zapomniała, jakie to uczucie.

W zamku panowała cisza przerywana tylko huczeniem ognia w piecu i tykaniem staroświeckiego zegara. Powieki Jordana zaczęły powoli opadać.

Wąska, chłodna dłoń wśliznęła się pod jego włosy, na kark. Dreszcz przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa, poczuł się tak, jakby w upalny dzień zanurkował w chłodnej wodzie albo ukoił wyschnięte gardło ożywczym łykiem wina. Zmęczenie minęło, w głowie mu się przejaśniło, krew zaczęła żwawiej krążyć w żyłach.

Wzdrygnął się lekko. Ona wciąż ma moc, pomyślał. Bóg ją opuścił, lecz pozostawił część swojej mocy.

— Nie — zaprotestował, a gdy Alais nie zareagowała, odciągnął jej rękę. — Wystarczy.

Patrzyła na niego przez chwilę, potem uśmiechnęła się lekko.

— Mam przecucia, Domenicu — powiedziała. — I sny. Dzieje

się tutaj coś dziwnego... To miejsce jest złe.

— Oczywiście — odparł swobodnie. Dotyk kuzynki sprawił, że odzyskał odrobinę dobrego humoru. — Zawsze tak było. Ja osobiście obudziłbym się z krzykiem, gdyby którejs nocy przyśniło mi się, że Mandracourt jest miejscem przyjaznym i miłym.

Zamek Mandracourt, godzina ósma wieczorem

Jordan przyrządził sobie kolację, która składała się z resztek pieczonej kury, chleba, koziego sera z dzikim cząbrem i wina. Jadł przy stole, na najlepszym talerzu, jaki udało mu się znaleźć, pił z kieliszka, a nie z glinianego kubka, usta ocierał serwetką.

Być może sytuacja, w jakiej się znalazł, była dziwaczna, ale nie zamierzał przez to rezygnować z codziennych przyzwyczajień.

Alais nie była głodna, napiła się tylko mocno rozcieńczonego wina. Grzała się przy piecu wpatrzona w ogień. Drżała wyraźnie mimo ciepła.

— A więc skończyłeś medycynę? — zapytała, nawiązując do ich wcześniejszej rozmowy.

— Owszem, ale nie jestem praktykującym lekarzem — wyjaśnił. — Interesuje mnie magia i demonologia. Tylko teoretycznie — zapewnił szybko, bo kobieta z niepokojem poderwała głowę. — Jestem naukowcem, nie czarownikiem.

Skuliła się jeszcze bardziej, opierając podbródek o podciągnięte kolana.

— Dziwnie się czuję... — powiedziała po chwili. — Trochę tak, jak to bywa tuż przed burzą, gdy powietrze jest ciężkie i nieruchome, a człowiek modli się o pierwszy grzmot, który

rozerwie ciszę. Coś nadchodzi, Domenicu. Coś wielkiego i straszego. A my możemy tylko czekać. Wszyscy troje: ty, ja i Linus...

Przełknął ostatni kęs sera, otarł usta. Światło stojącej na stole świecy padało na jego szczupłą twarz, wyostrzając rysy, a cienie malujące się na bladej skórze nadawały mu niepokojący wygląd.

— Czworo — poprawił.

Alais odwróciła się w jego stronę. Nie mógł dostrzec jej oczu, skrytych teraz w mroku, wiedział jednak, że są szeroko otwarte i pełne lęku.

— Jest nas tu czworo — powtórzył. — Ty, ja i Linus. A ponadto panna Veronica d'Amat, jak sędzę.

— Nie pojmuję...

— Jak myślisz, dlaczego Linus zabił psy? Wszystkie bez wyjątku, całą wierną, świetnie wytresowaną sforę?

— Nie mam pojęcia.

— Właśnie dlatego, że psy zostały tak znakomicie wyszkolone. Wczorajszej nocy ścigały Veronicę d'Amat, zapamiętały jej zapach i z pewnością nie pozwoliłyby dziewczynie kręcić się po zamku. A Linus chce pozwolić jej na swobodę ruchu. Nie wiem po co, ale jakikolwiek jest ten powód, musi być wart śmierci kilkunastu wiernych psów.

— Jesteś tego pewien?

— Niczego nie jestem pewien. Ale takie wyjaśnienie ma przynajmniej odrobinę sensu. A ponadto, gdy byłem w łaźni, słyszałem na korytarzu odgłos kroków.

Zamek Mandracourt, godzina dziewięta wieczorem

Domenic Jordan załomotał w drzwi komnaty brata. Obok stała wystraszona Alais, trzymając w dłoni świecę.

Tym razem wewnątrz rozległo się ciche sieknięcie, potem kaszel.

— Co jest?! Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać! — głos Linusa był chrapliwy i nieprzyjemny.

— To ja, Domenic. Otwórz. Chcemy tylko wiedzieć, czy nic ci nie jest. Za drzwiami przez chwilę panowała cisza.

— Domenic? Co tu, do diabła, robisz?

— Wpuść mnie, to porozmawiamy.

Linus roześmiał się.

— Kuisz, braciszku, co? Ale ja w przeciwieństwie do ciebie nigdy nie grzeszyłem nadmierną ciekawością. Wynoś się stąd. I możesz zabrać ze sobą Alais. Niech jedzie z tobą do Alestry. Nie chcę jej tu. W Mandracourt zostaną tylko ja, bo tylko ja kocham to miejsce!

Przy słowach „Niech jedzie z tobą do Alestry” kobieta zaczęła drzeć. Gorąca kropla wosku spadła jej na dłoń i Jordan wziął świecę.

— Nie wyjadę ani nawet nie odejdę od drzwi, dopóki nie otworzysz.

W komnacie znów zapadła cisza. Domenic i Alais również milczeli.

— Jesteś tam jeszcze? — zawołał Linus.

— Tak. Wciąż czekam.

— A niech cię diabli!

Klucz zgrzytnął w zamku, drzwi uchyliły się odrobinę. Z komnaty buchnął smród alkoholu, niemytego ciała, moczu i czegoś jeszcze, co Jordan bezbłędnie rozpoznał jako odór strachu.

— Żyję i jestem zdrowy, braciszku — powiedział Linus.
— Wystarczy? Dasz mi spokój?

— Wyjdź na korytarz.

Wezwany zawahał się, potem szerzej otworzył drzwi i postąpił krok w przód.

Domenic uniósł świecę. Światło omijało postać jego brata, zupełnie jakby ten zebrał czyhające w kątach cienie i owinał się nimi od stóp do głów.

— Co tu się dzieje? Twoja żona jest bliska paniki, ty zamykasz się na klucz i upijasz do nieprzytomności, a po zamku spaceruje sobie panna Veronica d'Amat, martwa w opinii większości mieszkańców miasteczka.

Słyszając ostatnie słowa, mężczyzna cofnął się, a cień płynnym ruchem podążył za nim.

Jordan odruchowo wyciągnął rękę i zacisnął na czymś, co okazało się łokciem.

— Zaczekaj.

Druga ręka Linusa, ta wolna, spadła na jego ramię. Była to otulona w mrok dłoń, ciężka jak z żelaza, o długich, zbyt długich i zbyt giętkich palcach. Cień przysunął się, jakby chciał zajrzeć bratu w twarz.

— Wynoś się stąd — szepnął głosem nabrzmiętym od gniewu i przerażenia. — Im szybciej, tym lepiej. Możesz zabrać ze sobą Alais albo i nie, wasza wola. Ale mnie dajcie spokój. Mam jeszcze

w pokoju kilka butelek anyżówki. Zamierzam ją wypić i spać aż do jutra, pojmujecie?

Pchnął tak mocno, że Jordan puścił łokieć brata, a także świecę i uderzył plecami w ścianę. Nim oszołomiony zdołał się podnieść, ciężkie drzwi znów były zamknięte na klucz.

Zamek Mandracourt, godzina wpół do dziesiątej wieczorem

Jordan i Alais przetrząsnęli zamek w poszukiwaniu Veroniki d'Amat. Nie miało to wiele sensu; mężczyzna zdecydował się na to jedynie dlatego, by mieć poczucie, że robi cokolwiek. Mandracourt rozbudowywano przez wieki i było tu teraz tyle sal, komnat i ganków, połączonych ze sobą w skomplikowany sposób, że znalezienie w tym labiryncie kogokolwiek graniczyło z cudem. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że nie mogli się rozdzielać, bo Alais i tak była już bliska hysterii.

Jordan zatrzymał się dłużej przy schodach prowadzących na południową wieżę. Pamiętał to miejsce. Jeszcze nim je ujrzał, mógłby przywołać pod powiekami dokładny obraz nierównego bruku, kamiennych stopni i poręczy z brązu zakończonej lwią głową, wytartą przez wieki tak, że teraz przypominała co najwyżej zaciśniętą pięść. A przede wszystkim obraz Ptasznika, który tutaj właśnie lubił karmić ptaki. Ptasznik.

Wychynął z zakamarków pamięci, jakby tylko czekał na zaproszenie. Niska, niekształtna postać ukryta pod płaszczem oraz tajemnica, o, tak, niewątpliwa tajemnica, której Jordan nie zdołał rozwiązać.

Z całą pewnością to niepowodzenie nie było najgorszym

wspomnieniem z jego dzieciństwa, a jednak tylko ta rana nie zdołała się zasklepić. Na myśl o Ptaszniku wciąż czuł smak porażki, gorzki i świeży mimo upływu lat. Tak wiele oddałby, by dowiedzieć się, kim karzeł naprawdę był, i tak jasno zdawał sobie sprawę, że najprawdopodobniej nigdy mu się to nie uda.

— Domenic?

Pełen niepokoju głos Alais wyrwał go z zamyślenia. Piętnaście lat temu zaprzepaścił swoją szansę, bo zabrakło mu dostatecznej dozy dociekliwości, a także uporów. Nie chciał, by coś takiego znów się powtórzyło.

Kim jesteś, Veronica? – zapytał w myślach. I kim jest Montserrat, o którą tak dbasz?

Zamek Mandracourt, godzina dziesiąta wieczorem

Zaprowadził Alais do jej komnaty, rozpałił w kominku i namówił kuzynkę, by spróbowała się zdrzemnąć.

Poluźniła sznurówki gorsetu, zdjęła buty i skuliła się na łóżku. Nie chciała się przebrać do snu. Wyglądała, jakby w każdej chwili gotowa była się zerwać i wybiec na zewnątrz.

Jordan siedział w głębokim fotelu z książką na kolanach. Czytał po raz kolejny tę samą stronę, a żółty blask świecy rysował mu pod oczami głębokie cienie.

Na co czekali? Aż Linus umrze z przepicia w swoim pokoju i trzeba będzie przy pomocy miejscowego kowala wyłamać zamek żelaznych drzwi?

Pokręcił głową. Nie wierzył, by to wszystko tak właśnie miało się skończyć. W Mandracourt narastało coś znacznie

mroczniejszego i potężniejszego niż szaleństwo Linusa.

Przymusowa bezczynność drażniła go i doprowadzała do rozpacz. Potrafił się zdobyć na cierpliwość, jeśli tylko miało to sens, ale nie przywykł do bierności. A teraz mógł tylko czekać. Po raz pierwszy w dorosłym życiu był tak bezradny.

Nienawidził tego uczucia.

Znów pomyślał o Veronice d'Amat. Twarz, którą widział ledwo dwa razy – we śnie i na portrecie – pojawiła się przed jego oczami, jakby tylko na to czekała.

Kim była naprawdę? Pustogłową trzpiotką, za jaką uważała ją większość mieszkańców Mandracourt? Bystrą i obdarzoną złośliwym poczuciem humoru panną, która ośmielała się kpić z burmistrza i jego bratowej? A może kimś jeszcze innym, kto pojawiał się w snach...

Gdybym teraz zasnął, być może Veronica znów by do mnie przemówiła, pomyślał, lecz dotyk kuzynki wypędził z jego ciała znużenie i wiedział, że nie zdoła teraz zapaść w sen.

Spojrzał na leżącą na łóżku Alais. Miała otwarte oczy.

— Nigdy nie myślałaś, żeby stąd wyjechać? — zapytał.

— Linus nie zechce wyjechać. Mandracourt to całe jego życie.

— Bez Linusa — zaznaczył z powagą, a także ze śladem napięcia w głosie.

— Masz na myśli, że miałabym go opuścić? Nie, nigdy nie przyszło mi to do głowy — odparła z prostotą. — On mnie potrzebuje, Domenicu, niezależnie od tego, co mówi.

Skinął głową. Dokładnie takiej odpowiedzi się spodziewał.

— Wybaczyłaś mu?

— Oczywiście.

— Dlaczego?

Uniosła się na łokciu i spojrzała zdziwiona.

— Bo tak trzeba. Miłość i przebaczenie mają moc naprawiania krzywd.

— A ty chciałaś naprawić w ten sposób to, co stało się tamtej nocy, gdy zamordowałem ojca, a Linus o mało nie zabił ciebie?

Pytanie zabrzmiało zbyt ostro, zbyt wiele było w nim gorzkości. Byłby przeprosił, gdyby nie to, że Alais wcale nie wyglądała na urażoną.

— Zbawiciel wybaczył swoim katom — odparła spokojnie.

— Tak, ale nawet on miał na tyle rozsądku, by nie wychodzić za nich za mąż i nie rodzić im dzieci.

Nawet teraz się nie rozgniewała, choć przecież powinna. Alais wciąż niezdolna była do takich uczuć jak złość czy nienawiść. Okaleczono ją w jakimś sensie, pozbawiając możliwości zrozumienia innych ludzi.

— Nie pojmuję, o co ci chodzi, Domenicu.

— Dałaś Linusowi wybaczenie, którego on nie potrafił przyjąć i na które nie był gotowy. To nie najlepszy pomysł.

Zapadło milczenie. Jordan patrzył na jasne włosy rozrzucone wokół głowy Alais. Płonący na kominku ogień nadawał im delikatną barwę zachodzącego słońca. Gdy kobieta poruszyła się, światło padło na jej twarz, miękką i niewinną.

— Mam prośbę — powiedziała. — Nie chciałam, by moja córka wychowywała się w Mandracourt, wysłałam ją więc do Basteny. Dalecy krewni mojego ojca mają tam majątek ziemski.

Zgodzili się za niewielką opłatą zaopiekować Lauretą. To dobrzy ludzie i dobra okolica. Pola, łąki, lasy... Ona jest tam szczęśliwa.

Alais wcale się nie usprawiedliwiała. Mając wybór pomiędzy życiem dla córki a życiem dla męża, wybrała męża, być może z bólem w sercu, ale bez wahania. Wierzyła, że to właśnie Linus najbardziej potrzebuje jej miłości i oddania. A przede wszystkim wybaczenia. Wybaczała mu dzień po dniu każde złe słowo, każdy obraźliwy gest, mając pewność, że tak trzeba, że kiedyś znów wszystko będzie dobrze. Wierzyła, że jej dobroć zdoła zaleczyć rany, może nawet wskrzesi przeszłość. Tę przeszłość, gdy Alais słyszała głos Boga, a Domenic i Linus byli kochającymi się braćmi.

Jordan skinął głową na znak, że rozumie. Nie pozostało mu nic innego.

— Chciałabym, abyś tam pojechał, poznał Lauretę i dał jej opiekunom swój adres w Alestrze. Obiecaj im, że gdyby małej stało się coś złego, będą mogli cię wezwać. Potrzebuję tej pewności, Domenicu. Chcę wiedzieć, że jest ktoś rozsądny i mądry, kto w razie czego pomoże mojej córce. Ja nie mogłabym do niej przyjechać, zresztą prawdopodobnie na nic bym się nie przydała. Niewiele mam doświadczenia. Zrobisz to dla mnie?

Zamek Mandracourt, tuż przed trzecią w nocy

Alais obudziła się z płytkiej drzemki. Usiadła na łóżku i wybuchnęła płaczem.

— Śniłam o czekaniu — szlochała. — Dziwne, prawda? Czekam na jawie i czekam we śnie. Czuję, jak coś potwornego nadciąga nad ten dom...

Jordan przyniósł jej nalewki miodowej. Na nieprzyzwyczajony do alkoholu organizm podziałała jak mocny środek uspokajający. Po chwili Alais spała już niczym dziecko.

Postanowił, że gdy tylko wstanie dzień, wyniosą się stąd. Nawet gdyby miał wywlec kuzynkę siłą. Nawet gdyby w ten sposób stracił szansę dowiedzenia się, co właściwie dzieje się w Mandracourt. Do diabła z Linusem i tajemnicą panny d'Amat. Niech sobie radzą sami.

Decyzja ta przyniosła mu ulgę. Miał wrażenie, że po raz pierwszy od wielu godzin zrobił coś rozsądnego.

Zamek Mandracourt, świt

Młody sługa przeszedł przez otwartą furtkę, po czym stanął na środku głównego dziedzińca. Rozejrzał się i wzdrygnął lekko. Maszkarony na ozdobnym portyku szczyrzyły do niego zęby w błazeńskich uśmiechach.

— Jest tu ktoś?! — wrzasnął lekko drżącym głosem. — Hop, hop!

Zaczekał chwilę, potem krzyknął jeszcze raz. Dygotał tyleż z zimna, co ze strachu.

— Możesz już przestać — powiedział Jordan, wychodząc z cienia portyku. — Usłyszałem.

Na widok mężczyzny Leon od razu odzyskał animusz. Jego policzki i czubek zadartego nosa, już i tak zaróżowione od mrozu, poczerwieniały z emocji, błękitne oczy rozbliły.

— Przyniosłem, co wielmożny pan chciał — powiedział, sięgając do kieszeni cienkiego płaszcza. Podał Jordanowi różowy

pamiętnik z wymalowanym na okładce obrazkiem purpurowej róży.

— Mam go od wczoraj wieczór, ale z góry żem mówił, że po ciemku do zamku nie pójdę — tłumaczył. — Ta kobieta, co ją ciotką Vianne zwa, przysłała do nas po kolacji i kręciła tak, coby samej zostać. Tak, jak żeś pan mówił. No to ja w ślad za nią i żem ją zdybał, jak książeczkę wyciągała z takiego schowka w zabawce, co niby fortepian dla lalek udaje. Ciotka wrzask podniosła, no to zawołałem służącego i kazałem biec po naszego pana. A on powiedział, że książeczkę trza mi oddać. — Chłopak uśmiechnął się z dumą. — Wszystko poszło zupełnie tak, jak pan mówiłeś.

Jordan wsunął mu w dłoń dwie złote monety.

— A druga sprawa? — zapytał.

Leon zmarkotniał.

— Pytałem na poczcie i w ratuszu, ale nikt nie pamięta, żeby w Mandracourt była jakaś Montserrat.

— Mimo to dziękuję. — Jordan dorzucił jeszcze jedną monetę, tym razem srebrną. Szkoda. Liczył, że któremuś z urzędników wpadło w oczy tak oryginalne imię wypisane na liście czy jakimś dokumencie.

— Jeszcze jedno... — Wyjął z kieszeni kaftana notes, wyrwał kartkę i kawałkiem ołowiu nakreślił parę zdań. — Idź do gospody „U Ciotki Vianne” i przekaz to właścicielce.

* * *

Jordan zapalił nową świecę, bo w szarówce świtu niewiele było widać, po czym otworzył pamiętnik.

Nie czytał wszystkiego, przebiegał tylko wzrokiem tekst

ostatnich stron, próbując wyłowić najważniejsze informacje. Szukał wzmianek o świętym i Montserrat, a gdy przewracał kartki, towarzyszył mu trzask płonącego na kominku ognia i cichy oddech śpiącej Alais.

Spieszył się, bo nie wiedział, ile mają czasu.

Gdy Montserrat czegoś chce, wiem, że muszę jej to dać. Inaczej nie zaznam spokoju. Ona jest silniejsza ode mnie, a raczej czasem się taka staje. Potrafię ją powstrzymać na jakiś czas, ale nie na zawsze. Dlatego jutrzejszego wieczoru pójdę do zamku.

W tym miejscu pamiętnik urywał się. Jordan przysunął świecę bliżej i przewrócił strony wstecz.

Śniłam dziś o ogrodzie, gdzie dusze zmarłych kwiatów pachną słodką zgnilizną. Rosną tam lilie zwane także Trupimi Palcami, bo ich płatki są smukłe, blade i chłodne, a także storczyki nakrapiane jak trujące grzyby. Pod ziemią pochowane są ciała. Ich klatki piersiowe i powieki poruszają się delikatnie, stwarzając pozory życia. Ale to tylko białe robaki, które kłębią się pod skórą cienką i przejrzystą jak natłuszczony papier.

W miejscach, gdzie leżą ciała, kwiaty rosną najbujniej, a rosa na ich liściach ma smak ludzkiego potu.

Sny takie oznaczają, że Montserrat znów jest blisko.

Nad zamkiem gromadziły się chmury ciemne i gęste niczym skłębione wilcze futro.

Nie pamiętam, kiedy zjawiła się po raz pierwszy. Być może gdy byłam dzieckiem i przyśniło mi się, że księżyc to olbrzymie zamknięte oko. Bałam się wtedy, że powieka podniesie się i oko spojrzy na mnie z nieba.

Nikt nie wiedział, skąd przybyły: z północy, południa, wschodu czy zachodu. Na tle bezwietrznego, na wpeł jesienno, na wpeł zimowego krajobrazu burzowe chmury wyglądały jak domalowane obcą ręką.

Próbowałam kiedyś napisać imię Montserrat tak, jak ona mogłaby to zrobić. Próbowałam wyobrazić sobie jej chód, jej gesty, uśmiech. Nie potrafiłam. Wiem o niej tylko jedno.

Montserrat jest czarownicą.

Jordan podniósł głowę, gdyż w komnacie pociemniało. Wstał, podszedł do łóżka i delikatnie dotknął ramienia kuzynki.

— Zbudź się, Alais. Musimy iść.

Jedną dłonią odgarnął włosy z jej spoconej twarzy. W drugiej wciąż trzymał pamiętnik, palcem zaznaczając stronę, na której skończył czytać.

Gdy byłam mała, ojciec pokazał mi wybryk natury: dwa bliźniacze kasztany w jednej łupinie. Tak samo jest ze mną i Montserrat. Dwie dusze, dwa odmienne charaktery w jednym ciele. Gdy ona przychodzi, przestaję kontrolować własne ciało. Z pani samej siebie staję się mniej niż niewolnicą, bo bierną obserwatorką. Czasem tylko, choć rzadko, zdarza się, że wciąż jestem sobą, a Montserrat pomaga mi swymi magicznymi zdolnościami. Myślę, że robi to dla kaprysu. To dziwne, niepokojące uczucie. Zupełnie jakbym sama była czarownicą.

Nienawidziłam jej z początku, potem jednak stopniowo coś zaczęło się zmieniać. Nie wiem, czego chce ani kim jest. Nie wiem, dlaczego wybrała właśnie mnie. Boję się jej i wolałabym, żeby zostawiła mnie w spokoju. Lecz w jakiś dziwny sposób nawet ją

lubię i nie chcę jej krzywdy. Dlatego wystraszyłam się tego dziwnego mężczyzny w czerni, którego Montserrat pokazała mi we śnie. Wiem, kim on jest, i wiem, że kiedy dowie się o Montserrat, będzie chciał zrobić jej coś złego. Montserrat śmieje się z moich lęków. Ona niczego się nie boi.

Alais zbudziła się i usiadła na łóżku. Bijący od jej twarzy blask rozcinał ciemność. Nie bała się już, nie wahała, nie miała wątpliwości.

— Bóg przemówił do mnie we śnie — powiedziała, spoglądając na Jordana wzrokiem, który zdawał się przepalać go na wylot. — Montserrat przyszła tu, by zniszczyć Strażnika Nocy. Nie posąg, choć na początku myślała, jak my wszyscy, że moc świętego jest w tej właśnie figurze. Ale to nieprawda. Moc jest tutaj, w każdym kamieniu tego zamku. I to właśnie zamek czarownica chce zniszczyć.

— A mój brat na to pozwolił? — zapytał zdumiony, że w ogóle może mówić. Głos zamierał mu na wargach. Miał wrażenie, że czas w komnacie zaczyna zwalniać, aż w końcu staje w miejscu. Wypowiedziane z takim trudem słowa zawisły w powietrzu.

Nigdy nie sądził, że Linus może chcieć zniszczyć Mandracourt. Tak bardzo kochał to miejsce. Dlaczego to zrobił? Bo Strażnik Nocy zmienił go... w kogo? Jak wyglądał Linus bez osłony cienia?

Stojąca na stoliku świeca zgasła, ogień w kominku zmienił się w purpurowe płomyki leniwie pełgające po polanach.

— Dał Montserrat czas, którego potrzebowała. Udało jej się i Mandracourt za chwilę przestanie istnieć.

Dość tego.

— Chodźmy stąd. — Jordan z wysiłkiem przewyciężył bezwład.

Mocno i pewnie chwyciła go za rękę. Nie próbował się opierać.

— Bóg nas ocali. Ufasz mi?

Wokół panowała już całkowita ciemność, ale twarz Alais wciąż jaśniała niczym odbity w mrocznej wodzie księżyc.

— Tak — odparł wbrew wszystkiemu, czym kierował się w życiu. Lecz mówił prawdę.

W ślad za ciemnością nadeszła cisza, a po chwili huk gromu.

* * *

— To kara boża! Widziałam! Z chmury trysnęła błyskawica i obróciła zamek w pył!

Jordan powoli otworzył oczy. Bolała go głowa i czuł lekkie mdłości, zupełnie jakby ktoś uderzył go czymś ciężkim w czaszkę.

Oto uboczne skutki cudu, o których Kościół nie wspomina, pomyślał, podnosząc się niezgrabnie.

Pył opadał na ziemię, odsłaniając gruzowisko, w którym nie sposób było nawet rozpoznać zarysów dawnej budowli. Zmieszany z cierpkim kurzem dym docierał do Jordana, wwierał się w jego nozdrza i sprawiał, że łzawiły mu oczy.

Zadrżał. Zaczął padać śnieg, miękkie, wielkie płatki wirowały w podmuchach wiatru i osiadały na brązowych źdźbłach trawy.

— Moja dziewczynka... — szepnęła ciotka Vianne, spoglądając na mężczyznę rozszerzonymi z przerażenia oczami.

— Ona tam była! Napisał mi pan, że Veronica jest w zamku! Nie żyje? Tak jak pański brat i jego żona?

Skinął głową. Ulga sprawiła, że nagle poczuł się bardzo znużony. Linus, a nade wszystko Alais żyli, był tego pewien. Sądził jednak, że lepiej, aby dla reszty świata pozostali martwi. Tego właśnie życzyłaby sobie jego kuzynka.

Nie wiedział, co stało się z panną Veronicą d'Amat. Jeśli żyje i zechce wrócić do miasteczka, sama będzie musiała wszystko wytłumaczyć.

Ciotka Vianne odsunęła się, zaciskając usta. W jej oczach lśniły łzy.

Włożył do kieszeni kaftana książkę, którą wciąż trzymał w ręce, otrzepał ubranie z pyłu i poprawił włosy. Drżał z zimna, bo Alais, czyniąc cud, zapomniała o jego płaszczu.

* * *

Dziewczyna siedziała na zwałonym pniu drzewa tuż przy rzece. Płatki śniegu osiadały na jej kasztanowych włosach. Czekwała cierpliwie.

Gdy usłyszała tętent końskich kopyt, podniosła się i wyszła na drogę.

Jordan zatrzymał wierzchowca.

Badali się przez chwilę wzrokiem jak ludzie, którzy wiele o sobie słyszeli, ale nigdy nie mieli okazji spotkać się osobiście.

Pierwszy przerwał milczenie mężczyzna.

— Veronica czy Montserrat? — zapytał z powagą, a jego dłoń jakby bezwiednie powędrowała do tkwiącego przy siodle pistoletu.

— Veronica — odparła.

— Czy mogę porozmawiać z Montserrat?

— Nie. Ona przychodzi i odchodzi, kiedy ma na to ochotę.

Smukłe palce gładziły lekko ozdobną kolbę.

— Dlaczego zniszczyła Strażnika Nocy?

Veronica spoglądała na niego śmiało, może nawet wyzywająco. Wyglądała zabawnie z zadartą do góry brodą i zacięciem rysującym się na dziewczęcej buzi.

— Nie wiem.

Przebiegła wzrokiem od twarzy mężczyzny do jego dłoni. Pistolet wciąż do połowy tkwił w olstrze, ale palce obejmowały już kolbę gotowe w każdej chwili wyszarpnąć broń.

Nabrała w płuca powietrza.

— Posłuchaj, panie — mówiła teraz szybko, nerwowo — mam propozycję. Nie chcę wracać do Mandracourt, po tym, co się wydarzyło, nie potrafiłabym tam już żyć... Bałabym się, że Montserrat znów każe mi zrobić coś strasznego... Chcę pojechać z panem do Alestry, chcę, aby pomógł mi pan zapanować nad Montserrat. To jedna droga. Druga to...

— Tak?

— Możesz mnie, panie, zabić. Teraz i tutaj. Nie będę krzyczeć ani uciekać. Ale jeśli darujesz mi życie, nie zmienisz później decyzji. Zaakceptujesz mnie i Montserrat, choć wiesz, że ona jest niebezpieczna.

Cofnęła się pół kroku, zamknęła oczy. Stała sztywno wyprostowana, zaciskając dłonie. Nie wyglądała już zabawnie. Drżała, ale była też w niej odwaga i niespodziewana duma.

Dziewczyna miała rację. Montserrat, czarownica, która potrafiła zmieść z powierzchni ziemi zamek, z pewnością była

niebezpieczna. Powiniennem ją zabić, zanim jeszcze komuś zrobi krzywdę, pomyślał Jordan. Nie mam pojęcia, kim jest, czy postanowiła zniszczyć Strażnika, bo taki miała kaprys, czy może istniał inny powód. Nie wiem, jak wielka jest jej moc, skąd wzięła swe umiejętności i dlaczego, u licha, godzi się na dzielenie ciała z inną osobą. Nie wiem też, czy przy pomocy Veroniki zdołam nad nią zapanować.

Z drugiej jednak strony pokusa znalezienia odpowiedzi na te pytania okazała się zbyt silna. Z trudem potrafił oprzeć się sekretom. A ponadto, jak sobie uświadomił, pannie d'Amat mogło się zdawać, że jej śmierć będzie jednocześnie końcem czarownicy, lecz w rzeczywistości zniszczenie fizycznej powłoki prawdopodobnie tylko na jakiś czas by ją osłabiło.

Puścił kolbę pistoletu. Opadało z niego napięcie ostatniej doby. Był zmęczony, wciąż miał zawroty głowy i czuł lekkie mdłości.

— Zatrzymamy się w najbliższej gospodzie — powiedział.
— Muszę trochę wypocząć. Potem wynajmiemy powóz i pojedziemy dalej. Nie wypada, żeby dama podróżowała konno.

Veronica otworzyła oczy i odetchnęła. Na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec.

— Dlaczego darował mi pan życie? Czy dlatego, że jestem ładna? — zapytała z przekornym błyskiem w oczach. Przypominała teraz rozkapryszoną dziewczynkę, która domaga się komplementu.

— Z tego właśnie względu. — Czasem pozwalał sobie na takie konwencjonalne słowa, zwłaszcza gdy tak naprawdę nie miały one znaczenia.

Zastanawiała się przez chwilę, potem uśmiechnęła szelmowsko.

Oczywiście Domenic Jordan nie powiedział jej prawdy, niemniej to miło, że zechciał dla niej skłamać.

2. Cień w słońcu

Dòna Constancia d'Alazet przywykła do wizyt o nietypowych porach. Jej syn był sędzią w miasteczku Sent Chely, sędzią sprawiedliwym i dość łagodnym, ale i budzącym odrobinę lęku w prostych ludziach. Mieszkańcy darzyli go szacunkiem, jednak ze swymi kłopotami woleli zwracać się do jego matki, która była bardziej wyrozumiała i miała większą wiedzę o życiu. Ona nie oceniała – to zadanie należało do Julienu d'Alazet – a tylko słuchała i próbowała pomóc. Ojcowie skarżyli jej się na synów, którzy rozpierani młodzieńczą energią pakowali się w kłopoty, kobiety narzekały na mężów zbyt brutalnie egzekwujących małżeńskie prawa, panny zwierzały się z pierwszych zawodów miłosnych, a chłopcy prosili o rady, jak postępować z dziewczętami.

Dlatego też dòna Constancia nie zdziwiła się, gdy pewnego ciepłego lipcowego wieczoru przyszła ją odwiedzić Paula Martinian. Uściskała nieoczekiwanego gościa na progu ogrodowej altanki i zaprosiła do stołu. Było zbyt późno na kolację, ale służąca przyniosła trochę smakołyków: czekoladę, smażone w cukrze orzeszki pinii i świeże owoce. Pani domu zdawała sobie sprawę, że drobny poczęstunek pomaga opanować zdenerwowanie i przełamać nieśmiałość.

Altankę oświetlały lampiony zawieszane na gałęziach niewielkiej gruszy. W ich blasku nowo przybyła, mężatka od

dziesięciu lat i matka czwórki dzieci, wyglądała jak naiwne dziewczę. Dòna Constancia wiedziała, że to złudne wrażenie. Wbrew upodobaniu do wielkich, upinanych nad uszami kokard i przesadnej ilości koronek Paula Martinian była kobietą dość rozsądną. Nie przyszłaby tu o tej porze, gdyby nie miała ważnego powodu.

Zgodnie z niepisaną etykietą rozpoczęły rozmowę od niezobowiązujących tematów. Pani Martinian spytała o zdrowie syna, a potem wnuka gospodyni i usłyszała, że obaj czują się znakomicie. Dònę Constancję z kolei interesowały zbiory – wyglądało na to, że jeśli tylko utrzyma się pogoda, słynnego basteńskiego wina będzie w tym roku niemal dwa razy więcej niż w poprzednim.

Powietrze przesycił zapach kapryfolium, mocny i odurzający, w trawie cykały świerszcze. Mimo późnej pory wciąż było ciepło, nie upalnie jak w dzień, ale po prostu przyjemnie ciepło. Wonna ciemność otulała nagie ramiona niczym leciutki aksamitny płaszcz, pieściła skórę, upajała zmysły lepiej niż wino.

W taki wieczór, pomyślała Constancia d'Alazet, nie może się wydarzyć nic naprawdę złego.

Dziesięć minut później pani Martinian zdecydowała się przejść wreszcie do rzeczy.

— Mam kłopot — powiedziała, a rozmówczyni uścisnęła serdecznie jej drżące, pokryte zimnym potem dłonie. — Martwię się o Lauretę. Och, dòno Constancio, ona wraca do domu z ranami na ciele! Ma sińce, zadrapania, czasem nawet krwawi!

Starsza kobieta przytuliła ją lekko.

— Od jak dawna to trwa?

— Z pewnością od tygodnia, ale możliwe, że dłużej, tylko ja przegapiłam pierwsze oznaki. To się zdarza prawie codziennie. Laureta wychodzi z domu i wraca po kilku godzinach podrapana i posiniaczona. Tłumaczy to najczęściej tak, że upadła, bawiąc się z dziećmi, ale ja, niech mi Bóg wybaczy, jej nie wierzę. Ona nie ma koleżanek ani kolegów. To samotnica, która przez cały dzień włóczy się po polach...

Pociągnęła nosem i przyjęła podaną chusteczkę.

— Kocham ją — podjęła po chwili. — Może nie tak jak moje własne dzieci, ale naprawdę ją kocham. I do tej pory wydawało mi się, że ona kocha nas. A przynajmniej lubi, choć jest u nas obca. Tyle było gadania w miasteczku, kiedy wzięłam ją do siebie. Pani wie, że rodzice Laurety zapłacili nam za jej wychowanie? Ale Bóg mi świadkiem, że nie tknęłam tych pieniędzy. Berard dał je do banku, żeby czekały, aż dziewczyna dorośnie. To dziwne dziecko, małomówne, zamknięte w sobie. Ale dobre, tego jestem pewna. Nigdy wcześniej nie mieliśmy z nią kłopotów. Aż do teraz. Teraz Laureta kłamie, twierdząc, że te siniaki i zadrapania to rezultat zwykłych wypadków. Nie mam pojęcia, dlaczego nie chce powiedzieć prawdy.

— Może się boi — zasugerowała zamyślona gospodyni. — Być może ktoś zastraszył ją do tego stopnia, że nie ma odwagi zwierzyć się nawet przybranej matce. Mam jedno pytanie, Paulo... Nie gniewasz się, że mówię ci po imieniu, prawda? W moim wieku wszystkie kobiety poniżej trzydziestego roku życia wydają się młodziutkimi dziewczątkami. Chcę się upewnić, czy Lauretę

krzywdzi ktoś poza domem — położyła nacisk na ostatnie dwa słowa.

Paula Martinian spojrzała na nią wielkimi zażawionymi oczami.

— Nie bardzo rozumiem, pani... — wymamrotała.

— Czy jesteś pewna, że dziewczynki nie zranił ktoś z domu? Służący, może nawet ktoś z rodziny?

Chodziło jej o Berarda Martiniana, męża Pauli. Była kobietą dobrą i łagodną, ale nie naiwną. Wiedziała, że powszechnie szanowani ojcowie rodzin czasem biją, a nawet gwałcą córki.

Pani Martinian potrząsnęła głową trochę zbyt energicznie, a gdy się odezwała, w jej głosie zabrzmiała fałszywa nutka.

— Nie, oczywiście, że nie. Dziewczynka wychodzi z domu cała i zdrowa, a wraca pokaleczona. Zresztą kto miałby ją u nas skrzywdzić? Służący są z nami od lat, nikogo nowego nie przyjęliśmy ostatnio, a na robotników sezonowych jeszcze za wcześnie. Berard zatrudnia ich dopiero przy zbiorach.

Zawahała się, zadrżała, oczy otworzyła jeszcze szerzej.

— Pani przecież nie sądzi, że mój Berard mógłby skrzywdzić Lauretę?

— Nie, nie sądzę — odparła Constancia d'Alazet. Chyba nie, dodała w myślach.

— Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. — Młodsza kobieta uspokoiła się odrobinę. — Laureta ma wuja, niejakiego Domenica Jordana. Był u nas wiosną i zostawił swój adres w Alestrze. Nalegał, by pisać do niego, jeśli tylko z dziewczynką będzie się działo coś złego. Jak pani uważa, d'òno Constancio, czy powinnam

go wezwać?

— Nie podejmę za ciebie decyzji, moja droga. Kim jest ten człowiek?

— Och, z tego, co wiem, jest... — urwała, spojrzała na rozmówczynię i natychmiast uciekła wzrokiem — specjalistą od magii i demonów czy jakoś tak.

Matka sędziego zmarszczyła brwi.

— Nie mówisz mi wszystkiego, Paulo — rzekła z łagodną przyganą w głosie. — W jaki sposób specjalista od magii miałby pomóc Laurecie? Wydarzyło się coś jeszcze, prawda?

— Owszem — przyznała z ociąganiem. — Dziś ukarałam Lauretę za to, że bardzo nieuprzejmie zachowała się w stosunku do księdza, który próbował pytać o te siniaki. Zamknęłam ją w pokoju i nakazałam w modlitwie prosić o wybaczenie. Klucz schowałam do kieszeni. Przysięgam, że nikt nie miał do niego dostępu. A gdy godzinę później otworzyłam drzwi...

— Laureta miała na ciele nowe sińce i zadrapania — dokończyła dōna Constancia.

— Gorzej. Miała rozbity nos, a krew zachlapała jej całą sukienkę. Twierdziła, że modliła się, klęcząc na łóżku, i spadła, ale to przecież bzdura. Jak prawie jedenastoletnia dziewczynka może spaść z łóżka i rozbić sobie nos?

— Czy z małą ktoś jeszcze próbował porozmawiać?

— Nie, tylko ja, mój Berard i ksiądz, którego poprosiliśmy o pomoc. Ale ona nie chce się nam zwierzyć. Milczy albo wpada w złość. Dzieje się coś złego, jestem tego pewna. Poza tym... — znów się zawahała — boję się, że to może mieć coś wspólnego

z krążącymi plotkami, pani sama wie jakimi. Na temat Kulawego Isaaca i dzieci, które pozniwały ostatnimi laty. Nie sądzi pani, że trochę za dużo ich było jak na tak małe miasteczko?

— Daj mi chwilkę pomyśleć, moja droga.

Starsza kobieta oparła łokcie na stole i ukryła twarz w dłoniach.

„Nie sądzi pani, że trochę za dużo ich było jak na tak małe miasteczko?”. Te proste słowa uderzyły ją jak obuchem.

Boże, czy wszyscy jesteśmy ślepi? Czy oszukujemy się, bo tak jest wygodniej, bo nie chcemy dopuścić do siebie myśli, że w naszym spokojnym Sent Chely może się wydarzyć coś złego?

Piętnaścioro dzieci, które przepadły bez wieści w ciągu ostatnich siedmiu lat, od czasu, gdy w tak tajemniczych okolicznościach zniknęła Alicia Figeac. A także samobójstwo ojca Alicii, najdziwniejsze, o jakim kiedykolwiek słyszałam.

Każde z tych zdarzeń można było wyjaśnić w jakiś sposób. Każde z osobną, ale nie wszystkie naraz, nie wtedy, gdy miały miejsce w tak niewielkim miasteczku i w tak krótkich odstępach czasu.

Przed dwoma tygodniami zaginął ośmioletni Francis i to przeważało szalę. Mieszkańcy Sent Chely w końcu doszli do wniosku, że dzieje się coś złego. Zaskakujące, ale najszybciej zrozumieli to właśnie prości ludzie, tacy jak Paula Martinian. Dòna Constancia d'Alazet długo ignorowała przekazywane szeptem domysły. Dziś dotarło do niej, że w plotkach może kryć się prawda.

Wyprostowała się i spojrzała na towarzyszkę. Podjęła decyzję.

— Napisz do pana Domenica Jordana. Wspomnij w liście, że najlepiej będzie, jeśli zatrzyma się u mnie w domu. Ty przecież

zajmujesz się teraz małym. — Zapomniała, jak najmłodszy synek Martinianów ma na imię, ale wiedziała, że trzymiesięczny niemowlak jest chorowity i kapryśny.

Paula Martinian z ulgą skinęła głową. Cieszyła się, że ktoś zdjął z niej ciężar odpowiedzialności.

— I dopisz jeszcze — dodała dōna Constanca — żeby przyjechał jak najszybciej.

* * *

Pięć dni później, w kolejny ciepły, pachnący kapryfolium wieczór, Domenic Jordan wypoczywał na werandzie domu Constancii d'Alazet. Pił miejscowe wino, różowe i lekko kwaskowate, o delikatnym smaku malin. Ubrana w domową suknię gospodyni siedziała naprzeciw niego na uplecionej ze słomy i pokrytej barwnymi poduszkami kanapie. Tuż obok w bujanym fotelu zajął miejsce Julien d'Alazet. Kołysał się lekko, spoglądając na gościa spod na wpół przymkniętych powiek, bez sympatii, ale i bez niechęci. Był to mężczyzna wysoki i opalony, w typie wiejskiego szlachcica, ubrany elegancko, ale bez przesady. Z powodu ciepła nie nosił kaftana, a tylko koszulę, której rękawy podwinął aż do łokci, co z pewnością w mieście uznano by za przejaw złego smaku. Idąc za jego przykładem, Jordan zdjął kaftan, ale rozszerzane koronkowe mankiety koszuli pozostawił zapięte wokół nadgarstków na dwie złote spinki.

— Ty zacznij, mamó — rzucił Julien d'Alazet lekkim tonem. Z jego ust nie zniknął uśmiech, kpiący, ale w pewien sposób całkiem miły. — Wszak to twoja historia. Ja byłem przeciwny fatygowaniu

tu pana Jordana aż z Alestry. W naszym miasteczku nie dzieje się nic tajemniczego i mrocznego. Obawiam się jednak — spojrzał na dònę Constancję i jego uśmiech pogłębił się, był teraz bardziej figlarny i pełen czułości — że nie potrafię niczego odmówić mej matce. Pozostaję pod jej urokiem, panie Jordan, jak i wszyscy mieszkańcy Sent Chely. To dobry duch tego miejsca. Poczyszczelka strapionych wdów i organizatorka dobroczynnych kiermaszy, kobieta, która wychowała siedem kotów, cztery psy, jednego syna, a nawet pewną świnie noszącą, jeżeli dobrze pamiętam, piękne imię Miranda. Zwierzę to nigdy nie trafiło na półmisek, choć proszę mi wierzyć, miało wszelkie zalety, jakie świnia mieć powinna.

Don Julien zamilkł. Kołysał się w fotelu, który poskrzypywał leciutko. Twarz mężczyzny nikonęła w cieniu, to znów pojawiała się w złotym blasku rzucanym przez wielki, stylizowany na dalekowschodni, lampion.

Jordan czekał. Domyślał się, że gospodarz chce nie tylko opowiedzieć mu o szczęśliwym losie świni Mirandy. Julien d'Alazet – co widać było nawet gdy mówił żartobliwym tonem o psach, kotach i świniach – miał dwie cechy tak ważne u sędziogo: zdecydowanie i inteligencję. Lepiej, abym miał go po swojej stronie, pomyślał Jordan, nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć.

— Moja matka — podjął po chwili sędzia — mimo całego swego uroku, dobroci, a także bystrości, ma charakterystyczną dla kobiecej płci wadę: nazbyt ufa plotkom, skłonna jest także dawać wiarę najdzikszym przypuszczeniom. A ja jestem przede wszystkim

człowiekiem rozsądnym. Po co szukać skomplikowanych i mało prawdopodobnych wyjaśnień, gdy wszystko da się wytłumaczyć bardzo prosto?

— Ponieważ rzeczy skomplikowane i mało prawdopodobne także się zdarzają.

Odpowiedź nie przypadła Julienowi d'Alazet do gustu. Otworzył usta, by wysunąć kolejny argument, ale matka powstrzymała go.

— Pozwól mi mówić — poprosiła. — I nie przerywaj przez chwilę, dobrze?

Skłonił głowę uprzejmie, a jednocześnie z lekką ironią, po czym rozparł się wygodnie w fotelu i zamknął oczy.

* * *

Wszystko zaczęło się siedem lat temu, kiedy do Sent Chely przybyli Cris Figeac i jego córka Alicia. Przybysze wynajęli dom i wkrótce nawiązali stosunki z miejscowymi. Jednak te stosunki były zadziwiająco jednostronne. Figeac, rozmawiając ze znajomymi, wypytywał uprzejmie o wszystko, lecz sam niewiele o sobie mówił. Mała Alicia bywała wraz z ojcem na proszonych kolacjach, lecz nie pozwalano jej się bawić z innymi dziećmi. Ojciec i córka większość czasu spędzali w domu, do którego nikt obcy nie miał prawa wejść. Nie zatrudnili nawet służącego, bo mężczyzna sam zajmował się gospodarstwem.

Rzecz jasna wkrótce po miasteczku zaczęły krążyć plotki. Ludzie mówili, że Figeac jest czarownikiem, że w ukryciu studiuje sztuki tajemne, a mała Alicia wcale nie jest jego córką, lecz

porwaną szlachcianką, którą niegodziwiec zmusza do nauki magii.

Po kilku miesiącach zupełnie niespodziewanie Cris Figeac zaczął zapraszać do siebie Kulawego Isaaca, miejscowego głupka. Przez kilka tygodni tylko on miał wstęp do domu tajemniczego przybysza. Ludzie wypytywali go, ale nieskładne relacje idioty niewiele im pomogły. Kulawy Isaac bywał u Figeaca prawie codziennie, czasem nawet zostawał na noc. Wracił objedzony smakołykami, w eleganckim ubraniu, pokazując ludziom prezenty, które dostał od nowego przyjaciela. Sent Chely huczało od plotek niczym ul pełen pszczół. A potem, w pewien pogodny wiosenny dzień, Alicia Figeac przepadła bez wieści. Wyszła, by na polecenie ojca przynieść wody, i zniknęła na odcinku dwudziestu kroków, jaki dzielił studnię od domu. Znalaziono tylko leżące w kałuży wiadro – nic więcej. Miejscowi zorganizowali poszukiwania, przetrzęsali winnice, pola i piniowy las. Później rozesłano wieści. Długo jeszcze po tym wydarzeniu każdy włóczęga, który pojawiał się w Sent Chely lub w jednym z okolicznych miasteczek, był natychmiast prowadzony do aresztu i wypytywany, czy nie porwał aby ślicznej jasnowłosej dziesięciolatki.

Nikt Alicii Figeac więcej nie widział, zupełnie jakby dziewczynka rozplynęła się w chłodnym wiosennym powietrzu.

Tydzień później sąsiad Crisa Figeaca, niejaki Brasquet, wyszedł rankiem z domu, by rzucić okiem na świeżo zaorane pole. Jego uwagę przyciągnęły drapieżne ptaki gromadzące się nad czymś, co leżało na ziemi. Zobaczył też ślady stóp, wyraźnie widoczne w miękkim, spulchnionym przez pług gruncie. Doprowadziły go one do Crisa Figeaca. Mężczyzna miał rozbitą głowę, a obok leżała

czerwona od krwi siekiera.

Brasquet był mądrym człowiekiem. Od razu posłał sługę po sędziego, sam zaś stanął na straży, pilnując, by nikt nie zbliżał się do ciała.

Don Julien uważnie obejrzał ślady stóp odcisnięte w miękkiej ziemi. Jedne, pasujące do butów Crisa Figeaca, wiodły wprost do ciała. Drugie, Brasqueta, zawracały w odległości kilku kroków od nieboszczyka. Innych śladów nie było. Gdy więc następnego dnia po Sent Chely rozeszła się plotka, że to Kulawy Isaac porwał Alicję, a potem zamordował jej ojca, Julien d'Alazet odmówił aresztowania idioty. Uznał, że Cris Figeac niewątpliwie postradał zmysły po utracie córki i popełnił samobójstwo. Prawda, że w sposób niezwykle i bardzo krwawy, lecz zdarzający się czasem u szaleńców.

Plotki przycichły, bo ludzie ufali i wierzyli sędziemu, więc bez wahania zaakceptowali jego wersję wydarzeń. Przez jakiś czas w śmierci Figeaca nikt nie dopatrywał się niczego tajemniczego, nikt też nie posądzał Kulawego Isaaca o porwanie Alicji. Nie zmienił tego nawet fakt, że w ciągu następnych siedmiu lat zaginęły kolejne dzieci, wszystkie w wieku od ośmiu do czternastu lat. O trójce starszych chłopców szeptano, że uciekli z domu, by posmakować życia na morzu, o Dorinie, pięknej trzynastolatce, krążyły plotki, że jakiś czarnoskóry książę bawiący przejazdem w okolicy zabrał ją do swego haremu. Młodsze dzieci pewnie wpadły do wykrotu na polu lub nieużywanej studni, a może porwali je wędrowni cyrkowcy, by włożyć do dzbana, hodować przez kilka lat, a później wyjąć i pokazywać na jarmarkach jako zdeformowane

monstra.

Dopiero zniknięcie małego Francisa sprawiło, że mieszkańcy Sent Chely zaczęli kojarzyć ze sobą te wydarzenia. W centrum uwagi znów znalazł się Kulawy Isaac, i to z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, był on jedynym człowiekiem, który bywał w domu Figeaca i ponoć na własne oczy widział tajemnicze zniknięcie jego córki. Po drugie zaś, idiota często bawił się z miejscowymi dziećmi, zwłaszcza z tymi, których rodzice nie mieli czasu czy chęci zajmować się potomstwem i które większość dnia spędzały, uganiając się po uliczkach Sent Chely lub okolicznych polach. Kulawy Isaac znał więc – i to bardzo dobrze – owych piętnaścioro malców, którzy przepadli w ciągu ostatnich lat.

* * *

— Wygląda na to, że jedynie Kulawy Isaac może coś wiedzieć — stwierdził Jordan. — Czy ktoś próbował go pytać?

Bujany fotel skrzywnął, twarz Juliena d'Alazet znów pojawiła się w plamie złotego blasku i już tam pozostała. Gospodarz wsparł łokcie na kolanach i pochylił się w stronę rozmówcy.

— Próbowaliśmy, proszę mi wierzyć, że próbowaliśmy. Ale w słowach Isaaca po prostu nie ma sensu.

— A co mówi?

— Proszę go zapytać. Tak będzie najlepiej. Ja prawdopodobnie przekreśliłbym jego wypowiedź. Słyszałem ją już wiele razy, lecz wciąż próbuję doszukać się w niej sensu i przez to raczej interpretuję, niż powtarzam dosłownie to, co Kulawy Isaac mówi.

Jordan skinął głową. Rosnące pod werandą krzewy zaszeleściły,

a d'Alazet odwróciła się zdumiewająco szybko jak na kobietę w jej wieku.

— Wyjdź, Ericu — powiedziała.

Z gąszczu wynurzył się drobny dziewięcioletek. Jasne włosy miał rozczochrane i pełne liści, a w jego oczach malowała się nieskrywana ciekawość.

— To mój wnuk — przedstawiła go. — Dlaczego jeszcze nie śpisz, mały nicponiu?

W jej słowach zamiast nagany była miłość. Chłopiec wyczuł to, więc bez obaw wszedł na werandę i przytulił się do babki.

— Byłem ciekaw tego pana — brodą wskazał Jordana.

— Ericu! — Kobieta skarciła go znacznie surowiej, a Julien d'Alazet roześmiał się krótko.

Chłopiec nie wyglądał na przejętego.

— Dlaczego pan jest taki blady? — zapytał, gapiąc się na Jordana szeroko otwartymi oczami.

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Tak.

Jordan skinął, a gdy Eric podszedł, pochylił się do jego ucha.

— Jestem wampirem — szepnął.

Mały odskoczył, chichocząc cicho. Wyglądał na odrobinę wystraszonego, ale i zaintrygowanego słowami osobliwego gościa.

— A tak naprawdę?

— Mam wrażliwą skórę, dlatego zawsze gdy wychodzę na słońce, smaruję twarz specjalną maścią. Inaczej spiekłbym się na raka i zeszlaby mi skóra z nosa.

— Ja też kiedyś tak miałem. Babka smarowała mnie wtedy

zsiadłym mlekiem — powiedział chłopczyk z pełnym zrozumieniem dla tak poważnych problemów, a potem ni stąd, ni zowąd zmienił temat — pan ma piękną szpadę, widziałem. Umie pan walczyć? Naucz mnie pan?

— Ericu, dość tego. Idź spać.

Ponaglony kategoriycznym rozkazem ojca, chłopiec zniknął w głębi domu. Dòna Constancia spojrzała na gościa.

— Wygląda na to, że mój wnuk pana polubił — rzekła w zamyśleniu.

Jordan miał już na końcu języka odpowiedź, że sympatia ta pozostanie bez wzajemności, nie przepada bowiem za dziećmi, ale powstrzymał się w ostatnim momencie. Nie chciał psuć tych chwil. Dawno już nie zdarzyło mu się spędzić wieczoru w towarzystwie równie miłych i inteligentnych ludzi jak rodzina d'Alazet.

* * *

Bim bam bim bom

Bije kościelny dzwon.

Na placu targowym bawiły się dzieci. Ich cienkie, rześkie głosy brzmiały w leniwej ciszy południa zaskakująco obco. Trzymając się za ręce, krążyły wkoło skupione na wyśpiewywanych słowach rymowanki. Szare plamki cieni tańczyły w rytmie kroków wokół ich nóg.

Jeśli się nie będziesz bał

Weźmiesz wszystko, czegoś chciał.

Jordan oparł się o jedną z targowych bud, nieczynną teraz i dla ochrony przed prażącym słońcem przesłoniętą płachtą białego

płótna. Otarł pot z czoła. Przyszedł tu, bo chciał porozmawiać z Kulawym Isaakiem, który zazwyczaj przebywał w centrum miasteczka, tam gdzie zbierały się dzieci. Ale Isaaca nigdzie nie było widać.

*Drzewo miejscem dla wisielca,
Bo je wszyscy Stryczkiem zwą.
Czas na Skalkach jak grot strzelca
Bieży szybko w stronę swą.
Do kościoła kieruj kroki,
By przedstawić się bez zwłoki.*

Ktoś otworzył i zamknął okiennicę, zarzął koń, uwiązany przy jednym ze sklepików. Dwa psy goniły się przez chwilę ulicą, szczekając tak jazgotliwie, aż staruszki ubrane w czerń i przysypiające na ławach przed domami podniosły głowy.

Potem znów zapanowała cisza przerywana tylko skocznym rytmem wyliczanki.

Do dzieci podeszła właścicielka pobliskiej cukierenki. W ręce trzymała tacę, na której znajdowały się talerzyki z ciastem. Dzieci przerwały wyliczankę i z radosnymi okrzykami przyjęły poczęstunek. Wyglądało na to, że kobieta wcale nie spodziewa się zapłaty.

Jordan rozejrzył się i dostrzegł drobną postać stojącą po drugiej stronie targowego placu. Rozpoznał swoją bratanicę, Lauretę. Na jej nieładnej kwadratowej buzi malowały się rozpacz i determinacja.

Dzieci nie zwracały na nią najmniejszej uwagi. Postawiły drewniane talerzyki na pokrywie miejskiej studni i jadły ciasto, rozmawiając z pełnymi ustami.

Laureta odwróciła się i pobiegła w głąb ulicy. Jordan ruszył za nią. Początkowo chciał krzyknąć, by zaczekała, zrezygnował jednak. Dziewczynka sprawiała wrażenie zranionego zwierzęcia, które ucieka do swej kryjówki.

Zgubił ją, gdy minął ostatnie budynki Sent Chely. Laureta przepadła gdzieś wśród słoneczników, upału i brzęczenia owadów.

Zatrzymał się, odetchnął i w kilku spokojnych, wypowiedzianych rzeczowym tonem słowach przeklął lato, a lipiec w szczególności. Potem przeczesał palcami wilgotne od potu włosy, poprawił mankiety koszuli i ruszył przed siebie.

Doprawdy, myślał, idąc wzdłuż pola słoneczników, nie ma chyba mniej odpowiedniego miejsca, by zniknąć, niż okolice Sent Chely. Teren płaski jak naleśnik, nic tylko winnice, kartofliska i lawenda. A także słoneczniki, oczywiście. Żadnej rzeki czy jeziora, w którym można by się utopić, żadnych bagien, jarów czy wąwozów. Tu nawet laszek piniowy jest tak maleńki, że nie mógłby się w nim ukrywać zbłąkany kundel, nie mówiąc już o porywającym dzieci wilkołaku.

Droga, którą szedł, rozwidlała się. Na rozstajach rósł suchy wiąz o pniu tak szerokim, że czworo dorosłych mężczyzn, trzymając się za ręce, z trudem otoczyłoby go ramionami. Jeden z konarów kaprysem natury wygięty był niemal w okrąg. Z daleka rzeczywiście wyglądał jak wisielcza pętla.

A więc to jest drzewo zwane Stryczkiem, pomyślał Jordan, wodząc dłonią po rozgrzanej słońcem korze. Pod palcami przesuwają się wyryte proste rysunki, liczby oraz nieortograficzne wyznania i inwektywy.

Słoneczniki za jego plecami poruszyły się gwałtownie. Odwrócił się w samą porę, by ujrzeć znikającą wśród żółtych kwiatów płową czuprynę i rąbek białej sukienki. Laureta, przyszło mu do głowy w pierwszej chwili. Lecz to nie mogła być ona. Włosy jego bratanicy były ciemniejsze, a sukienka jasnoróżowa, nie biała.

* * *

Na pustym placu targowym właścicielka cukierenki zbierała drewniane talerzyki, układając je z powrotem na tacy. Jordan podszedł i podał jej ostatni, siódmy talerzyk.

— Pani jest bardzo dobra — powiedział. — Karmi pani te urwisy łakociami, a nie sądzę, żeby ich rodzice pani zapłacili.

Wzruszyła ramionami.

— Chcę im dać trochę radości w życiu. W rodzinie Pautou bieda, dzieciaki tylko kartofle jedzą. A ojciec Remiego Balasca to pijus. Chleje przez cały dzień, a wieczorem tłucze syna. Córeczki Jaccardów za to mają pieniądze, ojca i matkę, ale co z tego? Ich rodzice bardziej interesują się egzotycznymi karpiami niż własnymi dziećmi... — Zawahała się, chciała powiedzieć coś jeszcze o jednej z dziewczynek, ale jej nazwisko, a nawet imię, uciekły kobiecie z pamięci. Nieważne, przecież i tak знаła wszystkie dzieci bawiące się na placu. — Żal mi tych niebożątek.

— A tego, który dostał dwie porcje ciasta, żal pani szczególnie?

— Nie rozumiem...

— Na placu bawiło się sześcioro dzieci, a tu jest siedem talerzyków.

Spojrzała na niego z uporem.

— Siedmioro dzieci — stwierdziła stanowczo. — Liczyłam. Umiem liczyć do dziesięciu. Niech pan nie robi ze mnie idiotki. Widziałam siedmioro dzieci.

Jordan spoglądał na nią z uwagą.

— To nie ma żadnego znaczenia — zapewnił po chwili milczenia, choć oczywiście to miało znaczenie. — Chciałem tylko zapytać, czy nie wie pani, gdzie mogę znaleźć Kulawego Isaaca?

* * *

Kulawy Isaac siedział na ławce przed karczmą, wygrzewając się na słońcu i pijąc piwo tak rozcieńczone, że gdyby próbował się nim upić, prędzej odmówiłby posłuszeństwa jego żołądek niż głowa. Był to mężczyzna w nieokreślonym wieku, kościsty i łysiejący. Niedostatek włosów wynagradzała mu bujna ryza broda, o odcień jaśniejsza od resztek czupryny. Jego piegowata twarz, mimo oznak zidiocenia, wydawała się bardzo sympatyczna.

Domenic Jordan usiadł na ławce.

— Witaj — powiedział.

Zagadnięty rzucił mu tylko spłoszone spojrzenie i z powrotem wsadził nos w kufel piwa.

— Ty jesteś Isaac, prawda? — ciągnął niezrażony mężczyzna i tym razem w nagrodę usłyszał ciche „uhm”. — Chciałbym z tobą porozmawiać.

— Przyszedłeś mnie zabić?

— Słucham? Ach, to... — Jordan odwrócił głowę w ślad za lęklwym wzrokiem rozmówcy i spojrzał na swoją szpadę. — Często noszę ją przy sobie.

— To służy do zabijania — upierał się idiota, a jego głos brzmiał coraz bardziej piskliwie, jakby tylko krok dzielił go od paniki. — Jest ostre. Nie wolno dotykać. Niebezpieczne, bardzo niebezpieczne.

— W takim razie najlepiej będzie, jeśli ją odłożę. Domenic Jordan odpiął szpadę i delikatnie umieścił na trawniku, dwadzieścia kroków od ławki, w miejscu, gdzie mógł ją mieć na oku. Gdy wrócił, Kulawy Isaac wydawał się już spokojniejszy.

— Chcę zapytać o dzieci, Isaacu. Przyjaźnisz się z nimi, prawda? Znałeś także te, które zniknęły ostatnimi laty. Na przykład małą Alicię Figeac. Nie wiesz, co się z nią stało?

— Zabrał ją Bóg — z prostotą odparł idiota.

— Dokąd?

— Do nieba.

No tak, dlaczego od razu na to nie wpadłem? – pomyślał Jordan, a głośno powiedział:

— Masz na myśli, że po śmierci Bóg wziął do siebie jej duszę?

— Nie. Alicia poszła do nieba.

— Przed śmiercią? — zapytał na pozór jeszcze spokojniej, co było oznaką wzrastającej irytacji.

Spodziewał się konkretnej odpowiedzi, a nie bajeczek o wniebowstąpieniu.

Kulawy Isaac spojrzał na niego tępo i wykonał nieokreślony ruch głową, który mógł oznaczać zarówno potwierdzenie, jak i zaprzeczenie.

— Widziałeś to?

Nim zdążył odpowiedzieć, z karczmy wyszło trzech podpitych

mężczyzn. Na ich widok Isaac skulił się, schował głowę w ramiona.

— Widziałeś na własne oczy? — ponaglił go Jordan, ale idiota nie zwracał już uwagi na słowa rozmówcy. Patrzył na pijaków, a w jego oczach rosło przerażenie.

Domenic Jordan, który za wszelką cenę chciał usłyszeć odpowiedź, zbyt późno zorientował się, co oznacza zachowanie Kulawego Isaaca.

Spojrzał w stronę szpady, która wciąż leżała na trawniku. W tym samym momencie widok zasłonił mu osiłek ubrany w przybrudzony czarny strój, który kazał się domyślać w jego właścicielu miejscowego grabarza. Dwaj pozostali mężczyźni stanęli tuż obok. Jeden z nich, wysoki i żylasty, w obszarpanym odzieniu wyglądał na włóczęgę. Trzeci był dwudziestoletnim wyrostkiem, dobrze zbudowanym i pachnącym lekko drożdżami piwnymi.

— Patrzcie no — powiedział grabarz, zbliżając twarz do twarzy Kulawego Isaaca. — Wszak to nasz idiota. I morderca. Jak myślicie, ludkowie, jeśli wsadzę mu mojego buta w dupę, to powie, co zrobił z biednym Francisem?

Isaac osłonił głowę rękami i pojękiwał coś niezrozumiale, kołysząc się jak dziecko.

— Gadaj, matołku — warknął grabarz. — Gdzie ukryłeś ciało? I czemuś go zabił?

— Spytaj o resztę dzieciaczków — rzucił ten, który wyglądał na włóczęgę. — Dwa lata temu zaginęła kuzyneczka mojej bratowej, Nina. Nie miała jeszcze dziewięciu lat, a już śliczna była jak obrazek. Nawet nie chcę myśleć, co on jej zrobił.

— Dajcie mu spokój — wtrącił się Jordan. — Isaac nie zabił ani Francisa, ani pozostałych dzieci.

Grabarz spojrział na niego ze złością. W jego oddechu wyczuwało się wyraźną woń alkoholu.

— A ty skąd możesz to wiedzieć, przybłądo? I czego wścibiasz nos w nie swoje sprawy? Wara ci od nas, dobrze radzę.

Jordan powoli wycofywał się, idąc tyłem. Był przestraszony i chciał, żeby tamci zobaczyli ten strach. Zależało mu, by uznali go za bezradnego tchórza i przestali zwracać na niego uwagę. A jednak nie potrafił sprawić, by uczucia uzewnętrzniły się na twarzy. Tak bardzo przywykł do ich ukrywania, że nawet teraz jego rysy pozostały spokojne.

Szedł w stronę pozostawionej na trawniku szpady, pewien, że tamci go już zlekceważyli, całą uwagę skupiając na Kulawym Isaacu.

Pomylił się. Nie docenił ich. Nim zdążył przejść połowę drogi, grabarz dogonił go i odwrócił, szarpiąc za ramię. Z tyłu, na karku, poczuł sapanie wyrostka, zobaczył też kątem oka, że stojący nieco dalej włóczęga zaciska dłonie w pięści.

— Dokąd ci tak spieszo, co? — wysyczał grabarz, a jego wąskie oczy zwężyły się jeszcze bardziej w dwie małe szparki. — Zgubiłeś coś? Potrzebna ci ta zabawka, co w trawie leży? Może powalczysz uczciwie na pięści?

— Patrzcie go, jaki cwaniak — odezwał się obdartus, wolno cedząc słowa. — Bez zabawki nie dasz rady? Jak myślisz, co będzie, gdy obijemy ci gębę?

— Zapewne będę miał obitą gębę.

Być może istniał sposób, w jaki należy rozmawiać z podobnymi ludźmi, niezbyt trzeźwymi i skłonny do bójki. Jednak Jordan takiego sposobu nie znał. Wiedział, że spokój i lekka kpina, z jaką mówił, tylko drażnią napastników. Ale nie potrafił zachować się inaczej. Ów dystans i ironia dawno już stały się jego drugą naturą, wadą i zaletą jednocześnie, niczym eleganckie ubranie, które przekształca się w pułapkę, gdy nie można go zdjąć.

Zdawał sobie z tego sprawę, tak samo jak z tego, że w konfrontacji z trzema przeciwnikami, bez pistoletów i szpady jest bezbronny. Był typowym dzieckiem cywilizacji i w walce na pięści nie radził sobie zbyt dobrze. Pierwszy uderzył go grabarz. Jordan zasłonił się i w tej samej chwili poczuł kopnięcie w kolano. Zachwiał się, z trudem utrzymał równowagę. Wyprowadził szybki cios wprost w podbródek grabarza, a ten, zamroczony, cofnął się odrobinę. To był pierwszy i ostatni triumf Domenica Jordana w tej walce. Zewsząd posypały się na niego uderzenia, chaotyczne, lecz niektóre wystarczająco celne. Jedno z nich trafiło prosto w twarz i krew z rozbitego nosa pociekła na koszulę. Przez moment wydawało mu się, że stracił wzrok i słuch, a gdy je odzyskał, usłyszał przeciągły zwierzęcy krzyk idioty. Kolejny cios, kolejna krótka jak mgnienie oka utrata zmysłów.

Skulił się, chroniąc twarz i brzuch. Grad uderzeń posypał się teraz na jego plecy i bok. Mężczyzna z trudem trzymał się na nogach. Chwilę później łokieć wbity z całą siłą w kręgosłup przewrócił go na ziemię. Upadł twarzą na żwir, zapiekła ogniem zdzierana z policzka skóra. Ktoś podniósł go, oszołomionego bólem i bezradnego, ktoś szarpnął za włosy, podnosząc mu głowę. Trzeci

napastnik zbliżył się i po chwili rozmazana plama, którą miał zamiast twarzy, ułożyła się w wykrzywione wściekłością rysy. Domenic Jordan zacisnął zęby. Grabarz uderzył go pięścią w żołądek.

Ten, który podtrzymywał Jordana, pozwolił mu opaść na kolana i zwymiotować. Kopnięcie w plecy przewróciło Domenica na ziemię, drugie połamało mu żebra. Trzeciego już nie poczuł, tak jak nie słyszał tupotu nóg nadbiegających ludzi ani głosu Juliena d'Alazet, który wołał, by atakujący natychmiast się uspokoili.

* * *

— Czuję się... — wymamrotał Jordan, a uczciwość nie pozwoliła mu dodać: „dobrze” — nie najgorzej.

— Powinien pan zostać w łóżku — powiedziała surowo Constancia d'Alazet, a stojący za jej plecami Peyretou gorliwie pokiwał głową. — Przynajmniej dzisiaj. Niech pan nawet nie myśli o wstawaniu!

Ranny usiadł powoli, starając się ignorować ból, który falami rozchodził się po jego ciele. Podniósł dłonie do twarzy, dotknął rozciętego łuku brwiowego i opuchniętego nosa, przesunął palcami po sinofioletowym policzku aż do pokaleczonych ust. Odetchnął ostrożnie. W sypialni unosił się zapach suszonych kwiatów lawendy, które trzymano w woreczkach z barwionego lnu. Ich woń wydawała się nieodłącznie związana z tym domem. Od razu przywodziła na myśl ciepło słońca i wiejską rezydencję pełną staroświeckich przepastnych komód, serwantek fornirowanych drewnem cytryny, a także wygodnych sof i foteli, których

bawełniane obicia malowane były w mitologiczne scenki.

Dòna Constancia spoglądała na Jordana ze współczuciem.

— Ci, którzy pana zaatakowali, zostaną ukarani — zapewniła.

Niewiele obchodził go los opryszków, choć równie mocno jak połamane żebra bolała go urażona duma.

Przede wszystkim martwił się o Kulawego Isaaca, który prawdopodobnie wiedział, co się stało z zaginionymi dziećmi, nawet jeśli źle interpretował to, co zobaczył lub usłyszał.

Gdy zapytał o idiotę, pani domu uśmiechnęła się lekko.

— Miło, że pan się o niego troszczy. Isaac jest bezpieczny u nas w domu. Nie pozwolimy mu wyjść, dopóki ludzie w miasteczku się nie uspokoją.

— Mam jeszcze jedną prośbę...

— Tak?

— Nie rozmawiałem dotąd z Lauretą — mówił już wyraźnie, choć nadal wolno i z wysiłkiem. — Dziewczynka od rana włóczy się gdzieś po okolicy. Widziałem ją przez chwilę, ale uciekła mi. Chciałbym, aby na jakiś czas przeprowadziła się do pani domu. Lepiej, abyśmy mieli ją teraz na oku. Nie masz, pani, nic przeciwko temu?

Nie wspomniał, że liczy także na to, iż mały Eric zaprzyjaźni się z Lauretą, wyciągnie od niej tajemnicę, a później przekaże ją babce. Dòna Constancia z pewnością nie byłaby zadowolona, że gość pragnie uczynić jej wnuka szpiegiem, choćby i nieświadomym.

— Sama powinnam na to wpaść. — Uśmiechnęła się ponownie.

— Zaraz wyślę powóz. Jeśli Laureta nie wróciła jeszcze do domu,

służący poczeka na nią tak długo, jak będzie trzeba. Pani Martinian nie powinna robić trudności. Dla niej to nawet lepiej, jeśli dziewczynka zamieszka ze mną. Coś jeszcze?

— Co się stało z rzeczami Crisa Figeaca? Czy on miał krewnych?

— Z tego, co wiem, nie. Czekaliśmy przez jakiś czas, czy ktoś się nie zgłosi, a potem sprzedaliśmy wszystko, dochód zaś przeznaczaliśmy na cele dobroczynne. Po Figeacu pozostał tylko dom. Jak dotąd nie znalazł się nikt, kto by tam chciał zamieszkać. Ludzie opowiadają, że jest nawiedzony.

— A jest?

Zawahała się.

— Przyznam szczerze, że nie wiem. Jest w tym domu coś niepokojącego, tak samo zresztą jak... Urwała, zamyśliła się.

— Tak?

— Cóż, Julien z pewnością nazwałby to kobiecym sentymentalizmem, lecz przyznaję, że nie pozwoliłam sprzedać wszystkiego. Zatrzymałam zabawki małej Alicii. Myślę, że pan zrozumie, dlaczego to zrobiłam.

* * *

Dwaj służący znieśli ze strychu zielony kufer i postawili go w sypialni Jordana. Dòna Constancia jednym gestem wyprosiła ich, a drugim przywołała Peyretou.

Młody sługa pomógł swemu panu usiąść wygodnie i podparł go kilkoma poduszkami, barwnymi jak wzory na pawich piórach. Potem przysunął sobie krzesło, usiadł i ciekawie wyciągnął szyję

w kierunku kufra.

Constancia d'Alazet uchyliła wieko, po czym podała Jordanowi pierwszą zabawkę.

Była to prościutka układanka z piętnastu kwadracików oprawionych w ramkę. Kwadraciki należało przesuwać, korzystając z szesnastego, wolnego pola, tak aby utworzyły obrazek stojącej na trawie krowy.

Przyjrzał się układance. Miała kolor starej kości słoniowej – choć wątpliwe, by naprawdę zrobiono ją z tak drogiego materiału – a poszczególne części były śliskie i gładkie jak mydło. Narysowany czarnym tuszem obrazek zatarł się i odgadnięcie, co właściwie przedstawia, wymagało już nieco trudu.

Potem kobieta wyciągnęła z kufra dwie talie kart, kilkanaście książeczek z łamigłówkami, sześć kolejnych układanek – tym razem większych i znacznie bardziej skomplikowanych – zestaw do gry w słówka i inny, do gry, której Jordan nie znał, rzeźbione w drewnie szachy, abakus, a także klocki, które służyły do budowy maleńkiego zamku.

Żadnego misia czy lalki, żadnej książeczki z bajkami dla dzieci.

— Alicia się nie bawiła — powiedziała cicho — tylko „ćwiczyła umysł”. Właśnie tak nazywał to Cris Figeac. Sam był zdolnym matematykiem i mechanikiem, wspomniał nawet kiedyś, że zna się na łamaniu szyfrów. Uczył córkę tego, co sam umiał, a po skończonych lekcjach nie dawał jej zwyczajnych zabawek, lecz takie, dzięki którym nawet w zabawie mogła „ćwiczyć umysł”. Mała odziedziczyła zdolności ojca. Nie jestem znawczynią w tym przedmiocie, ale sądzę, że jej wiedza zadziwiłaby niejednego

studenta. Pamiętam, jak podczas proszonej kolacji zabawiała gości, podając z pamięci skomplikowane matematyczne wzory. Cris Figeac był dumny z córki, ale z pewnością jej nie kochał. Proszę nie pytać, skąd to wiem. Kobiety po prostu wyczuwają takie rzeczy...

Umilkła i w pokoju zapanowała cisza. Peyretou bawił się, próbując złożyć z klocków zamkową wieżę. Jordan opuszkami palców delikatnie dotykał jednej z układanek.

— Pan rozumie, prawda? — szepnęła. — Dlaczego nie sprzedawałam tych zabawek? Dlaczego nie chciałam, by dzieci z Sent Chely bawiły się nimi? O, tak, myślę, że pan rozumie...

Powoli skinął głową. Układanka wciąż wydawała się chłodna, choć trzymał ją w dłoni dość długo. Pod palcami wyraźnie wyczuwał wgłębienia powstałe przez przesuwanie kwadracików. Minuta po minucie, godzina po godzinie. Dziecinne oczy wpatrzone w obrazek, na którym nogi krowy wciąż znajdowały się nie tam, gdzie powinny. Dziecinne paluszki cierpliwie popychające ruchome kwadraciki. W pustym pokoju, w którym nigdy nie było żadnego innego dziecka.

Jordan nie podzielał sentymentalizmu gospodyni – on sam sprzedałby te zabawki bez wyrzutów sumienia – ale rozumiał jej zastrzeżenia.

Odłożył układankę, spojrzał na dōnę Constancję.

— Sądzisz, pani, że Cris Figeac zamordował swoją córkę, prawda?

Słyszając tak bezpośrednie pytanie, nie zmieszła się ani nie odwróciła głowy.

— Tak właśnie sądzę, choć nie mam na to żadnych dowodów

— odpowiedziała spokojnie. — To wyjaśniałoby tę przedziwną historię ze zniknięciem Alicii, która wszak oparta jest tylko na słowach Figeaca. Isaac co prawda twierdzi, że zniknięcie widział na własne oczy, ale to dobry, naiwny człowiek, któremu można wmówić wszystko. Figeac mógł niegodziwie zamordować własne dziecko, ukryć ciało, a później z jakiegoś zrozumiałego tylko dla jego chorego umysłu powodu wmawiać wszystkim, że Alicja przepadła, idąc do studni po wodę.

— Lecz to nie wyjaśnia śmierci Figeaca — zaprotestował.
— Ani zniknięcia pozostałych dzieci.

Zgodziła się z nim, niechętnie kiwając głową.

* * *

— Wejdz, proszę.

Laureta niepewnie przestąpiła próg. Ledwo przywieziono ją do domu Constanccii d'Alazet, ledwo pozwolono rozpakować się w przeznaczonym dla niej pokoiku, a już przyszedł po nią służący. Poprowadził dziewczynkę do sypialni, w której leżał jej wuj. Pamiętała go z poprzedniej wizyty w Sent Chely, pamiętała też, że już wtedy nie przypadł jej do gustu. Był dziwakiem, a ona nie lubiła dziwaków.

— Usiądź.

Usiadła na przysuniętym do łóżka krześle, wbiła wzrok w skomplikowany biało-czarny wzór kobierca. Wcześniej jednak zdążyła zerknąć na twarz mężczyzny, który leżał pośród kolorowych poduszek.

— Masz siniaka na przedramieniu — powiedział Jordan

łagodnie — rozbity nos i podrapany policzek. Nie wyglądasz najlepiej, Laureto.

— Wuj wygląda znacznie gorzej — wymamrotała buntowniczo.

Nie odważył się roześmiać. Przy każdym głębszym oddechu jego żebra protestowały bólem.

— Różnica między nami polega na tym — odparł spokojnie — że ja wiem, gdzie popełniłem błąd i w jaki sposób w przyszłości zapobiec tego typu zdarzeniom. Czy i ty możesz powiedzieć to samo o sobie, Laureto? Chyba nie, bo mówiono mi, że każdego dnia wracasz do domu z nowymi siniakami. Dlaczego? Czy ktoś cię bije? Straszy, że jeśli się poskarżysz, zrobi ci coś znacznie gorszego?

Dziewczynka milczała. Bawiąc się guzikiem od bluzki, urwała go i nawijała sobie teraz nitkę na palec.

— Spójrz na mnie.

Podniosła głowę, ale spojrzeniem uciekała w bok.

Jordan patrzył na jej nieładną kwadratową buzię i przypominający kartofelek nos. Odnalazł w niej rysy Linusa, zwłaszcza w zdecydowanym zarysie szczęki i zaciśniętych w upartą kreskę ustach, ale nic z łagodnej piękności Alais.

— Czy ktoś robi ci krzywdę?

— Nie.

Zdecydowane „nie”, oczy, które wciąż unikały spotkania z jego oczami, skrzyżowane stopy kołyszące się pod krzesłem, palec, który nie potrafił uwolnić się z zamotanej wokół niego nitki.

— W takim razie skąd masz te siniaki i zadrapania?

— Zwyczajnie. Czasem się przewrócę, czasem o coś uderzę.

Kłamała i nawet nie potrafiła robić tego przekonująco. Ale kłamała z uporem.

— Wyglądasz mi na dość zgrabną dziewczynkę. Nie na taką, która codziennie potyka się o własne nogi.

Wzruszyła ramionami, znów wbiła wzrok w podłogę. Domenic Jordan poczuł, że przegrywa. Spróbował innego sposobu.

— Chciałabyś może o coś zapytać? Porozmawiać o czymś?

Wierciła się przez chwilę na krześle niepewna, czy skorzystać z propozycji.

— Moi rodzice — powiedziała w końcu. — Gdzie są teraz?

— Wyjechali do Ziemi Świętej — odparł, wspominając ostatni list, który otrzymał od Alais.

— Czemu?

— Twój ojciec nie jest zupełnie zdrowy.

Mocno eufemistyczne określenie tego, że Linus Jordan zamienił się w potwora, a Alais postanowiła szukać ratunku u świętych, których moc w miejscu narodzin Zbawiciela była wyjątkowo silna.

Laureta milczała długo. Zaplątany w nitkę palec wreszcie uwolnił się szarpnięciem, pozostawiając w bluzce dziurę.

— Czemu nie przyjechali mnie odwiedzić?

Jordan od początku bał się tego pytania. Przymknął oczy, próbując wymyślić właściwą odpowiedź. Nie było właściwej.

— Nie wiem.

— Mama mnie nie kocha? — kolejne pytanie zadała tak cicho, że ledwo je usłyszał.

— Bardziej kocha twego ojca — odparł uczciwie.

Dziewczynka podniosła głowę, spojrzała mu w oczy. Wytrzymał jej wzrok.

— Dlaczego?

— Ponieważ właśnie on najbardziej potrzebuje jej pomocy — powiedział. — A twoja matka przede wszystkim pragnie się dla kogoś poświęcić. Jest bardzo dobrą kobietą, myślę, że niektórzy uznaliby ją wręcz za błogosławioną. Lecz kiedyś być może zrozumiesz, że dobroć takich ludzi bywa równie przerażająca jak okrucieństwo innych.

* * *

— Isaacu?

— Uhm?

— Czy widziałeś na własne oczy zniknięcie Alicii Figeac?

— Tak. Bóg wziął ją do nieba. Ja widziałem.

— A inne dzieci? Czy także byłeś świadkiem ich... wniebowstąpienia?

— Nie.

— A mimo to jesteś pewien, że Bóg zabrał je do siebie tak jak Alicię?

— Tak. — I po chwili milczenia — tak, tak, tak.

* * *

— Tu była sypialnia Crisa Figeaca?

— Owszem — odparł Julien d'Alazet. — Alicia sypiała w małym pokoiku naprzeciwko.

W pustym pomieszczeniu unosiły się drobinki kurzu

podświetlone wpadającymi przez okno promieniami słońca. Pachniało starym drewnem, wilgocią i samotnością.

Domenic Jordan rozejrzył się, przeszedł kilka kroków. Mógł chodzić, choć ból w połamanych żebrach mocno mu dokuczał. Schylał się z dużo większym trudem. Upokarzało go, że przy tak prostej czynności jak wkładanie spodni czy butów musi liczyć na pomoc służącego.

Potknął się o coś, zachwiał, a Peyretou momentalnie wyrastał u jego boku.

— Zobacz, co to jest — wysyczał Jordan przez zaciśnięte zęby, walcząc z falą bólu.

Młody sługa schylił się, podniósł obluzowaną deskę, która wystawała nieco ponad podłogę.

— Schowek — powiedział. — Figeac miał skrytkę w podłodze. Ciekawe, co tu trzymał? Pieniądze?

Julien d'Alazet kucnął obok.

— Raczej nie. Spójrz na te szmaty. Figeac chował tu coś, co potrzebowało ochrony przed wilgocią. Dlaczego miałyby owijać w materiał trzosik z monetami?

— Jak myślisz, panie? Co tu było? — Peyretou wyprostował się i spojrzał na chlebowawcę.

— Księga — odparł Jordan, a widząc zdumione spojrzenie służącego, dodał — zgaduję. Księga pasuje rozmiarami w sam raz do skrytki, a także potrzebuje zabezpieczenia przed wilgocią. Poza tym Cris Figeac był bardzo tajemniczym mężczyzną, dlatego więc nie miałyby posiadać tajemniczej księgi?

Peyretou potrząsnął głową, odrobinę zakłopotany, jak zawsze

gdy jego pan żartował.

Domenic Jordan podszedł do okna, spoglądał przez chwilę na zewnątrz, potem stanął tyłem do szyby i raz jeszcze rozejrzał się po pokoju.

— Skrytki w podłodze, tajemnicze księgi — powiedział don Julien, krzywiąc wargi w lekkim uśmiechu. — A tymczasem Cris Figeac po prostu popełnił samobójstwo, dowody są niezbite. Nie ma w tym żadnego sekretu.

— A jego córka? I inne dzieci?

— Najprawdopodobniej uciekły z domów albo zostały porwane. Takie rzeczy się zdarzają. Proszę mnie dobrze zrozumieć, panie Jordan... don Domenicu — poprawił się szybko. Mówił już bez uśmiechu, poważnie. — Nie podważam pańskich kompetencji ani pańskiej wiedzy. Ale sam pan widzi, do czego prowadzi dopatrywanie się w tym wszystkim działania jakiejś diabelskiej siły. Ludzie już opowiadają sobie niestworzone historie, jakoby Kulawy Isaac był czcicielem Szatana i w ofierze składał dzieci. Jeśli tego nie powstrzymam, wkrótce dojdzie do rozruchów i samosądu. Chciałby pan, aby ten nieszczęsny idiota zawisł na gałęzi? Tylko dlatego, że lubi bawić się z dziećmi i opowiada jakieś brednie?

— Kulawy Isaac nie kłamie — zaprotestował Jordan. — Dwa razy pytałem go, czy był świadkiem zniknięcia Alicii, i dwa razy potwierdził. Pytałem też o inne dzieci. W ich przypadku niczego nie widział na własne oczy, ale z jakichś powodów przekonany jest, że one podzieliły los Alicii.

— A pan mu wierzy? — sędzia parsknął, rozbawiony.

— Wydaje mi się zbyt prostoduszny, by kłamać. Z drugiej

jednak strony — dodał Jordan sucho — nie sądzę, aby w miasteczku Sent Chely szesnaścioro dzieci dostało łaski wniebowstąpienia. Byłaby to liczba cudów przekraczająca wynik Stolicy Apostolskiej.

Don Julien roześmiał się.

— Cieszy mnie, że zachował pan odrobinę rozsądku.

Rozmówca nie odpowiedział uśmiechem, a pod wpływem jego wzroku Julien d'Alazet poczuł się nieswojo i spoważniał.

— Isaac widział coś niezwykłego i zinterpretował to według swego prostego światopoglądu jako wniebowstąpienie. Ale nie wierzę, by to, co zobaczył, było zwyczajnym porwaniem.

— Zaraz zacznie mi pan opowiadać o duchach... — Sędzia wzruszył ramionami.

— Ten dom w pewnym sensie jest nawiedzony, nie czuje pan tego? Nie jestem szczególnie wrażliwy, jeśli chodzi o tego typu zjawiska, ale bez trudu wyczuwam tu coś, co można nazwać obecnością ducha.

Julien d'Alazet pokręcił głową. Był człowiekiem twardo stąpającym po ziemi i wolał poszukiwać prostszych rozwiązań niż duchy czy magia.

Jordan przeszedł do przeciwległego pokoju, tego, który należał do Alicii. Jedną ze ścian oświetlało letnie słońce i przez moment mężczyźnie zdawało się, że w jego blasku dostrzega cień dziewczynki pochylonej nad jedną ze swych zabawek.

Alicia Figeac wciąż przebywała w tym domu. Jej obecność była równie ulotna, a jednocześnie równie rzeczywista, jak zimny prąd w ciepłym jeziorze, powiew wiatru w upalny dzień, jak cień

w słońcu.

* * *

*Jeśli się nie będziesz bał,
Weźmiesz wszystko, czegoś chciał.*

Eric d'Alazet nucił pod nosem, składając cierpliwie kolorowe kokardki, które miały tworzyć ogon latawca. Latawiec był już prawie gotów. Leżał na werandzie, pyszniąc się w słońcu wszystkimi kolorami tęczy, tak duży, że Jordan powątpiewał, czy chłopiec zdoła poderwać go w powietrze.

*Drzewo miejscem dla wisielca,
Bo je wszyscy Stryczkiem zwą.
Czas na Skalkach jak grot strzelca
Bieży szybko w stronę swą.
Do kościoła kieruj kroki,
By przedstawić się bez zwłoki.*

Usadowił się wygodniej w fotelu ustawionym tak, aby popołudniowe słońce nie raziło go w oczy. Krążące w jego żyłach wino łagodziło ból zeber i powodowało lekką senność. Lekką, bo mimo przyjemnego znużenia wywołanego upałem i wypitym trunkiem nie mógł zasnąć. Zbyt irytowała go ta przymusowa beczyność.

Przywołał Erica. Chłopiec podszedł zaskakująco chętnie, biorąc pod uwagę, że oderwano go od zabawy. Na jego buzi malował się szeroki uśmiech.

— Skąd znasz tę wyliczankę?
— Laureta mnie nauczyła.

— Czy powiedziała ci, co znaczą te słowa?

— Ona nie wie. — Eric zmarkotniał, bo z chęcią udzieliłby odpowiedzi temu dziwnemu mężczyźnie w czerni, którego już zdążył polubić.

Albo tylko tak twierdzi, pomyślał Jordan, a głośno powiedział:

— Wiem, gdzie jest kościół i Stryczek, ale nie mam pojęcia, gdzie szukać Skalek. Pokażesz mi je?

Uszczęśliwiony chłopiec skinął głową, po chwili jednak na jego twarzy pojawił się wyraz powątpiewania.

— Babcia mówi, że pan powinien wypoczywać. Pan rano wyszedł i się prze-for-so-wał — zaakcentował ostatni wyraz, najwyraźniej dumny, że zna takie słowa.

Domenic Jordan pomyślał o miłej, ale odrobinę upokarzającej opiekuńczości Constancii d'Alazet i o irytującym zachowaniu Peyretou. Młody sługa albo traktował swego pana jak wymagające nieustającej opieki dziecko, albo też – skarcony za nadmiar troski – wodził za nim smutnym spojrzeniem niesłusznie ukaranego psa.

— Cóż — rzucił lekko — twoja babka nie musi wiedzieć o wszystkim, prawda? Proponuję, aby ten spacer pozostał naszą tajemnicą. Co ty na to?

* * *

Skalki leżały za miasteczkiem, pośród pól dziko rosnącej lawendy. Była to grupa kilkunastu głazów, z których największy, niemal prostokątny, kształtem i rozmiarem przypominał biurko. Albo ołtarz. Razem tworzyły okrąg o średnicy dwudziestu stóp, wyraźnie odcinający się od płaskiego krajobrazu.

Jordan zastanowił się, czy o tym miejscu opowiadano w Sent Chely jakieś ponure legendy. Prawdopodobnie tak. Ułożone w krąg skałki z owym przywodzącym na myśl ofiarny ołtarz głazem pośrodku aż prosiły się o sabat czarownic.

Sięgnął do kieszeni, wyjął chusteczkę, rozłożył ją, otarł pot z czoła, potem złożył chusteczkę na powrót i schował. Wszystko to robił powoli, ale starannie. Nie miał zamiaru z powodu bólu pozwolić sobie na niedbałość.

Usiadł na przypominającym ołtarz głazie, nieco z boku, bo środek ubrudzony był kredą, jakby ktoś zabawiał się bazgraniem po kamieniu. Musiało to być już jakiś czas temu, po rysunkach czy napisach pozostały bowiem tylko smugi białego pyłu.

Zamknął oczy. Upał, wino i spowodowany spacerem wysiłek to nie była szczęśliwa kombinacja. Kręciło mu się w głowie, głos Erka, który nucąc wyliczankę, biegał po lawendowym polu, dochodził jakby z daleka, stłumiony i głuchy:

Jeśli się nie będziesz bał,

Weźmiesz wszystko, czegoś chciał.

Miły chłopiec, myślał Jordan leniwie. I wydaje się zadowolony z mojego towarzystwa. Ciekawe dlaczego, skoro przez całą drogę na jego pięćset słów ja powiedziałem może z pięć.

Kropelka potu spłynęła mu z czoła na skrzydełko nosa i wyschła. Kark niespodziewanie pokryła gęsia skórka. Mężczyzna zadrżał.

Będzie padać, pomyślał i otworzył oczy.

Niebo było czyste, bez najmniejszej chmurki. Wiatr nie poruszał kwiatami lawendy, a słońce na pozór grzało równie mocno

jak przed chwilą. Tylko cienie wydawały się teraz dłuższe i ciemniejsze, a chłód wciąż jeżył włoski na karku. Głos Erica umilkł, roztopił się w ciszy letniego popołudnia, złotej niczym dziewczęce włosy zanurzone głęboko w zimnej, martwej wodzie.

— Alicia?

Domenic Jordan wstał i natychmiast poczuł zawrót głowy, zbyt silny i nagły, by mogło go spowodować osłabienie. Zachwiał się, przykląkł, podparł ręką, chroniąc przed upadkiem. W polu widzenia miał teraz dziewczęce stopy obute w skórzane chodaki, pończochy i rąbek białej sukienki. Nic więcej.

Zaciskając zęby, uniósł głowę wyżej.

— Panie Jordan! Nic panu nie jest? — zaniepokojony głos Erica zabrzmiał tuż nad jego uchem.

Dziewczynki już nie było. Zniknęła, przepadła jak powiew wiatru w letni dzień, jak cień w słońcu.

* * *

Zwolniony z roli przewodnika, Eric pobiegł do domu, a Jordan – który z trudem zdołał przekonać chłopca, że naprawdę nic mu nie dolega – udał się do kościoła.

Rozejrzał się po wnętrzu świątyni, lecz nie znalazł tu nic, co można by podziwiać. Budynek był co prawda murowany, ale ołtarz i figury wyrzeźbiono z drewna w prostym, nieco nawet topornym stylu, a Jordan nie przepadał za sztuką ludową. Jego uwagę zwróciła tylko posadzka. Płytki ułożono w koncentryczne kręgi, na przemian czarne i białe. Środek wyznaczała czarna płytka otoczona wianuszkiem białych.

Zegar na kościelnej wieży wybił piątą. Z konfesjonału wynurzył się pulchny ksiądz o miłej pucołowatej twarzy.

— Do spowiedzi, synu? — zapytał, podchodząc do Jordana.
— Mogę cię jeszcze wysłuchać.

— Nie potrzebuję spowiedzi. Ale chętnie z ojcem porozmawiam.

Ksiądz usiadł w ławce, gestem zaprosił gościa, by zajął miejsce obok. Mimo tuszy, która sprawiała, że wyglądał jak znany z karykatur wiejski klecha, wydawał się sympatyczny i naprawdę życzliwy.

Domenic Jordan przedstawił się i streścił mu przyczyny swego przyjazdu do Sent Chely. Wiedział, że księża z małych miasteczek sporo wiedzą o wiernych i mają na nich duży wpływ. Gdyby zdołał pozyskać przychylność ojca Longina – bo tak nazywał się miejscowy proboszcz – być może łatwiej byłoby mu rozwiązać zagadkę zaginionych dzieci.

W miarę jak opowieść dobiegała końca, miejsce zainteresowania na twarzy księdza zajęła niepewność.

— Ależ synu... — wymruczał. — Chyba wyciągasz pochopne wnioski. Może don Julien d'Alazet ma rację? To straszna tragedia, gdy dziecko ginie bez wieści, ale...

Wyraźnie unikał patrzenia rozmówcy w oczy. Jordan pojął, że ksiądz, owszem, był życzliwy i zainteresowany problemami innych, ale tylko pod warunkiem, że problemy nie okazywały się zbyt poważne. Ojciec Longin pragnął przede wszystkim spokoju i liczył, że znajdzie go właśnie w Sent Chely na posadzie skromnego małomiasteczkowego proboszcza.

— Nie potrafię ci pomóc, synu, wybacz. Chciałbym...

— Osobliwy kościół — przerwał księdzu w pół słowa, oszczędzając mu tym samym wymyślania krępujących wymówek. — Zwłaszcza posadzka. — Wstał, wyszedł z ławy i wskazał ułożone z płytek kręgi. — Wygląda, jakby ktoś chciał zaznaczyć, gdzie dokładnie znajduje się środek budowli.

— A tak. — Ojciec Longin z ulgą przyjął zmianę tematu. — Ta czarna płytka rzeczywiście chyba oznacza środek kościoła. Nie wiem po co. Może po to, żeby miejscowi wandale wiedzieli, gdzie bazgrać. — Lekki uśmiech zaznaczył ten niezbyt wyrefinowany żart, a na twarzy księdza znów odmalowała się pełna ciepła serdeczność.

— Ktoś bazgrał po kościelnej posadzce? — wrażliwe ucho wychwyciłoby w głosie Jordana nutkę napięcia.

— Owszem, kilka tygodni temu. A wcześniej zdaje się, zeszłej jesieni. I jeszcze kiedyś, ale już nie pamiętam kiedy.

— Co to było? Jakies napisy? Rysunki?

— Znaki nakreślone kredą. Tak powiedziała mi stara Marge, która zmywa podłogi w kościele i u mnie, na plebani. Nie pytaj jej, synu, co to było dokładnie, bo Marge nigdy czytać nie uczono.

— A Cris Figeac i jego córka? — Jordan znów zmienił temat, idąc powoli w stronę wyjścia. — Czy ksiądz może mi coś o nich powiedzieć?

Sądził, że ojciec Longin zaprzeczy, jakoby wiedział cokolwiek, albo zasłoni się tajemnicą spowiedzi.

Tym razem jednak kapłan odpowiedział, choć życzliwy uśmiech znów zniknął mu z twarzy.

— Cris Figeac był złym człowiekiem — rzekł cicho i poważnie.
— A jego córka, Alicia, była najbardziej samotnym dzieckiem, jakie w życiu widziałem...

* * *

Po powrocie Domenic Jordan przywołał Peyretou i wysłał go z poleceniem, by porozmawiał z mieszkańcami Sent Chely, dorosłymi, a także dziećmi. Liczył, że młody, budzący sympatię służący dogada się z prostymi ludźmi o wiele szybciej, niż mógłby to zrobić on sam.

Później przy pomocy pokojowca don Juliena przygotował się do kolacji. Paula Martinian, która przyszła odwiedzić Lauretę, jadła wraz z nimi. Po posiłku Constancia d'Alazet odprowadziła ją do furtki i zaproponowała odwiezienie do domu, ale kobieta ze śmiechem zaprotestowała.

— O nie. Piechotą przyszedłam i piechotą wrócę. Przyda mi się odrobina ruchu, bo po urodzeniu małego przybyło mi tu i ówdzie trochę sadła. A gdzie Laureta? — Rozejrzała się po ogrodzie.
— Chciałam ją pożegnać.

Lecz dziewczynki nigdzie nie było i Paula Martinian odeszła zwawym krokiem, unosząc brzeg ciemnobłękitnej sukni, aby nie ubrudził się o pylistą drogę.

Kilka minut później w głębi domu rozległ się krzyk.

Gdy Jordan dotarł do pokoju małej Laurety, zastał tam dònę Constancję, dwóch służących, a także pokojówkę, która nie krzyczała już, a tylko łkała cicho. Oraz Lauretę, która siedziała na łóżku z twarzą zalaną krwią.

— Spuściłam ją z oka tylko na chwilę — chlipała pokojówka.
— Tylko na chwilę.

Jordan posłał jednego ze służących po miszkę z wodą i lniane ręczniki, drugiego po swoją lekarską torbę. Szlochającą pokojówkę bez ceregieli wyprosił z pokoju.

Gdy wyszli, powiódł wzrokiem za śladami krwi, rozdeptanymi i rozmazanymi, ale wyraźnie prowadzącymi w stronę podestu schodów.

Przemył dziewczynce rozcięte czoło, zszył ranę i obandażował. Laureta krzywiła usta, a oczy miała pełne łez, ale nie poskarżyła się ani słowem. Nie zwracała też uwagi na pocieszającą ją d'ònę Constancję. Spoglądała na wuja z wypisanym na twarzy wyzwaniem, jakby szykowała się do odparcia ataku.

Domenic Jordan nie zapytał o nic. Bez słowa wyszedł na schody i przez chwilę oglądał je uważnie stopień po stopniu. Na jednym metalowa listewka przytrzymująca zielony kobierzec była odgięta.

Nie schylił się, by obejrzeć ją uważniej, ale nawet patrząc z wysoka widział że brzeg listewki pokryty jest krwią.

* * *

Resztę wieczoru Domenic Jordan spędził w towarzystwie Constancii d'Alazet i jej syna. Zaskakujące, myślał, popijając na werandzie młode różowe wino, jaka w tym domu panuje miła atmosfera. Don Julien mimo kpiących uwag, które lubił rzucać, okazał się bardzo sympatycznym towarzyszem. Jego matka natomiast, choć wyraźnie zatroskana o los Laurety, potrafiła śmiać

się i opowiadać dykteryjki, z wdziękiem pełniąc rolę pani domu. Wśród tak uroczych ludzi, w ciepły i pogodny wieczór łatwo było zapomnieć o Laurecie wypoczywającej teraz pod opieką pokojówki, której przykazano, by na zmianę z inną służącą pilnowała dziewczynki dzień i noc. Łatwo też było zapomnieć o tajemniczej śmierci Figeaca, o Alicii i innych zaginionych dzieciach.

Na krótko Jordan uległ czarowi tego wieczoru. Żartował z doną Constancją, z uśmiechem wysłuchał anegdoty Julienu d'Alazet, który opowiadał, jak pewien urwis ukradł z hodowlanego stawu Jaccardów pięć dorodnych karpia, ustawił na ulicy przenośne palenisko, upiekł ryby i sprzedał, przy czym jednym z nabywców był właśnie stary Jaccard. Potem na werandę wpadł Eric ścigający się z Kulawym Isaakiem. Obaj wyglądali na niezwykle zadowolonych z tej zabawy, a chłopiec specjalnie biegł na tyle wolno, by utykający mężczyzna miał szansę go dogonić.

Kobieta przytuliła wnuka i poczochnała jego mokre od potu włosy. Don Julien niedbałym gestem wskazał Isaacowi miejsce na kanapie. Idiota usiadł dopiero po chwili, długo zastanawiając się, czy wypada mu siadać w obecności tak ważnych osób.

Wygląda na to, pomyślał Jordan z ironią, ale i odrobiną ciepła, że wreszcie spotkałem prawdziwie dobrych ludzi.

Wiedział jednak, że ów spokój i sielska atmosfera to tylko jedna strona życia w Sent Chely. Druga, ta mroczna, wiązała się ze śmiercią Crisa Figeaca i z zaginięciem szesnaściorga dzieci.

Kłopot polegał na tym, że nie miał w ręku żadnych konkretów. Gdy rozwiązywał poprzednie zagadki, mógł oprzeć się na badaniu

ciał zamordowanych lub innych dowodach. Teraz nie miał nic. Tylko opowieści o mężczyźnie zabitym siedem lat temu i o zaginionych dzieciach oraz Lauretę, której skaleczenia być może w ogóle nie miały związku z tą sprawą.

A także osobliwe słowa rymowanki i to, że w miejscach wymienianych w wierszyku ktoś kreślił jakieś znaki. Coś jeszcze?

Owszem, odpowiedział sam sobie w myślach. Opinię ojca Longina na temat Crisa Figeaca i Alicii, zaskakująco zbieżną ze zdaniem d'ony Constancii, która twierdziła, że Figeac zabił swoją córkę. Jego własne przekonanie, że przy Skałkach widział... właściwie co? Ducha Alicii? Siedem talerzyków z ciastem, które pewna dobroduszna kobieta wyniosła dla sześciorga bawiących się dzieci. A do tego fakt, że okna sypialni Figeaca wychodziły wprost na pole, na którym mężczyzna umarł o świcie.

Omiał się nie roześmiał. Doprawdy, trudno budować jakąkolwiek teorię na podstawie takich dowodów. Pomysł zaś, który w pewnym momencie przyszedł mu do głowy... Tak, to było możliwe. Możliwe, ale jednak mało prawdopodobne.

Na werandę wszedł Peyretou, przeprosił wszystkich grzecznie i znacząco spojrzął na chlebodawcę. Jordan wstał. Constancia d'Alazet zatrzymała go gestem dłoni.

— Chciałam panu o czymś powiedzieć. Nie wiem, czy to ma znaczenie, ale wolę wspomnieć o tym teraz, nim znów wypadnie mi z głowy.

— Słucham.

— Dwa lata temu zaginęła Janna Olt, wówczas niespełna sześciolatka. Z pozoru wyglądało to tak, jak w przypadku

pozostałych dzieci, to znaczy wszystkich z wyjątkiem Alicii Figeac, oczywiście. Dziewczynka wyszła, by bawić się na dworze, i nie wróciła wieczorem do domu. Znalazła się dopiero dwa dni później, a jej matka tłumaczyła, że Janna po prostu zabłądziła, i być może tak właśnie było...

A może nie, dopowiedział w myślach, bo doprawdy, na rozciągającym się wokół Sent Chely terenie trudno zabłądzić.

— Gdzie znajdę Janę i jej matkę?

— Wyprowadziły się z miasta zaraz po tym wydarzeniu. Mieszkają teraz, o ile dobrze pamiętam, w Sent Maime.

* * *

Na osobności Peyretou zdał pracodawcy relację ze wszystkiego, czego zdołał się dowiedzieć.

Domenic Jordan odgadł trafnie: Cris Figeac rzeczywiście miał księgę, grubą i wyglądającą na bardzo starą. Widziało ją kilkoro ludzi, w tym wuj Menaut, który naprawiał ramę od okna w domu Figeaca i przy okazji ciekawie zaglądał do wnętrza, a także pewien domokrażca, tak bezczelny, że gdy Figeac nie otworzył mu drzwi, wszedł bez pukania i wtargnął do jego gabinetu. Księga była na tyle charakterystyczna, że rozmawiano o niej później, i teraz, po siedmiu latach, niektórzy pamiętali te plotki. Podobno domokrażca twierdził, że stronice księgi pokrywały nie litery, lecz liczby, a wuj Menaut zauważył wypisaną na okładce nazwę Sent Chely – jedno z nielicznych słów, które w ogóle umiał odczytać.

Potem Jordan zapytał o dzieci, ale tu już Peyretou nie miał nic ciekawego do powiedzenia.

Chłopcy i dziewczynki z miasteczka zgodnie twierdzili, że nie wiedzą, jaki los spotkał ich zaginionych towarzyszy zabaw, upierali się też, że słowa rymowanki nic szczególnego nie znaczą.

Dzieci z Sent Chely dobrze potrafiły strzec swych tajemnic.

* * *

Domenic Jordan pochylał się nad mapą.

— Do Sent Maime musielibyśmy jechać przez... — mówił, wodząc palcem po rozpostartej na stole karcie. — Zaraz, jak nazywa się ta miejscowość?

Peyretou przysunął bliżej świecę, a mężczyzna pochylił się jeszcze bardziej, by odczytać wypisaną drobnym drukiem nazwę.

Do stołu podszedł także Kulawy Isaac, który – zafascynowany tą wielką i kolorową płachtą – ciekawie zaglądał przez ramię młodego sługi.

— Triadou — mruknął Jordan. — Z Sent Chely do Triadou jest piętnaście mil. Potem z Triadou do Sent Auban kolejnych dziewięć. Potem, chwilę... osiem już do samego Sent Maime. Ile to będzie razem?

— Trzydzieści dwa — odpowiedział mu Isaac.

Podziękował, przez chwilę zatrzymując zaciekawiony wzrok na twarzy idioty.

Zajęty składaniem mapy Peyretou niczego nie zauważył.

* * *

Do Sent Maime – w tym rejonie większość miejscowości nosiła nazwy od przydomków różnych świętych – dotarli następnego dnia

koło południa.

Domenic Jordan bez większego trudu zdobył informację, gdzie mieszka Daria Olt. Nazwisko to było dość niezwykle, a ponadto, jak dowiedzieli się później, o pani Olt i jej córce sporo w Sent Maime plotkowano.

Plotkowano o niej zresztą już w Sent Chely, choć z zupełnie innych powodów. Wówczas, jeszcze przed zniknięciem Janny, zastrzeżenia budził jej styl życia. Nazywano ją „wesołą wdówką”, bo po śmierci męża pani Olt, miast zająć się córką, spędzała czas z młodymi mężczyznami. O ile jednak inne kobiety na takich zabawach zazwyczaj tracą majątek, o tyle ona go zyskała. W miarę jak chudły sakiewki wielbicieli, powiększał się niewielki kapitał, który pozostawił zmarły pan Olt, skromny rzemieślnik.

To by wyjaśniało, jakim cudem wdowę po foluszniku stać na taki domek, pomyślał Jordan, gdy wraz z Peyretou stanęli przed całkiem sporym piętrowym budyneczkiem.

Dom obrastały pnącza powojnika rozkwitłe feerią czerwonego i żółtego kwiecia i pachnące. Okiennice zamknięte były na głucho.

Jordan odgonił pszczołę i zastukał do drzwi.

Czekając, myślał o Jannie. Dòna Constancia nie miała zbyt wysokiego mniemania o rodzicielskiej troskliwości Darii Olt. Dziewczynka większość czasu spędzała, włócząc się po mieście ze starszymi dziećmi, często też chodziła głodna i obdarta, choć przecież jej matka miała pieniądze.

Gdy nikt nie otworzył drzwi, skinął na służącego.

— Chodź — powiedział. — Widziałem po drodze miejsce, gdzie będziemy mogli zapytać o panią Olt.

* * *

Miejscem tym okazał się położony niedaleko zakład niejakiego Corradina. Dumny szyld głosił, że tu pracuje najlepszy fryzjer i perukarz w miasteczku. Niżej drobnymi literkami dopisano, że u Corradina można się także ogolić, kupić mydło, szampony i perfumy.

Jordan wszedł bez wahania, bo wiedział, że fryzjerzy, podobnie jak oberżyci czy księża, zazwyczaj sporo wiedzą.

Zakład był piętrowy. Na dole młody chłopak, pogwizdując, golił podstarzałego jegomościa.

Na piętrze na półkach, stołach i stolikach znajdowały się peruki. Najwięcej siwych i czarnych, choć były tu też czupryny w kolorze blond, a nawet rudym. Włożone na specjalne stojaki w kształcie jaja przypominały szereg obciętych głów.

Ubrana w skromną suknię kobieta siedziała przy oknie i haftowała. Obok Corradin, którego skrzywione usta i niezdrowa cera świadczyły o problemach z wątrobą, poprawiał loczki siwej peruki.

Kochał robić peruki, choć wiedział, że moda na nie przemija. Kochał także strzyc i czesać. Bez wątpienia należał do pasjonatów swego fachu, dlatego też jednym rzutem oka ocenił wchodzącego mężczyznę. Pomyślał, że nieznajomy twarz ma o kształcie wręcz idealnym, lecz rysy odrobinę – ale tylko odrobinę – zbyt ostre. Widać to było nawet mimo opuchlizny i siniaków. Nie powinien nosić tak prostych włosów gładko zaczesanych do tyłu i związanych na karku. Pasowałaby mu fryzura nieco. krótsza i bardziej puszysta, aby złagodzić ową ostrość rysów. Albo loki.

Tak, zdecydowanie... Loki sprawiłyby, że ta w gruncie rzeczy ładna twarz stałaby się sympatyczniejsza, bardziej miękka...

Więcej pomyśleć nie zdołał, bo Domenic Jordan zapytał go o Darię Olt.

Wytrącony z rozważań fryzjer zmieszał się.

— Daria Olt? A tak, mieszka niedaleko... Cóż mogę o niej powiedzieć...

Zastanowił się przelotnie, czy w ogóle powinien mówić cokolwiek, ale ów Jordan pomimo paskudnie obitej gęby był szlachcicem, a szlachcicom się nie odmawia. A już z pewnością nie tak prostej przysługi.

— Mieszka niedaleko, będzie ze dwa lata. Dziwna to kobieta i dziwnie o niej gadają, szlachetny panie. Z domu mało co wychodzi, u niej też mało kto bywa... Właściwie — dodał po chwili ze zdziwieniem, jakby dopiero teraz to sobie uświadomił — nikt u niej nie bywa. Ona z Sent Chely tu do nas zjechała, nie wiem, czy szlachetny pan wie. Są tacy, co ją tam znali, i oni to strasznie o niej na początku języki rozpuszczali. Że niby to, szlachetny pan wybaczy, szmata z niej była, co o dziecko nie dbała, a tylko z wielbicielami balowała. A teraz to jakby całkiem odmieniona. I też ludziska gadają. — Roześmiał się najwyraźniej ubawiony tym, że plotki może wzbudzić w równym stopniu rozpusta, jak i samotniczy tryb życia.

— Daria to bardzo dobra matka — wtrąciła się skromnie ubrana kobieta, żona, a może tylko spoufalcona służąca Corradina. — Ona do ludzi niechętna jest, ale ze mną czasem gada. Na ulicy, jak na targ razem idziemy. Małą Jannę kocha, zawsze łakocie kupuje,

martwi się, coby mała w domu długo sama nie została.

— Pani była kiedyś w domu Darii Olt?

— Nie. — Pokręciła głową. — Nikt nie był. Z wyjątkiem Felipe, co Darię leczył, będzie parę miesięcy nazad. Za Felipe moja kuzynka wnet za mąż pójdzie, więc to już prawie rodzina. I powiem ci coś, panie, bo widzę, że pan mocno ciekawski jesteś. Ano, niby czemu nie, ciekawość ludzka rzecz, a ja Darii nijakiej krzywdy nie zrobię, jak panu opowiem. Daria przez okno raz małego ulicznika zawołała, zrzuciła mu ćwierć eccu i powiedziała, że chora bardzo jest i trza po medyka lecieć. I wystaw pan sobie, że jak Felipe przyszedł, to okiennice w domu pozamykane były, choć do zmroku daleko. Daria na łóżku przy jednej świecy leżała. Felipe więcej świec zapalić chciał, ale ona nie dała. A w kącie sypialni, w ciemności prawie, mała Janna siedziała — ostatnie zdania mówiła coraz głośniej, niemal z triumfem, najwyraźniej zadowolona z własnej ważności. Potem umilkła, z pewnością po to, by wzmocnić dramatyczny efekt.

— Felipe nie widział twarzy dziecka? — spytał Jordan cierpliwie, bez śladu lekceważenia, choć stojącego obok Peyretou zarozumiałstwo tej babiny zdążyło już zirytować.

— Na chwilkę może jeno, kawałek, nigdy całą. Zresztą, co to przy jednej świecy zobaczyć można? Ale ja wiem, czemu Daria nikomu małej pokazać nie chce. Trochę żem się sama domyśliła, trochę mi Daria pomogła. Wiesz pan, słówko tu, słówko tam, a człowiek myśli...

— I cóż pani wymyśliła? — tym razem w głosie Jordana słychać było lekkie rozbawienie.

Napuchła z dumy kobieta nie zwróciła na nie uwagi.

— Ona została porwana, jeszcze w Sent Chely. Janna, znaczy. Ale wróciła do domu. I ja tak sobie myślę, że ten porywacz, nim dziecko odesłał, musiał ją mocno ukrzywdzić. Wiesz pan, jak mężczyzna kobietę. I od tego bidulka jakiejś paskudnej zarazy dostała. Takie kurewskie choróbska to i na twarzy widać, nie? Nic dziwnego więc, że Daria córki z domu nie wypuszcza, ale i kocha, hołubi, bo zło jej wynagrodzić chce...

— Zamknij gębę, kobieto — skarcił ją Corradin, krzywiąc wargi z niesmakiem. — Szlachetnego pana nie interesują twoje domysły.

Nawet nie zwróciła na niego uwagi. Patrzyła przez okno.

— O, właśnie Daria idzie — powiedziała z takim zadowoleniem, jakby sama obecność pani Olt potwierdzała jej teorię.

* * *

Daria Olt robiła zakupy w pobliskiej cukierce połączonej ze sklepikiem kolonialnym. Domenic Jordan i Peyretou czekali na zewnątrz przed maleńką jak piwniczne okno witryną. Za szybą wystawione były egzotyczne przyprawy w wielkich malowanych w kwiaty słojach, a także cukrowe łakocie, te ostatnie mocno nadgryzione przez czas i gorąco. Wokół nich krążyły odurzone upałem muchy.

Przez otwarte drzwi dobiegała ich rozmowa Darii Olt i sklepikarza.

— Nie ma migdałowych ciasteczek w kształcie zwierzątek?

Wiesz pan, misiów i zajaczków...

— Cóż poradzę, łaskawa pani — głos mężczyzny ociekał płynnym miodem. — Dwie blachy nam się rano spaliły, a później ludziska wszystko wykupili. Migdałowe ciasteczka idą jak woda, jak woda, łaskawa pani...

— Ale ja muszę je mieć! — zawołała Daria Olt. — Moja córeczka je uwielbia. Proszę... Z pewnością się znajdą. Pan wiesz przecież, misie i zajaczki... — powtarzała z rozpaczliwym uporem, jakby naprawdę wierzyła, że sprzedawca ciastka ma, a tylko o nich zapomniał.

Sklepiarz przeproszał coraz mniej uprzejmie, a bardziej nerwowo, pani Olt nalegała, jej desperacja zaś niebezpiecznie zmieniała się w histerię.

— Dam pani coś innego — powiedział wreszcie przyparty do muru mężczyzna. — Marcepanowe zwierzątka, zrobione specjalnie na tort wnuczki burmistrza, która dziś obchodzi swoje dziewiąte urodziny. Nie, nie musi pani płacić. To dla pani córeczki. Proszę się tylko uspokoić...

* * *

Domenic Jordan nie zatrzymał jej, gdy wychodziła ze sklepu. Była zbyt wzburzona i chciał jej dać trochę czasu, by ochłonęła. Począł więc wraz z Peyretou, aż pani Olt wróci do domu, i po chwili dopiero zastukał do drzwi. Otworzyła.

— Nie wpuszczam nikogo — powiedziała w przestrzeń tak, jakby powtarzała to już wiele razy. — Jeśli zbieracie jakieś podpisy albo sprzedajecie coś, to możemy rozmawiać w progach, ale do domu

nie wpuszczę.

Nie dotarło do niej, że goście nie wyglądają na domokrażców. I nic dziwnego, bo obdarzyła ich tylko jednym roztargnionym spojrzeniem.

— Nazywam się Domenic Jordan i chciałbym z pewnych powodów zobaczyć się z pani córką. Zaraz wytłumaczę, jakie to powody...

— Moją córką? O Boże... O Boże, Boże! Nie!

W końcu na nich spojrzała, naprawdę spojrzała, dostrzegając dwoje ludzi, a nie wymaglinowanych domokrażców.

W tym momencie Peyretou pojął, że Daria Olt znajduje się na krawędzi szaleństwa.

Włosy, brązowe z szerokimi pasmami siwizny, miała niedbale związane na karku jakąś szmatą. Nosiła suknię na tyle ciemną, że nie widać było na niej brudu. Nie było widać, ale było czuć, bo kobieta cuchnęła zastarzałym potem. Jej niegdyś piękną twarz pokrywała sieć płytkich zmarszczek. Daremnie próbowała je kryć gruba warstwa pudru, który osypywał się, osiadając drobinkami na kołnierzu i ramionach sukni. Oczy miała zaczerwienione, jakby od dawna nie spała. Właśnie w tych oczach Peyretou ujrzał coś, na widok czego odruchowo cofnął się pół kroku.

— W takim razie nie będziemy się pani narzucać — odparł Jordan ku zdumieniu sługi. — Na razie. Ale wrócę tu jeszcze dziś. Z kimś, komu chciałbym przedstawić pani córkę.

* * *

W powozie, którym wracali do Sent Chely, Peyretou paplał jak

najęty. Wiedział, kiedy może sobie pozwolić na taką gadaninę, a kiedy nie. Rozpoznawał to dzięki drobnym odruchom pracodawcy, takim jak lekkie skrzywienie warg czy niemal niedostrzegalne zmrużenie oczu. Tym razem mina Domenica Jordana świadczyła o obojętności. Błądził myślami gdzieś daleko, a służący gadał tyleż do pana, co do siebie samego.

— Musiało się coś stać wtedy, gdy dziewczynka została porwana. Zmieniło ją to w jakiś sposób. Tak bardzo, że matka nie chce nawet, by ludzie na nią patrzyli. Nie wierzę w teorię tej babiny od golibrody. To jakieś bzdury. Z Janną musiało się stać coś nienaturalnego. Może jest potwornie okaleczona i zeszpecona. Albo ktoś magią zamienił ją w potwora. Ma szpony i długie zęby...

— A ciasteczka w kształcie misiów i zajączków potrzebne są jej po to, by odgryzać im głowy — dodał za śmiechem Jordan, który wbrew pozorom słuchał służącego. — Twoja wyobraźnia jest żywa, lecz, z przykrością to stwierdzam, dość konwencjonalna.

Peyretou nadąsał się, ale zaraz ciekawość przemogła zły humor.

— A ty, panie, wiesz już, co stało się z Janną?

— Tak — potwierdził z powagą. — Wiem, dlaczego Janna jako jedyna z dzieci wróciła, wiem też, dlaczego matka nie chce, by ktoś ujrzał jej twarz.

— Dlaczego?

— Odpowiedź na pierwsze pytanie jest prosta: bo Janna była najmłodsza. Pozostałe zaginione dzieci miały od ośmiu do czternastu lat, ona nie skończyła jeszcze sześciu. Odpowiedź na drugie... cóż, ani ty, ani owa kobieta z zakładu fryzjerskiego nie macie racji. Janna Olt nie zmieniała się w okaleczone chorobą

straszydło ani w potwora o długich zębach. Prawdę powiedziawszy, sędzę, że nie zmieniała się w ogóle.

* * *

— Gdzie mogę znaleźć Lauretę? — zapytał Jordan.

— Uciekła. — Constancia d'Alazet patrzyła mu w oczy, choć widać było, że ma ochotę odwrócić wzrok. — Nie upilnowaliśmy jej i proszę za to winić mnie. Bawiła się z Erikiem, a ja zwolniłam służącą i sama obserwowałam dzieci. Potem przysnęłam na słońcu, na krótką chwilę tylko. Nie usprawiedliwiam się bynajmniej. Jak już mówiłam, to moja i tylko moja wina. — A gdzie jest teraz Eric?

* * *

Chłopiec siedział na ogrodowej huśtawce, kołysząc się lekko, wpatrzony w czubki swych butów, jakby było w nich coś niezwykle interesującego.

Jordan usiadł obok, huśtawka skrzypnęła cicho pod jego ciężarem.

— Laureta — zaczął łagodnie — poszła dokądś, a ja sędzę, że może grozić jej niebezpieczeństwo. I chcę jej pomóc. Dlatego zwracam się do ciebie, Ericu. Czy Laureta nie powiedziała ci, dokąd się wybiera?

Chłopiec zakręcił się niespokojnie. Domenic Jordan mówił poważnie, jak do dorosłego, i przez przypadek utrafił we właściwy ton. Zresztą Eric i tak bardzo lubił tego osobliwego gościa, choć sam za dobrze nie wiedział dlaczego. Chciał się zwierzyć, bo tajemnica ciążyła mu na sercu, a do niego miał zaufanie.

— Ale pan nie powtórzy nikomu? Na pewno? To tajemnica...

Mężczyzna skinął głową. Opanowanie, które ćwiczył przez tyle lat, pozwoliło mu teraz utrzymać na wodzy niecierpliwość.

— Ona wie, gdzie jest schowana księga tak bardzo czarodziejska, że przy jej pomocy można zrobić wszystko. Podśluchała kiedyś, gdzie ta księga jest. Ale nie chciała jej brać. Zaklęciami trudno się posługiwać, prawda?

Spojrzał z naiwną dumą, że wie takie rzeczy, potem odwrócił wzrok.

— Chciała to zrobić inaczej... — wymruczał.

Jego stopy szurały miarowo o ziemię, wprawiając huśtawkę w lekkie drganie, palce leżących na kolanach dłoni rozplatały się i splatały.

— Pan wie jak?

Znów przytaknął.

Wiedział, bo zdawał sobie sprawę, że dzieci zdolne są do czynów, które nie mieszczą się w głowie przeciętnego dorosłego. Własne dzieciństwo, a także pewne spotkanie – dawno temu, z dziewięcioletnim chłopcem, który wkrótce popełnił samobójstwo – nauczyły go, że dzieci potrafią być okrutne i bezwzględne. Także dla siebie samych. A Laureta miała przecież w żyłach krew upartych Jordanów.

Dążyła do celu i wiedziała, że może go osiągnąć za cenę siniaków, zadrapań czy rozbitego nosa. Nie bała się, że zrobi sobie poważną krzywdę. Mało które dziecko wierzy, że może mu się stać coś naprawdę złego. Przesadziła tylko jeden jedyny raz, bo Jordan wątpił, by Laureta planowała rozciąć sobie czoło na schodach. Lecz

to wystarczyło. Dziewczynka wystraszyła się, a ponadto widziała przecież, że jej sposoby wcale nie skutkują, i to skłoniło ją do tak desperackiego posunięcia jak kradzież księgi. Desperackiego i niepotrzebnego, bo przecież księga na nic jej się nie przyda.

— Nie rozumiem, czemu musiała robić takie rzeczy...
— wymruczał Eric.

To także Jordan wiedział już od wczoraj, gdy po rozmowie z Peyretou kawałki układanki zaczęły wskakiwać na swoje miejsce. Części się domyślił, ale był przekonany, że jego domysły są słuszne. Laureta czuła się nieszczęśliwa, samotna, zdradzona przez ojca i matkę, którzy oddali ją na wychowanie dalekim krewnym i nigdy nawet nie przyjechali w odwiedziny. A dzieci z Sent Chely miały swój własny sposób na szczęście. Śpiewały o nim, lecz gdy ktoś pytał o słowa wyliczanki, nie chciały nic mówić. Sposób ten otaczała tajemnica. Laureta dowiedziała się o nim i próbowała namówić Alicję Figeac, by dopuściła ją do sekretu. Tak, dokładnie tę samą Alicję, która zaginęła przed siedmiu laty i która mimo to wciąż bawiła się z chłopcami i dziewczynkami z Sent Chely, a nawet, bywało, jadła z nimi ciasto.

Córka Figeaca odmówiła, gdyż jej przepis na szczęście przeznaczony był tylko dla dzieci naprawdę nieszczęśliwych: bitych, poniżanych i wykorzystywanych, a o Lauretę dbali przecież przybrani rodzice. Dlatego właśnie dziewczynka kaleczyła się, desperacko chcąc udowodnić, że także jest krzywdzona. Bez rezultatu, bo Alicja nie dała się oszukać.

Domenic Jordan być może spróbowałby wyjaśnić to Ericowi, gdyby tylko miał czas. Ale nie miał. W tej samej chwili spostrzegł

Constancję i Julięna d'Alazet, którzy zmierzali w stronę huśtawki. Wstał i ruszył na ich spotkanie.

— Wiem, gdzie jest Laureta — powiedział nieświadom, że stojący za jego plecami Eric wygląda, jakby ktoś go uderzył w twarz. — A przynajmniej się domyślam. Poszła po pewną niebezpieczną czarnoksięską księgę. Moim zdaniem, jeśli tylko nie ma jakiejś tajemnej kryjówki, spróbuje zaszyć się w jednym z trzech miejsc, które mocno się kojarzą z tą właśnie księgą. Nie w kościele, bo tam o tej porze jest jeszcze sporo ludzi. Nie pod Stryczkiem, bo drzewo rośnie przy drodze. Stawiam więc na Skalki. Powinniśmy wysłać tam Peyretou i jeszcze jednego służącego, aby przyprowadzili dziewczynkę.

— A jeśli nie będzie chciała przyjść? — zapytała d'Alazet. — Mają ją przywlec siłą?

— Przykro mi — odparł jednocześnie bardzo uprzejmie i bardzo stanowczo — ale to nie czas, by przejmować się dziecinnymi fanaberiami.

* * *

— Czy może pan wreszcie wyjaśnić, co tu się dzieje? — zapytał odrobinę zirytowany Julien d'Alazet. — Służący, da Bóg, wkrótce odnajdą Lauretę, ja zaś proponuję, aby w międzyczasie podzielił się pan z nami swoją wiedzą. Jordan skinął głową.

Siedzieli na werandzie niemal tak samo, jak pierwszego wieczoru: sędzia w bujanym fotelu, jego matka na słomianej kanapie, a naprzeciw nich Domenic Jordan. Niemal tak samo, bo

teraz obok d'ony Constanccii zajął miejsce Kulawy Isaac, obojętny wobec rozmowy, pochłonięty zabawą własnymi palcami. I oczywiście było upalne letnie popołudnie, nie wieczór.

Irytacja don Julienu walczyła z ciekawością i ciekawość wyraźnie wygrywała. Natomiast pani domu wyglądała nie tyle na zaciekawioną, co po prostu na smutną.

— Gdzie podziały się zaginione dzieci, panie Jordan?
— zapytała spokojnym, zrezygnowanym tonem człowieka, który wie, że usłyszy złą wiadomość.

Domenic Jordan uśmiechnął się, jakby chciał dodać jej otuchy.

— Zgodnie ze słowami Isaaca dostąpiły wniebowstąpienia — odparł. — I muszę powiedzieć, że jakkolwiek niewiarygodnie to brzmi, jest to dość adekwatne określenie. Dzieci poszły jednak nie do nieba, co do którego nie ma nawet pewności, czy istnieje, lecz do świata, o którym wiemy o wiele więcej.

— Świat demonów — wyszeptała. — Tamten świat.

— Oczywiście — przytaknął, nie wspominając, że oprócz demonów ową odciętą od Boga rzeczywistość zamieszkuje mnóstwo innych istot, w tym pogańskie bóstwa czy święci – ci ostatni przynajmniej do chwili, gdy ich dusze nie zdecydują się powędrować do kolejnego ciała. To były drażliwe kwestie, o których Kościół niechętnie mówił. — Kilkaset lat temu — kontynuował — pewien pochodzący z tych stron mag wymyślił sposób, w jaki można się dostać do tamtego świata. Na stałe, stając się jednym z jego mieszkańców, żywym i umarłym jednocześnie. A przede wszystkim stając się istotą o sporej mocy. Mag i jego uczniowie stworzyli wówczas kilkanaście ksiąg, po jednej dla

każdego z okolicznych miasteczek o tak uroczych nazwach jak Sent Maime, Sent Auban, a także Sent Chely. Część ksiąg została spalona, inne zaginęły — urwał i odetchnął. Część tych ksiąg miał pod swoją opieką alestrański biskup, lecz to nie miało w tej chwili znaczenia. — Jedna z nich wpadła w ręce Crisa Figeaca, który wiedział, do czego księga służy. Przyjechał do Sent Chely i tu zajął się rozszyfrowywaniem tekstu, bo owe księgi napisane zostały skomplikowanym liczbowym szyfrem. I w końcu mu się udało.

— Zaraz — przerwał mu sędzia. — Pan wie, na jakich zasadach ta księga działa?

— Wiem, bo kiedyś mi o takiej księdze opowiadano. Człowiek sam nie zdoła dostać się do tamtego świata. Potrzebuje pomocy, najlepiej jakiegoś demona, bo te stosunkowo łatwo zmusić do współpracy. Do tego celu służy podane w formie liczb zaklęcie, w które wpleść trzeba imię danej osoby. Zaklęcie to zapisuje się w pewnym i konkretnym miejscu. W przypadku Sent Chely jest to kościół, a ściślej biorąc, jego środek. „Do kościoła kieruj kroki, by przedstawić się bez zwłoki”, jak mówi dziecięca rymowanka. Kolejny punkt to drzewo zwane Stryczkiem, na którym, również liczbowym szyfrem, zaznacza się miejsce, w którym nastąpić ma przejście człowieka przez demona. „Drzewo miejscem dla wisielca, bo je wszyscy Stryczkiem zwą”. Mamy już więc imię i miejsce. Teraz potrzebny jest tylko czas, który zapisuje się na Skałkach. „Czas na Skałkach jak grot strzelca, bieży szybko w stronę swą”. Demon zjawia się w wyznaczonym miejscu i czasie, by porwać konkretną osobę, której imię zostało wymienione w zaklęciu. I ot, mamy efekt, który naiwny człowiek może uznać za

„wniebowstąpienie”.

— Chwilę — znów wtrącił się don Julien. Gdy już pogodził się z istnieniem magii w Sent Chely, chciał zanalizować ją i zrozumieć.

— W jaki sposób podaje się demonowi miejsce? Szyfrem tekst w rodzaju „koło studni starej Marge, pod oliwką”?

— Nic podobnego — zaprotestował Jordan. — Tu trzeba wykazać się pewnymi umiejętnościami matematycznymi. W księdze podane są trzy podstawowe punkty, w stosunku do których należy wyznaczyć odległość, i kilkanaście pomniejszych. Część z nich nie przetrwała pewnie do naszych czasów, bo oliwki starej Marge mają to do siebie, że mogą uschnąć. Ale te punkty orientacyjne, które pozostały, jak widać, wystarczają. Księga podaje dokładne odległości pomiędzy nimi, a mając te odległości, przy pomocy odpowiednich wzorów matematycznych można już obliczyć sobie kolejne punkty, w których nastąpi przejęcie człowieka przez demona.

— Punkty? — zdziwił się sędzia. — W liczbie mnogiej? Czy ów demon nie mógł po prostu zjawiać się zawsze w tym samym miejscu?

— Nie. Miejsce przejęcia za każdym razem musi być inne, prawdopodobnie po to, aby jeszcze bardziej skomplikować sprawę. Owemu bezimiennemu magowi sprzed stuleci bardzo zależało, by nikt niepowołany nie korzystał z księgi. Utrudnień jest więcej. Szyfr na przykład to nie proste przełożenie liter na liczby. Jest on na tyle skomplikowany, że sama znajomość zasad nie wystarcza. Aby wysłać człowieka do tamtego świata, trzeba mieć księgę w rękę. Bez niej cała wiedza nie zdaje się na nic.

— Ale kto jest za to odpowiedzialny? — po raz pierwszy od dłuższego czasu odezwała się d'Alazet. — Kto to zrobił tym nieszczęsnym dzieciom?

— Nikt — odparł Jordan. — Same się na to zdecydowały. Z wyjątkiem Alicii, rzecz jasna.

Chciała zaprotestować, może tylko o coś zapytać. Ubiegł ją syn.

— Nie wierzę, że dzieci radziły sobie z tak skomplikowanymi obliczeniami. Już same wzory matematyczne nie są łatwe. Aby zaś podać dokładną lokalizację, konieczne byłyby chyba liczby ułamkowe z dokładnością do kilku miejsc po przecinku.

— Owszem, proszę jednak nie zapominać, że Alicia Figeac była i prawdę powiedziawszy, wciąż jest uzdolnioną matematyczką. Zna więc wzory. Co zaś do obliczeń... cóż, rzeczywiście są one bardzo skomplikowane. Na tyle, że matematyk po uniwersyteckich studiach długo musiałby się nad nimi biedzić. Lecz zdarzają się przypadki, że natura ujmując człowiekowi talentów w jednej dziedzinie, daje mu ich nadmiar w innej. Isaacu, mógłbyś policzyć dla pana, ile jest sto trzydzieści jeden razy siedemdziesiąt siedem?

— Dziesięć tysięcy osiemdziesiąt siedem — szybko odparł zapytany, ucieszony, że okazał się przydatny.

Constancia d'Alazet uśmiechnęła się niemal bez zdziwienia i uścisnęła Kulawego Isaaca, zupełnie jakby ten był dzieckiem, któremu należy pogratulować postępów w nauce.

Don Julien przeniósł zdumiony wzrok z idioty na Jordana, potem wstał, wszedł do wnętrza domu, wrócił z kartką i przyborami do pisania. Przez chwilę liczył coś, przygryzając końcówkę pióra.

— Zgadza się — powiedział w końcu, wciąż oszołomiony.

— A zapewniam pana — uśmiechnął się lekko Jordan — że Isaac radzi sobie także ze znacznie większymi liczbami.

— Proszę opowiedzieć o Crisie Figeacu i Alicii. — Dòna Constancia poklepywała Isaaca po ręce, dając do zrozumienia, że cokolwiek się stało, nie było w tym jego winy.

— Sądzę, że domyśliłaś się już, pani, większości. Figeac rozszyfrował księgę, ale bał się wypróbować jej działanie na sobie. Wypróbował je więc na córce. Wbrew jej woli.

— A ona go za to zabiła — dopowiedział sędzia i przez chwilę jego głos podobny był do głosu matki: łagodny i pełen smutku.

— Cris Figeac ujrzał ją o świcie stojącą na polu. Wybiegł więc z domu, by wypytać o wszystko, może też po to, by sprawdzić, czy córka wciąż go słucha, a potem wypróbować jej moc. Szczerze wierzę, że Alicia nie zabiła ojca z zemsty. A przynajmniej nie tylko z zemsty. Przede wszystkim chciała zdobyć księgę, by ukryć ją w jakimś bezpiecznym miejscu i dzięki niej pomagać dzieciom. Bo dar, który narzuciono jej siłą, mógł być wybawieniem dla innych. Dla nieszczęśliwych chłopców i dziewczynek, którym Alicia pragnęła ofiarować życie w innym, lepszym świecie.

* * *

Kwadrans później służący przyprowadzili Lauretę. Milczała, wbijając wzrok w ziemię, a rozpuszczone, potargane włosy przesłaniały dziecięcą twarz. Na jej nadgarstku widniało świeże zadrapanie, wokół którego już zaczynał się tworzyć siniak. Jak powiedział Peyretou, dziewczynka próbowała się wyrwać, ale szybko sobie z nią poradzili. Drugi służący podał Constancii

d'Alazet księgę. Kobieta bez słowa oddała ją Jordanowi.

— Chciałbym poprosić panią o pewną radę — powiedział.
— Na osobności.

Weszli z rozświetlonej werandy wprost w ciemność wnętrza domu. Dopiero po chwili ich oczy przyzwyczyły się i mrok znikł.

Jordan wytłumaczył d'Alazet, co zamierza zrobić i dlaczego. Gdy skończył, milczała przez jakiś czas.

— Nie podoba mi się ten pomysł — powiedziała w końcu.
— Choć przyznaję... Och, chyba za dużo pan ode mnie żąda!
— wybuchnęła, ale szybko opanowała wzburzenie i znów spoglądała łagodnym wzrokiem kobiety, która dużo widziała i dużo wie. I która się boi.

— Nie zamierzam obarczać cię, pani, skutkami tej decyzji. Po prostu twoja rada może być dla mnie cenną wskazówką. Ale postąpię wedle własnego uznania i sam poniosę konsekwencje.

Uśmiechnęła się blado.

— Prawda, że więcej wiem o dzieciach niż pan. Ale nie o takich dzieciach... — zawahała się.

Czekał cierpliwie.

— Decyzję co do Janny podejmie pan tam, na miejscu?

— Tak. Mam kilka pomysłów, ale na żaden jeszcze się nie zdecydowałem.

Zastanawiała się przez chwilę. Potem spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała już znacznie pewniej, choć widać było, że stanowczość sporo ją kosztuje:

— Proszę więc wziąć powóz i jechać. Mam jednak prośbę.

— Słucham.

— Mój syn nie może panu towarzyszyć, bo dzisiejszego popołudnia wzywają go pilne obowiązki. Ja także zostanę w domu. Przywykłam do udzielania rad, do obserwowania wydarzeń z boku, a nie do angażowania się w nie... — Umilkła, po czym dodała szybko, chcąc uprzedzić kpiący uśmiech rozmówcy — to oczywiście takie ładne sformułowanie, które oznacza, że w głębi serca jestem tchórzem. Boję się z panem jechać, don Domenicu. Boję się tego, co zobaczę, i tego, że zachwieje to moim spokojnym, poukładanym światem. Proszę więc wziąć ze sobą ojca Longina. To dobry człowiek, choć może trochę słaby. I bardzo kocha dzieci.

— Nie ufasz mi, pani? — Dopiero teraz w oczach Jordana zapaliły się iskierki kpiny. Nie zimne, lecz ciepłe, takie jakie widać było czasem w oczach syna dòny Constancii.

— Myślę — odparła z powagą — że w pewnych kwestiach mogłabym zaufać panu całkowicie. Ale brakuje panu... sama nie wiem... Nawet nie dobroci, bo z pewnością nie jest pan złym człowiekiem. Może po prostu słabości, takiej która niesie ze sobą współczucie i litość? Dlatego proszę, by wziął pan ze sobą ojca Longina. I jeszcze jedno. Proszę obiecać, że postara się pan okazać miłosierdzie. Obu dziewczynkom.

— Postaram się — powiedział z równą powagą.

* * *

Obrośnięty rozkwitłym powojnikiem dom wyglądał w słońcu ładnie i przytulnie. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Przy drugim zauważało się, że okiennice są nie tylko zamknięte, ale i pokryte pajęczynami, które świadczą o tym, że od dawna nikt ich nie

otwierał, a wypielegnowane niegdyś rabatki zarosły chwasty. Dom wyglądał na opuszczony, wrażenie to pogłębiała panująca wokół upalna cisza, maćona tylko gruchaniem gołębi i pobzykiwaniem owadów, które buszowały wśród barwnych kwiatów powojnika.

Domenic Jordan ujął kołatkę i zastukał. Gdy nikt nie otworzył, nacisnął klamkę. O dziwo, drzwi ustąpiły.

Weszli do środka we czwórkę. Ojciec Longin, Peyretou i Jordan ściskający ramię Laurety. Dziewczynka wciąż milczała – przez całą drogę do Sent Maime nie powiedziała ani słowa – ale spoglądając na nią, można było się domyślić, że złość jej minęła. Nie rozpamiętywała już dzisiejszego zawodu i upokorzenia, nie próbowała nikogo ukarać milczeniem. Teraz po prostu się bała.

Z jednego z pokoi dochodził cichy dziecinny głos. Niewyraźne słowa czasem zlewały się ze sobą, przechodząc w mruczenie.

Skierowali się w tamtą stronę.

Przez szpary w okiennicach wpadały promienie ostrego letniego słońca i w pokoju zamiast oczekiwanej ciemności panował półmrok. Jordan rozejrzał się, to samo zrobili ksiądz i Peyretou. Laureta drżała lekko.

Na środku pokoju na kocyku siedziała mała dziewczynka: rozczochrana, ubrana tylko w halkę i bosa. W rękach tuliła misia i jak baśniowa królowa złotem, tak ona otoczona była zabawkami. Promienie słońca wyławiały z ciemności lalki przeróżnej wielkości i w przeróżnych kreacjach, domki dla tychże lalek, pajacyki i pacynki, rzeźbione w drewnie i pstrokato pomalowane zwierzątka, piłki, nakręcane figurki, a także pozytywkę, rozkładany wachlarz, latarnię magiczną i zegar z kukułką. Pozostałe zabawki – a Jordan

nie wątpił, że jest ich więcej – kryły się w ciemności. Janna umilkła, spojrzała na wchodzących.

— Mama? — zapytała niepewnie, a jej usta wykrzywiły się w podkówkę.

Ojciec Longin patrzył przez chwilę na dziecko, potem wciągnął w płuca powietrze i cofnął się.

— Ależ... Ja nie rozumiem... — wyjąkał. — Ona wygląda dokładnie tak samo jak dwa lata temu! Nic się nie zmieniła.

— Owszem — potwierdził Jordan. — Janna nie rośnie i nie dojrzewa.

Ksiądz zadrżał. Przyjechał tu na prośbę Constancii d'Alazet, a także dlatego, że naprawdę bardzo kochał dzieci. Dziecięca krzywda budziła w nim chęć przeciwdziałania i zmieniała z wygodnickiego księżula w energicznego, pewnego swych racji kapłana.

Janna rozplakała się, najpierw cicho, potem coraz głośniej. W pokoju coś się zmieniło, a najszybciej wyczuła tę zmianę Laureta. Jęknęła, zadygotała i przytuliła się do wuja, wciskając nos w rękaw jego kaftana.

Powietrze zgęstniało, stało się bardziej szkliste i mętne. Głos płaczącej brzmiał głucho, jakby rozchodził się pod wodą. Równie głucho było kukanie kukułki, która oznajmiła, że nadchodzi godzina dwunasta.

— Niech ojciec spróbuje ją uspokoić — szepnął Jordan. — Szybko, nim będzie za późno.

Roztrzęsiony ksiądz wziął się w garść i usiadł naprzeciw Janny. Mówił do niej łagodnie, robił miny i pokazywał zabawki,

a dziewczynka powoli przestała szlochać. Pociągnęła jeszcze tylko kilka razy nosem, zdradzając jeśli nie rozbawienie, to ostrożną ciekawość.

Mimo to owa szkliszcie mętna poświata w pokoju nie zgasła.

— Gdzie jest jej matka? — szepnął nerwowo Peyretou.

— Nie wiem — odparł uczciwie Jordan.

Nie dodał, że nie spodziewa się, iż Daria Olt szybko wróci. Prawdę powiedziawszy, nie spodziewał się, że w ogóle wróci. Gdyby wyszła tylko na chwilę, na zakupy albo po kolejną zabawkę, pewnie zamknęłaby za sobą drzwi. Postanowiła więc uciec, ratując w ten sposób resztki rozumu, albo przeciwnie, dziś właśnie pani Olt przekroczyła niewidzialną granicę oddzielającą ją od szaleństwa i powędrowała przed siebie, nawet nie wiedząc, dokąd idzie. Tak czy inaczej, skutek okazał się ten sam: Janna była sama w domu. Od dawna. Czy pani Olt wiedziała, jak wielka jest moc jej córki? Prawdopodobnie nie. Ale zdawała sobie sprawę, że mała jest w stanie okaleczyć, a nawet zabić, a jedyną metodą, by ją powstrzymać, jest dać jej wszystko, czego chce.

Spośród zaginionych w Sent Chely dzieci wróciła tylko Alicia Figeac, którą z powrotem przywiodła chęć pomocy, oraz Janna. Dziewczynka, która nie marzyła o ucieczce do innego, lepszego świata, lecz o tym, by być małym dzieckiem, pieszczonym i bezustannie zabawianym przez mamę.

Jadąc po raz drugi do Sent Maime, Domenic Jordan nie przewidział tylko jednego. Tego, że zastanie tu samotną Janne, która zdenerwowana przedłużającą się nieobecnością matki kipiała magiczną mocą niczym postawiony na ogniu garnek. A przecież

nietrudno było zgadnąć, że Daria Olt w końcu się załamie – od dwóch lat żyła w nieustannym lęku, że córka zrobi krzywdę jej albo komuś, kto przypadkiem znajdzie się w pobliżu.

Ksiądz turlał przezroczystą szklaną kulę, w której przy każdym poruszeniu migotała złota wstęga. Janna nie patrzyła już na zabawkę. Była coraz bardziej roztargniona, a jej usta znów zaczęły się wykrzywiać w płacziwą podkówkę.

Mechaniczna kukułka wykukała godzinę dwunastą, drugą już tego popołudnia, mechaniczny rycerzyk, gubiąc po drodze części, ruszył przed siebie. Szmaciana lalka otworzyła oczy i stoczyła się z półki.

Ojciec Longin na chwilę stracił panowanie i zamiast poturlać kulę, rzucił ją. Uderzona w kolano dziewczynka krzyknęła, a księdza owionął płomień niczym oddech smoka. Wrzasnął i rzucił się w tył. Nim Jordan znalazł się przy nim, płowa chmura znikła.

— Nic ojcu nie jest?

— Nie... Osmaliło mi tylko rzęsy. O Boże, Boże, miej nad nami zmiłowanie...

Janna zachichotała. Ten incydent wyraźnie poprawił jej humor.

— Nie wolno ci robić takich rzeczy — kapłan zwrócił się do niej roztrzęsionym głosem, któremu dopiero po chwili zdołał nadać ton łagodnej powagi. — To boli. Czy chciałabyś, aby ktoś zrobił coś takiego tobie? Nie, prawda?

Słuchała już uspokojona.

Domenic Jordan ukląkł, wziął Lauretę pod brodę i siłą skierował jej twarz w stronę drugiej dziewczynki.

— Spójrz — szepnął bratanicy w ucho. — Oto istota, jaką

chciałaś się stać. Nie byłabyś dokładnie taka sama. Janna to synteza maleńkiego dziecka, którym pragnęła zostać, i istoty z tamtego świata, z całą prostotą jej potrzeb. Ty byłabyś pewnie trochę mądrzejsza. Ale co z tego? Utraciłabyś to, co w tobie ludzkie. Widzisz, Laureto, tamten świat jest w pewnym sensie światem zwierzęcej czy dziecięcej prostoty. Mało kto tam myśli, planuje, snuje marzenia czy dąży do jakiegoś celu. Tam większość stworzeń żyje jak zwierzęta. Jedzą, parzą się i zabijają. Inne zachowują się jak kapryśne dzieci: nudzą się i chcą bawić, najczęściej kosztem innych istot. Albo ludzi. Gdybyś weszła do tamtego świata, Laureto, stałabyś się taka sama. Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? Chcesz krzywdzić, kaleczyć i zabijać, i nigdy nie czuć z tego powodu wyrzutów sumienia?

— Puść mnie! — Szarpnęła się.

Jordan trzymał ją mocno. Wystraszona krzykiem Janna także zaczęła wrzeszczeć.

Jedna z okiennic z hukiem wyleciała z ramy, do pokoju wraz ze strugą złotego światła wpadły trzy gołębie.

Zginęły natychmiast, rozprysły się, jakby były ze szkła.

Ale na Lauretę poleciało nie szkło, lecz pióra, bryzgi krwi i ptasie wnętrzności.

Jej krzyk zmienił się w histeryczne wycie. Domenic Jordan wepchnął bratanicę w ramiona Peyretou.

— Weź powóz i wracaj z nią do Sent Chely.

— Ale...

— Już!

Służący wybiegł, ciągnąc za sobą dziewczynkę upačkaną

czerwienią i zszokowaną. Ojciec Longin tulił Jannę, która płakała i wołała matkę. Spiętrzone pod ścianami zabawki poruszały się, gramoliły jedna na drugą niczym gromada niezgrabnych żuków.

Mury domu drgały lekko. Dziecko wrzeszczało.

— Nie potrafię jej uspokoić... — jęczał ksiądz. — O Boże, co mam robić?

— Może zadowoli ojca moja odpowiedź, nie boska?

Ojciec Longin pojął wreszcie, dlaczego Domenic Jordan mimo upału nosi kaftan.

W kieszeni tego kaftana miał mały damski pistolet niemal zabawkę. Śmiercionośną zabawkę.

Odbezpieczył go.

— O Boże... Czy pan oszalał? To jest dziecko! Dziecko!

— Ona nas zabije.

— Proszę dać mi szansę... — mówił gorączkowo kapłan, wciąż tuląc szlochającą Jannę. — Egzorcyzmy, zastosuję egzorcyzmy...

— To nic nie da. Ona nie jest opętana.

— Proszę! Potrzebuję czasu...

Prawdę powiedziawszy, Jordan był trochę ciekaw.

Istniała szansa, że wzywany podczas egzorcyzmów święty Michał uzna Jannę za demona i przyjdzie księdzu z pomocą. Ale bardzo znikoma szansa.

Ojciec Longin puścił dziecko, wstał i zaczął pospiesznie odmawiać modlitwę.

Jordan wycelował w kark Janny, w miejsce, gdzie kula natychmiast przerwałaby wszelkie procesy życiowe. Nie działało się jeszcze nic strasznego, ale miał wrażenie, że siedzi na wulkanie,

który lada moment wybuchnie.

Liczył, że potrafi wyczuć tę chwilę tuż przed wybuchem i zapobiec mu. Ryzykował w imię miłosierdzia. I ciekawości.

— *Sancte Michael, defende nos in proelio, contra neffuitiam et insidias diaboli esto praesidium...* Jeszcze chwilkę, proszę... *supplices deprecamur...*

Jordan czekał.

— *Satanam aliosque spiritus malignos, qui ad perditionem animarum pervagantur in mundo, divina virtute, in infernum detrude...*

— Gdyby miało zadziałać, już by zadziałało — powiedział Domenic Jordan i pociągnął za spust.

* * *

Powóz był gotów do drogi. Peyretou siedział już w środku, a woźnica na koźle. Domenic Jordan stał przy bramie, żegnając się z Constancją d'Alazet.

— Mój wnuk płakał wczoraj przez pana — powiedziała cicho, zmuszając się, by patrzeć mu w oczy. — Obiecał mu pan dyskrecję i nadużył jego zaufania. Laureta obudziła się dziś w nocy z krzykiem, a Janna...

— Janna nie żyje — dokończył spokojnie.

— Pan wziął mój pistolet bez mojej wiedzy. Zdawał pan sobie sprawę, że za nic nie zgodziłabym się, aby jechał pan tam z bronią. A pan wiedział, że broń będzie potrzebna...

— Nie — zaprotestował. — Liczyłem się z taką ewentualnością, to wszystko.

Czekała, aż usłyszy coś jeszcze, jakieś wyjaśnienia czy usprawiedliwienia. Nie usłyszała nic. Jordan spoglądał na nią z łagodną, niewzruszoną powagą. Milczał.

Pamiętał Jannę, która leżała w słońcu, w ciszy, we krwi, pośród unieruchomionych nagle zabawek, pamiętał także pełen bólu zawód na twarzy d'ony Constancii, gdy dowiedziała się, że zabił dziewczynkę. Nie pozwolił sobie o tym zapomnieć. Ale nie żałował, nie rozpamiętywał, nie miał wyrzutów sumienia. Postawiony raz jeszcze przez takim wyborem zrobiłby to samo.

Kobieta pierwsza odwróciła wzrok.

— Wie pan, że miałam do pana słabość? W pewnym sensie nadal mam. Ale pan nie pasuje do naszego świata i myślę, że dobrze pan o tym wie. Dlatego mam nadzieję, że nie będę zbyt nieuprzejma, jeśli powiem, że nie chcę pana więcej widzieć na oczy.

* * *

Gdy mijali Stryczek, Domenic Jordan wychylił się przez okienko powozu i krzyknął, by woźnica stanął.

— Zaczekajcie na mnie na następnych rozstajach — rzucił do Peyretou. — Porozmawiam z kimś i do was dołączę.

Młody sługa spojrział zdziwiony, bo wokół nie było żywej duszy, tylko suchy wiąz i wybujałe, rozkwitłe soczystą żółcią słoneczniki.

Powóz odjechał. Jordan podszedł do stojącej pod drzewem Alicji Figeac.

Nie była już powiewem wiatru w upalny dzień ani cieniem

w słońcu, lecz zwyczajną dziesięciolatką, jasnowłosą, w białej sukience i skórzanych chodakach, zupełnie niestosownych na lato.

Wodziła palcami po wyrytych na korze Stryczka liczbach, nawet nie patrząc na zbliżającego się mężczyznę. Ale on wiedział, że czekała tu właśnie na niego.

— Odda mi pan księgę? — zapytała, gdy stanął obok.

— Nie.

— Tak myślałam. — Skinęła głową.

Oderwała dłonie od drzewa, spojrzała na rozmówcę. Była ładna, choć nie piękna, wydawała się też bardzo miła. Tylko ona zdołała zachować w tamtym świecie swój dawny charakter, a przede wszystkim człowieczeństwo. Jordan sądził, że stało się tak, bo znalazła się tam nie z własnej winy, bo nie tęskniła do tamtego świata i nie marzyła o nim. Ale przede wszystkim dlatego, że miała silną wolę i cel, dla którego wróciła.

— Nie chciałam zrobić nic złego — powiedziała.

Na jej twarzy malował się upór, w oczach miała coś zupełnie niedzielnego i bardzo smutnego.

— Wiem — przytaknął. — Lecz ta księga jest niebezpieczna. Janna mogłaby w ciągu kilku chwil zmieść z powierzchni ziemi pół miasteczka. Nie zrobiła tego, bo nawet nie wiedziała, że może. Przypominała człowieka, który dostał nabity pistolet, ale nie ma pojęcia, do czego to służy, i potrafi tylko tłuc kolbą po głowie. Tylko że nawet taki człowiek prędzej czy później nauczy się strzelać.

— W takim razie — uśmiech uczynił jej ładną buzię piękną — powinniśmy się chyba pożegnać?

— Żegnaj.

Zawahał się, pochylił i objął Alicię. Nie odwzajemniła uścisku, ale też się nie cofnęła.

Domenic Jordan docenił gorzką ironię tego, że jedyne dziecko, jakie kiedykolwiek przytulił, w pewnym sensie od siedmiu lat było martwe.

3. Ciernie

— Czy żałujesz za grzechy, synu?

— Boleję nad tymi, których skrzywdziłem, i pamiętam o nich.

— Nie o to pytałem. Czy żałujesz za grzechy?

— Nie w takim sensie, jak ojciec to rozumie. Podjąłem pewne decyzje i wierzę, że postąpiłem słusznie.

— W takim razie, Domenicu, obawiam się, że znów nie mogę dać ci rozgrzeszenia... — westchnął Jego Ekscelencja biskup Malartre.

Jordan nie wspomniał, że to właśnie duchowny nalegał na spowiedź, nie on. Nie wspomniał także, że dzięki takiej samej rozmowie poznali się piętnaście lat wcześniej. Przybył wówczas do Alestry – prowincjusz na tyle pewny siebie, że nie przerażało go życie w wielkim mieście, a jednocześnie na tyle samotny, że któregoś dnia zaszedł do kościoła, chcąc podczas spowiedzi porozmawiać z kimś życzliwym. Sądził wtedy, że wyznanie grzechów przyniesie mu ulgę, lecz gdy ksiądz zapytał, czy żałuje, nieoczekiwanie sam dla siebie odparł, że nie, nie żałuje. Śni mu się czasem twarz człowieka, którego zabił, od czasu do czasu też przywołuje ją na jawie, bo nie chce zapomnieć. Ale nie żałuje i gdyby zaszła taka konieczność, jeszcze raz poderznąłby gardło własnemu ojcu.

Ipolit Malartre, któremu marzyła się dopiero biskupia godność,

ale który już wówczas był nieźle ustosunkowany, zainteresował się osobliwym młodzieńcem i otoczył go opieką. Nigdy nie pożałował raz podjętej decyzji. Domenic Jordan okazał się cennym sojusznikiem i biskup nieraz korzystał z jego pomocy. Wierzył przy tym, że protegowany mimo wszystko jest dobrym człowiekiem, choć to, że zawsze musiał dodać owo „mimo wszystko”, trochę Jego Ekszelencję niepokoiło.

Dziś także Ipolit Malartre zamierzał skorzystać z pomocy Jordana.

* * *

— Słyszałeś o wicehrabim de Margail i Cierniach? — zapytał już w swoich prywatnych apartamentach, gdy siedzieli w palisandrowych fotelach, które na pozór ujmowały skromnością, a tak naprawdę kosztowały więcej niż przeciętny powóz.

Domenic Jordan uniósł brwi w wyrazie lekkiego zdziwienia i skinął głową.

Wicehrabia Crisologue de Margail był niesfornym dzieckiem alestrańskiej arystokracji. W młodości sporo podróżował, a złośliwi szeptali, że za granicą odwiedzał głównie karczmy i domy rozpusty. Gdy wrócił do kraju, zaczął studiować medycynę, choć nie było przyjęte, by szlachetnie urodzeni mieli jakikolwiek zawód. Medycyna znudziła mu się po czterech latach. De Margail wstąpił do seminarium, ale otrzymanie niższych święceń kapłańskich też nie przyniosło mu satysfakcji. Niedługo później Alestra oglądała go w roli mecenasa opery, a przez jego łóżko przewinęli się wszyscy urodziwi kandydaci na śpiewaków, bo wicehrabia w sprawach

miłosnych miał równie zmienne upodobania, jak w kwestii wyboru kariery życiowej. Kilka lat temu de Margail niespodziewanie zniknął, do Alestry dotarły zaś plotki, że kupił Ciernie, dawną posiadłość Forcade'ów, zniszczoną podczas rebelii generała Bergogne'a, i urządził w niej przytułek dla obłąkanych. Tam właśnie, jak wyjaśnił biskup, wydarzył się cud.

Ciernie, zakład dla obłąkanych – trzy dni wcześniej

Marcella zmierzała w stronę kaplicy, idąc przez ciemny jeszcze ogród otulony jesienną mgłą, srebrzystą i miękką niczym całun utkany z pajęczych nici. Stąpała ostrożnie, uważając, by nie wylać zawartości dwóch wiader, które niosła. Raz chlapnęła sobie gorącą wodą na stopy, ale szczęśliwie pomoczyła tylko chodaki, nie pończochy. Październikowy chłód kąsał policzki, wdzierał się pod wełnianą bluzkę i spódnicę, szczypał w uda.

Nie przeszkadzało jej to.

Okaleczone marmurowe posągi spoglądały na nią, gdy szła z uśmiechem na twarzy i rozśpiewaną duszą, która przy każdym kroku chwaliła Pana.

* * *

Potem, gdy w kaplicy przy blasku kopcącej świecy szorowała posadzkę, czuła jak zawsze, że jej obolałe ciało wyśpiewuje *Ave Maria*, *Hosanna* i *Pater noster*, i mnóstwo jeszcze słów, których za dobrze nie rozumiała, lecz które niosły ze sobą bożą miłość i wybaczenie.

W kaplicy czuć było dym z taniej łożówki, kadzidło, a także

mocz, bo wariaci podczas mszy czasem robili pod siebie.

Marcella skończyła, wyszła na dwór, po czym chlusnęła brudną wodą w kępę krzaków.

Świtało. Mgła rozwiewała się powoli, a niebo na wschodzie, purpurowe i sinofioletowe, przypominało przejrzały owoc granatu.

Kobieta odstawiła wiadra i weszła w głąb ogrodu. Wciąż było dość ciemno, więc bardziej przy pomocy dotyku niż wzroku odnalazła klomb, na którym rosły chryzantemy. Jesienne kwiaty wydawały się ciężkie i chłodne, jakby nasiąkły mgłą. Chwytała w dłonie główki, przesuwając palcami w dół i rwała kwiaty tuż nad ziemią, tak aby łodygi pozostały jak najdłuższe.

Wróciła do kaplicy, niosąc świeży, pachnący jeszcze nocą bukiet.

Do jej obowiązków należało wymienianie kwiatów wkładanych do kosza bezimiennej świętej, której figura stała przy ołtarzu. Położyła więc chryzantemy na ziemi, tuż obok łojowej świecy – ani jednego, ani drugiego za nic nie odważyłaby się umieścić na ołtarzu, choć należałoby to uznać za najwygodniejsze rozwiązanie – i wyciągnęła ręce, sięgając marmurowego kosza.

Zeschłe kwiaty, które chwyciła, chrzęściły między palcami, płatki sypały się w proch. Nie wszystkie. Niektóre były mokre, lepkie. Zgniły, pomyślała Marcella z niesmakiem. Puściła bukiet i schyliła się po drugi, świeży.

Światło świecy padło na jej dłonie pokryte czymś ciemnym i gęstym, co wydzielalo mdlącą, lekko stęchłą, ale wciąż słodką woń.

— Bzdura — powiedział doktor Glaude, zadzierając głowę.
— Posągi nie płaczą. W dodatku jeszcze krwawymi łzami.

— Cóż, jak widać, ten ma gdzieś pańską opinię — odparł zgryźliwie doktor Remessari.

Glaude wyjątkowo nie odpowiedział. Lekarze pograżyli się w milczeniu, spoglądając na posąg, na biel marmuru skażoną purpurą krwi.

Doktor Glaude był pulchny, odrobinę nerwowy i gadatliwy. Lubił oznajmiać oczywiste fakty, takie jak „pada deszcz” czy „piękną mamy jesień w tym roku”, tonem sugerującym, że właśnie dokonał ważnego odkrycia. Lubił też dla odmiany – właśnie tak jak przed chwilą – zaprzeczać temu, co widział na własne oczy. Doktor Remessari, wysoki, chudy i ubrany w dwa razy za szeroki płaszcz, miał złośliwą naturę i uwielbiał pokpiwać z kolegi, przez co czasem dochodziło między nimi do sporów. Ale były to spory pozbawione prawdziwego gniewu, ot, dobre na tyle, by zabić nudę dłużących się dni. O to, co ważne, czyli o sposób traktowania pacjentów, nie sprzecjali się nigdy, bo tak naprawdę ani doktor Glaude, ani doktor Remessari nie mieli w Cierniach nic do powiedzenia. Tutaj liczyło się tylko zdanie dyrektora, wicehrabiego de Margail.

Drzwi kaplicy skrzypnęły i do środka wsunęła się Marcella. Za nią szedł Crisologue de Margail.

Nawet obudzony o tak wczesnej porze wyglądał elegancko – widać było, że na toaletę poświęcił kwadrans więcej niż jego pomocnicy, którzy powiadomieni przez służącą ubrali się jak najszybciej i pobiegli do kaplicy. Wicehrabia zdążył wypomadować czarne wąsy, których końce sterczały teraz zawadiacko, i starannie

rozczesał siwiejące włosy, w jego stroju nie brakowało zaś ani zawieszzonego na różowej wstążeczce monokla, ani cienkich rękawiczek z jeleniej skórki, zapiętych, jak należy, na trzy guziczki.

De Margail podszedł do posągu i przez chwilę przyglądał mu się przez monokl, a dwaj lekarze z kolei pilnie obserwowali przełożonego, czekając na jego reakcję. Glaude sądził, że na twarzy dyrektora maluje się skupienie, Remessari natomiast dostrzegł w niej złość. Sam był zły, bo taką reakcję wywoływały w nim wszystkie niespodziewane wydarzenia, które dezorganizowały życie w Cierniach.

W rzeczywistości wicehrabia de Margail po prostu starał się ukryć lęk.

— Interesujące — wycedził przez zęby. — Nad wyraz interesujące.

Krew zbryzgała marmurowe policzki bezimiennej świętej, jej piersi, które wynurzały się z kusej antycznej szaty, samą szatę i bosc stopy. W kaplicy unosił się ciężki metaliczny zapach.

Rzeźnia, pomyślał wicehrabia, czując, jak w jego ustach gęstnieje kwaśna ślina, a żołądek podchodzi do gardła. Kiedyś, dawno temu, widział świniobicie. Ciepła krew trysnęła wówczas na twarz pomocnika i przez chwilę, nim chłopak starł ją rękawem, zwisała grubymi kroplami z jego rzęs.

Dwadzieścia lat temu hrabia mógł pozwolić sobie na to, by odwrócić wzrok. Teraz był świadom, że zarówno obaj medycy, jak i Marcella oczekują od niego decyzji.

— Umyjcie ją — rzucił. — Resztą ja się zajmę.

Miał na myśli, że jeszcze dziś napisze do biskupa i poprosi go

o pomoc.

* * *

— Czego ojciec ode mnie oczekuje? — zapytał Jordan, gdy wysłuchał opowieści.

— Widzisz, Domenicu — rozpoczął z powagą biskup — ty i ja znamy prawdę o świętych, prawdę, którą wciąż jeszcze oficjalnie uważa się za herezję i która nie jest przeznaczona dla pospólstwa. Bo pospólstwo potrzebuje pewności, że święci są pomostem łączącym nas z Bogiem. My jednak wiemy, jak to wygląda w rzeczywistości. Ot, żyje sobie błogosławiony człowiek, który słyszy głos Boga. Człowiek ów jest dobry, pobożny, postępuje zgodnie z przykazaniami. Nie pragnie niczego innego, jak tylko pomagać bliźnim, a chęć ta jest tak silna, że po śmierci jego dusza nie przechodzi do kolejnego ciała, lecz trafia do świata duchów i demonów. Człowiek ów staje się świętym i zyskuje niezwykle możliwości, lecz jednocześnie głos, który podtrzymywał go przez całe życie, milknie, bo świat, tamten świat, jak nazywają go niektórzy, odcięty jest od łaski bożej. Bóg przemawia bowiem tylko do nas, do ludzi żyjących, nigdy zaś do istot z tamtego świata: duchów, demonów czy świętych. Niektórzy wytrzymują ową próbę, inni załamują się i popadają w szaleństwo. Stąd wśród świętych sporo jest istot naprawdę dobrych, które nie zapomniały o Bogu i Jego przykazaniach, ale też i sporo jest obłąkańców, którzy karmiąc się wiarą wiernych, spełniają najbardziej szalone prośby. Kościół rzadko ingeruje w takie sprawy, wychodząc z założenia, że nie należy bez naprawdę ważnych przyczyn niszczyć zaufania,

jakim prości ludzie obdarzają świętych. Zdarzają się jednak przypadki, że ingerencja jest nieodzowna. W moim przekonaniu, Domenicu, mamy do czynienia z taką właśnie sytuacją.

Ipolit Malartre umilkł. Powaga na jego twarzy zabarwiła się lekko smutkiem.

— Kłopot w tym — westchnął — że nikt nie wie, kim jest płacząca krwawymi łzami święta. W Cierniach znajduje się mnóstwo marmurowych posągów, zarówno w kaplicy, jak i w ogrodzie, a większość z nich, przynajmniej tak można przypuszczać, przedstawia świętych. Jednak ich imiona zaginęły wraz ze śmiercią poprzednich właścicieli posiadłości i nie wiadomo teraz, kto właściwie płacze w ciernijskiej kaplicy. Sądzę że to jedna z tych zapomnianych, na wpół obłąkanych istot, których nie powinno się nawet nazywać świętymi... — w głosie biskupa pojawiło się leciutkie wahanie, bo zdał sobie sprawę, że nie jest do końca uczciwy. Założył, że ciernijska święta jest szalona i niebezpieczna, gdyż tak było wygodniej, lecz nie miał przecież żadnych dowodów.

Spojrzał z niepokojem na rozmówcę. Nie potrafił nic wyczytać z jego twarzy.

— Obecność kogoś takiego — podjął pewniejszym tonem — już jest dość kłopotliwa, a trzeba wziąć pod uwagę, że to są Ciernie, przytułek dla wariatów, upośledzonych umysłowo i obłąkanych morderców. Co pomyślą prości ludzie, gdy rozejdzie się wieść, że w takim miejscu zdarzają się cuda? Płacząca figura to nic, ale jeśli owa istota zechce popisać się jeszcze jakąś sztuczką, sytuacja może się stać poważna. A ja nie życzę sobie, aby ludzie

pielgrzymowali do miejsca, w którym żyją histeryczki i zabójcy. Na szczęście Ciernie leżą pośród lasów, z dala od wiosek, więc minie jakiś czas, zanim rozejdą się plotki. Nie liczę jednak na więcej niż tydzień zwłoki. Dlatego chcę, abyś pojechał tam jak najszybciej, rozeznał się w sytuacji i... działał wedle swego uznania. Spojrzał protegowanemu prosto w oczy. — Myślę — dodał wolno — że panna Veronica d'Amat powinna towarzyszyć ci w tej podróży.

Ostatnie zdanie jasno informowało, czego życzy sobie biskup. Ipolit Malartre wiedział, że w ciele Veroniki mieszka dusza Montserrat, czarownicy o mocy tak wielkiej, że rok temu walczyła w Mandracourt z miejscowym świętym zwanym Strażnikiem Nocy. Walczyła i wygrała, a dusza Strażnika powędrowała dalej, do następnego ziemskiego ciała, albo też została ukarana przez Boga pobyt w piekle – jeżeli oczywiście Bóg i piekło w ogóle istnieli.

— Trudne zadanie stawiasz przede mną, ojczy. — Jordan nie spuszczał oczu z twarzy Jego Ekscelencji. — Ja mam podjąć decyzję, a Veronica ma... — urwał świadom, że biskup boi się słowa, które może paść — sprawić, aby niesforna święta zniknęła równie szybko, jak się pojawiła? — dokończył gładko.

Duchowny niemal niezauważalnie odetchnął z ulgą, po czym skinął głową.

— Czy panna Veronica d'Amat zgodzi się ci towarzyszyć? Mniemam, że jesteście... w dobrych stosunkach?

Jordan roześmiał się.

— Ojciec ma dziś skłonność do używania eufemizmów — powiedział. — Tak, jesteśmy w dobrych stosunkach i wierzę, że panna d'Amat zgodzi się mi towarzyszyć. Chciałbym zapytać

o jedno: a jeśli okaże się, że pojawiająca się w Cierniach istota zasługuje na miano świętej? Co wtedy?

Jego Ekscelencja milczał przez chwilę, choć przecież spodziewał się tego pytania. On i Domenic Jordan znali się wystarczająco dobrze, by czasem rozumieć się bez słów, ale w pewnych kwestiach po prostu nie było miejsca na niedomówienia.

Wstał, gestem nakazał, by gość pozostał w fotelu, po czym podszedł do niego i pocałował w czoło.

— Rób to, co dyktuje ci sumienie. Ufam ci, Domenicu...
— urwał, po czym dodał po chwili cicho — mimo wszystko...

Ciernie, zakład dla obłąkanych – trzy dni wcześniej

Marcella wylała w krzewy kolejne wiadro wody, tym razem zabarwionej krwią.

— Zginą wszyscy... — dobiegł ją z tyłu cichy, chropowaty głos.

Odwróciła się, spojrzała na budynek, do którego przylegała kaplica, potem przeniosła wzrok w dół na rząd małych, zakratowanych otworów. Nie były to okna od piwnic, jak można by przypuszczać, lecz od podziemnych cel.

W jednym z nich widniała naznaczona szaleństwem kobieca twarz.

— Zginą wszyscy... — powtórzyła wariatka, podnosząc głos do wysokiego, pełnego smutku zaśpiewu. — Brata obejmie drzewo, ukochaną pocałują wróble, a króla ukołyszże woda...

Marcella trąciła stopą kraty, lekko i bez złości.

— Cichajże, wrono — powiedziała karcąco. A potem dodała już sama do siebie — nic, aby krakać i krakać...

* * *

Domenic Jordan odnalazł pannę Veronicę d'Amat tam, gdzie się spodziewał, czyli u markizy de Borneill.

Stała w salonie otoczona sporą gromadką wielbicieli, nie tylko młodych mężczyzn, ale i starszych panów, a nawet kobiet. W lekkiej muślinowej sukni, ze sztucznymi stokrotkami wpiętymi w kasztanowe włosy, swawolna, złośliwa i niewinna zarazem, była idealną maskotką dla zepsutej alestrańskiej arystokracji. Od prawie roku, czyli od czasu, gdy przybyła do stolicy, Veronica bawiła się tak intensywnie, jakby chciała powetować sobie lata prowincjonalnej nudy. Nowe możliwości zawdzięczała w dużej mierze Jordanowi. To on wprowadził ją do towarzystwa, on też zeszłej zimy wynajął zręcznego prawnika, niemal cudotwórcę, który uwolnił pannę od kurateli prawnego opiekuna.

Veronica d'Amat kupiła dom w sąsiedztwie Domenica Jordana i zamieszkała w nim tylko z dwiema służącymi. Odkryła przy tym nieświadomie pewną prawidłowość. Otóż alestrańska arystokracja, żadna wciąż nowych wrażeń, mogła wiele wybaczyć młodej panie, jeśli tylko ta była piękna, inteligentna, a przede wszystkim oryginalna i zabawna. Nie potępiono więc Veroniki za to, że żyła samotnie, bez ojca, brata czy męża, który by się nią opiekował. Wręcz przeciwnie: stało się to jeszcze jednym powodem, by interesować się dziewczyną, a ona sprytnie potrafiła to zainteresowanie podsycić. Miała cięty język i czasem pozwalała

sobie na zbyt wiele, ale jednocześnie było w niej tyle naturalnej dziewczęcej niewinności, że nigdy dotąd nie spotkała się z nieprzyzwoitą propozycją, jak by to miało niewątpliwie miejsce w przypadku każdej innej panny mieszkającej samotnie. Starsze panie i starsi panowie opiekowali się nią, dziewczęta koniecznie chciały zostać jej przyjaciółkami, a młodzieńcy uwielbiali z nią flirtować, lecz żaden nie odważył się na nic więcej, zupełnie jakby uważali pannę d'Amat za jakąś dziewiczą boginię przypadkiem zesłaną na ziemię. Boginię, którą należy podziwiać i której postępowania się nie ocenia, przynajmniej dopóki zachowuje ona swoje boskie atrybuty, czyli żywą inteligencję, piękno, a przede wszystkim niewinność.

Jordan szedł przez salon świadom, że goście odwracają za nim głowy. Był na tyle charakterystyczny, że zwracał na siebie uwagę, a przy tym na tyle obcy, że łatwo przychodziło mu zdystansowanie się od drobnych problemów i plotek, którymi żyły alestrańskie salony. Lubił jednocześnie znajdować się w centrum zainteresowania i być chłodnym obserwatorem. Słabość stosunkowo niewinna, ale jednak słabość, więc zazwyczaj starał się ją kontrolować.

Veronica przerwała rozmowę, przeprosiła i podeszła do niego. Kilkanaście par oczu odprowadziło ją bez większego zaciekawienia. Domenic Jordan uchodził za jej kuzyna, a cóż niezwykłego może być w tym, że mężczyzna chce porozmawiać ze swą krewną? Niemniej gdyby ktoś przyjrzał się dziewczynie, zauważyłby, że znikła swoboda, z jaką przed chwilą śmiała się i flirtowała. Wciąż była uśmiechnięta, ale jednocześnie sprawiała

wrażenie czujnej i spiętej.

Przeszli do jednego z mniejszych saloników i znaleźli spokojne miejsce przy oknie. W pomieszczeniu siedziały tylko trzy staruszki. Jedna drzemała na fotelu przy kominku, dwie pozostałe zabawiały się porównywaniem pięknie ilustrowanych modlitewników.

Jordan cicho opowiedział o rozmowie z biskupem. Gdy skończył, panna d'Amat nawet na niego nie spojrzała.

— Tak naprawdę — powiedziała, wbijając wzrok w podłogę — potrzebujesz nie mnie, lecz Montserrat. Dlaczego jej nie zapytasz, czy chce z tobą jechać?

— A możesz umożliwić mi rozmowę z nią?

Nie odpowiedziała. Oboje wiedzieli, że Montserrat przychodzi i odchodzi, kiedy ma na to ochotę. W ciągu ostatnich miesięcy przejęła kontrolę nad ciałem Veroniki ledwo kilka razy, i pojawiała się tak rzadko, że dziewczyna niemal o niej zapomniała.

— Ufasz jej? — zapytała szeptem, przenosząc spojrzenie z podłogi na okno, za którym rozciągał się październikowy krajobraz.

— Nie — odparł, bo nigdy nie zaufałby komuś, kogo choć w części nie mógł kontrolować.

— Wierzę jednak — dodał po chwili — że Montserrat w pewnym sensie naprawdę cię lubi i nie chce twojej krzywdy. A ponadto sądzę też, że w pewnych kwestiach udało nam się dojść do porozumienia.

— Nam, czyli tobie i jej? — w napiętym głosie panny d'Amat zabrzmiała uraza.

Milczał. Spojrzała na niego przelotnie i zaraz odwróciła wzrok.

— Jeśli czarownica nie zechce mi pomóc, będę musiał dać sobie radę sam — powiedział po chwili, podczas gdy dziewczyna uparcie wpatrywała się w okno. — Prawdę mówiąc, wolałbym nie być zmuszonym do korzystania z talentów Montserrat.

Ciernie, zakład dla obłąkanych – dzień przed przyjazdem Domenica Jordana

— To już czwarty — mruknął doktor Glaude, po czym przeżegnał się nabożnie.

Doktor Remessari parsknął urywanym, nerwowym śmiechem. Tym razem rozplakał się jeden ze stojących w ogrodzie posągów, przedstawiający na wpół nagiego, delikatnego młodzieńca o osobliwie dziewczęcych rysach twarzy. Młodzieniec nie wyglądał na świętego i Remessari nabierał coraz mocniejszego przekonania, że płaczące figury to sprawka raczej diabelska niż boska.

Krew grubymi kroplami spływała po torsie antycznego pięknisia i zbierała się w fałdach tkaniny okrywającej jego biodra. Krzepła tam i brązowiała, a Remessari poczuł, że mimo lat lekarskiej praktyki na jej widok ogarnia go obrzydzenie.

— Trzeba to zmyć — powiedział niepewnie poblady Glaude, w pamięci mając stanowcze słowa dyrektora, że kolejnymi płaczącymi posągami nie należy zawracać mu głowy. — Może sami to zrobimy?

— Jeśli posąg potrafi płakać, to powinien też umieć sobie nos wytrzeć — parsknął doktor Remessari. — Ja mam lepsze zajęcia niż pucowanie obsmarkanych świętych.

Glaude obrzucił go wystraszonym spojrzeniem.

— Nie wolno panu z tego żartować! To wydarzenie... to wydarzenie łamie porządek natury!

— Ach, jaki pan jesteś bystry. Rzeczywiście, posągom rzadko zdarza się płakać. W takim razie mamy chyba do czynienia z cudem, nieprawdą?

Doktor Glaude odwrócił się urażony.

W tym momencie dostrzegli biegnącą ku nim Marcellę. Jej krótkie jasne włosy rozwiewał wiatr, a pucołowate policzki poczerwieniały od zimna.

— Tam... — wydyszała, wskazując dłonią za siebie w stronę szarej bryły budynku. — Tam... jakiś napis... nie rozumiem...

Doktor Glaude spojrział w jej błękitne oczy, które wypełniało zdumienie, i domyślił się, że mówi „nie rozumiem”, Marcella nie miała bynajmniej na myśli tego, że nie umie jeszcze dobrze czytać. Ona, tak jak wszyscy, po prostu desperacko próbowała pojąć, co właściwie dzieje się w Cierniach. Próbowwała, ale nie potrafiła. Nikt nie potrafił.

* * *

W jednym z przydrożnych zajazdów panna Veronica d'Amat zajmowała się poranną toaletą. Rozczesała i ułożyła włosy, tak aby sprawiały wrażenie naturalnego nieładku, potem przycięła i opiłowała paznokcie, a świeżo umytą twarz przypudrowała leciutko, by skóra wydawała się jeszcze bielsza. Gdy skończyła, sięgnęła po nesoser i starannie ułożyła w nim szczotki, pilniczki i puderniczkę.

Nesoser wykonany został z miękkiej czerwonej skórki

i zaopatrzony w złote okucia i złoty zamek. Znajdujące się w nim przybory oprawione w bursztyn również były bardzo piękne, a także drogie. Ich widok kontrastował z odrapanymi ścianami zajazdu, z koślawym stołem służącym za toaletkę, na którym stała miska z wodą i pęknięte lustro.

Veronica włożyła maleńkie nożyczki w ostatnią przegródkę, po czym zamknęła neseser.

Poczuła się nagle tak, jakby lodowata dłoń sięgnęła do jej piersi, chwyciła za serce i potrząsnęła nim. Zabrakło jej tchu. Siedziała chwilę bez ruchu, zaciskając ręce.

Boże, co ja tu robię? – pomyślała.

Spojrzała w lustro. Odbicie, mimo że zeszpecone biegnącą w poprzek rysą, wiernie oddawało piękno dziewczęcej buzi. Ale dziś własna uroda nie poprawiła pannie d'Amat humoru.

W Alestrze, wśród arystokracji, Veronica czuła się kimś naprawdę niezwykłym, lecz tutaj nie miało to żadnego znaczenia. Nie pasowała tu, śliczna biała panienka. Taka dowcipna i śmiała. Taka zagubiona i nieszczęśliwa. To nie było jej miejsce. Należała do świata teatrów i salonów, gdzie elegancko ubrani mężczyźni szeptali do uszu swych pięknych towarzyszek słodkie tajemnice.

Nie powinno jej tu być, w tym cały kłopot.

Zimna dłoń zacisnęła się mocniej wokół serca dziewczyny, a ona poczuła absurdalną pewność, że Ciernie rozpoznają w niej obcą, a potem niczym przedpotopowy potwór połkną ją, by wypluć tylko buciki na wysokim obcasie po dwieście pięćdziesiąt eccu para, pierścionki i kolczyki z czarnymi perłami (niektórzy mówią, że czarne perły przynoszą nieszczęście, ale są przecież modne i tak

pięknie podkreślają biel skóry), a także biało-srebrną suknię na taftowym spodzie i zdobiące włosy stokrotki, na których płatkach sztuczne krople rosy błyszcząły jak łzy.

Ciernie, zakład dla obłąkanych – dzień przed przyjazdem Domenica Jordana

Szkarłatny napis biegł w poprzek szarej ściany i doktor Remessari pomyślał, że to nareszcie jakaś odmiana. Przez kilka ostatnich dni oglądali krew na marmurowej bieli posągów, teraz zobaczyli czerwień plamiącą szare kamienie, z których zbudowane zostały Ciernie.

— Brata obejmie drzewo, ukochaną pocałują wróble, a króla ukołyszże woda. Już czas. Wszystko zacznie się jutro — przeczytał na głos, a potem spojrział zdumiony na Marcelłę i doktora Glaude'a. — Co to, u diabła, ma znaczyć?

* * *

Najpierw długo jechali przez gęstą puszcze, tak wybujałą, że panował tu wieczny półmrok i chłód. Potem niespodziewanie, jakby ktoś wypowiedział magiczne zaklęcie, drzewa rozstąpiły się i powóz stanął przed bramą.

Ze stróżówki wybiegł starszy mężczyzna, który usłyszawszy nazwisko Jordana, pospiesznie otworzył żelazne wrota.

Znaleźli się na terenie Cierni.

Park w niczym nie przypominał dzikiej puszczy, pośrodku której leżał. Był przestronny i uporządkowany; niskie żywopłoty tworzyły tu skomplikowane labirynty o fantastycznie

geometrycznych kształtach, a teren przecinały szerokie, wysypane żwirem aleje. Wzdłuż nich na cokółach stały okaleczone posągi: białe i ślepe, z torsami naznaczonymi dziurami po kulach. A ponad nimi płonęły czerwone korony klonów i żółte dębów. Był październik, jesień w pełnej krasie, pyszna i melancholijna jak stary król w dzień swej ostatniej parady.

Domenic Jordan wychylił się przez okienko powozu. Docenił urok parku, docenił także – choć już inaczej, bo z błyskiem ironicznego humoru – scenę, która rozgrywała się przed jego oczami.

Bo oto zwirową alejką pędził w stronę powozu chudy mężczyzna w płaszczu tak obszernym, że przypominał latawiec, który za moment wzniesie się w powietrze. Wymachiwał ramionami i wrzeszczał coś, lecz jego słowa porywał wiatr.

Jordan krzyknął do woźnicy, by wstrzymał konie. Dokładnie w momencie gdy powóz stanął, mężczyzna dopadł drzwiczek i uwiesił się na nich.

— Pan jesteś ten ekspert z Alestry? — wyrzucił z siebie, a jego twarz wykrzywiona była na równi przez przerażenie, jak przez złość.

Nim otrzymał odpowiedź, znów zaczął wrzeszczeć:

— Niech pan coś zrobi! Tak nie może być! Mam tego dość! Niech pan coś z tym zrobi!

* * *

Nieznajomy ciągnął Domenica Jordana w głąb parku, a na wszystkie pytania odpowiadał urywanymi zdaniami: „Pan się sam

przekona. Sam pan zobaczy”.

Jordan pojął, że przynajmniej chwilowo nie dowie się, gdzie i po co ma iść, rozsądnie jednak założył, że nie zobaczy nic przyjemnego. Poleciał więc Peyretou, by zaprowadził Veronicę d'Amat do wicehrabiego de Margail i przy okazji powiadomił dyrektora, że w Cierniach wydarzyło się coś niezwykłego.

Potem podążył za nieznanym, który po drodze zdołał opanować się na tyle, by podać swoje nazwisko. Nie był pacjentem, jak Jordan podejrzewał, lecz lekarzem i nazywał się Franco Remessari.

Zatrzymali się przed rozłożystym platanem. Doktor wyciągnął dłoń w stronę korony drzewa.

— Tam — powiedział.

W pierwszym momencie Jordan nie dostrzegł nic. Dopiero po chwili zauważył pośród żółtobrazowych liści biel twarzy. Podeszedł bliżej, a gdy jego umysł pogodził się już z tym, co widzą oczy, zidentyfikował kolejne szczegóły.

Splamiona krwią koszula nocna. Bose stopy kołyszące się na wietrze do wtóru drżenia liści. Białe jak rybi brzuch dłonie, które wynurzały się ze złocistego gąszczu.

Na drzewie wisiał mężczyzna, podtrzymywały go zaś gałęzie wbite w ciało.

Dwie na wysokości nerek, jedna tuż obok serca, kolejna przechodząca przez prawy bark i następna, która utkwiała w lewej dłoni. Ostatnia, najcieńsza, przebiła policzek i sterczała teraz z szeroko otwartych ust. Na jej końcu dygotał leciutko szkarłatny od krwi liść.

— Tego nie zrobił człowiek — wymamrotał Remessari. — To jakaś magia...

Jordan zgodził się z nim. Inaczej trudno byłoby wytłumaczyć, że gałęzie nie połamały się ani nawet nie straciły liści, gdy wbijano je w ciało.

— Brata obejmie drzewo — powiedział doktor cicho, bardziej do siebie niż do towarzysza — ukochaną pocałują wróble, a króla... — urwał i wrzasnął.

Wiszący na drzewie mężczyzna otworzył oczy. Z ust buchnęła krew.

— On jeszcze żyje! — krzyknął Remessari.

— Potrzebna będzie drabina, a najlepiej dwie, piły, ostre noże i kilku krzepkich ludzi — zakomenderował Jordan.

W gruncie rzeczy był przekonany, że potwornie okaleczony człowiek umrze, nim nadejdzie pomoc. Nie docenił go jednak. Wisielec wciąż żył, gdy dwaj posługacze ostrożnie położyli go na ziemi. Domenic Jordan, ignorując niechętnie spojrzenie Remessariego, pochylił się, by zadać umierającemu pytanie.

Nie zdążył. Powieki mężczyzny zadrgały, prawa dłoń otworzyła się i zamknęła, jakby próbował zacisnąć ją w pięść, a rysy stężały. Skonał.

* * *

— Nie będę z panem spać.

— Słucham?

— Nie położę się z panem. Ani nie będziemy tego robić na stojąco, ani na siedząco, ani w ogóle. Nigdy i nigdzie.

Jordan z zainteresowaniem przyglądał się kobiecie, która przyniosła mu gorącą wodę, mydło i lniany ręcznik. Stała przed nim z dłońmi na biodrach i zadartą wyzywająco brodą. Nie była najmłodsza – mogła liczyć jakieś trzydzieści lat – ale miała miło zaokrąglone kształty i wciąż jeszcze świeżą urodę, którą wielu z pewnością opisałoby za pomocą wyświechtanych określeń: włosy jak len, policzki jak jabłuszka, usta jak wiśnie.

— Nie mam takich zamiarów — zapewnił. — Aczkolwiek — dodał, wykrzywiając lekko wargi — nie jestem w swym postanowieniu aż tak kategoryczny.

Zastanawiała się przez chwilę, a potem wybuchnęła śmiechem, osobliwie kontrastującym z lękiem, jaki wyzierał z oczu wszystkich mieszkańców Cierni.

— Marcella mnie wołają — przedstawiła się. — Ja tu jako wariatka przyszedłam, ale potem dobrodziej mnie wypuścili i pozwolili sobie pomagać. Żadna tam ze mnie przyzwoita kobita, jak widzicie.

* * *

Po zamieszaniu, które nastąpiło w chwili śmierci doktora Martinusa Glaude'a – bo tak nazywał się zmarły – gdy zwłoki spoczęły już w maleńkiej kostnicy przy kaplicy, de Margail zaprosił gości do swoich apartamentów, by pokrzepili się po podróży.

Usiedli wokół owalnego stołu zastawionego porcelaną w kolorze kobaltu i kości słoniowej. Na każdym naczyniu, nawet na solniczkach, widniał herb rodu de Margail.

Wicehrabia, który nawet nie spojrzał na okaleczone ciało, jadł

ze smakiem. Apetyt dopisywał również Jordanowi, przyzwyczajonemu do znacznie gorszych widoków. Za to Veronica d'Amat była blada i ledwo tknęła posiłek. Domenic Jordan współczuł jej odrobinę, zdawał sobie jednak sprawę, że nie zdoła całkowicie uchronić towarzyski przed tym, co dzieje się w Cierniach. Oszczędzono jej wprawdzie widoku wiszącego na drzewie mężczyzny, ale teraz, podczas rozmowy, poznała szczegóły jego makabrycznej śmierci.

De Margail wyjaśnił, że ostatni raz widziano Glaude'a wczorajszego wieczoru, gdy cały i zdrowy szedł spać. Rankiem służący zastał pustą sypialnię. Nie wzbudziło to niepokoju, bo wszyscy sądzili, że doktor po prostu nabrał ochoty na poranny spacer. Dopiero koło dziesiątej Franco Remessari zirytował się i poszedł szukać kolegi.

— Ufam, że zdołasz, panie, wyjaśnić, co tu się dzieje — zakończył wicehrabia. — Ja sam, a mówię to bez fałszywej skromności, osiągnąłem mistrzostwo w dziedzinie, którą sobie wybrałem, czyli w leczeniu szaleńców. Mistrz potrafi rozpoznać mistrza, a w panu wyczuwam umysł podobny do mojego: uporządkowany i nieprzeciętny. Umysł, dla którego ważny jest cel, a każdy wiodący do niego środek, choćby budził sprzeciw pospolitych ludzi, jest dobry. Czy się mylę?

— Dajmy spokój moim zapatrywaniom na wiodące do celu środki — powiedział Jordan, przyglądając się z ciekawością wicehrabiemu, który pod wpływem tego wzroku drgnął nerwowo. — Czy pańskie słowa mam rozumieć tak, że zaufa mi pan całkowicie i zaakceptuje bez pytania moje polecenia, nawet gdyby

z pańskiego punktu widzenia były bezcelowe?

Twarz wicehrabiego skurczyła się w grymasie niechęci. Nie podobało mu się, że gość wykorzystując jego własne słowa, schwytał go w pułapkę, ale już nie potrafił się wycofać.

— Owszem, tak — odparł po chwili.

— Przyznaję, że bardzo mi to odpowiada. — Domenic Jordan uśmiechnął się uprzejmie. — Zacznijmy może od prostego pytania. Czy zmarły był czyimś bratem?

De Margail poprawił monokl i spojrzał uważnie na rozmówcę. Końce jego czarnych, wywiniętych w górę wąsów drgały lekko. Przypominał eleganckiego królika i Veronica d'Amat, która właśnie uświadomiła sobie to podobieństwo, zachichotała nerwowo.

— Przepowiednie Kasandry, litery wypisane krwią na ścianie. O to pytasz, panie?

Jordan skinął głową.

— Cóż — podjął wicehrabia — z tego, co wiem, Glaude nie miał rodzeństwa.

— A dalsze słowa przepowiedni? Czy one z czymś się panu kojarzą?

— Nie znam nikogo, kogo mógłbym uznać za „ukochaną”. — Skrzywił się z niechęcią. — Jesteśmy tu bardzo surowi w kwestii obyczajów. Żadnych miłostek, taka jest moja zasada. Zresztą praca w takim miejscu byłaby niestosowna dla kobiet, więc nie mamy tu służących, posługacze mają zaś przykazane, by nie zadawać się z pacjentkami. Za coś takiego natychmiast straciłoby pracę i doskonale o tym wiedzą.

Jordan pomyślał, że de Margail bardzo trywializuje pojęcie

miłości, ale nie powiedział nic.

— Król zaś — wicehrabia nadal krzywił usta — kojarzy mi się tylko z Veranem de Sent-Circ. Ale to przecież obłąkany i nie pojmuję, jakim sposobem może on mieć coś wspólnego z tym, co się tu dzieje. Zapoznam pana z historią jego szaleństwa, ale najpierw, jeśli nie ma pan nic przeciwko, oprowadzę pana po Cierniach.

* * *

Wicehrabia de Margail poprowadził Jordana do kaplicy, by pokazać mu posąg świętej, który rozplakał się jako pierwszy, a potem do ogrodu, do kolejnych białych figur, które w ostatnich dniach zalewały się krwawymi łzami.

Razem było ich pięć. Ubrana w antyczną szatę święta w kaplicy, stojąca przy głównej alei panna, która nosiła modny przed stu laty strój, pastereczka na jednej z fontann, półnagi młodzieniec o delikatnej urodzie i w końcu alegoria macierzyństwa: ciężarna kobieta, młoda i bardzo piękna.

Posągi na pozór niewiele miały ze sobą wspólnego, Jordan jednak, tylko część uwagi poświęcając słuchaniu wicehrabiego, przyglądał im się z zainteresowaniem. Patrzył na zgrabne nosy i łagodne krzywizny marmurowych policzków, na idealnie wykrojone usta i szeroko rozstawione oczy, którym ciężkie powieki nadawały wyraz sennej zmysłowości. Widać Forcade'owie nie szczędzili kosztów i zatrudniali najlepszych rzeźbiarzy, bo niektóre z tych figur były prawdziwymi dziełami sztuki.

Potem de Margail powiódł go w stronę domu.

Szary i przysadzisty budynek przytłaczał ogromem. Wzniesiono go na planie podkowy: w lewym skrzydle znajdowały się prywatne apartamenty dyrektora i jego dwóch pomocników, Glaude'a i Remessariego, a także pokoje niektórych służących, w prawym skrzydle kwatery posługaczy, główna kuchnia, pomieszczenia gospodarcze i sale, w których wykonywano zabiegi. Środek przeznaczony był zaś dla pacjentów.

Na parterze mieszkali ci, których uznano za mniej szkodliwych i niezdolnych do ucieczki, czy to z powodu stopnia upośledzenia umysłowego, czy też wyniszczenia organizmu przez opium i lecznicze zabiegi. Pozwalano im swobodnie poruszać się po posiadłości, a wielu z nich pod okiem posługaczy pomagało w sprzątaniu, gotowaniu czy pielęgnowaniu parku, bo dyrektor wierzył, że na słabość rozumu dobrą terapią jest także pożyteczna praca.

Na piętrze dormitoria były mniejsze i bardziej ponure. Tutaj każdą pryczę zaopatrzone w skórzane pasy, a w powietrzu, zmieszana z zapachem środków czyszczących, unosiła się woń ekskrementów. Chorzy z piętra cały dzień spędzali w nocnych koszulach uszytych z szarego płótna. Wpatrywali się w zakratowane okna, chodzili w kółko lub po prostu ślinili się i kiwali. Czasem posługacze okrywali ich starymi płaszczami i wyprowadzali na spacer albo na mszę do kaplicy.

W podziemiach natomiast znajdowały się cele obłąkanych, którzy z takich czy innych względów wymagali odosobnienia. Tam właśnie, wedle słów wicehrabiego, mieszkała przepowiadająca przyszłość Kasandra oraz Veran de Sent-Circ, znany także jako

Król.

* * *

De Margail, oprowadzając gościa po salach zabiegowych, opowiadał jednocześnie o wymyślonych przez siebie sposobach leczenia, a jego słowa były specyficzną mieszanką cynizmu i pompatycznego idealizmu.

Domenic Jordan słuchał, od czasu do czasu pozwalając sobie na kpiący uśmiech. Wiedział, że wymuskany mężczyzna pod maską pewności siebie ukrywa strach.

— Nie dbam o to — mówił wicehrabia — że i ja sam czasem uważany jestem za szaleńca. Nie obchodzi mnie opinia pospolitych umysłów. Świat jest podły i małostkowy i nie warto przejmować się takimi rzeczami. Ważne jest tylko to, że opracowałem metody, dzięki którym można przywrócić szaleńcom zdrowe zmysły, a idioci, którzy siedzą sobie na ciepłych posadkach, niech trzymają się od Cierni z daleka. Opisać ci, panie, w jaki sposób leczę szaleństwo?

Zajęty oglądaniem sali zabiegowej, Jordan skinął głową, mimo iż wiedział już, na czym polegają sposoby de Margaila, rzekomo nowatorskie, a w rzeczywistości będące po prostu kompilacją dawnych metod. Jego zdaniem Ciernie nie były ani lepsze, ani gorsze niż inne przytułki dla obłąkanych. Większość pacjentów w ogóle nie powinna tu przebywać i ci popadali w obłąd, dopiero gdy znaleźli się w „królestwie wicehrabiego”, a tym, którzy byli naprawdę chorzy, niewiele mogło pomóc.

Przesunął dłonią po brzegu wanny, którą przykryto czymś

w rodzaju skórzanego pokrowca z dziurą pośrodku. Dzięki niemu, jak się domyślił, ponad wodę wystawała tylko głowa, ręce pacjenta pozostawały zaś schowane pod pokrowcem i nie mógł on samodzielnie wydostać się z kąpeli.

Szyby pomalowane szarą farbą przepuszczały niewiele światła i w pomieszczeniu panował półmrok. De Margail wyjaśnił, że brak słońca, czyli elementu podniecającego i wzburzającego krew, jest nieodzowny w terapii szaleńców. W powietrzu unosiła się wyraźnie wyczuwalna woń ludzkiego potu i strachu. Kamienna posadzka była mokra, a na każdej z czterech ścian znajdował się odpływ wody, do którego przymocowany został płócienny wąż grubości ramienia. Jordan podejrzewał, że po odkręceniu kurka z węża tryskał strumień lodowatej wody tak silny, że mógłby powalić konia.

Pod ścianami stało kilka żelaznych skrzyń. Podeszedł do nich i zaczął przeglądać znajdujące się tam rzeczy. Słuchał przy tym wicehrabiego, który przemawiał irytująco mentorskim tonem:

— Jak wiadomo, rozróżniamy cztery rodzaje obłądu. Imbecylnizm, który bywa wrodzony lub też spowodowany jest starością, urazem głowy czy samogwałtem i który leczę przy pomocy ziół pobudzających oraz nacierania. Nacieranie należy rozpocząć od szorstkiego materiału, potem kontynuować szczotką z twardego włosia, a później...

Jordan podniósł drucianą myjkę wielkości dłoni, zbliżył się do okna i obejrzał ją uważnie. Część drutów wystawała ponad powierzchnię myjki, a ich końce były ostre i poplamione zaschniętą krwią. Z jednego z nich zwisał wysuszony strzępek skóry.

— ... powoduje, iż krew staje się gorętsza, a leniwy mózg ożywia się. Wśród ludzi gorączokrwistych nie ma imbecyli, tak wynika z moich badań. Natomiast w przypadku szału, czyli obłądu polegającego na nadmiernym podnieceniu i napadach furii, stosuję na przemian oczyszczanie i oziębianie. W celu oczyszczenia zalecam obfite puszczanie krwi, a także gałki mydlane, które powodują biegunkę i wymioty, przez co organizm pozbywa się trucizn. W celu oziębienia każę zaś polewać chorego zimną wodą, powinien on także przez cały czas nosić na огоłonej głowie wilgotny czepek, aby studził jego temperament. Czy wiesz, panie, że według moich obserwacji w chłodnym klimacie napady furii występują znacznie rzadziej niż w klimacie ciepłym? Mieszkańcy stref gorących mają gwałtowniejszy temperament, to udowodnione.

W jednej ze skrzyń były kaftany bezpieczeństwa, sztywne od brudu i potu, a także dostosowane do ludzkiej głowy kagańce.

— ... mania, łagodniejsza niż szal, charakteryzująca się tym, że uwaga chorego skupiona jest na jednym tylko przedmiocie. Wtedy do zimnych kąpeli i przeczyszczania dodaję kurację opiumową, która na furiatów wpływa źle, natomiast maniakom pozwala rozproszyć myśli i oderwać je od przedmiotu manii. Stosują je często artyści, z natury skłonni do zbytniego koncentrowania się na swej sztuce. Opium przynosi im ulgę, co zauważyłem podczas wieloletnich obserwacji.

W następnej skrzyni Jordan znalazł drewniany ceber zaopatrzony w skomplikowany system pasów i z zakratowanym otworem wyciętym w ściance. Dopiero po chwili domyślił się, że taki ceber zakładano chorym, którzy mieli ochotę rozwalić sobie

głowę o ścianę.

— ... cierpiącym na melancholię brakuje energii, należy więc karmić ich siłą przy pomocy specjalnego urządzenia do rozwierania szczęk. Zalecam także kąpiele solankowe, gdyż z moich doświadczeń wynika, że...

— Morskie śledzie niezwykle rzadko zapadają na melancholię — podpowiedział uprzejmie Jordan, który dość już miał wykładu i tego ponurego pomieszczenia. — Obiecałeś mi, panie, że będę mógł zajrzeć do notatek na temat pacjentów. Czy mógłbym otrzymać je jeszcze przed kolacją?

* * *

— Dość tego, nie chcę się bać — powiedziała na głos Veronica d'Amat, pragnąc dodać sobie odwagi.

W pustym pokoju słowa zabrzmiały nienaturalnie, jakby wypowiedziała je nie ona, lecz ktoś obcy, kto potajemnie wśliznął się do środka. Wzdrygnęła się.

Nie chciała zostać sama w przydzielonej jej przez wicehrabiego sypialni. Miała ochotę porozmawiać, ale Domenic Jordan, który zajmował sąsiednią komnatę, zajęty był studiowaniem jakichś papierów.

Postanowiła więc, że wyjdzie na spacer, teraz, zaraz, zanim się ściemni.

Lecz park budził w niej lęk. Tam spotkać można było wariatów o pustych spojrzeniach somnambulików i niespokojnych dłoniach morderców, tam, na drzewie, odnaleziono doktora Glaude'a i tam posągi płakały krwawymi łzami.

— Nie chcę się bać — powtórzyła ciszej, po czym zasznurowała buty, zapięła rękawiczki, a ramiona otuliła szalem.

Poczuła się jak rycerz, który zakłada zbroję przed starciem ze smokiem. Oto ona, panna d'Amat, uzbrojona w takie atrybuty cywilizacji jak aksamitne rękawiczki, gorset i buciki na obcasie, wyrusza na spotkanie z niebezpieczeństwem. Elegancja, będąca symbolem porządku, staje naprzeciw chaosowi tajemnic, magii i niespodziewanych wydarzeń. Przejęła to przeciwstawienie od Domenica Jordana. Tyle że on akceptował i rozumiał obie strony rzeczywistości, z którymi się stykał, zarówno tę zwyczajną, gdzie mężczyźni i kobiety flirtowali ze sobą, pobierali się, mieli dzieci i w końcu umierali we własnych łóżkach otoczeni gromadką wnuków, jak i tę drugą, w której wariatki przepowiadały przyszłość, posągi płakały krwią, a demony wieszały ludzi na drzewach.

Dla niej ta druga rzeczywistość była obca, budziła lęk, mimo że czarownica Montserrat, z którą dziewczyna dzieliła ciało, należała do tego właśnie świata.

Przejrzała się w lustrze, którego kształt przypominał oprawioną w srebro łzę. Później odszukała Peyretou i zapytała, czy będzie jej towarzyszył podczas spaceru.

* * *

Veran de Sent-Circ, lat 43, z ojca Alarica i matki Francesy. Jego szaleństwo zaczęło się osiem miesięcy temu. Wedle jego własnych słów w marcu przybyła do niego niezwykła istota (demon?), która przedstawiła się jako Pożeracz Płomieni

i oznajmiła, że de Sent-Circ jest w prostej linii potomkiem królów Megiddo i Kadesz, którym to królom, na mocy magicznego paktu, Pożeracz służył w starożytnych czasach. Owa istota zaproponowała odnowienie paktu: de Sent-Circ przyjmie na służbę demona, a on obdarzy swego pana potęgą. Był jednakże jeden warunek. Otóż aby magiczna więź pomiędzy potomkiem starożytnych królów a demonem znów zaistniała, de Sent-Circ musiał przypieczętować ją krwią swego ukochanego syna.

Veran de Sent-Circ miał dwóch synów. Starszy to hulaka i nicpoń, który w wieku lat siedemnastu opuścił dom rodzinny, by w stolicy poświęcić się tak niegodnemu szlachcica zajęciu jak aktorstwo. Młodszy natomiast, Norbert, był oczkiem w głowie ojca i matki, młodzieńcem wielkich zalet zarówno umysłu, jak i ducha. Jego właśnie de Sent-Circ kochał mocniej, dlatego też pewnego wieczoru wyprowadził go do ogrodu i tam w ciemności rozbił mu kamieniem głowę.

Jednakże gdy popłynęła krew ukochanego Norberta, Pożeracz Płomieni nie zjawił się, by pełnić służbę, i de Sent-Circ pojął, że oszukały go własne zmysły, a ów demon był wytworem jego chorobliwej imaginacji. W dwa tygodnie później de Sent-Circ przywieziono do Cierni, ja zaś, widząc jego stan, podjąłem decyzję o zamknięciu go w osobnej celi. Z początku pacjent cierpiał na ostre ataki melancholii na przemian z napadami szału. To (w nawrotach szaleństwa) przyzywał oszukańczego demona, by zgodnie z umową został jego sługą, to znów (gdy odzyskiwał zmysły) przeklinał obłąd, który kazał mu zabić ukochane dziecko, i gotów był targnąć się w rozpacz na swoje życie. Zaleciłem

kurację...

Jordan pobiegł wzrokiem w dół strony, szukając kolejnych informacji o Veranie de Sent-Circu.

... stan pacjenta poprawił się znacznie. Przyznaje on rozsądnie, że demon zwany Pożeraczem Płomieni nie istniał, rozumie ogrom popełnionej zbrodni i pragnie za nią zadośćuczynić, lecz jego rozpacz nie jest już gwałtowna, a raczej melancholijna. Uważam, iż w przypadku Verana de Sent-Circa nawrót obłądu jest mało prawdopodobny, na wszelki wypadek jednak nadal zalecam dalsze kąpiele solankowe trzy razy w tygodniu, aż do całkowitego odzyskania zdrowia.

* * *

— Pięknie tu — powiedziała Veronica d'Amat. — Smutno i może trochę... strasznie, ale pięknie.

Wiatr szeleścił suchymi liśćmi klonu i targał białym szalem dziewczyny. Zbliżał się zmierzch, a powietrze miało niemal tę samą co niebo szarofioletową barwę. Pachniało nadchodzącym listopadem: wilgotną po deszczu ziemią, gnijącą trawą i chłodem.

Chwyliła końce szala, rozpostarła ramiona i zakręciła się wkoło. Biały materiał wydał się niczym żagiel, a śmiech dziewczyny splótł z gwizdem wiatru.

Peyretou patrzył na nią, urzeczony. Spoglądał na kasztanowe włosy, niesforne i obsypane jak u leśnej nimfy stokrotkami, na zgrabną linię szyi i śliczne ucho, które zdobił kolczyk z czarnej perły (czarne perły przynoszą nieszczęście, pomyślał, ale czym prędzej wyrzucił z głowy tę myśl).

Czasem śnił o pannie d'Amat, czasem także marzył o niej na jawie, choć ograniczał się tylko do wizji, w których ścigana przez kogoś lub coś dziewczyna w środku nocy wpadała do jego pokoju ubrana w mokrą od deszczu nocną koszulę, on zaś otulał ją kocem, częstował grzonym winem i zapewniał, że wszystko będzie dobrze. Na nic więcej nie pozwalał sobie nawet w marzeniach, bo panna d'Amat nie była przeznaczona dla służącego.

Veronica zatrzymała się.

— Dawno temu — powiedziała sennym głosem, jakby rozpoczynała bajkę — Michel Forcade zapragnął wybudować dom dla siebie i dla swojej żony, pięknej tak bardzo, że do dziś krążą o niej legendy. Oboje kochali ciszę i spokój, dlatego ich dom, nazwany później Cierniami, stanął pośrodku gęstej puszczy. Potomkowie don Michela również wybrali izolację. Żyli tu przez dwa stulecia, ciesząc się naturą, i czasem tylko wyjeżdżali do najbliższego miasta, by ich córki mogły spędzić wieczór w teatrze lub zabawić się na balu. A dziewczęta Forcade'ów, jak mówią plotki, słynęły z urody, pokolenie po pokoleniu. Jednak Gilbert Forcade, ostatni z rodu, nie pragnął spokoju. Interesował się polityką i trzydzieści lat temu poparł generała Ennia Bergogne'a. To nie był szczęśliwy wybór. Wkrótce głowa zbuntowanego generała zawisała na murze alestrańskiej cytadeli, a obok znalazły się głowy jego ludzi. Brakowało tylko jednej, Gilberta Forcade'a właśnie, który zdążył w porę uciec i schronić się w Cierniach. Być może sądził, że puszcza będzie wystarczającą przeszkodą dla królewskiego oddziału. Pomylił się, oczywiście. Żołnierze przeszli przez lasy i zabili don Gilberta oraz jego żonę,

a także tych służących, którzy pozostali w domu. Plotki mówią, że ocalała córka Forcade'a, trudno jednak powiedzieć, czy naprawdę udało jej się uciec, czy może tylko nie odnaleziono ciała. A gdy nie pozostał nikt, do kogo można by strzelać, żołnierze zaczęli strzelać do posągów...

Urwała i uśmiechnęła się smutno.

— Skąd to wiesz, pani? — zapytał nieśmiało Peyretou.

— Od Domenica Jordana — odparła. Zawsze używała jego pełnego imienia i nazwiska, chcąc przedłużyć bolesną przyjemność, jaką sprawiało jej wypowiedzenie tych dwóch prostych słów.

Słońce zachodziło, coraz bardziej podobne do olbrzymiego płonącego węgla i przez moment, nim znikło za horyzontem, nawet cienie nabrały purpurowej barwy. Łuna oświetliła okaleczone posągi, a Veronice zdawało się, że z ich marmurowych ran spływa krew.

* * *

Kassandra (prawdziwe imię i nazwisko nieznane). To najosobliwsza z moich pacjentek. Trzy i pół roku temu mój przyjaciel i mentor, dyrektor domu dla obłąkanych w Marcory, poprosił mnie listownie przed śmiercią, bym przyjął do Cierni ową kobietę. Nie ufał on w pełni swemu następcy i wierzył, że Kassandra właściwą opiekę znajdzie jedynie u mnie. Zgodziłem się, rzecz jasna, a wraz z Kasandrą otrzymałem niezwykłą opowieść o jej życiu, coś w rodzaju legendy, która najprawdopodobniej jest zmyślona, lecz którą przytaczam tutaj, bo tkwić może w niej ziarno prawdy.

Otóż wedle owej legendy Kasandra (która wówczas nosiła jeszcze zwyczajne, zapomniane później imię) urodziła się kilkaset lat temu. Niezwykle piękna i wykształcona, podróżowała wraz z mężem po wszystkich krajach, żyli zaś z tego, co mężczyźni udało się wygrać w karty – a wygrywał zawsze, bo był bardzo sprytnym oszustem. Gra odbywała się w jeden i ten sam sposób. Na początku mąż Kasandry pozwalał przeciwnikowi wygrywać, by ten nabrał pewności siebie. Potem, gdy na pozór nie miał już nic prócz swej pięknej żony, proponował nowy układ: kobieta przeciw całemu majątkowi drugiego gracza. Ów zgodził się, gdyż Kasandra, jak już wspomniałem, była bardzo piękna, a przeciwnik nie wierzył, że przegra. Tym razem przegrywał jednak i jego majątek stawał się własnością pary oszustów, którzy czym prędzej przenosili się do innego miasta, by tam kontynuować niegodny proceder.

Aż pewnego dnia w mieście mostów i kanałów (moja uwaga: najprawdopodobniej chodzi o Romadę) spotkali czarnowłosego eleganckiego szlachcica, który mówił z zagranicznym akcentem i miał oczy różnej barwy. Był on, rzecz jasna, diabłem (moja uwaga: sposób przedstawiania diabła w legendach jest dość monotony). Mąż Kasandry zagrał z nim w karty i tym razem przegrał żonę. Diabeł powiózł kobietę karocą z zasłoniętymi oknami aż do samego piekła i tam zamieszkała w jego pałacu nad Jeziorem Ognia, gdzie woda nie gasi płomieni, robactwo nigdy nie zdycha, a do tańca na szatańskich balach grają potępieńcy, szarpiąc struny zrobione z własnych jelit.

Tymczasem mąż Kasandry szalał w rozpacz. Podróżował po całym świecie, szukając dla niej ratunku, aż w końcu trafił do

siedziby świętobliwego pustelnika, który udzielił mu pewnej rady.

Domenic Jordan przerwał. Mógł uwierzyć w istnienie piekła i diabłów, które większość ludzi utożsamiała ze zwykłymi demonami, ale raczej nie w świętobliwych pustelników udzielających genialnych rad.

Przewrócił kartę i wrócił do lektury.

Po powrocie do Romady mąż Kasandry wyzwiał diabła na kolejny pojedynek, a stawką znów była jego żona. Tym razem jednak przed grą zgodnie z zaleceniem pustelnika zamoczył rogi wszystkich wysokich kart w święconej wodzie, tak iż podczas każdego rozdania owe karty trafiały do jego rąk, a diabeł dostawał same blotki. Zły przegrał partię i zgodnie z umową przyprowadził Kasandrę, milczącą i z twarzą przesłoniętą czarnym welonem. Rzekł przy tym, iż pragnie dać pożegnalny prezent swej dawnej oblubienicy, i wręczył mężczyźnie flaszkę wypełnioną przezroczystym płynem, na pytanie zaś, co to takiego, odparł: „życie” i odszedł.

Mężczyzna zaprowadził żonę do domu i tam zdjął jej czarny welon, by przekonać się z goryczą, że pobyt w piekle zmienił jego ukochaną. Kasandra postarzała się, a nadto utraciła zmysły (niektóre wersje owej legendy mówią, że w zamian otrzymała zdolność prorokowania tragedii). Wówczas zrozpaczony mąż sięgnął po diabli prezent, wlał płyn do wina i kazał żonie wypić. Okazało się, iż diabeł nie kłamał, bo we flaszcze istotnie było życie – życie wieczne, lecz nie młodość ani powrót do zdrowia, na co liczył mężczyzna. Odtąd czas zatrzymał się dla Kasandry, a ona, szalona i pozbawiona swej dawnej urody, błąka się po świecie

i będzie się tak błąkać aż po kres wszelkiego istnienia.

Nie potrafię zweryfikować tej osobliwej teorii, gdyż Kasandra przebywa u mnie zbyt krótko, bym mógł stwierdzić, czy zmienia się ona fizycznie i starzeje jak każdy normalny człowiek, czy też nie, a przyjaciel mój nie podał mi w tej kwestii żadnych informacji. Jednakże rozsądek, którym zwykłem się kierować, każe mi sądzić, iż owa opowieść to tylko piękna bajka, a Kasandra jest po prostu zwyczajną wariatką.

* * *

Veronica po powrocie ze spaceru zajrzała do Domenica Jordana. Zauważył ją, podniósł głowę znad dziennika i posłał jej odbity w lustrze uprzejmy i odległy uśmiech kogoś, kto pogrążony jest głęboko w myślach.

Wycofała się, cicho zamykając drzwi.

W swojej sypialni usiadła przy toaletce i zdjęła kolczyki z czarnych pereł, bo noszenie ich teraz, w tym miejscu, było jak proszenie się o nieszczęście. Gdy wkładała ozdoby do rzeźbionej szkatułki, z dziurki w lewym uchu pociekła strużka krwi i splamiła kołnierz sukni.

* * *

Domenic Jordan odszukał w dzienniku ostatnie interesujące go imię.

Marcella, córka Ramona. Od trzynastego roku życia była uliczną prostytutką w Marcory. Dwa lata temu urodziła dziecko, po czym zadusiła noworodka i utopiła w nieczystościach.

Dzieciobójstwo karze się śmiercią, lecz widać Opatrzność z jakichś osobliwych względów wzięła Marcellę pod opiekę i miast pod topór kata kobieta została wysłana do Cierni. Trudno mi to wytłumaczyć, być może miała tu miejsce pomyłka sądowa (zdarzają się one przecież), a może Marcelli udało się wzbudzić sympatię sędziego (sędziowie także są ludźmi).

Marcella rozumie, że była o krok od śmierci, a uratowana została niemal cudem, i wstrząs, jaki przeżyła, spowodował gwałtowną zmianę jej charakteru. Nawróciła się i stała niezwykle pobożna: modliła się codziennie, a wszelkie lecznicze zabiegi, jakie na początku zaleciłem, znosiła z pogodą i niezwykłym hartem ducha. Dlatego też po sześciu miesiącach, obserwując jej nienaganne zachowanie, podjąłem ryzykowną decyzję i pozwoliłem Marcelli na swobodne poruszanie się po terenie Cierni. Odtąd jest ona nie tyle pacjentką, ile pomocnicą i muszę przyznać, iż nadal jestem z jej postępowania bardzo zadowolony. Marcella chętnie wykonuje najbardziej niewdzięczną i ciężką pracę, a największą przyjemność sprawia jej, gdy czuje się potrzebna. To ulubienica wszystkich – zawsze uśmiechnięta, nigdy nie traci cierpliwości, dla każdego ma miłe słowa. Jest także dość bystra jak na kogoś, kto wychował się na ulicy, a Veran de Sent-Circ za moim pozwoleniem uczy ją i pomaga poprawić wymowę.

Ataki morderczego szału nie powtórzyły się od czasu jej przybycia do Cierni. Bodaj jedyną oznaką obłędu Marcelli jest w tej chwili to, iż każdemu nowo napotkanemu mężczyźnie oznajmia stanowczo, że nie zostanie jego kochanką...

— Jesteś pan pewien, że chcesz tam wejść?

Jordan skinął głową. Posługacz włożył klucz do zamka, przekręcił ze zgrzytem i pchnął drzwi.

Wewnątrz celi panował mrok rozjaśniony tylko światłem poranka, które padało z maleńkiego, wysoko umieszczonego okna.

— Ona nie przepada za słońcem — szepnął posługacz, a ton jego głosu świadczył, że Kasandra budzi w nim pełen szacunku lęk.

— Wołaj pan potem głośno, będę w pobliżu — dodał.

Wyszedł, zamykając drzwi. Oczy Jordana powoli przyzwyczajały się do półmroku.

W kącie na sienniku siedziała wychudzona i rozczochrana kobieta.

— Kasandro? — powiedział, zbliżając się ostrożnie. — Nazywam się Domenic Jordan i chciałbym z tobą porozmawiać.

Milczała i tylko jej głowa powolnym ruchem, jakby pociągnięta za sznurek przez lalkarza, odwróciła się w stronę mówiącego.

— Twoje słowa można uznać za przepowiednię śmierci doktora Glaude'a. Określiłaś go mianem brata, pamiętasz? Brata obejmie drzewo, ukochaną pocałują wróble, a króla ukołysz woda...

— Brat wkrótce umrze... — głos był chrapliwy niczym zgrzyt klucza w zardzewiałym zamku. Głos kogoś, kto nie jest przyzwyczajony do mówienia.

— Umarł wczoraj — poprawił.

— Widziałam go na drzewie, widziałam krew. To już się stało?

— Tak.

Kasandra poruszyła się i promień słońca padł na jej twarz. Prześliznęła się po szeroko rozstawionych oczach, zgrabnym nosie,

wciąż łagodnej krzywiźnie policzka.

Jordan wstrzymał oddech.

Zadrżały jej usta, dawniej idealnie wykrojone, a teraz zeszpecone wyrytymi przez cierpienie bruzdami.

— Kim jesteś?

— Domenic Jordan — powtórzył cierpliwie.

— Nie pytałam o twoje nazwisko — powiedziała zaskakująco trzeźwo, ale zaraz jej głos stał się senny, a słowa zaczęły się zlewać. Wyglądało na to, że w transie odpowiada sama sobie. — Jesteś człowiekiem, który lubi spacerować w ciemności... i zawsze wie... myśli, że wie... jak wrócić. Do światła. Wrócić do światła. Ale jest granica i ona... Granica z czasem się zaciera. A wtedy mrok może cię połknąć. Przyjdzie dzień — formułowane przez obłąkaną zdania znów były spójne — gdy będziesz wybierał, czy nie posunąć się krok dalej w ciemność. Widziałam to. Martwy mężczyzna z poderżniętym gardłem. I mała dziewczynka, która wszystko widziała i wszystko wie. Dziecko, które nigdy nie skalało się kłamstwem. Twój los w jej rękach. I jej życie w twoich.

Jordan poczuł lęk, doznanie niemal fizyczne, jakby ktoś przesunął mu wzdłuż kręgosłupa zimną dłoń.

Wzdrygnął się, ale gdy odpowiedział, panował nad głosem:

— To także już się wydarzyło. Dawno temu.

— Aha. — Pokiwała głową z łagodną, pełną smutku rezygnacją, niczym świadoma dziurawej pamięci staruszka, która wciąż dopytuje się o ukochanych krewnych i wciąż słyszy, że wszyscy od dawna nie żyją. — A więc potrafiłeś wyznaczyć sobie granicę. To dobrze. To bardzo dobrze. Być może to cię ocali i nie

wkroczysz zbyt daleko w ciemność. A może nie.

— Wróćmy do śmierci doktora Glaude'a — delikatnie nakierował rozmowę na właściwy temat. — Czy możesz mi powiedzieć coś więcej o tych, których określiłaś jako brata, ukochaną i króla? Kim oni są? Widziałaś ich twarze? Znasz imiona? A może wiesz dokładnie, w jaki sposób zginą?

— Ja nie mam nic — powiedziała Kasandra, wbijając wzrok w brudną podłogę celi. — Tylko strzępy myśli, obrazy, słowa. Wspomnienia rzeczy, które wydarzyły się mnie albo tobie. Albo komuś innemu. Które dzieją się teraz lub zdarzą się kiedyś. Albo nie wydarzą się nigdy. Ja nic nie wiem, niczego nie rozumiem. — Ukryła twarz w dłoniach. — Wiem, że brata obejmie drzewo. Wiem, że ukochaną pocałują wróble. Wiem, że króla ukołysz woda...

Powtarzała te słowa coraz szybciej i szybciej, kiwając się jednocześnie gwałtownie w przód i w tył.

Podszedł i położył rękę na jej ramieniu. Uspokoila się powoli, znieruchomiała. Potem podniosła głowę, a Jordan pochylił się lekko.

Wciąż była piękna, choć jej twarz naznaczyło cierpienie i szaleństwo.

A w oczach...

Nie mógł powstrzymać westchnienia.

Spodziewał się, że dojrzy w nich obłąd, ale w oczach Kasandry zobaczył kobietę, jaką niegdyś była: rozsądną i bystrą, która teraz tkwiła przerażona pośród roztrzaskanych resztek swego rozumu.

— Czy wśród strzępów wspomnień, które ci pozostały, nie ma

przypadkiem twojego prawdziwego imienia? — zapytał cicho.

Łza spłynęła z oka wariatki i potoczyła się po brudnym policzku aż do ust. Dotknęła jej czubkiem języka, zlizwała, smakując sól.

— Znam moje prawdziwe imię, to jedna z niewielu rzeczy, jakie mi pozostały. Nie zapamiętałbyś go jednak ani nie potrafiłbyś wymówić. To nie jest ludzkie imię.

Spokój i rozsądek, z jakimi mówiła, wstrząsnął Jordanem bardziej, niż gdyby rzuciła się na niego w ataku szału. Czuł przejmującą litość, a jednocześnie jej zdolności budziły w nim lęk.

W mrocznej celi panowała cisza.

— Niemniej — szepnęła po chwili Kasandra — dziękuję, że spytałeś. Nikt nigdy nie pytał.

* * *

— Zapraszam do środka. Czekałem na pana.

Cela Verana de Sent-Circa w niczym nie przypominała ponurego pomieszczenia, w którym trzymano Kasandrę. Była to raczej zamkowa komnata, gdzie niedostatek słonecznego światła rekompensowały świeczniki ustawione na mahoniowym biurku i dekorowanej złoconym brązem konsoli. W jednym fotelu siedziała pochylona nad rozłożonym atlasem Marcella, w drugim de Sent-Circ z kieliszkiem w prawej ręce i butelką wina w lewej. Z powodu siwych włosów i spływającej na pierś brody sprawiał wrażenie starego jak na swoje czterdzieści trzy lata, jednak była to starość krzepka, budząca szacunek, a nie litość.

— O tak, Marcella zdążyła mi już o panu opowiedzieć

— powiedział z uśmiechem.

Kobieta podniosła głowę znad mapy i spojrzała na gościa ufnie.

— Pan się nie gniewa, prawda?

— Nie, nie gniewam się, Marcello.

— Proszę usiąść obok nas i napić się wina. — De Sent-Circ odłożył butelkę i wskazał ostatni wolny fotel.

Jordan przyjął zaproszenie. Wino okazało się ciężkie i bardzo dobre.

— Uczę Marcellę geografii. Dziś przerabiamy kraje Orientu. Marcella jest bardzo zdolna, to prawdziwa przyjemność ją uczyć.

Uśmiechnęła się, a siwowłosa mężczyzna wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. Odpowiedział uśmiechem, lecz jego oczy pozostały poważne i smutne.

— Chyba pora kończyć, moja droga.

Zawołał. Posługacz zjawił się natychmiast i otworzył drzwi. Na pożegnanie Veran de Sent-Circ objął uczennicę. Długo trzymał ją w uścisku, a Domenic Jordan ze wzrastającym zainteresowaniem spoglądał na silne, duże dłonie, które gładziły włosy kobiety.

Gdy wyszła, mężczyzna wrócił na fotel. Wydawał się odprężony, a jego twarz wciąż przesłaniała maska jowialnego starszego pana. Bo Jordan nie wątpił już, że to maska, choć nie potrafił powiedzieć, co się pod nią skrywa.

— O co mnie zapytasz, panie? — De Sent-Circ bawił się kieliszkiem, obserwując odbłaski świecy tańczące w rubinowym płynie. — Czy Martinus Glaude był moim bratem? Nie był. Czy mam tu gdzieś ukochaną, która zginie zgodnie ze słowami przepowiedni? Nie mam. Czy sam lękam się śmierci, bo jako Król

i ja wkrótce umrę? Nie, nie lękam się. Nie jestem potomkiem władców starożytnego Megiddo i Kadesz. To był obłąd, szaleństwo...

Na biurku, tuż obok noża do rozcinania papieru, leżał list. Wypisane na kopercie nazwisko nadawcy wyglądało na krótkie i zaczynało się chyba literą G.

Jordan wstał i niedbale zaczął rozglądać się po pomieszczeniu, na pozór w ogóle nie zwracając uwagi na list.

— Nic mnie nie usprawiedliwia. Nic poza...

— Tak?

— Przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że to nie był obłąd. Powiedzmy, że pewna istota za cenę jednego życia zaproponowałaby panu potęgę, dzięki której mógłby pan uszczęśliwić wielu, bardzo wielu ludzi. Byliby pod pana opieką szczęśliwi, syci i bogaci, a pan mógłby zrobić coś pożytecznego dla kraju, a może nawet całego świata. Pana potęga służyłaby do tego, by zapewnić pokój, szerzyć wiedzę, walczyć z chorobami i klęskami żywiołowymi. Czy to nie jest warte takiej ceny? Co zrobiłby pan na moim miejscu? Odmówiłby pan?

Jordan spojrzał rozmówcy prosto w oczy, a ten cofnął się odrobinę, wciskając głębiej w oparcie fotela.

— Tak, odmówiłbym. Po pierwsze dlatego, że pojedynczy człowiek nie powinien posiadać takiej potęgi, bo władza absolutna korumpuje niemal zawsze, zwłaszcza kogoś, kto zdobył ją dzięki morderstwu. Po drugie zaś, ów służebny demon, którego wiąże się ze sobą dzięki przelanej krwi, nie zadowoliliby się jedną śmiercią, lecz prawie na pewno namawiałby swego pana do dalszego

zabijania.

— Nad demonem można panować, przecież to tylko sługa
— zaprotestował de Sent-Circ.

Jordan podszedł do biurka i spojrzał na list.

— W starożytności — odparł, a w chłodnym głosie nie słychać było podekscytowania, jakie ogarnęło go, gdy przeczytał nazwisko nadawcy — władcy panowali nad służącymi im demonami, ale oni mieli znacznie większą wiedzę magiczną niż my dzisiaj. Współczesnego człowieka demon, niezależnie od tego, czy przysiągł mu służyć, czy nie, prędzej czy później po prostu by opętał.

Don Veran roześmiał się odrobinę nerwowo.

— Cóż, dobrze, że tylko teoretyzujemy, prawda?

Jordan podniósł list i położył go na stoliku.

— Ciekaw jestem — zapytał miękko — kim jest Hector Glaude?

Siwowłosa mężczyzna pobladł.

— To mój syn. Zapowiedział listownie rychły przyjazd, być może zjawi się już dzisiejszego popołudnia. Sam go wezwałem. Nie widzieliśmy się od kilku lat, a to moja jedyna rodzina. Chcę...
— Zawahał się, a spod maski na krótką chwilę ukazała się twarz człowieka przerażonego i zdesperowanego jednocześnie, jak ktoś, kto stoi nad brzegiem przepaści i gotów jest skoczyć. Potem uśmiechnął się z wysiłkiem przez rozpacz i w tej rozpaczynie także była prawda. — Chcę pojednać się z nim, poprosić o wybaczenie...

— Dlaczego syn pana nosi nazwisko Glaude?

— Gdyż nie chce kłaść szlacheckiego miana scenicznymi

występami. To dobry chłopak mimo wszystko.

— Ale dlaczego właśnie Glaude?

De Sent-Circ zacisnął szczęki i odpowiedział dumnym spojrzeniem.

— Tak nazywała się moja matka, a jego babka. Była wspaniałą kobietą, choć nie pochodziła ze szlacheckiego rodu.

— A więc zmarły doktor Martinus Glaude to pański...?

— Kuzyn. Nie lubił przyznawać się do pokrewieństwa z szaleńcem. Nie wspomniałem o tym, bo Martinus nie był przecież moim bratem.

Kłamał oczywiście. Doskonale wiedział, że przepowiedni nie należy traktować dosłownie. I jeśli Glaude zasługiwał na określenie brata, to Marcella, którą don Veran bardzo lubił i traktował prawie jak córkę, zasługiwała na miano jego ukochanej.

Jordan wstał i uderzył w drzwi, by wezwać posługacza z kluczem. Rysy miał napięte, z trudem panował nad sobą. Zmusił się jednak do zachowania spokoju i odwrócił w stronę Verana de Sent-Circa, który wciąż siedział w fotelu. Twarz miał obnażoną, pełną bólu.

— Czy chciałby mi pan coś jeszcze powiedzieć?

Zapytany wolno pokręcił głową.

— Nie ocali jej pan. Proszę tylko powiedzieć... zresztą nieważne, ona nie zrozumie. Nikt nie zrozumie. Nie teraz.

* * *

Od jednego z posługaczy Jordan dowiedział się, że Marcella przed chwilą wyszła do parku. Przebiegł kilka alejek, nawołując

kobietę, ale bez rezultatu. Zawrócił więc w stronę lewego skrzydła budynku.

Ze swojego pokoju wziął dwa pistolety, które nosił tylko wówczas, gdy spodziewał się jakiegoś niebezpieczeństwa, ale które czyścił i nabijał każdego ranka. Jeden z nich oddał Peyretou, po czym polecił mu szukać Marcelli i jeśli ją znajdzie, odprowadzić do domu, najlepiej do zamkniętego pomieszczenia bez okien.

Tam gdzie nie dostaną się żadne wróble.

* * *

W parku rozdzielili się. Domenic Jordan pobiegł w lewo, Peyretou w prawo. To właśnie on znalazł Marcellę.

Stała w odległości kilkudziesięciu kroków na skrzyżowaniu dwóch alejek. Rozglądała się, jakby nie bardzo wiedziała, skąd się tu wzięła. I pewno rzeczywiście nie wie, pomyślał Peyretou, przypominając sobie doktora Glaude'a, którego jakaś siła wywabiła do parku w samej nocnej koszuli.

W pierwszej chwili chciał podbiec do jasnowłosej kobiety, powstrzymała go jednak świadomość – nawet nie przecucie, a po prostu świadomość – że jeśli krzyknie albo wykona jakiś gwałtowny ruch, stanie się coś strasznego.

Dzielił ich pas wysypanej żwirem alejki, którą z prawej strony obsadzono żywopłotem, a z lewej rozmieszczonymi w równych odstępach drzewami. Trzy pnie, obok których trzeba przejść, by dotrzeć do Marcelli. Dwa smukłe buki o srebrzystej korze oraz jedno chore drzewko gęsto obsypane spleśniałymi szarymi owocami, pod których ciężarem gałęzie ugięły się do ziemi.

Peyretou całą uwagę skupił na Marcelli i nie patrzył w stronę drzew. Ale w jakiś przedziwny sposób miał wrażenie, że one – a przynajmniej jedno z nich – patrzą na niego.

Wolno podniósł ręce i pomachał, by zwrócić uwagę kobiety. Dostrzegła go wreszcie i uśmiechnęła się na widok znajomej twarzy. A potem, wciąż z uśmiechem na ustach, zaczęła biec.

W tym momencie chore drzewo ożyło, jego korona nagle zmieniła kształt, wyciągnęła się niczym olbrzymia dłoń w stronę alejki. Powietrze wypełnił trzepot skrzydeł, bo gałęzie oblepiały nie zepsute owoce, lecz wróble, mnóstwo wróbli, które nadlatywały teraz ku Marcelli wyciągniętą w szpic ciemną chmurą.

Spojrzała na nie, skamieniała, a potem odwróciła się i pobiegła w drugą stronę.

Peyretou wyciągnął pistolet i strzelił, nawet nie celując. Raz, drugi. W miejscu, gdzie przeleciały kule, ptaki rozproszyły się i powstał prześwit, który zaraz wypełnił się kolejnymi parami skrzydeł.

Pobiegł za uciekającą, już wiedząc, że nie zdoła jej uratować. Krzyczał, a wiatr właczał mu do uszu jego własny krzyk.

Ptaki doścignęły kobietę. Szara chmura, ciemniejsza pośrodku, tam gdzie było najwięcej wróbli, gdzie kłębiły się jeden na drugim. Ciemność układała się w kształt człowieka. Głowa, tors, nogi i rozpostarte ramiona. Całowały ją. Wróble całowały ukochaną.

Uniosły ją rozkrzyżowaną i odchyloną do tyłu, jakby Marcella wpatrzona w słońce doświadczała właśnie osobliwego wniebowstąpienia.

Po chwili na ziemię spadł but, w którym wciąż tkwiła stopa.

* * *

Domenic Jordan przesłonił prześcieradłem to, co zostało z jasnowłosej Marcelli. Obok, dygocząc w chłodzie małej kostnicy, doktor Remessari spoglądał po raz ostatni na twarz swego kolegi.

Chwilę później podszedł do Jordana.

— Dlaczego, do licha, nic pan z tym nie zrobi?

Miał zaczerwienione oczy, jakby płakał albo nie spał poprzedniej nocy, a obszerny płaszcz, który zawsze nosił, by dodać sobie masy, żałośnie zwisał na jego przygarbionej sylwetce. Znikła gdzieś napędzająca go złośliwość i nawet teraz nie wydawał się rozgniewany, a po prostu przerażony.

— Nie jestem cudotwórcą — odparł łagodnie Domenic Jordan.

— Lubiłem go — wymruczał Remessari, garbiąc się jeszcze bardziej. — Mimo wszystko lubiłem staruszka Glaude'a i Marcellę też. Byli... porządnymi ludźmi.

Osobliwe epitafium dla zabitych, ale w pewien sposób szczerze i wzruszające.

— Niech pan znajdzie tego drania, który to zrobił i odpłaci mu po biblijnemu: oko za oko, ząb za ząb. Niech cierpi. Niezależnie od tego, czy to człowiek, czy nie. Może mi pan to obiecać?

— Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zniszczyć winnego śmierci doktora Glaude'a i Marcelli — powiedział poważnie Jordan. — A jeśli moja teoria jest słuszna, w Cierniach nikt więcej nie zginie.

* * *

Hector Glaude przyjechał po południu. Pierwszym, co ujrzał, gdy wysiadł z powozu, były pobladłe twarze służących, a pierwsze jego pytanie brzmiało: „Co tu się dzieje?”.

Otrzymał odpowiedź, ale nie przejął się nią specjalnie. Był młody, pewny siebie i przybywał z innego świata, gdzie nie zdarzały się takie rzeczy. Swego wuja, Martinusa Glaude’a, ledwo pamiętał, a Marcelli nie znał wcale, tak że ich śmierć niewiele go obeszła. W istocie wydarzenia, o których mu opowiedziano, wydały mu się nierealne, niczym urządzone na cześć gościa spektakl teatralny. I tak właśnie je potraktował, żartobliwie i z dystansem.

Śniady, przystojny, miał urok zuchwałego pirata i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Uśmiechał się, zajadając puszysty truflowy omlet i paszteciki. Domenic Jordan przyglądał mu się z uwagą, a wicehrabia de Margail z potępieniem, które rezerwował dla wszystkich, którzy popełniali towarzyskie nietakty, niezależnie od tego, czy polegały one na zakłócaniu żałoby, czy też na oblizywaniu przy stole palców. Pozostałe dwie osoby niewiele uwagi poświęcały gościowi. Doktor Remessari skupił się na pasztecikach z gęsią wątróbką i czasem tylko mruczał pod nosem jakieś złośliwe uwagi, a panna Veronica d’Amat, blada i roztargniona, myślami przebywała gdzieś daleko.

— No proszę — don Hector paplał wesoło — człowiek mieszka sobie w mieście i myśli, jaka prowincja jest nudna! A tu dzieją się takie ciekawe rzeczy! Cuda! Płaczące krwią figury! Tajemnicze morderstwa! Doprawdy, czuję się jak bohater jakiejś sztuki.

— W takim razie powinien się pan zastanowić, czy nie jest aby bohaterem drugoplanowym, który ginie w połowie przedstawienia

— powiedział sucho Domenic Jordan.

Młodzieniec zmieszał się, ale zaraz odzyskał rezon i uniósł kieliszek w geście toastu.

— Ja jestem głównym bohaterem, ot co. Taki się już urodziłem i nic na to nie mogę poradzić. Myślę, że świetnie sprawdziłbym się w takiej sztuce. Walczyłbym z potworami i bronił pięknych dziewczyc, które potem podziękowałyby mi odpowiednio.

Ostatnie słowa skierował wyraźnie do Veroniki, która uniosła głowę, ale nie odpowiedziała. Innym razem chętnie poplirtowałaaby z Hectorem Glaude'em, lecz dziś nie miała na to najmniejszej ochoty. Niejasne, posępne przeczucia, które dręczyły ją od czasu przyjazdu do Cierni, przybrały na sile i myślała tylko o tym, by podzielić się nimi z Jordanem i poszukać u niego zrozumienia, a także ochrony.

Gdy wstali od stołu, don Hector błyskawicznie znalazł się przy jej boku.

— Nie miałem dotąd okazji zwiedzić tutejszego parku, a słyszałem, że jest bardzo piękny. Może ty, pani, zechcesz mnie po nim oprowadzić?

— Dziękuję, ale nie jestem dziś w nastroju do spacerów — odparła wypranym z emocji głosem.

— Gwarantuję — ciągnął niezrażony — że obronię cię, pani, przed wszelkimi straszydłami, które będą czyhać w krzewach.

— Mimo wszystko zmuszona jestem odmówić.

Młodzieniec otworzył usta, by dalej ją namawiać, ale przerwał mu Jordan.

— Sądzę — powiedział uprzejmie — że jest pan na tyle dobrze

wychowany, by pozwolić odejść kobiecie, jeśli raz wyraziła swoje zdanie.

Hector Glaude zmarszczył brwi z niechęcią, a potem uśmiechnął się kpiąco.

— Widzę, że panna d'Amat ma w panu godnego obrońcę. Co mi pan zrobi, jeśli nadal będę nalegał na chwilę sam na sam z piękną Veronicą? Zaatakuję mnie pan szpadą, którą nosi pan przy boku? A może pokona mnie zaklęciami lub naśle na mnie demona? Albo po prostu otruje mnie jakimś specyfikiem?

— A co pan woli? — Oczy Jordana pozostały chłodne i poważne. — Jestem skłonny w tej kwestii wysłuchać pańskiego zdania.

Don Hector po chwili wybuchnął śmiechem, nieco zbyt głośnym i nerwowym.

— Pan jest z tych, z którymi nie należy zadzierać, prawda? Więc dobrze, daruję sobie spacer z piękną panną d'Amat. Zawsze byłem rozsądnym chłopcem, choć ludzie twierdzą co innego.

W tym momencie drzwi otworzyły się i do komnaty wpadł zdyszany wyrostek, jeden z młodocianych służących wicehrabiego. Odszukał wzrokiem pracodawcę i zaczął bełkotać coś niewyraźnie.

Najszybciej sens w jego słowach odnalazł Domenic Jordan. Veran de Sent-Circ brał w pustej sali zaleconą mu solankową kąpiel, a gdy zjawił się posługacz, zastał go utopionego w wannie. Zawołał więc młodego służącego, by powiadomił dyrektora, sam zaś został przy zwłokach.

— Mój ojciec utonął? — w głosie Hectora Glaude'a brzmiało dziecinne zdumienie.

— Co mamy zrobić? — zapytał w tej samej chwili doktor Remessari.

Domenic Jordan miał wielką ochotę polecić, by ktoś poszedł do sali zabiegowej i dla pewności przytrzymał jeszcze głowę de Sent-Circa pod wodą. Chciałby zobaczyć miny rozmówców, a ponadto naprawdę to właśnie należałoby z don Veranem zrobić. Wiedział jednak, że nie jest to dobre wyjście.

— On będzie żył — powiedział więc tylko spokojnie.

Wszyscy prócz Remessariego spojrzeli na niego jak na wariata.

— Muszę iść do mojego ojca! — krzyknął don Hector, jakby nagle przebudzony.

— Nie.

Młodzieniec zacisnął dłonie w pięści. Jordan nadal zagradzał mu drogę.

— Wicehrabia de Margail obiecał wypełniać bez pytania wszelkie moje polecenia, jeśli więc nadal będzie się pan upierał, by iść ze mną, powiem wicehrabiemu, by wezwał kilku posługaczy, którzy przytrzymają pana siłą.

Don Hector powiódł spojrzeniem od Jordana poprzez doktora Remessariego aż po de Margaila.

— Jesteście pewni — zapytał tonem na pozór znacznie spokojniejszym, ale zabarwionym już prawdziwym gniewem, nie dziecinną złością, lecz gniewem właśnie — że ten człowiek jest normalny? Że nie jest to żaden z tutejszych pacjentów?

Odpowiedział mu doktor Remessari, który po dzisiejszej rozmowie w kostnicy odzyskał sporo dawnej złośliwości.

— Czasem sam nie jestem tego pewien — powiedział,

spoglądając na Jordana, a w jego głosie prócz kpiny brzmiała także sympatia i ufność. — Pan Jordan wygląda mi na melancholika, o czym świadczy upodobanie do żałobnej czerni. Ma także pewne objawy manii, gdyż jego umysł bezustannie krąży wokół tematów takich jak demony, święci i magia. Niemniej — Remessari spoważniał — radzę ci, chłopcze, robić, co pan Jordan każe. Szczerze, z dobrego serca radzę.

* * *

Posługacz wraz z doktorem Remessarim wywlekli z wanny nagie ciało i położyli je na posadzce. Natychmiast pochylił się nad nim wicehrabia, przyłożył palce do szyi de Sent-Circa, a potem podniósł mu powieki.

— Nie żyje — stwierdził autorytatywnie.

Domenic Jordan, który trzymał się z boku, wzruszył lekko ramionami.

— Pan Jordan sądzi... — zaczął doktor Remessari, ale de Margail skarcił go spojrzeniem i rzekł:

— Ostatnio byłem świadkiem różnych dziwów, ale ożywienie martwego ciała jest zbyt niezwykle, bym mógł w coś takiego uwierzyć.

Usta trupa drgnęły, a pierś uniosła się lekko. Otworzył oczy, usiadł i zwymiotował słoną wodą na buty wicehrabiego, który wrzasnął, odskakując do tyłu.

— Nie pojmuję... On był martwy! Co tu się dzieje?

— Najwyraźniej don Veran zmartwychwstał — powiedział Jordan grzecznie, po czym dodał jeszcze uprzejmie — historia zna

podobne przypadki. Powinien pan o tym wiedzieć, skoro ukończył pan seminarium.

Wzrok don Verana, z początku półprzytomny, skoncentrował się na Domenicu Jordanie. Nagi, dygoczący na zimnej posadzce męczyzna wyglądał, jakby chciał mu coś powiedzieć. Zrezygnował jednak i tylko cichym głosem poprosił o koc.

Jordan odwrócił się i wyszedł.

* * *

— Żyje? — zapytał z niepokojem Hector Glaude. Jordan skinął głową, a młodzieniec odetchnął z ulgą.

Teraz, gdy nie martwił się już losem ojca, jego policzki znów zaróżowił gniew. Nie przywykł, by ludzie traktowali go jak rozkapryszone dziecko i mówili mu, co ma robić.

— Chcę się z nim spotkać — oznajmił, aktorskim, przesadzonym gestem unosząc dumnie głowę. — Nie powstrzyma mnie pan.

W istocie na spotkaniu nie zależało mu jakoś szczególnie, a wręcz obawiał się go, nie wiedząc, jak się zachować i co powiedzieć. Miał do ojca niejaki sentyment – przekonał się o tym, gdy młodociany sługa przybiegł z wiadomością o jego śmierci – ale synowska miłość Hectora nigdy nie była zbyt mocna, a znaczną jej część de Sent-Circ zamordował osiem miesięcy temu, tłukąc kamieniem w głowę biednego Norberta.

Teraz Hector Glaude czuł się nieswojo, bo miał wrażenie, że rozmówca bada go wzrokiem, jakby zastanawiał się, czy mówi prawdę i jak bardzo jest przywiązany do ojca.

— Proszę, aby poświęcił mi pan pół godziny — powiedział Jordan po chwili milczenia. — Przejdziemy się po parku, a ja wyjaśnię, dlaczego nie może pan teraz odwiedzić ojca.

— A jeśli potem nadal będę chciał się z nim zobaczyć? — zapytał młodzieniec zaczepnie.

Jordan nie odpowiedział. Spojrzał tylko, a jego rozmówca, sam nie wiedząc czemu, poczuł się, jakby nagle owionął go zimny wiatr.

* * *

W blasku słońca, które znów zachodziło w krwawej łunie, po alejce przechadzały się dwie postaci: nienagannie elegancki, ubrany w czerń don Domenic Jordan i noszący modne pastelowe barwy don Hector Glaude. Starszy mężczyzna był spokojny, młodszy natomiast wyraźnie wzburzony. Od czasu do czasu zatrzymywał się, machał ramionami, chyba nawet krzyczał.

Obserwowały ich trzy osoby, a dwie z nich znajdowały się dość blisko. Byli to mężczyźni o przedwcześnie postarzałych twarzach i zamglonych spojrzeniach. Przerwali zmiatanie liści, po czym wsparli się o miotły. Patrzyli na rozmawiających, słyszeli ich słowa, ale niewiele z nich rozumieli.

Trzecią osobą była kobieta w białej sukni, która obserwowała Jordana i Glaude'a z oddali. Siedziała na ławce przy fontannie ozdobionej śliczną figurką pastreczki. Fontanna była nieczynna – w Cierniach z początkiem października zakręcano dopływ wody do parku i uruchamiano go dopiero wiosną – i w cembrowinie leżały jesienne liście.

Kobieta podniosła jeden z nich, bawiła się nim przez chwilę, po

czym upuściła na ziemię.

Piękną mamy jesień tego roku, pomyślała, mrużąc oczy, bo czerwonozłote promienie słońca wdzierały się pod powieki. Pogoda zupełnie jak wtedy, w październiku, gdy tańczyłam przy dźwiękach fajerwerków, które wybuchały na wciąż jasnym niebie, a potem całowałam jakiegoś młodzieńca – jak on się nazywał? – pod murami cytadeli, wilgotnymi od krwi ściekającej z obciętych głów generała Bergogne’a i jego ludzi.

Mężczyźni skończyli rozmawiać i rozstali się. Hector Glaude wrócił do budynku, Jordan podążył w stronę kobiety.

Wstała, by go powitać.

— Domenic — powiedziała z błyskiem w oczach.

— Montserrat.

Roześmiała się głośno i swobodnie.

— Ciekawa jestem, jak mnie rozpoznałeś?

Nie było to trudne, bo Montserrat różniła się od Veroniki mnóstwem drobnych odruchów i grymasów, a nawet tonem głosu, Jordan znał zaś czarownicę dobrze, choć nieczęsto przejmowała ciało panny d’Amat – jak sama wytłumaczyła ostatnim razem, im rzadziej się pojawiała, tym większą moc mogła zachować. Tylko to zdecydowała się mu wyjaśnić. W innych kwestiach musiał się zadowolić odpowiedzią podobną do tej, jaką otrzymał, gdy zapytał, czemu zniszczyła Strażnika Nocy. Miałam swoje powody, odparła. Powiedzmy, że chodzi tu o pewne zatargi z przeszłości. Nie pytaj o nic więcej.

Nie zapytał, bo nie miało to sensu. W Montserrat wyczuwał czystą, niczym nieskażoną moc wolnego ducha, a ktoś taki nie

odpowiada, jeśli nie ma na to ochoty. Powściągnął więc ciekawość, choć wiele go to kosztowało.

Czarownica wiedziała o tym i w pewien sposób owo opanowanie zaskarbiło mu jej szacunek. Dlatego właśnie – z powodu szacunku i może jeszcze czegoś więcej – siedziała tu teraz z nim, gotowa pomóc, jeśli tylko poprosi we właściwy sposób.

Roześmiała się jeszcze raz, nie czekając na odpowiedź. Potem spoważniała.

— Skoro wiesz już, co tu się dzieje, a nie wątpię, że wiesz, powiedz mi. Ja wiem tylko tyle, co Veronica, a więc niewiele.

— Veran de Sent-Circ nie jest i nigdy nie był szaleńcem, a demon zwany Pożeraczem Płomieni istnieje naprawdę — odparł prosto.

Zastanawiała się przez chwilę.

— W takim razie dlaczego demon nie stał się sługą de Sent-Circa, gdy ten zgodnie z umową zabił swego ukochanego syna?

— Ponieważ don Veran próbował nieświadomie go oszukać. Nie mam synów i niewiele wiem o rodzicielskiej miłości, ale zauważyłem kiedyś coś osobliwego. Otóż ojcowie, a nawet matki, czasem większym uczuciem darzą nie to dziecko, które jest grzeczne i zawsze spełnia ich polecenia, lecz to, z którym mają kłopoty. Gdyby rok temu zapytać Verana de Sent-Circa, który z synów jest jego ulubieńcem, z pewnością wskazałby Norberta, bo to on właśnie, miły i uprzejmy, w powszechnym mniemaniu na to zasługiwał. Lecz tak naprawdę, nie przyznając się do tego nawet sam przed sobą, de Sent-Circ bardziej kochał Hectora, uroczego zawiadka i łobuza. Gdy Pożeracz Płomieni zaproponował mu pakt,

wybrał Norberta przekonany, że postępuje zgodnie z umową. Chciał wierzyć, że on właśnie jest ukochanym synem, bo to jego wolał poświęcić. Oczywiście oszukany demon nie stawiał się, by pełnić służbę, a don Veran z początku nie pojmował nawet, co się stało. Rozpaczał nad śmiercią syna, którego zabił nadaremnie, i przeklinał Pożeracza, który z jego punktu widzenia okazał się oszustem. Być może też pod wpływem lekarzy de Sent-Circ sam trochę wierzył, że jest obłąkany. Stopniowo jednak prawda dotarła do niego. Wówczas Pożeracz wrócił i powiedział, że da mu jeszcze jedną szansę: jeśli don Veran zabije właściwego syna, demon stanie się jego sługą. De Sent-Circ kocha Hectora mocniej niż Norberta, ale jeszcze bardziej pociąga go perspektywa potęgi. Zgodził się więc, lecz demon nie zamierzał puścić płazem owej próby oszustwa. Najpierw de Sent-Circ musiał się poddać karze. Trzykrotnej i wymyślonej w stylu iście starożytnym: śmierć męskiego krewnego nazwanego bratem, potem kobiety, której de Sent-Circ okazywał czułość należną ukochanej, i wreszcie kara ostateczna: don Veran sam poznaje smak umierania, ale oczywiście wraca do życia, aby dopełnić umowy.

Jordan umilkł. Montserrat spoglądała na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy, bliska na wyciągnięcie ręki, a jednocześnie tak odległa, jakby stała po drugiej stronie mostu przerzuconego ponad otchłanią czasu. W zapadającym szybko zmierzchu jej oczy lśniły niczym srebrne kule.

— Veran de Sent-Circ został już trzykrotnie ukarany — podjął cichym, opanowanym głosem. — I nie sądzę, by miało się wydarzyć coś jeszcze, bo w przeciwnym razie Kasandra, która

widzi przyszłość, a przynajmniej zobaczyła tę jej część, która dotyczy Króla, wspomniałaby o tym. Teraz więc de Sent-Circ może dopełnić umowy i zabić swego syna.

— A ty, jak mniemam, nie chcesz do tego dopuścić? Powiedz mi, Domenicu, czy demon może przystać na służbę tylko do bezpośrednich potomków owych starożytnych władców?

— Najprawdopodobniej tak, skoro Pożeracz nie znalazł sobie innego pana, lecz uparł się przy don Veranie.

— W takim razie czy nie prościej byłoby po prostu zabić Verana oraz Hectora i w ten sposób przerwać linię tego rodu? I nie mów mi, że o tym nie myślałeś. — Mrok przeciął śmiech jasny i ostry jak nóż.

— Myślałem — przyznał bez wahania. — Lecz aktorzy mają opinię ludzi wyjątkowo rozwiązyli, a Hector Glaude nie wygląda mi na chwalebny wyjątek. Nie chcę ryzykować, że za ćwierć wieku Pożeracz zgłosi się z podobną propozycją do któregoś z jego bękartów.

— W takim razie co proponujesz? Chcesz, abym walczyła z Pożeraczem? Sądzisz, że zdołam go pokonać?

W tych zdaniach tkwiła pułapka i głos Montserrat ostrzegwał przed nią. Ale Jordan tego nie wyczuł.

— Podstawowe pytanie brzmi, czy zgodzisz się z nim walczyć? Zachichotała z uznaniem.

Znalazł właściwą odpowiedź, nie dzięki wyrachowaniu, lecz po prostu dlatego, że został dobrze wychowany i starał się zachowywać formy nawet w towarzystwie dzieci, szaleńców czy czarownic. A nieuprzejmością byłoby podjąć taką decyzję bez

zgody Montserrat.

— Tak — powiedziała po prostu. — Jak jednak zamierzasz doprowadzić do walki? Nie mam pojęcia, gdzie szukać Pożeracza, choć z pewnością jest w pobliżu.

— Myślę, że demon będzie chciał popatrzeć na śmierć Hectora, a może nawet posmakować jego krwi. Podejdzie więc, gdy syn i ojciec zostaną sami.

— A Hector? Ryzykujesz życiem tego chłopaka.

— Wiem — odparł spokojnie, choć śmiech, który wyczuwał w głosie kobiety, brzmiał jak prowokacja. Ona sama nie zawahałaby się ani przez chwilę, by zaryzykować czyimś życiem. — Wierzę jednak, że sobie poradzi. A ponadto jest aktorem, więc nie zdradzi się przed ojcem, że wie o jego zamiarach.

Tego Montserrat nie była pewna, bo istniała znaczna różnica pomiędzy odgrywaniem roli na scenie, a przed ojcem mordercą, którego wciąż w pewien sposób się kochało. Jordanowi nie przyszło to na myśl, bo najwyraźniej uważał, że wszyscy mają tak silne nerwy jak on.

— Ryzykujesz także życiem wielu innych ludzi, jeśli don Veranowi uda się zabić syna — przypomniała czarownica i niespodziewanie klasnęła w dłonie. — Trzeba być albo bardzo głupim, albo szalonym, by podjąć takie ryzyko. Nie jesteś głupcem, więc jesteś szalony i za to właśnie cię lubię.

Jordan nie skomentował.

— Pozostała nam więc jeszcze tylko jedna kwestia — podjęła już poważniejszym tonem. — Jeśli zwyciężę w walce z Pożeraczem, nie wrócę do ciała Veroniki. Dziewczyna jak dla

mnie ma trochę za dużo charakteru. — Uśmiechnęła się. — I zbyt silną wolę. Znajdę sobie jakąś ładną, słabą na umyśle panienkę, z którą nie będę musiała walczyć przez kwadrans, gdy zechcę przejąć jej ciało. Tu jest mnóstwo odpowiednich kandydatek. Nie podoba ci się to, prawda? Potępiasz mnie? — Znów w jej głosie zabrzmiał charakterystyczny gardłowy śmiech, ale i tym razem Jordan nie dał się sprowokować.

— Moje potępienie i tak nie będzie miało dla ciebie znaczenia, więc nie mówmy o nim. Chciałbym jednak wiedzieć, w jaki sposób się z tobą później skontaktuję? Spotkamy się jeszcze?

— Nie — odparła wolno, z namysłem. — Lubię cię, Domenicu, ale mimo wszystko wolę, byś nie zobaczył mojej nowej twarzy. Gdy będzie już po wszystkim, wyjedź wraz z Veronicą z Cierni i zapomnijcie o mnie. Po prostu zapomnijcie — dodała cicho, może nawet ze smutkiem.

— W jaki sposób dowiem się, czy udało ci się pokonać Pożeracza?

— Może dorzucimy Cierniom jeszcze jeden cud? — zapytała już bez śladu smutku. — Powiedzmy: wymalowany krwią napis na ścianie?

Pokręcił głową, choć w ciemności i tak nie mogła tego zobaczyć.

— Mam lepszy pomysł.

* * *

Więc to już jutro, pomyślała panna d'Amat, przechylając się przez parapet w chłodną ciemność parku. Jutro w świetle dnia,

które osłabia demony, Montserrat stoczy walkę z Pożeraczem, a potem – nareszcie! – zostawi ją w spokoju i Veronica znów będzie panią siebie.

W Cierniach panowała cisza.

To nieprawda, że szaleńcy wciąż krzyczą, pomyślała. To mit stworzony przez kogoś, kto nigdy nie przebywał w takim miejscu. W rzeczywistości większość wariatów jest otępią, pogrążona w swoim własnym świecie. Nawet ci agresywni są tak wycieńczeni leczniczymi zabiegami i oszołomieni lekami, że nie mają siły wrzeszczeć. Czasem tylko zawodzą albo skomlą jak porzucone szczenięta.

Jakby na przekór w ciemności rozległ się wysoki kobiecy krzyk. Nie sposób było doszukać się w nim wołania o pomoc, bo o pomoc wołają ludzie, a ten krzyk nic ludzkiego w sobie nie miał.

Zagrzmiało. Dziewczyna wyciągnęła dłoń i złowiła w nią parę kropel – znak, że kończy się złota jesień, a burze wkrótce zerwą z drzew wszystkie liście i zaczniesz się listopadowa plucha.

Montserrat odeszła godzinę temu, a Veronica, jak zawsze po jej wizycie, czuła jednocześnie ulgę i pustkę – duchowy odpowiednik wyrwania zęba, jak nazywała to kiedyś, gdy jeszcze umiała się szczerze śmiać.

Odwróciła się, zamknęła okno, o które bębnił deszcz, i roztała zziębnięte ramiona. Jordan podniósł wzrok znad notatnika, w którym pisał.

— Czy ty wierzysz w przeczucia, Domenicu? Pytanie zadane pełnym napięcia głosem wyglądało na bardzo poważne. Odłożył więc pióro i przyjrzał się jej z lekkim zdziwieniem.

— To, co popularnie nazywa się „przecuciami”, to nic innego, jak tylko bardzo słabe zdolności magiczne, które, choćby i w nikłym stopniu, ma większość ludzi. Ja także. — Uśmiechnął się. — Ale nie ufam moim przecuciom. Zbyt są niejasne i nie sposób się na nich opierać.

Veronica patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Okno za jej plecami rozbłyskiwało raz po raz siną poświatą, a po niebie przetaczały się grzmoty.

— A więc gdybym powiedziała, że mam przecucie, iż tu, w Cierniach, spotka mnie coś strasznego, uwierzyłybyś mi?

Zmarszczył lekko brwi, bo rozmowa zmierzała w kierunku, który mu się nie podobał.

— Ja tu umrę, Domenicu — szepnęła, po czym zmusiła się do uśmiechu, który wyglądał upiornie na jej ściągniętej lękiem twarzy.

— Pociesz mnie, proszę, powiedz to, co mówi się w takich sytuacjach. Że większość takich przecuć to tylko przygnębienie i zmęczenie, ja zaś powinnam się dobrze wyspać, a wszystkie zmory znikną.

— Możliwe, że to przygnębienie — przyznał łagodnie.

— Tylko możliwe? — Parsknęła śmiechem, w którym brzmiała histeria. — Mógłbyś dla mnie skłamać, Domenicu. Kiedyś umiałeś dla mnie kłamać.

Istotnie, czasem mówił jej owe gładkie, uprzejme kłamstwa i półprawdy, jakimi tak często posługują się ludzie dobrze wychowani. Lecz to było dawno, jeszcze na początku ich znajomości. Potem przyjechali do Alestry, a Veronica czuła się w niej obca, samotna i przerażona. Potrzebowała opieki kogoś

więcej niż tylko miłego towarzysza i dlatego uwiodła Domenica Jordana. Zrobiła to z premedytacją, wiedząc, czego chce. Przynajmniej sądziła, że wie. W jej pojęciu mężczyzna z towarzystwa, który brał do swego łóżka kobietę, choć nie musiał być w niej do szaleństwa zakochany – a Veronica nie należała do naiwnych gąsek, które w coś takiego wierzą – tym samym niejako potwierdzał, że bierze ją pod swoją opiekę.

Byli kochankami przez dwa miesiące, a dziewczyna przez cały ten czas szukała w jego słowach i czynach potwierdzenia, że jest dla niego kimś szczególnym, kobietą, dla której zrobi więcej niż dla innych. On jednak od ich pierwszej wspólnie spędzonej nocy nie pozwalał jej się oszukiwać. Był uprzejmy, bo tak go wychowano i taką miał naturę, był sympatyczny, bo lubił ją, a także cenił jako bystrą i zabawną towarzyszkę. Ale nic ponadto. Nigdy już nie usłyszała od niego żadnego miłego kłamstewka – konwencjonalnego czy ironicznego – które mogłaby zinterpretować na swoją korzyść.

Domenic Jordan w ważnych kwestiach okazał się bezlitośnie wręcz uczciwy, a jego zdystansowana uprzejmość czasem sprawiała jej większy ból niż obojętność.

Któregoś ranka obudziła się i spojrzała na śpiącego obok mężczyznę, na jego szczupłą, spokojną twarz, i pojęła, że mimo wszystkich spędzonych razem nocy wie o nim niewiele więcej niż w chwili, gdy się poznali. Pojęła też, że dla własnego dobra powinna zakończyć ten romans. Jako pretekstu użyła faktu, że właśnie zaczęła bywać w alestrańskim towarzystwie i musi uważać na swą reputację. Proponując to, liczyła jeszcze, że Jordan

zaprotestuje, on jednak zgodził się, a łatwość, z jaką mu to przyszło, bolała ją do dzisiaj.

Ale dziś jest szczególna noc, pomyślała i wyprostowała się, a potem uśmiechnęła, wbrew wszystkiemu naprawdę się uśmiechnęła i Jordan zobaczył przed sobą dawną Veronicę d'Amat. Nie drżącą, wystraszoną, lecz swawolną i dumną zarazem.

— Czy możesz przysiąc, że ocalisz mi życie?

— Nie — odparł lakonicznie, bo przecież dziewczyna wiedziała, jak brzmi odpowiedź, a pytanie to miało być tylko wstępem do prośby, która zaraz padnie.

Roześmiała się, tym razem już bez nutki hysterii.

— Wiem. Ty nie składasz przysiąg, co do których nie masz pewności, czy zdołasz je wypełnić. W takim razie zrób dla mnie coś innego. Pozwól mi tej nocy zostać z tobą. W końcu — dodała miękko, z gorzkim uśmiechem — to może być ostatnia noc w moim życiu, a wszak istnieje tradycja, by spełniać życzenia umierających.

* * *

— Domenicu?

— Tak?

— Gdybyś tylko zechciał... — zawahała się, ale w ciemności łatwiej było jej mówić. — Gotowa jestem rozgłosić wszystkim, że jestem twoją kochanką. Nie dbam o to.

— A powinnaś — odparł cicho. — Ludzie akceptują cię, bo widzą w tobie swego rodzaju ewenement, pannę żyjącą samotnie, a jednocześnie zachowującą niewinność, lecz jeśli dowiedzą się, że masz kochankę, to się zmieni.

— Jednym słowem, zostanę sprowadzona do roli zwykłej kurtyzany, bo jeśli miał mnie jeden mężczyzna, to może mnie mieć każdy?

— Nie chciałem tego ujmować w ten sposób, ale owszem, to prawda.

Zagryzła wargi tak mocno, aż poczuła ściekającą po brodzie strużkę krwi. Przynajmniej nie próbował jej wmawiać, że ostrzeżenie jest dowodem troski o nią, a nie braku uczuć, jakie pragnęłaby w nim widzieć. Powinna mu być za to wdzięczna. Ale nie była.

* * *

Rankiem po burzy niebo przejaśniło się, lecz słońce świeciło blado i wiał silny, zimny wiatr. Domenic Jordan udał się wraz z Franco Remessarim do środkowej części budynku, gdzie znajdowały się pomieszczenia dla obłąkanych. Przed celą Verana de Sent-Circa spotkali posługacza z kluczem w ręku i don Hectora. Młodzieniec panował nad sobą, choć był blady, a jego dłonie drżały lekko.

Jordan skinieniem głowy dał znak posługaczowi, który otworzył drzwi celi, wpuścił don Hectora, po czym zgodnie z umową udał, że przekręcił w zamku klucz, i odszedł. Jordan i Remessari pozostali na zewnątrz, nasłuchując odgłosów dobiegających zza drzwi.

Doktor Remessari miał sporo pytań, chętnie dowiedziałby się choćby, jak będzie wyglądać walka dwóch nadnaturalnych istot, bał się jednak odezwać, aby Veran de Sent-Circ go nie usłyszał.

Ograniczył się więc tylko do posłania towarzyszowi krzywego przyjacielskiego uśmiechu.

Początkowo rozmowa w celi toczyła się cicho, potem ktoś – chyba don Hector – podniósł głos. Doktor spojrzał pytająco na Jordana, ale ten pokręcił głową. Franco Remessari mocniej zacisnął spoconą dłoń na kolbie pożyczonego pistoletu. Zastanawiał się, czy Pożeracz jest już na tyle blisko, by czarownica zdołała go schwytać, i czy don Veran nie domyśli się przypadkiem istnienia pułapki i nie ostrzeże w jakiś sposób demona, a ten w zemście nie zrobi krzywdy jemu i Jordanowi. A przede wszystkim zastanawiał się nad tym, co będzie, jeśli Veranowi de Sent-Circ jednak uda się zabić syna, i czy Domenic Jordan naprawdę jest w stanie wziąć na siebie taką odpowiedzialność.

Zerknął na opanowaną twarz towarzysza, najwyraźniej dalekiego od podobnych wątpliwości, odetchnął i nakazał sobie spokój.

W tym momencie zza drzwi dobiegł krzyk. Wściekłości, nie bólu.

Remessari wpadł do celi, a tuż za nim Jordan. Wewnątrz ujrzeni don Hectora, który szarpał się z ojcem. Atakował młodszy mężczyzna, nie starszy.

— Powiedziałem mu! — wrzeszczał Hector Glaude z twarzą wykrzywioną cierpieniem. — Sięgał po nóż, a ja powiedziałem mu, że wiem, co chce zrobić i co zrobić! Że wiem wszystko, a on jest podłym mordercą i ja go nienawidzę! Morderca! Morderca! — Z każdym słowem, które z siebie wypluwał, chaotyczne ciosy spadały na pierś, barki i twarz Verana de Sent-Circa, który nawet

nie próbował się bronić. Wyglądał na śmiertelnie znuzonego, a ostry nóż do papieru leżał u jego stóp.

Jordan i Remessari bez większego trudu oderwali don Hectora od ojca i wyprowadzili z celi. Na zewnątrz młodzieniec rozplakał się.

— Nie udało nam się — szepnął Remessari, patrząc na szlochającego z mieszaniną pogardy, złości i współczucia.

— Mam nadzieję — odparł Jordan równie cicho — że jednak się udało.

* * *

Peyretou i panna d'Amat stali na półpiętrze przy oknie, które wychodziło na żwirowany podjazd i wielki jak trzy cyrkowe areny trawnik, niemal pusty, bo rosło na nim tylko sześć szarokarych grabów, a pośrodku stała marmurowa fontanna. Patrząc na skos, widzieli główne wejście, do którego prowadziły szerokie dwustronne schody. Oboje spodziewali się, że to właśnie tamtędy wyjdą Domenic Jordan, doktor Remessari i Hector Glaude, gdy już będzie po wszystkim. Jeśli ktoś chciał dostać się ze środkowej części domu do lewego skrzydła, to znacznie szybciej i prościej było po prostu przejść przez podjazd i trawnik, bo droga prowadząca wewnątrz domu poprzez liczne korytarze, schody i sale była długa i skomplikowana.

— Wolałabym być tam teraz z nimi — powiedziała Veronica, przyciskając czoło do szyby. — Naprawdę bym wolała.

Peyretou zgadzał się z nią, bo nawet najgorsza wiadomość byłaby lepsza od przedłużającego się oczekiwania. Ale Jordan kazał

mu zostać tutaj i powierzył jego opiece pannę d'Amat, a to zadanie napełniało służącego dumą, nie mówiąc już o tym, że sama możliwość przebywania z nią sam na sam sprawiała mu, mimo napiętych nerwów, wielką przyjemność.

Oderwał wzrok od jej twarzy i spojrzał w okno. Na trawniku pomiędzy koronami grabów wirowały brązowe liście. Przypominały stado wróbli.

Chłopak zadrżał i pomyślał o jasnowłosej Marcelli, a potem z wysiłkiem zepchnął wspomnienie w głąb umysłu.

Domenic Jordan powtarzał mu po wielokroć, by nie dręczył się wyrzutami z powodu czegoś, czemu nie mógł zapobiec, i choć młodemu słudze daleko jeszcze było do mistrzostwa, jakie w tej kwestii wykazywał jego pan, to trzeba przyznać, że nauki nie szły w las.

Szarpnięte podmuchem liście wzbity się skotłowane w powietrze, a Peyretou przez moment miał wrażenie, że widzi w kurzawie zarys smukłej i wysokiej jak drzewo sylwetki. Ramię, długie włosy, wąska talia i udo – wszystko to w ułamku sekundy przemknęło przed jego oczami, świetliste i utkane z wiatru. Z wrażenia wstrzymał oddech. Lecz nim zdążył powiedzieć słowo, niezwykle zjawisko znikło i chłopak nabrał przekonania, że uległ złudzeniu.

Nie na długo. Chwilę później dostrzegł kolejną powietrzną postać, nie tak smukłą jak pierwsza, lecz potężniejszą i lekko zgarbioną, a tańczące na wicherze liście ułożyły się na moment w wyraźny zarys masywnych barków.

Panna d'Amat krzyknęła i odruchowo chwyciła młodzieńca za

ramię. Spoglądali przez okno, nie mogąc oderwać wzroku od sceny, która rozgrywała się na trawniku.

Ramiona, głowy, torsy i uda, naszkicowane kilkoma prostymi liniami, pojawiały się i znikały, jakby ktoś bardzo szybko potrząsał tubą kalejdoskopu. Lecz teraz, gdy Peyretou i Veronica wiedzieli już, na co patrzeć, odróżniali bez trudu kontury dwóch sylwetek, kobiecej i męskiej, które krążyły wokół siebie niecierpliwie.

A potem rysowane wiatrem postaci skoczyły sobie do gardeł i szepiły się w śmiertelnym zwarciu. Fontanna, na którą wpadły, rozsypała się jak domek z kart, kawałki cembrowiny poleciały w górę, po czym wraz z liśćmi, płatami darni i gałęziami zaczęły krążyć wokół, schwywane w powietrzny wir, podczas gdy sięgająca szczytów drzew kurzawa przetaczała się tam i z powrotem, gotowa zmieść z powierzchni wszystko, co stanie jej na drodze.

Peyretou chciał odsunąć dziewczynę od okna, ale ona zaprotestowała. Była napięta jak struna, a jednak jakimś cudem opanowana.

— Oni walczą daleko, a tu jest bezpiecznie — powiedziała. — Właściwie moglibyśmy nawet...

Przerwał jej trzask otwieranych na piętrze drzwi i głos wicehrabiego de Margaila:

— Co się dzieje? Czy ktoś może mi to wyjaśnić?

Peyretou wbiegł po schodach i przez kilka minut tłumaczył, że sam jeszcze nic nie wie poza tym, że plan jego pana powiódł się, a czarownica Montserrat walczy teraz z demonem.

Zirytowany wicehrabia odesłał chłopaka i bardzo starannie zarygłował drzwi.

Gdy Peyretou wrócił na półpiętro, nie zastał tam Veroniki. Spojrzał przez okno. Biegła w stronę głównego wejścia, a wiatr przyciskał do jej szczupłego ciała białą suknię. Miała za sobą już ponad połowę drogi i wszelkie szanse, by bezpiecznie dotrzeć do celu. Mimo to chłopak bez namysłu, przeskakując po kilka stopni naraz, zbiegł na parter i otworzył drzwi. Gwałtowny podmuch cisnął mu w twarz drobinki żwiru. Zgiął się wpół i osłonił oczy ramieniem. Gdy odważył się wreszcie spojrzeć, pojął, że w chwili, kiedy pędził po schodach, stało się coś bardzo, bardzo złego.

Dziewczyna, która jeszcze przed chwilą biegła zgrabnie i szybko, teraz klęczała bez ruchu. Zasłaniała twarz rękami, a powietrzny wir, pełen obracających się niczym mordercze żarna kamieni, zbliżał się do niej, pozostawiając za sobą kikuty drzew i pas zrytej głęboko ziemi.

— Uciekaj! — krzyknął, świadom, że nie zdąży do niej dotrzeć, by odciągnąć w bezpieczne miejsce. Mimo to zaryzykowałby. Naprawdę by zaryzykował, wbrew wszelkiemu rozsądkowi.

Nie musiał, bo z głównego wejścia wypadła charakterystyczna czarna sylwetka, zbiegła po schodach, znalazła się przy Veronice i chwyciła ją za ramię.

Panna d'Amat odwróciła się miękkim, niezgrabnym ruchem, jak szarpnięta szmaciana lalka. Iskierka nadziei zgasła w sercu Peyretou. Ale przecież nie ma się czego bać, naprawdę, to głupie, o Boże, na pewno zdążą, nie dzieje się jeszcze nic strasznego, nic prócz tego, że Domenic Jordan musi podtrzymać Veronicę i ciągnąć ją, a ona, ta pełna życia, zwinna panna, potyka się i słania, jakby za chwilę miała zemdleć.

Wir był coraz bliżej, oboje pod naporem wiatru ledwo trzymali się na nogach. Jordan nachylił się, krzycząc coś do ucha towarzyszki.

Wyprostowała się z wysiłkiem, przeszła dwa kroki i upadła u stóp schodów.

Zostawi ją, pomyślał Peyretou trzeźwo i rozsądnie. Po prostu ją zostawi, bo sam ma szansę uciec, a z nią nie. Chyba nie.

Jordan podniósł dziewczynę, po czym na zmianę popychając ją i ciągnąc, poprowadził po schodach.

Zdążyli w ostatniej chwili. Powietrzny wir z hukiem uderzył w ścianę, odbił się od niej jak piłka i potoczył z powrotem, zabierając ze sobą kawałki tynku i odłamki rozbitych szyb.

Oslabiony ulgą młody sługa oparł się o futrynę. Nie pomyślał nawet o tym, by zamknąć drzwi.

Wiatr po chwili ucichł. Pierwsze na ziemię spadły kamienie, potem gałęzie, liście i trawy.

Wariaci tłoczyli się w zakratowanych oknach, krzyczeli, wymachiwali ramionami. Niektórzy wyglądali na przerażonych, inni śmiali się nie wiedzieć czemu.

Peyretou usiadł w progu i bezmyślnie zapatrzył się w zryty głębokimi kraterami teren, który do niedawna był wypielęgnowanym trawnikiem. Nie zareagował nawet wtedy, gdy z nieba zaczęło padać coś, co jego wyczerpany strachem umysł zidentyfikował jako duże i płaskie krople krwi.

* * *

Tym razem Kasandra wstała na jego powitanie, a na jej twarzy

pojawił się pełen wątpliwości błysk rozpoznania.

— Domenic Jordan?

— Tak. Wyjrzyj przez okno.

Posłusznie przycisnęła twarz do krat i z cichym okrzykiem zdumienia wyciągnęła na zewnątrz dłoń, zgarniając w nią coś.

— To już koniec, Kasandro — powiedział łagodnie. — Nie ma Pożeracza Płomieni, a jeśli chodzi o Verana de Sent-Circa, to ponieważ nigdy nie był obłąkany, postaram się, by odpowiedział za swe czyny jako człowiek zdrowy na umyśle.

Badała go wzrokiem, jakby zastanawiając się, czy ten elegancki i uprzejmy mężczyzna nie jest przypadkiem jakimś widmem z przeszłości.

— Czemu mi to mówisz?

— Ponieważ to właśnie ty próbowałaś ostrzec mieszkańców Cierni przed demonem.

Potrząsnęła głową z wzrastającym lękiem.

— Wiem, kim jesteś, ale nie martw się, nie powiem nikomu, jeśli tego nie chcesz — zapewnił.

— Powiedz mi — poprosiła cicho. — Powiedz mi, kim jestem.

— Jesteś panią Cierni. Kobieta, dla której Michel Forcade, pierwszy z rodu, wybudował ten dom, i zarazem ową legendarną córką don Gilberta, ostatniego Forcade'a, która przeżyła atak królewskich żołnierzy.

— To niemożliwe.

— Naprawdę? — roześmiał się lekko. — Myślę, że przed wielu laty Michel Forcade spotkał w tych lasach piękną kobietę. Nie była człowiekiem, lecz pochodziła z jakiejś zapomnianej rasy istot, które

przed wiekami zamieszkiwały te ziemie. Don Michel kochał ją i pragnął ochronić przed ludźmi, którzy niegdyś wymordowali jej pobratymców. Dlatego wybudował dla niej dom pośrodku puszczy. Piękne, spokojne miejsce, gdzie mogła być szczęśliwa. Potem on zestarzał się i umarł, ona zaś nadal była młoda i piękna, bo istoty jej rasy żyją znacznie dłużej niż ludzie. Kolejni Forcade'owie traktowali ją jak członka rodziny i pilnowali, by tajemnica nie wyszła na jaw. Służbę zmieniano odpowiednio często, a co jakiś czas, gdy dojrzało młode pokolenie, owa kobieta wybierała się z nimi do pobliskiego miasta na bale. Tańczyła przez kilka sezonów, po czym znikwała, by w odpowiednim czasie pojawić się jako własna córka czy siostrzenica – stąd owe legendy o piękności kolejnych córek Forcade'ów, choć w rzeczywistości była to wciąż ta sama panna. A potem don Gilbert zainteresował się polityką, poparł generała Bergogne'a i wkrótce do Cierni wkroczył oddział żołnierzy. Nie wiem, co się wówczas wydarzyło, i nie sądzę, żebym kiedykolwiek się dowiedział. Tak czy inaczej, kobieta przeżyła i udało jej się uciec, choć przejścia zmieniły ją fizycznie, zniszczyły jej urodę, a także pomieszały rozum. Uznano ją za obłąkaną i zamknięto w przytułku. Ona jednak, jakkolwiek, istotnie, pod wieloma względami szalona, wciąż pamiętała o Cierniach, miejscu, które ukochała najbardziej ze wszystkich. I gdy tylko nadarzyła się okazja, wróciła tutaj. O tak, wierzę, że mimo szaleństwa była wystarczająco inteligentna, by w taki czy inny sposób wymóc na dyrektorze poprzedniego przytułku, w którym przebywała, obietnicę, że odeśle ją do Cierni. I choć umieszczono ją tu w celi, to sądzę, że mimo wszystko czuła się szczęśliwa. A potem...

— Jordan umilkł.

— Tak?

— Masz zdolność widzenia przyszłości, Kasandro, co prawda dość chaotyczną, a także, jak wszystkie istoty twojej rasy, niewielkie umiejętności magiczne. Wiedziałaś o niebezpieczeństwie, choć nie potrafiłaś go dokładnie określić. Próbowалаś więc ostrzec mieszkańców Cierni, a przyszło ci to tym łatwiej, że to jest twój dom, że każdy kamień był tu kładziony z miłości do ciebie, a większość posągów, nawet tych, które przedstawiają młodych chłopców, ma twoje rysy twarzy. Dlatego płakały, a na ścianach pojawiały się krwawe napisy i dlatego przyszedłem teraz do ciebie, by powiedzieć ci, że nie ma się już czego bać. I jeśli tylko tego chcesz, nie będziesz mieszkać w tej celi. Porozmawiam z wicehrabią, a on zapewni ci znacznie lepsze warunki. Chcesz tego, Kasandro?

Zawahała się, rozważając jego słowa. Potem z ufnym uśmiechem skinęła głową, a po chwili wyciągnęła rękę i rozwarła dłoń. Leżał na niej czerwony płatek róży.

— Co to? — zapytała.

— To znak od czarownicy, że zwyciężyła. Pomyślałem sobie — dodał Jordan z kpiącym błyskiem w oczach — że temu miejscu przyda się dla odmiany jakiś przyjemny cud.

* * *

Panna Veronica d'Amat czuła na twarzy promienie popołudniowego słońca, jej skórę ziębił jesienny wiatr, a głowę jak imadło ścisnął pulsujący ból.

Płatki róż, które trzymała w dłoniach, były chłodne, gładkie i pachniały latem.

Dziś rano zobaczyła coś, co z pewnością nie było przeznaczone dla ludzkich oczu. Znajdowała się tak blisko, tak niesamowicie blisko, że walczący demon spojrział wprost na nią. W jego źrenicach płonął piekielny ogień.

Nie zastanawiała się długo, dlaczego Domenic Jordan ocalił jej życie, ryzykując własne. Nie miała złudzeń, by doszukiwać się w tym... czegoś więcej. Nie, to był rodzaj zadośćuczynienia, tak właśnie to pojmowała. Życie w zamian za miłość, której nie potrafił jej dać.

Kiepska wymiana, pomyślała z goryczą. Upuściła na ziemię płatki róż, podniosła dłonie i dotknęła policzka.

Potem przesunęła palce wyżej, aż poczuła szorstkość płóciennej opaski.

Życie w zamian za miłość i oczy, które wypalił demon, gdy spojrzała mu prosto w twarz.

4. Karnawał we krwi

Część pierwsza: KARNAWAŁ

— Kup pan książkę! Piękną opowieść o miłości Milona i Seremondy!

Domenic Jordan odmówił z roztargnieniem. Pomocnik ulicznego bukinisty już składał stragan, książki lądowały w płóciennym worku, podczas gdy pasiasta, żółto-czerwona markiza zwijała się pod naporem lodowatego wiatru i uderzała o ścianę kamienicy. Niebo na zachodzie przybrało barwę granatowoszarego sińca. Kobiety piszczały, przytrzymując karnawałowe maski, mężczyźni chwyтали łopoczące poły płaszczy i zgięci w pół brnęli błotnistymi ulicami.

— Pan jest młody i elegancki, to książka w sam raz dla pana. O miłości! — Uparty bukinista przekrzykiwał nadchodzącą wicherę.

Pociemniało, wiatr szarpał płomienie ognisk rozpalonych w żelaznych koszach na rogach ulic, rozdzierał je na płowe wstążki ognia. Z nieba sypnęło drobinkami lodu zmieszanyimi z zimnym deszczem.

Wokół rozległy się krzyki i śmiechy, w wycięciach czerwonych masek zapłonęły oczy. Śmielsze – a może po prostu mniej cierpliwe – męskie ramiona otoczyły smukłe kibicie kobiet, pierwsze pary

skierowały się w stronę przytulnych tawern, pierwsze pocałunki zostały wymienione w bramach. Do zmroku, kiedy to pękną wszelkie bariery, było coraz bliżej.

W Mirabel już od tygodnia trwał karnawał, ale ludzie wciąż nie mieli dość zabawy.

Jordan postawił kołnierz płaszcza i schylił głowę. Z oddali słyszał szum morza napęczniały od spienionej lodowatej furii. Jak większość górali nie przepadał za morzem. Góry w swym gniewie były bardziej uczciwe.

— Pan weźmie książkę! — Mały ulicznik podbiegł do Jordana i próbował wcisnąć mu w rękę tanią broszurkę w tekturowej oprawie. Mężczyzna nawet bez patrzenia na tytuł wiedział, co to jest. *Historia miłości Milona i Seremondy*.

— To bardzo wzruszająca opowieść! — wrzasnął chłopiec, śmiejąc się, nie wiedząc czemu, od ucha do ucha i podskakując.

Drobny, w podartym brązowym odzieniu wyglądał jak jesienny liść, który lada moment odfrunie na wietrze. Dygotał z zimna, ale jego radość życia była zaraźliwa. Jordan sięgnął do kieszeni po monetę.

— Jeśli ci zapłacę, dasz mi spokój?

— A książkę pan weźmiesz?

— Nie lubię romansów.

— Przecież nie musisz pan tego czytać. — Ulicznik spojrzał chytrze. — Trzymaj pan po prostu książkę w ręce. Jak inni zobaczą, że już ją pan masz, to przestaną zaczepiać.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko. Wziął książkę, zapłaciwszy za nią więcej, niż była warta.

* * *

— Czy ma pan na myśli, że my wszyscy... umrzemy?

Domenic Jordan odłożył widelec i powiódł spojrzeniem po współbiesiadnikach, którzy siedzieli wokół ciężkiego staroświeckiego stołu. Sześcioro członków rodziny Dairesów łączyło wyraźne podobieństwo. Wszyscy mieli jasne włosy, bladą cerę i twarze zakończone spiczastymi podbródkami. Dziedziczna wada zgryzu sprawiała, że ich górne szczęki były lekko wysunięte do przodu, przez co usta układały się w okrągły rybi pyszczek. Ich wargi, a nawet wnętrza jamy ustnej miały sinoniebieski odcień, niekształtne czubki palców wyglądały zaś jak ulepione z gliny przez dziecko.

Sześć par identycznych oczu w kolorze spłowiałego błękitu spoglądało na gościa. Siódma, ciemnoniebieska para należała do Dariusa Pacome, który zajmował sąsiednie krzesło i patrzył w talerz, mieszając kawałki wędzonego boczku ze szpinakiem i fasolą.

— To, że umrzecie, nie ulega wątpliwości — Jordan zwrócił się do szesnastoletniego Christiana, który zadał pytanie. — Ja miałem na myśli, że umrzecie wcześniej niż przeciętni ludzie.

Na bladych policzkach młodzieńca pojawiły się niezdrowe rumieńce, w oczach zapłonęło oburzenie.

— Ma pan odwagę mówić nam takie rzeczy? Na jakiej podstawie? — Pierwsze zdanie zabrzmiało hardo, ale przy drugim głos się załamał i zawstydzony chłopak spuścił głowę.

— Och, pan Jordan nie mówi tego poważnie! — wykrzyknęła Chloe. — Proszę, proszę, niech pan powie, że to tylko żart!

Podobnie jak jej kuzyn miała wypieki i płonące gorączkowym blaskiem oczy. Ale Christian mimo oznak wzburzenia potrafił zachować spokój, dziewczyna natomiast była nienaturalnie ożywiona. Każde zdanie kończyła wykrzyknikiem, każdą prośbę popierała gestem, a jej dziecinne piersi falowały w rytm oddechu.

— Moje żarty ze śmierci są zazwyczaj w lepszym gatunku — odparł sucho.

— Ale przecież pan nie może mieć pewności — zaprotestowała cichutko Gabriela, siostra Christiana. Spokojna szara myszka, która nie odzywała się przez większość wieczoru. — Żaden lekarz nie może z całkowitą pewnością twierdzić, że wie, kiedy ktoś umrze.

— Oczywiście — przytaknął obojętnie. Miała trochę racji, a jeśli Dairesowie chcieli się łudzić, to on nie zamierzał im w tym przeszkadzać. Zaskakujące, pomyślał, że na sprzeciw odważyli się jedynie najmłodszy członkowie rodziny. Starsi spoglądali z oburzeniem, lecz nie powiedzieli ani słowa.

— Ale... — zaczął Christian.

— Dość tego. — Darius Pacome uniósł głowę znad talerza, a jego głos zabrzmiał nieoczekiwanie twardo. Po chwili na okrągłej twarzy mężczyzny pojawiła się niepewność, jakby przestraszył się własnej stanowczości. — Christian, proszę — powiedział już łagodniej, z wahaniem. — Otrzymałeś odpowiedź, prawda? Don Domenic przyznał, że nie jest niczego pewien. A więc jedz kolację I nie zadawaj więcej pytań.

— Straciłem apetyt. — Młodzieniec wstał gwałtownie, chlapiąc brunatnym sosem na obrus. Skierował się w stronę drzwi, a Domenic Jordan odprowadził go spojrzeniem. Tylko on zauważył,

że w progu chłopak zatrzymał się i przez chwilę uczepiony futryny łapał oddech zsiniałymi ustami.

* * *

— Nie powinieneś tego mówić. To... — Pacome szukał właściwego określenia. Wciąż pozował na lekkoducha, jakim był w czasach młodości, i słów takich jak „złe” czy „niemoralne” używał tylko w żartach. — Nieładne — powiedział w końcu i wzruszył bezradnie ramionami, świadom, jak bezsensownie to zabrzmiało.

Domenic Jordan spojrział w okno. Nie widział morza – była już noc – ale je słyszał. Huk fal, które wdzierały się w głąb lądu i cał po calu pożerały miasto.

— Przyznaję, że pozwoliłem sobie zajrzeć do rodzinnej biblii Dairesów i wiem, że w tym domu od pięciu pokoleń nikt nie dożył czterdziestych urodzin — odparł. — Dwadzieścia jeden osób zmarło przed trzydziestką, siedemnaście w wieku lat kilkunastu. Wcześniej zmarłych i martwo urodzonych dzieci nawet nie liczę.

Pacome wychylił się w fotelu i zbliżył rękę do zapalanej świecy. Na skórze czuł ciepły oddech płomienia. Ogień otaczał dłoń pomarańczowożółtą łuną, czubki palców sprawiały wrażenie na wpół przezroczystych i ulepionych z płynnego żaru.

Zegar na kominku zachrobotał i z wyraźnym wysiłkiem wybił jedenastą. Mężczyzna czekał cierpliwie, aż przebrzmi ostatnie uderzenie. Przywykł do tego zegara, do wydobywających się z jego wnętrza zgrzytów i do przerywanych kurantów, które przypominały krztuszenie astmatyka. Tak samo przywykł do tego wielkiego,

cuchnącego wilgocią domu, gdzie dywany gniły i rozpadały się, na ścianach rósł grzyb, a pod podłogą buszowały szczury.

W przeciwieństwie do Domenica Jordana Pacome przez minioną dekadę wyraźnie się postarzał. Wyglądał nie na trzydzieści trzy lata, lecz na co najmniej czterdzieści. Dawniej przypominał pulchnego amorka, teraz jego złote włosy przerzedziły się, a policzki obwisły. Nie obchodziło go to jakoś szczególnie, bo nie przywiązywał wagi do urody, ale – jak sobie uświadomił – te zmiany świadczyły o czymś głębszym, bardziej przerażającym. Postarzało się nie tylko jego ciało, lecz przede wszystkim umysł. Nie chciał o tym myśleć, nie przywykł zresztą do analizowania własnej duszy.

Dziesięć lat temu był najweselszym studentem na alestrańskim uniwersytecie. Nie przejmował się nigdy niczym, a już najmniej tym, że do medycyny nie ma żadnych zdolności. Lubiano go powszechnie, bo życie w jego towarzystwie wydawało się lekkie jak różowe wino z Basteny, on sam sprawiał zaś wrażenie wybrańca bogów. Nie spotykały go żadne nieszczęścia, co najwyżej tylko drobny pech, na który reagował nie rozpaczą, lecz dziecięcym zdumieniem. Młodszy o trzy lata Domenic Jordan był jego przeciwieństwem. Poważny, niechętnie mówiący o swej przeszłości, uchodził za dziwaka i odludka. Sympatia, która połączyła dwie tak różne osobowości, swego czasu zdumiewała wszystkich studentów. Lecz w gruncie rzeczy nie mieli się czemu dziwić. Pacome doceniał bystrą inteligencję i osobliwe poczucie humoru kolegi, a Jordan, który w tamtym okresie miał skłonności do melancholii, potrzebował czasem towarzystwa kogoś

wesołego. Towarzystwa niezobowiązującego, bo najważniejsze było właśnie to, że Pacome nie próbował pogłębić tej znajomości – nie wypytywał Jordana o jego przeszłość ani nie obarczał swymi błahymi problemami.

Darius Pacome tęsknił do tamtego niefrasobliwego, powierzchownego egoisty, jakim był niegdyś. Wolałby wciąż takim być. Starał się, ale przychodziło mu to z coraz większym trudem. Starzeję się, pomyślał z niechęcią. Za dużo myślę, robię się poważny i sentymentalny. Właśnie sentymentem kierował się, zapraszając człowieka, którego nie widział od czasów ukończenia studiów. Teraz żałował swojej decyzji. Na co właściwie liczył? Że ich znajomość odżyje, może nawet przerodzi się w coś głębszego, że znajdzie w dawnym koledze przyjaciela? Głupia nadzieja. Jordan wydawał mu się obcy, w dodatku niezbyt sympatyczny. Zimnokrwisty ponurak, pomyślał z niechęcią. Licho wie, co takiemu kłębi się pod czaszką. Ot, choćby teraz. Stoi przy oknie i nadstawia uszu, jakby spodziewał się usłyszeć Bóg wie co.

Domenic Jordan odwrócił się.

— Czy w Mirabel morze nigdy nie jest spokojne? — zapytał.

Pacome odetchnął z ulgą. A więc tylko o to chodzi. Dostrzeżony w dawnym koledze rys słabości wprowadził go w dobry humor.

— Szarpie nerwy, co? — powiedział lekkim tonem. — Też na początku nie mogłem przywyknąć do tego odgłosu. Wydawało mi się, że lada moment te przekłete fale pozbawią mnie dachu nad głową, a potem zatopią. No i niby trochę racji miałem. Wiesz, że tutaj, w Mirabel, każdego roku morze pochłania pas lądu szerokości

ośmiu stóp? Niedługo to miasto będzie należeć do ryb — zachichotał.

Mężczyzna przy oknie milczał. Pacome poruszył się niespokojnie w fotelu.

— Dwa lata temu podczas sztormu runęła północna ściana domu — podjął. — Cud boski, że nikomu nic się wtedy nie stało. Zamknęliśmy północne skrzydło na klucz i nie używamy go od tej pory. Proponowałem, żeby wynieść stamtąd meble, ale Stephanus się nie zgodził. Powiedział, że dość mamy gratów w domu. A więc wszystko zostało tak, jak było. Lżejsze sprzęty pewnie rozkradły miejscowe złodziejaszki, ale założę się, że te ciężkie wciąż tam są. Stoły, łóżka, kanapy i szafy, wszystko to gnije teraz w morskiej wodzie...

Jego dobry humor minął bez śladu. Paplał nerwowo, byle tylko wypełnić słowami ciszę.

— Dlaczego stąd nie wyjechałeś? Mogłeś zabrać Christiana i Gabrielę i wyprowadzić się z miasta.

Darius Pacome po ukończeniu studiów wrócił do Mirabel, skąd pochodziła jego rodzina, i objął tu posadę lekarza. Na szczęście dla pacjentów nie praktykował długo. Zrezygnował z medycyny, gdy tylko poznał i poślubił Euphemię Daires, wdowę z dwójką dzieci, która pochodziła z wciąż bogatej, choć podupadłej rodziny. Euphemia zmarła wkrótce po ślubie, a Pacome został prawnym opiekunem jej dzieci, Christiana i Gabrieli.

— Wiesz... — Były medyk wzruszył ramionami. — Dairesowie nigdy za mną nie przepadali. Uważali, że Euphemia popełniła megalians. Trochę to niesprawiedliwe, bo przecież to

zwykła kupiecka rodzina, teraz już nawet nie tak bogata. Dlaczego lekarz miałby być złym mężem? Ale oni zawsze zadzierali nosa i od pokoleń zenią się tylko między sobą, bo nikt nie jest dla nich wystarczająco dobry. Oczywiście ja nie mam prawa narzekać. — Na jego ustach pojawił się wymuszony uśmiech. — Wiodę tu całkiem przyjemne życie, jem do syta, ubieram się ciepło i o nic nie muszę się martwić. Czy to takie dziwne, że nie chciałem iść na poniewierkę Bóg wie gdzie, bez pieniędzy i z dwójką dzieciaków? Jestem słabym człowiekiem, chętnie przyznaję.

Starął się mówić żartobliwie, licząc, że usprawiedliwi go ironiczny dystans do samego siebie. Ale nawet dla niego ta wypowiedź zabrzmiała po prostu nieprzyjemnie. W oczach gościa musiał wyglądać na oportunistę i tchórza. Pragnął, aby ten poszedł już sobie i pozwolił mu spać. Jutro, pomyślał, będę w lepszym humorze i życie znów wyda mi się piękne.

* * *

Następnego dnia Domenic Jordan zamierzał odwiedzić Aleksa Focaranda, który do niedawna sprawował pieczę nad biblioteką należącą do tutejszego uniwersytetu.

Gdy kilka miesięcy temu uczelnia została zamknięta, pojawił się problem, co zrobić z książkami. Część zabrali rektor i profesorowie, a resztę postanowiono przekazać Stephanusowi Dairesowi, którego rodzina swego czasu hojnie dotowała uczelnię. Daires zgodził się, po czym natychmiast stracił zainteresowanie całą sprawą i książki wciąż jeszcze znajdowały się w domu bibliotekarza. Dopiero parę tygodni temu Darius Pacome wpadł na

pomysł, by zaprosić do Mirabel Domenica Jordana i pozwolić mu wybrać dowolną liczbę tomów. Miał ochotę zobaczyć dawnego kolegę i wiedział, że ten nie oprze się takiej pokusie.

Jednak tego ranka plany udaremniła Jordanowi pogoda. Wiatr ucichł, ale wciąż padał deszcz zmieszany ze zmrożonym śniegiem. Spacer w tych warunkach nie należałby do przyjemności, jazda kareta też nie miała większego sensu. Ulice były zatarasowane, bo powozy tych, którzy nad ranem wracali z zabaw, poutykały w błocie i stosach rozmokłych śmieci. Jordan postanowił poczekać, aż się roz pogodzi. Zjadł śniadanie, potem dołączył do Stephanusa, Sylvii i Bereniki Dairesów, którzy toczyli niespieszną rozmowę w salonie pełnym niemodnych złoconych brązów i ciemnych marmurów.

Spędził w ich towarzystwie interesujące pół godziny. Po raz pierwszy miał okazję obserwować tak wyraźne wady dziedziczne widoczne w obrębie zbyt blisko spokrewnionych ze sobą osób.

Stephanus Daires, ojciec Chloe i głowa rodziny, miał trzydzieści pięć lat, a zachowywał się jak staruszek. Chodził wolno, przy większym wysiłku z trudem chwytając oddech. Narzekał na zimno i pocił się jednocześnie. Wada zgryzu była u niego mniej widoczna, za to nie miał w ogóle rzęs i brwi.

Sylvię, jego żonę i zarazem siostrzenicę, szpeciły przede wszystkim wiecznie otwarte usta, przez co przypominała wyrzuconą na brzeg rybę. Skarżyła się na częste bóle głowy, ale poza tym sprawiała wrażenie dość zdrowej. Jej przyrodnia siostra, Berenica, była brzydsza i bardziej chorowita. Wady Dairesów – niekształtne palce, zły zgryz i sinawy odcień ust – u niej tak

rzucały się w oczy, że patrząc na tę młodą jeszcze kobietę, Jordan poczuł przypływ współczucia.

Współczucie przerodziło się w niechęć, ta zaś szybko przeszła w lekkie znudzenie. Wstał więc i pożegnał się grzecznie. Nie mógł w żaden sposób przywrócić Dairesom zdrowia, a uczciwie sam przed sobą przyznawał, że rozmowa z nimi nie jest tak interesująca, jak możliwość obserwowania ich twarzy.

Przechadzał się teraz pustymi korytarzami. W paru miejscach dotknął wiszących na ścianach draperii. Były pokryte nalotem zielonkawej pleśni i rozpadały się w palcach. Na pytania służących odpowiadał, że nie, nie zabłądził, po prostu spaceruje. Czasem wiedziony ciekawością zaglądał do pustych pokoi, w których służba przegrała nierówną walkę z kurzem, szczurami i wszechobecną wilgocią.

Dotarł do drzwi na końcu korytarza i nacisnął klamkę. Bez rezultatu. Cofnął się o krok. Drzwi były okute metalem i ciężkie, najprawdopodobniej prowadziły nie do kolejnego pokoju, ale do drugiego skrzydła domu.

Północnego, niżej położonego skrzydła. Tego, które zamknięto dwa lata temu, gdy zalała je woda.

A jednak, pomyślał Jordan, przez te drzwi ktoś przechodził. Wewnątrz zamka widać było zadrapania, które świadczyły, że ktoś całkiem niedawno siłował się z opornym mechanizmem.

Zawrócił. W połowie korytarza minął wykuszowe okno. Dopiero teraz zwrócił uwagę na książkę, która leżała na parapecie.

Historia miłości Milona i Seremondy. Tanie wydanie w tekturowej oprawie, dokładnie takie jak to, które wczorajszego

popołudnia kupił od małego ulicznika, a potem tuż przed progiem domu Dairesów podarował jakiejś roześmianej panience.

Jordan nie czytał książki ani nie zamierzał tego robić, ale znał tę historię. Każdy, kto przybywał do Mirabel, znał dramatyczne dzieje miłości dwojga młodych, którzy pochodzili z dwu skłóconych ze sobą rodzin. Dzieje zakończone w zaskakująco szczęśliwy sposób: Seremonda wyszła za mąż za Milona i została przykłądną matką jego dzieci.

— Moja książka! — krzyknęła Chloe, nadchodząc szybko korytarzem. — Moja książka! Och, proszę mi ją oddać! Wszędzie jej szukałam!

Zdyszana zatrzymała się przed mężczyzną. Porwała z jego rąk *Historię miłości* i przytuliła ją do piersi niczym ocalone z pożaru dziecko.

Zarumienione policzki i błyszczące oczy sprawiały, że nie zwracało się uwagi na jej wady. Nawet sinoczerwone usta nie budziły odrazy. Chloe Daires mogłaby uchodzić za ładną, przynajmniej dla kogoś, kto lubi wiotkie, egzaltowane panienki. Domenic Jordan nie lubił.

— Uwielbiam opowieści o miłości — powiedziała irytująco wysokim tonem. — A ta jest najpiękniejsza ze wszystkich. Najcudowniejsza! Ja i Gabriela czytamy ją na okrągło. Seremonda i Milon byli naszymi prapradziadkami, pan wie?

Wolno skinął głową, przyglądając się jej z uwagą.

— Niedługo ja także wyjdę za mąż. — Zarumieniła się jeszcze bardziej. Rumieniec był brzydki, na tle bladej skóry wyglądał jak krew plamiąca białe płótno. — Za Christiana, mojego kuzyna.

Jesteśmy zaręczeni od dzieciństwa. Bardzo go lubię, pan wie? Już się nie mogę doczekać ślubu! Będę ubrana w piękną suknię, a orkiestra w kościele zagra *Biały marsz*. Ciekawe, jakie to uczucie, kiedy jest się kobietą zamężną? Tak bym chciała wszystko o tym wiedzieć!

Lubię go, nie Kocham. Cóż, w aranżowanych małżeństwach i sympatia jest rzadkością. Mimo to Chloe pragnęła wyjść za mąż. Chciała tego, co wszystkie dziewczęta: białej sukni, hucznego wesela, a przede wszystkim jak najszybszego przekroczenia magicznego progu kobiecości.

Większość ludzi na miejscu Jordana uśmiechnęłyby się z rozbawieniem i czułością. On pozostał poważny. Łapczywość, z jaką ta wątła dziewczyna pragnęła zakosztować życia, sprawiała przykre wrażenie. Przykre, a nawet w pewien sposób... nieprzyzwoite, bo piętnastoletnia Chloe Daires wyglądała jak dziecko, lecz jej żarliwość była namiętnością nieświadomej jeszcze kobiety.

* * *

Mirabel, pomyślał Domenic Jordan, idąc ulicą, nie ma przyjezdnym do zaoferowania nic prócz legendy o miłości Seremony i Milona.

I oczywiście oprócz karnawału.

Potrącali go ludzie w barwnych strojach i czerwonych maskach na twarzach, niektórzy mocno już pijani. Wokół kręcili się ulicznicy, którzy sprzedawali różne drobiazgi, zebrali, a z pewnością – gdy nadarzyła się okazja – także i kradli.

Tradycja tutejszego karnawału pochodziła z czasów, gdy w Mirabel istniał jeszcze uniwersytet. Biedni, lecz pomysłowi studenci każdego roku urządzali huczne zabawy, które nieodmiennie kończyły się interwencją straży miejskiej. Z czasem karnawał zaczął przyciągać przyjezdnych spragnionych mało wyrafinowanych rozrywek. Uniwersytet w Mirabel podupadał coraz bardziej, aż w końcu został zamknięty, ale tradycja karnawału przetrwała. Tyle że teraz zabaw nie organizowali już studenci, lecz sprytni mieszczanie, którzy dostrzegli szansę na zabicie majątku.

Wśród przyzwoitych ludzi mirabelski karnawał miał złą opinię. Żaden ojciec nie przywiózł tu nigdy córki, by na balu poznała swego przyszłego męża, żadna bogobojna wdowa nie przyjechała tu, by w szacownym gronie innych wdów plotkować i grać w warcaby. Przyzwoici ludzie nie bawili się w Mirabel. Tutejsze rozrywki były dość prymitywne. Polegały na picciu dużych ilości wina, gonitwach za kobietami, które następnie zaciągało się do wynajmowanych na godziny pokoi, a także na pojedynkach i zwykłych bójkach. Po zakończeniu zabaw Mirabel potrzebowało trochę czasu, by dojść do siebie.

Wiosenne burze zmywały do morza śmieci, właściciele sklepików wstawiali nowe szyby, a lekarze łatali rannych. Lecz rachunek zysków i strat zawsze wypadał na korzyść karnawału, tak więc w następnym roku wszystko zaczynało się od nowa.

— Nie chce pan zobaczyć egzekucji?

Jordan przystanął. Rudowłosa kobieta w sukni obszytej lisim futrem trzymała go za ramię. Drugą ręką wskazywała tłum, który gromadził się wokół szubienicy ustawionej na środku placu.

— Sporo ludzi jest interesujących po śmierci, a niektórzy nawet przed — odparł. — Lecz ci w trakcie umierania zazwyczaj nie są zbyt ciekawi.

Rudowłosa roześmiała się głośno. Przysadzista, miała szeroką, sympatyczną twarz i zadarty nos. Mimo kobiecej figury było w niej coś męskiego, może po prostu pewność siebie i swoboda zachowania.

— No, według mnie pan należy do tych, którzy są interesujący jeszcze przed śmiercią. Za kogo pan się przebrał? — Znacząco spojrzała na jego czarny strój.

— Za Domenica Jordana.

— Aha. — Wysunęła język, jakby chciała dotknąć czubka zadartego nosa. — Bardzo oryginalny pomysł.

— Nie wątpię.

— Ja jestem Lisicą, co nie powinno ulegać wątpliwości. A przynajmniej nie ulegało, kiedy wychodziłam z tej podłej tawerny, w której mieszkam. Potem zgubiłam gdzieś moją czapkę z lisimi uszami. Albo ukradł ją jeden z tych przebrzydłych uliczników, którzy próbowali mi wcisnąć książkę. *Historia miłości Milona i Seremony*. Jaki tytuł, taka treść. Wszędzie tu tego pełno. Nie uwierzy pan, ale w domu mam już czterdzieści pięć egzemplarzy. Czterdzieści pięć! Ułożyłam z nich w salonie stosik i postawiłam na nim spluwaczkę. Mniejsza zresztą z tym. Powinna jeszcze mieć ogon. Mam ogon?

Rozbawiony Jordan spojrzał na tył jej sukni, gdzie spod krótkiego kożuszka wyłaniała się lisia kita.

— Ma pani.

— To dobrze. — Z satysfakcją skinęła głową. — Dokąd pan idzie?

— Do dzielnicy La Gratusse. Obrzuciła go zdumionym spojrzeniem.

— Do Neahelitów? Po co? Jest tam jakaś zabawa?

— Nie.

— A co?

— Obawiam się, że biblioteka — powiedział przeproszającym tonem.

— Biblioteka. — Lisica wzdrygnęła się z niechęcią. — Na widok tylu książek zawsze robi mi się słabo. Czuję się taka mała i nieważna, jeśli wie pan, co mam na myśli. I niezbyt mądra, a tego uczucia szczególnie nie lubię. Ale w pana towarzystwie mogę stawić czoła nawet książkom. Nie ma pan nic przeciwko temu, że się do pana przyłączę?

* * *

Lisica dzielnie dotrzymywała mu kroku, mimo iż był od niej wyższy i nie starał się iść wolno. Dół sukni miała ubrudzony, bo śmiało wchodziła do każdej kałuży. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że zamiast damskich pantofli nosiła męskie skórzane buty, w sam raz odpowiednie na zimową pluchę.

— Jest pani stąd? — zapytał.

— Z Mirabel? Broń mnie Panie Boże! Przyjeżdżam tu tylko na karnawał. Przez resztę roku w tym mieście nic się nie dzieje. Jest jak wymarłe, istne miasto duchów. Wszyscy stąd uciekają. To przez morze. Tylko patrzeć, jak całe Mirabel zniknie pod wodą. Ale tutaj

nigdy jeszcze nie byłam... — Rozejrzała się wokół. — *Brrrr*, co za ponura okolica.

Jordan musiał przyznać jej rację. Szli wąską ulicą, wzdłuż której stały drewniane domy. Wszystkie stare, zniszczone przez czas i wiejące znad morza wiatry. Nawet jeśli ktoś kiedyś próbował pomalować je na jakiś wesoły kolor, to po wysiłkach tych nie został żaden ślad. Fasady w La Gratusse były jednolicie ciemnobrązowe, niemal czarne, w barwie przesiąkniętego wilgocią sosnowego drewna.

— Jest pan pewien, że tutaj znajduje się ta biblioteka?

— Dla ścisłości — poprawił — tutaj mieszka Alex Focarand, staruszek, który przez większość swego życia był bibliotekarzem na mirabelskim uniwersytecie, a teraz ma w domu książki, które należały do uczelni.

— Aha — mruknęła bez większego zainteresowania.

Przystanął, by spytać o drogę. Rozglądając się, zauważył, że część przechodniów ma charakterystyczne trójkątne twarze.

To potomkowie tych, którzy przyплыnęli tu w czternastym wieku z Serralangue, pomyślał.

Mały chłopiec gapił się na nich z wyraźnym zainteresowaniem. Miał jasne włosy i zabawną buzię zwężającą się od szerokiego czoła do drobnego podbródka. Zapytany o starego bibliotekarza poprowadził ich bez słowa w stronę jednego z domów. Odezwał się dopiero, gdy Jordan podał mu monetę.

— Pan jest pokutnikiem, prawda? — zapytał.

— Nie, dziecko, to nie jest pokutnik, tylko człowiek przebrany za Domenica Jordana — pouczyła go ze śmiechem Lisica.

Mały speszył się, nie rozumiawszy odpowiedzi. Odbiegł, a kobieta z niechęcią spojrzała na dom, przed którym stali.

— Chyba daruję sobie tę wizytę. Starych ludzi lubię jeszcze mniej niż książki. Nie ma mi pan tego za złe? W razie czego może mnie pan znaleźć w Bursztynowym Kocie. Tam mieszkam. Albo na placu Sprawiedliwości, gdzie dziś ma być jeszcze jedna egzekucja. Albo w tej gospodzie, nie pamiętam nazwy, to jest tuż koło północnej bramy, gdzie dają takie dobre ostrygi. Albo... Zresztą na pewno się jeszcze spotkamy.

Było to najwyraźniej coś w rodzaju pożegnania, bo Lisica uśmiechnęła się, ukazując mocne zęby, skinęła krótko głową i odeszła.

Jordan zapukał w drzwi.

Po dłuższej chwili otworzyła mu Gabriela Daires. Spojrzeli na siebie w milczeniu. Oboje byli zdziwieni, a dziewczyna wyglądała także na przestraszoną.

— Ja nic nie zrobiłam — powiedziała szybko i tak cicho, że z trudem ją rozumiał. Nie patrzyła mu w oczy. — Kiedy przyszedłam, on już tak leżał. Chciałam tylko pomóc, naprawdę, nie chciałam zrobić nic złego i uznałam, że to najlepsze wyjście...

Odsunął ją delikatnie i przestąpił próg. Wąski korytarz prowadził do otwartych na oścież drzwi, za którymi znajdowała się niewielka izba. Tam na stosach książek spoczywał wychudzony staruszek. Obok leżała drewniana drabina. Jeden z jej szczebli był spróchniały i pęknięty. Najwyraźniej staruszek spadł z niej, gdy próbował sięgnąć na półkę z książkami.

Domenic Jordan ukląkł na poduszce, którą ktoś rzucił obok

ciała. W pierwszej chwili pomyślał, że mężczyzna jest martwy, dopiero gdy przyłożył palce do jego szyi, poczuł delikatne bicie pulsu. Lewa powieka bibliotekarza zatrzepotała lekko, ale poza tym leżał nieruchomo jak kamień. Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, a szeroko otwarte oczy bez wyrazu wpatrywały się w powałę. Głowę miał wykręconą pod nienaturalnym kątem, kręgi szyjne złamane.

— To Alex Focarand? — zapytał Jordan.

— Tak — dobiegł go zza pleców szept Gabrieli.

— Od jak dawna tu jesteś?

— Jakieś trzy godziny. — Dziewczyna mówiła już spokojnie.

Widać przerzucenie odpowiedzialności na Jordana przyniosło jej ulgę. — Nie poruszył się przez ten czas, choć szarpałam nim i krzyczałam mu do ucha. Chciałam prosić o pomoc któregoś z sąsiadów, ale zatrzasnęli mi drzwi przed nosem. On nie był zbyt lubiany — wyjaśniła. — Nienawidził ludzi, nawet mnie ledwo tolerował, choć się nim opiekowałam. Kochał tylko książki.

Książek nie było znów tak dużo – chyba nie więcej niż tysiąc woluminów – ale w niewielkim pomieszczeniu sprawiały przytłaczające wrażenie. Grubą warstwą przykrywały stół, skrzynię na ubrania, a nawet łóżko, piętrzyły się w chybotliwych stosach na półkach i pod ścianami, leżały rozrzucone na podłodze. W powietrzu unosiła się woń charakterystyczna dla starych bibliotek: zapach skórzanych okładek, kurzu i wygasłych świec.

— Słyszysz mnie, prawda? — zwrócił się do Focaranda.

— Możesz poruszać powieką, a więc mrugnij raz na tak, dwa razy na nie.

Powieka staruszka opadła, po czym znieruchomiła. Jordan zdjął mu buty i poprosił Gabrielę o przyniesienie noża.

— Czujesz ból? — Ostrzem nakłuł podeszwę lewej stopy leżącego.

Dwa mrugnięcia, przy drugiej nodze to samo. Na ból nie reagowały także ręce ani żadna inna część ciała.

— On umrze, prawda?

Skinął głową. Być może Focarand mógłby żyć jeszcze przez jakiś czas, gdyby podawać mu pokarm przy pomocy wepchniętej w przelyk rurki. Ale to i tak nie trwałoby długo.

— Dlatego właśnie chciałam mu pomóc — głos dziewczyny znów stał się niepewny. — Myślę jednak, że pan to zrobi lepiej...

Poduszka, na której klęczał. Do licha. Musiał przyznać, że Gabriela Daires go zaskoczyła. Ta nieładna panna, tak blada i cicha, że przypominała raczej ducha niż istotę z krwi i kości. Zapominano o niej, pomijano w rozmowie, a podczas posiłków służący zawsze jej ostatniej nalewał wina. Nikt nie zwracał na nią uwagi. A ona właśnie przed chwilą przyznała, że była gotowa zabić.

— Zaczekaj na zewnątrz — polecił, a gdy zamknęła za sobą drzwi, zwrócił się do staruszka — mogę skrócić ci cierpienie, jeśli chcesz.

Jedno mrugnięcie. Tak.

— Chcesz przed śmiercią coś jeszcze przekazać? Możemy to zrobić tak, że ja będę wymieniał poszczególne litery alfabetu, a ty mrugniesz, gdy dotrę do właściwej.

Nie.

Jordan skinął głową, skrywając ulgę. Wiedział, że będzie mu

łatwiej, gdy zrobi to szybko, nim zdąży w pełni sobie uświadomić, na co się decyduje, i nim dostrzeże w Focarandzie człowieka, a nie tylko bezwładne ciało.

Sięgnął po poduszkę, a gdy było po wszystkim, zamknął staruszkowi oczy.

* * *

Gabrielę znalazł w drugiej, jeszcze mniejszej izbie. Siedziała na łóżku pośród rozgrzebanych brudnych koców. Obok, na stole, stała na wpół wypalona świeca, gliniany kubek i talerz z resztkami ziemniaków i gotowanej rzepy. W rogu kaflowy piec lekko promieniował ciepłem.

— Co się stanie z książkami? — zapytała. — Wuj Stephanus tak naprawdę wcale ich nie chce. Kiedyś sporo czytał, ale odkąd wzrok mu się popsuł, wciąż powtarza, że to strata czasu.

— Wezmę wszystkie, jeśli tylko twój wuj się zgodzi.

— Nie powie pan wujowi, że tu byłam? — Spojrzała na niego niespokojnie. — Gniewałby się na mnie. Ani mnie, ani Chloe nie wolno wychodzić w czasie karnawału. Wuj Stephanus mówi, że samotnej pannie mogą się wtedy przydarzyć różne złe rzeczy.

— Nie powiem — obiecał Jordan.

Spodziewał się, że Gabriela odetchnie z ulgą, ale ona wciąż sprawiała wrażenie zakłopotanej i niepewnej. Złożył to na karb poczucia winy i o nic nie pytał. Zresztą miał ważniejsze sprawy na głowie.

* * *

Jeszcze tego samego dnia słudzy przewieźli książki do domu Dairesów, a potem wnieśli je do jednego z pustych pokoi.

— Naprawdę zamierzasz zabrać to wszystko ze sobą do Alestry? — Darius Pacome trącił nogą jeden z tomów. — Ja tu nie widzę nic ciekawego. O, proszę. — Schylił się. — *Wyraź swoje uczucia językiem kwiatów*. Naprawdę interesują cię takie rzeczy?

— Jeśli nie mnie, to pewnie przydadzą się innym.

— Będzie cię to kosztowało kupę pieniędzy... — pomrukiwał Pacome, przeglądając książki. — I trochę potrwa. Wiesz, wynajęcie ludzi i wozu, zabezpieczenie tego wszystkiego...

— Wiem — przytaknął Jordan, zastanawiając się, czy nie przedłużyć pobytu w Mirabel także z innego powodu.

Intrygowało go to miasto. Było osobliwe, jakby rozłamane na pół, złożone z dwu nieprzystających do siebie części. Z jednej strony rozpasany, kolorowy karnawał, gdzie królowały młodość i prymitywna żądza życia, a z drugiej dom Dairesów, wilgotny i posępny, w którym dogasali potomkowie potężnej niegdyś rodziny. Kontrast, który zachwyciłby niejednego dramatopisarza, dla Jordana był przede wszystkim źródłem pewnych... możliwości. Niezbyt przyjemnych, ale niewątpliwie interesujących.

— A to co? — Darius Pacome podniósł bliźniaczo podobne tomy. — *Opisanie ziem Neahelitów*, część trzecia: *Geografia*. I tom pierwszy: *Historia*. A gdzie drugi? — Przewertował *Historię*, a potem *Geografię*. — Nic tu nie ma na temat innych części, ale przecież musi istnieć tom drugi, prawda? Wątpię, czy jakikolwiek wydawca pomyliłby się aż tak bardzo.

— Może zabrał go któryś z profesorów.

Były medyk skinął głową, momentalnie tracąc zainteresowanie tą drobną zagadką. Przeczytał tytuł kolejnej książki.

— A to — roześmiał się — powinienem podsunąć Christianowi. *Jak jeść, aby utrzymać ciało i umysł w dobrym zdrowiu*. Wiesz, że ten głupi chłopak poszedł dziś na jakąś zabawę uliczną, zdarł gardło, śpiewając piosenki, przemarzał, a na dodatek jeszcze objadł się pieczonymi kasztanami? Teraz leży w łóżku i jęczy, że boli go brzuch...

Jordan zastanowił się, czy nie powinien zaproponować swojej pomocy, ale po pierwsze, nie miał na to większej ochoty, po drugie, skutki przejedzenia nie powinny być groźne nawet dla kogoś tak delikatnego zdrowia jak Christian Daires, a po trzecie, choć Darius Pacome istotnie był wiejskim lekarzem, to nieuprzejmością byłoby mu o tym przypominać tak wyraźnie.

* * *

Drugi wieczór w domu Dairesów Domenic Jordan spędził, przeglądając książki i starając się wyłowić spośród nich te najciekawsze. Trafił na kilka godnych uwagi, między innymi na pierwsze, niepoprawione wydanie traktatu *O państwie i religii* Parsona, trzy tomy *Medycyny zakazanej*, a także czwartą część *Opisania ziem Neahelitów* zatytułowaną *Języki*.

Części drugiej nie znalazł.

Okolo dziesiątej postanowił przerwać pracę. Przemarzał w nieogrzewanym pomieszczeniu, był zakurzony i zmęczony.

Wrócił do swego pokoju, zadzwonił po służącą i poprosił o gorącą wodę. Poczł się odrobinę lepiej, gdy umył ręce i twarz,

a potem zmienił koszulę. Podsycił przygasający w kominku płomień. Drewno było wilgotne i na chwilę, nim uchylił okno, pomieszczenie wypełnił szary, gryzący dym.

Zimowy zmierzch zapadał szybko. W domu Dairesów godziny pomiędzy zmrokiem a porą pójścia spać ciągnęły się niemiłosiernie. Nie istniała tutaj tradycja wieczornych spotkań, wspólnego czytania wierszy czy opowiadania sobie historyjek z dreszczykiem przy kominku. Tylko służba po kolacji zbierała się na plotki w kuchni, które to pomieszczenie należało chyba uznać za najbardziej przytulne w całym domu. Reszta mieszkańców radziła sobie z samotnością na własną rękę. Dla Stephanusa, Sylvii i Bereniki wieczór nie różnił się zbyt wiele od reszty dnia. Żyli jak koty: od drzemki do drzemki, od jednego posiłku do drugiego, dbając głównie o to, by było im ciepło. Darius Pacome wieczorami gdzieś zniknął. Najprawdopodobniej korzystał z uciech karnawału i Jordan nie mógł mu mieć tego za złe. Christian, gdyby nie ból brzucha, też pewnie wymknąłby się z domu. A Chloe i Gabriela? Wątpliwe, by dziewczęta odważyły się teraz wyjść na miasto. Nie wieczorem, gdy alkohol zamroczył już wszystkim głowy, a zabawy na ulicach stawały się coraz bardziej nieprzyzwoite i brutalne.

Domenic Jordan ze świecą w ręku wyszedł na korytarz. Zatrzymał się. Słyszał szcęk naczyń dobiegający od strony kuchni, śmiech, kaszel, skrzyp drewnianych stopni pod czyjąś stopą. I szum morza, jakżeby inaczej.

Po chwili usłyszał także odgłosy rozmowy. Dobiegały z daleka, z jednego z rzadko używanych salonów.

Skierował się w tamtą stronę, a gdy był już blisko, zgasił świecę

i ostrożnie pchnął uchylone drzwi.

W salonie Chloe i Gabriela bawiły się w teatr. Miały zaimprovizowaną scenę, nawet coś w rodzaju kurtyny sporządzonej z dziurawego koca. Brakowało im tylko publiczności.

Chloe była przesadnie wystrojona, niczym dziewczynka przebrana za księżniczkę z bajki. Miała skręcone na żelazku włosy, sporo biżuterii i różową staromodną suknię, odrobinę na nią za dużą. Gabriela natomiast nosiła strój męski, czy raczej – biorąc pod uwagę jej drobną sylwetkę – chłopięcy. Czasem gdy dziewczyna wkłada męski ubiór, paradoksalnie podkreśla to jej kobiecość, czyni ją bardziej zmysłową i prowokującą. Ale nie w przypadku Gabrieli. Ona w kaftanie i spodniach wyglądała po prostu jak chłopak. Rezolutny i pewny siebie. Zniknęła gdzieś małomówna szara myszka i nawet wadliwe rysy, które raziły w twarzy panny, okazały się całkiem dobrze pasować młodzieńcowi.

Jordan domyślił się, że dziewczęta odgrywają właśnie jakąś dramatyczną miłosną scenę.

— Przekleństwo twarzy twojej i piękności. Tak długom diabła oglądał w kryształach, aż mnie wybrałaś! — Gabriela mówiła na pozór spokojnie, ale z wyraźną nutką namiętności.

— Cóż byś tak straszno zrobił, czego bym znieść nie śmiała? — odpowiedziała Chloe. Afektowany ton, jakim zazwyczaj się posługiwała, na zaimprovizowanej scenie brzmiał naturalnie. Obie panny zdumiewająco dobrze odnalazły się w swoich teatralnych wcieleniach, znacznie lepiej niż w rolach, które przyszło im grać w życiu.

Domenic Jordan przymknął cicho drzwi. Gabriela i Chloe

odgrywały tę scenę dla siebie, nie dla publiczności.

* * *

Założył płaszcz, wziął szpadę, a także pistolety i wyszedł na miasto.

Ulicami przeciągał właśnie krzykliwy korowód przebierańców. Niektórzy trzymali w rękach pochodnie, większość miała na twarzach czerwone maski. Blask ognia i krwisty kolor masek odbijały się w kałużach. Reszta barw, blada w porównaniu z czerwienią, tonęła w mroku.

Zręcznie zszedł korowodowi z drogi i udał się w stronę placu Sprawiedliwości. Na środku wciąż stała szubienica, a wiszący na niej trup bujał się w podmuchach wiatru. Przy szubienicy trwała zabawa. Domenic Jordan przyglądał się przez chwilę.

Grupa mężczyzn otaczała trzy smukłe postacie. Stali blisko siebie, tworząc ciasny kordon. Okrzykami i gestami zachęcali kobiety, które kręciły się pośrodku koła, roześmiane, z zarumienionymi policzkami i rozczochranymi włosami. Były bez płaszczy, tylko w rozchełstanych, miejscami podartych bluzkach. Mimo to nie wyglądały na zziębnięte.

Co jakiś czas któraś z nich zrywała się do biegu i z impetem wpadała na kordon, próbując go przerwać. Męskie ręce chwyciły ją wtedy, łaskotały i obmacywały, a ona wiała się niczym piskorz, dławiąc się śmiechem. Potem wracała do środka kręgu, jeszcze bardziej potargana i rozbawiona.

Trup wisielca rzucał cień na zarumienione twarze kobiet.

Idąc przez plac, Jordan mijał grupy ludzi, którzy gromadzili się

przy otwartych drzwiach kasyn i przy wozie wyładowanym beczkami z winem. Jakiegoś w miarę trzeźwo wyglądającego mężczyznę spytał o drogę do kościoła Świętego Gaudrica. Zapytany spojrział, jakby miał przed sobą wariata, ale udzielił odpowiedzi. Kościół stał na obrzeżach dzielnicy La Gratusse. Wielka, przysadzista budowla rysująca się kanciastymi konturami na tle nocnego nieba. Drzwi były otwarte – w czasie karnawału świątynie zamykano dopiero o północy, choć mało kto do nich zaglądał – i Jordan przestąpił próg.

Szedł ostrożnie po gładkiej czarnej posadzce pomiędzy gładkimi czarnymi kolumnami. Żadnych obrazów, rzeźb czy ozdób, tylko wszechobecna czerń bazaltu, w której odbijały się nikłe płomyczki świec. Kościół został ufundowany przez cudzoziemca, Neahelitę z rodu Inkhoudich, który co prawda przyjął wiarę chrześcijańską, lecz w głębi serca pozostał poganinem.

Domenic Jordan stanął przed ołtarzem, a cień zwinął się wokół jego stóp w kłębek jak szary kot.

Ołtarz i krzyż były bardziej niż skromne. W porównaniu z przytłaczającą wielkością tej czarnej budowli wydawały się nieważne, pozbawione znaczenia. Większe wrażenie robił posąg, który znajdował się w prawej nawie. Bazaltowa figura przedstawiała siedzącego na krześle mężczyznę. Był tak olbrzymi, że stopy opierał o posadzkę, a głową sięgał stropu. Ręce miał złożone na kolanach, plecy sztywno wyprostowane, wzrok pusty, wbity w przestrzeń wysoko ponad głowami zwykłych ludzi. Mimo tej nienaturalnej postawy Jordan nie mógł pozbyć się wrażenia, że w kamiennym posągu tli się życie, że lada moment wstanie

i wyprostuje się, czerepem przebijając strop kościoła.

Podszedł bliżej, poruszając się ostrożnie w półmroku. Trącił stopą coś, co odpowiedziało metalicznym brzdękiem. Schylił się i podniósł nóż. Tani, ale solidny i stosunkowo nowy. I świeżo naostrzony. Dar dla świętego? Raczej nie, pomyślał. Przed laty w Mirabel trwała wojna pomiędzy rodziną Inkhoudich a Dairesami, zaś przedstawiciele obu rodów – o czym dobrze wiedział – wykorzystywali w niej pomoc swych patronów. Broń zostawiano na noc w kościele, gdzie święty błogosławił ją, sprawiając, że rany nią zadane ropiały i nie chciały się goić. Najwyraźniej wśród Neahelitów zwyczaj ten wciąż był żywy, choć moc obu świętych osłabła i Jordan wątpił, czy ten, kto zostawił tu nóż, doczeka się jakiegokolwiek efektu.

Gaudric, dawniej pogański bóg, a teraz obdarzony okcytańskim imieniem święty, w czternastym wieku przybył z Serralangue wraz z tymi, którzy go czcili. Neahelici przyjęli chrześcijaństwo, lecz nie wtopili się w tutejszą społeczność. Wyróżniały ich charakterystyczne rysy twarzy, osobliwe zwyczaje, a także to, że woleli się trzymać we własnym gronie.

Dla Mirabel obecność tych jasnowłosych emigrantów nie miała większego znaczenia. Niezbyt liczni, biedni i dość spokojni, nie zwracali na siebie uwagi. Przez trzysta lat tylko jedna neahelicka rodzina zapisała się w historii miasta.

Inkhoudi byli sprytniejsi od swych rodaków i mieli smykałkę do kupiectwa. Zbiwszy majątek na handlu z Lewantem, stali się konkurencją dla rodu Dairesów, najpotężniejszej mirabelskiej rodziny. Nikt już nie pamiętał, dlaczego coś, co na początku było

tylko konfliktem interesów, przerodziło się w krwawą wendettę. Oko za oko, ząb za ząb, śmierć za śmierć. Pojedynki, podpalenia, grabieże i uliczne bijatyki, w których brali udział zwolennicy obu stron, przez pół wieku dezorganizowały życie miasta, choć większość mirabelczyków starała się trzymać od nich z dala, bo czasy tak czy inaczej były niespokojne.

Kres tej osobliwej wojnie położyło dopiero małżeństwo Seremony Inkhoudi i Milona Dairesy. Choć kres to chyba niezbyt adekwatne słowo. Rodziny się nie pogodziły, nie było wybuchu żalów czy skruchy po ślubie dwojga młodych. Po prostu od tego momentu konflikt zaczął przygasać. Ród Inkhoudich podupadł na skutek blokady morskiej, a ostatni jego potomkowie zmarli w biedzie. Dairesowie natomiast z każdym pokoleniem byli coraz słabsi i bardziej chorowici, zainteresowani raczej własnym zdrowiem niż jakimikolwiek innymi sprawami. Jakie znaczenie miała dla nich toczona przed laty wojna? Poza tym, że sentymentalna Chloe wzruszała się historią miłosną swych pradziadków?

Jordan odwrócił się i wyszedł na ulicę. Zaspokoił swoją ciekawość; widział kościół, o którym opowiadano mu już w Alestrze, tak odmienny od większości okcytańskich świątyń. Istotnie, niezwykle interesujący, pomyślał z aprobatą, a potem skrzywił się lekko, bo w miejsce ciekawości pojawił się niepokój, a on mimo wysiłków nie potrafił określić jego źródła.

Zbudził się, gdy skrzypnęły otwierane drzwi. Która mogła być godzina? Miał wrażenie, że położył się ledwie przed chwilą.

Wstał, nim nocny gość zdążył podejść do jego łóżka. Wiedział,

że stało się coś złego.

— Pomóż mi, Domenicu — poprosił przerażony Pacome.
— Chodzi o Christiana... Bardzo źle się czuje.

— Nadal boli go brzuch? — Jordan sięgnął po torbę lekarską.

— Wciąż narzekał, więc dałem mu silny środek na przeczyszczenie. Zaczął wymiotować, choć nie bardzo miał czym, biedaczek. A teraz chyba... zemdlał.

Pacome skulił się. Całą postawą błagał, by ktoś go zapewnił, że wszystko będzie dobrze, że to nic poważnego. Wyraz ulgi na wszelki wypadek czekał w jego oczach, nieśmiały uśmiech (a ja tak się wystraszyłem, no proszę, jaki ze mnie stary głupiec, ha, ha) przyczaił się w kącikach ust. Było w nim coś budzącego litość i niechęć jednocześnie.

— Czy ja... zrobiłem coś źle?

— Zaraz ci powiem — odparł Jordan.

* * *

Ciało Christiana Dairesa wciąż było ciepłe, tęczyówki oczu czyste, bez śladu zmętnienia. Niemniej trudno było mieć wątpliwości. Chłopak nie żył.

Leżał skulony w poprzek łóżka. Prawa dłoń tuż przy sercu, druga zwisająca bezwładnie. Chude, bezwłose nogi wystające spod koszuli nocnej. Cierpka woń wymiocin, z których większość znajdowała się w wiadrze, a reszta brudziła prześcieradło.

— On miał siedemnaście lat — powiedział Pacome tępo. Potem powtórzył to samo jeszcze raz. Jakby to było zaklęcie zdolne wskrzesić zmarłego.

— I bardzo słabe serce, które jest wadą dziedziczną w tej rodzinie — uzupełnił Jordan. — Powinieneś o tym wiedzieć.

Christiana mógł zabić każdy większy wysiłek. Szybki bieg, bójka, nawet miłość fizyczna. Wtedy przynajmniej miałby śmierć godną mężczyzny. Pech jednak chciał, że zabiły go torsje. Serce nie wytrzymało gwałtownego działania emetyku.

Darius Pacome poruszał chwilę ustami, najwyraźniej nie mogąc się zdecydować, co powiedzieć.

— Biedaczysko — wykrztusił wreszcie. — I co ja wszystkim powiem?

* * *

Nie musiał mówić nic. Stephanus, Sylvia i Berenica Dairesowie przyjęli zgon chłopaka zdumiewająco obojętnie i nie zadawali żadnych pytań. Nie był pierwszym dzieckiem, które zmarło w tej rodzinie. Dawno już pogodzili się ze śmiercią, która na dobre zamieszkała w ich domu. Ta milcząca akceptacja przyniosła Pacome'owi ulgę. Nie kochał Christiana i nie zamierzał udawać, że po nim płacze. Zgon młodzieńca oznaczał dla niego wstydlivy wypadek przy pracy, a nie utratę kogoś bliskiego.

Jedynie Chloe i Gabriela naprawdę przejęły się tą śmiercią. Twarze miały ściągnięte bólem, pobladłe z przerażenia. Od czasu pogrzebu trzymały się razem, z dala od reszty rodziny.

Zasady dobrego wychowania nakazywały, by Domenic Jordan opuścił pogrążony w żałobie dom, zwłaszcza że książki zostały już wysłane do Alestry i nie miał pretekstu, by dłużej tu pozostać. Mimo to zwlekał, korzystając z milczącego przyzwolenia

Stephanusa Dairesa. Nie miał wyrzutów sumienia z powodu czegoś, co większość osób uznałaby za bezczelność. Wciąż dręczył go niepokój, który wbrew pozorom niewiele miał wspólnego z Christianem czy starym bibliotekarzem. To że w Mirabel już dwa razy zetknął się z gwałtowną śmiercią, uznał za przypadek, osobliwy zbieg okoliczności. W żadnym z tych zgonów nie dopatrywał się niczego nienaturalnego. Christian Daires cierpiał na poważną wadę serca, a Alex Focarand był wychudzonym dziewięćdziesięcioletkiem o słabych kościach. To nie z ich powodu Jordan został w Mirabel.

Został z powodu portretu, książki i plamy krwi.

* * *

W przeddzień pogrzebu natknął się na Chloe i Gabrielę. Czytały książkę w tym samym salonie, w którym niedawno odgrywały sztukę. Dopiero w dziennym świetle widać było, jak bardzo zaniedbane jest to pomieszczenie. Serwantkę pokrywała warstwa brudu, zasłony poszarzały od kurzu, a z sufitu zwisały girlandy pajęczyn. Jedynie sofę, na której siedziały dziewczęta, przykryto czystą narzutą w kwiatowy wzór.

Na widok gościa uniosły głowy znad książki. Miały na sobie skromne szare sukienki, a w świetle, które wpadało przez brudne szyby, także ich cera wydawała się szara. Spoglądały przed siebie, jakby Jordan był przezroczysty, jakby wcale go nie widziały. Wokół ich jasnych włosów poruszały się leniwie drobinki kurzu zatopione w mętnej żółci zimowego słońca.

Przez chwilę Domenic Jordan miał absurdalną ochotę wycofać

się po cichu. Odniósł wrażenie, że jest świadkiem sceny, która rozegrała się dawno temu, i ma przed sobą dwa duchy. Twarze obu dziewcząt były gładkie, bez wyrazu, jakby pozostawiły już za sobą wszystkie emocje życia.

Dziwny nastrój prysł, gdy zwrócił się do Gabrieli.

— Chciałem zapytać — powiedział — czy nie wzięłaś przypadkiem ze zbiorów Aleksa Focaranda pewnej książki, drugiego tomu *Opisania ziem Neahelitów*.

Sekret, który dzielili w związku ze śmiercią Aleksa Focaranda, powinien stworzyć pomiędzy nimi więź jeśli nie sympatii, to przynajmniej porozumienia i wzajemnego zainteresowania. Nic takiego się nie stało i Gabriela Daires wciąż była dla Jordana nie tylko obca, ale także niewarta bliższego poznania.

— Nie. — Bez trudu wytrzymała wzrok rozmówcy. — Nie odważyłabym się wziąć żadnej jego książki. Bałabym się.

Pamiętał, że w mieszkaniu starego bibliotekarza dziewczyna wydawała się bardzo zakłopotana. Dopiero później przyszło mu do głowy, że być może ma to związek nie tyle ze złamaniem zakazu ojca czy śmiercią Focaranda, ile z przywłaszczeniem sobie książki. Pytając, liczył, że Gabriela albo się przyzna, albo znów zdradzi poczuciem winy. Jej pewność siebie zbiła go z tropu.

Skinął głową, przyjmując wyjaśnienie. Dziewczęta czekały, aż sobie pójdzie. Gabriela cierpliwie, Chloe nawet nie skrywając niechęci.

Spojrzał na wpółotwartą książkę, którą Chloe trzymała na kolanach. *Historia miłości Milona i Seremony*, zbeletryzowana wersja prawdziwych wydarzeń spisana kilkadziesiąt lat po śmierci

Seremony, gdy jej uczucie stało się już legendą.

Uśmiechnął się lekko.

— Będę musiał przeczytać tę powieść. Widzę ją wszędzie, dokąd pójde, o każdej porze dnia i w każdym miejscu. Jeśli jej nie przeczytam, wkrótce pewnie zacznę znajdować ją rano pod poduszką i na talerzu zamiast śniadania. Cóż, czasem nie warto walczyć z przeznaczeniem.

Nie spodziewał się takiej reakcji. Oczy Chloe rozszerzyły się gwałtownie, a ona sama wyprostowała się jak ukłuta szpilką.

— Ależ... Po co? To...

— To tylko zwykła historia miłosna — wtrąciła gładko Gabriela. — Dobra dla takich sentymentalnych dziewcząt jak my. Pan się będzie przy tym nudził. To nic ciekawego, zapewniam.

* * *

— Przeczytałem tę książkę — powiedział z niesmakiem.

— Mam ci z tego powodu bić brawo czy co? — Pacome przesadnie wysoko uniósł brwi. Świeżo po wieczornej kąpieli, otulony kraciatym pledem wypoczywał na szezlongu, chrupiąc oblane miodem daktyłowe ciasteczka. Podsunął talerz z łakociami koledze, ale ten odmówił.

— Większej odwagi wymagało ode mnie chyba tylko wzięcie udziału w grze w rękawiczki — przyznał Jordan. — Ta powieść jest sentymentalna, pisana koszmarowym stylem, w dodatku autor nie potrafi stopniować napięcia. Seremonda Inkhoudi i Milon Daires spotykają się podczas karnawału, zakochują w sobie, lecz ich rodziny nie wyrażają zgody na małżeństwo. Później następuje seria

dramatycznych wydarzeń. Listy przekazywane przez zaufanych służących, potajemne schadzki, w końcu pospieszna ucieczka w środku nocy, ucieczka, w której, cytuję: *bierze udział młodzieniec stawiający cały swój los na jedną kartę i dziewczyna dla niepoznaki przebrana w chłopięcy strój...* Potem pościg i brutalna walka na brzegu morza, podczas której Milon rani trzech pachołków Inkhoudiego. Inkhoudi zabiera córkę, wlecze ją, dokładnie takie słowo użyte jest w tekście, wlecze ją, ciągnąc za włosy, do kościoła, po czym każe uklęknąć przed posągami świętego Gaudrica i błagać o przebaczenie. Zamyka Seremonę na noc w kościele, by przemyślała swe winy. A potem? Inkhoudiego ogarnia litość, zmienia zdanie, mówi do córki, jeśli dobrze cytuję: *Twoje serce jest mądrzejsze niż moje. Nie mogę stanąć na drodze wyboru, jakiego dokonało.* Panna otrzymuje ojcowskie błogosławieństwo, Milonowi też udaje się przekonać rodzinę do planowanego małżeństwa. Przychodzi mu to tym łatwiej, że jego ojciec jest już bardzo stary i chyba niezbyt zdaje sobie sprawę z tego, co się wokół niego dzieje. Dochodzi do ślubu, podczas którego obie rodziny patrzą na siebie wilkiem, ale nikt nikogo nie zaczepia. A na koniec gwóźdź, który autor powieści wbija w trumnę niebanalnych rozwiązań: Seremonda i Milon przeżywają ze sobą sześć szczęśliwych lat i doczekują się gromadki potomstwa, lecz on umiera na szkarlatynę, ona zaś na znak utraconej miłości do śmierci nosi żałobę. A żyła długo, prawie dziewięćdziesiąt osiem lat. Milon zmarł w roku Pańskim 1573, a jego żona w 1648 i przez siedemdziesiąt pięć lat, które dzielą te daty, cała garderoba Seremony, począwszy od chusteczek do nosa poprzez koszule nocne, bieliznę aż do sukni,

płaszczy, a nawet futer, zawsze była w kolorze czarnym. Ludzie nazywali ją Czarną Panią z Mirabel. Do dziś zresztą uliczni artyści wycinają z papieru – oczywiście czarnego – sylwetki wiotkiej damy w staroświeckiej sukni i sprzedają je przyjeźdnym. Ale nie o to chodzi. Mówiłem o stopniowaniu napięcia. Pomyśl, tyle dramatycznych przeszkód, które stają na drodze zakochanych, a potem ta nagła zgoda ojca dziewczyny i lukrowany koniec. Czy nie wydaje ci się, że opowieść o miłości Seremony i Milona powinna skończyć się... z większym hukiem?

Pacome odniósł wrażenie, że Jordan wbrew pozorom mówi poważnie i spodziewa się poważnej odpowiedzi. Wzruszył ramionami.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi. Przecież tak właśnie było, prawda? To historia z życia wzięta, którą można trochę ubarwić, ale trudno zmieniać fakty.

Rozmówca przyglądał mu się z uwagą. Wyglądał raczej na rozbawionego niż rozczarowanego.

— Kiedy ostatni raz widziałeś portrety Seremony i Milona?

— Co to ma... — zaczął byłby medyk nerwowo, po czym skapitulował niechętnie. — Nie pamiętam. Widuję je często. Dziwak z ciebie, Domenicu, wiesz? Dziesięć lat temu nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak wielki. — Bez powodzenia próbował się roześmiać.

— Ja widziałem te portrety dziś po południu — powiedział miękko Jordan. — Co więcej, nie tylko je widziałem, ale nawet się im przyjrzałem. Myślę, że powinieneś zrobić to samo.

Obrazy wisiały w bibliotece w zakurzonej, nieoświetlonej kątach. Para, na której zarabiali pokolenia mirabelskich drukarzy, nie cieszyła się w domu Dairesów szczególnym poważaniem.

Jordan uniósł trzymaną w ręce świecę, by Pacome mógł lepiej zobaczyć.

Oba portrety powstały w roku 1572.

Pierwszy przedstawiał mężczyznę o brązowych włosach i miłej pociągłej twarzy, drugi zaś jasnowłosą, wielkooką dziewczynę. On uśmiechał się lekko, ona była poważna. Być może z powodu czarnej sukni, którą nosiła, sprawiała wrażenie starszej od męża, bardziej dojrzałej.

— No i co? — mruknął Pacome.

— Nadal nie wydaje ci się, że w historii miłości Seremony i Milona jest coś osobliwego?

Były medyk otworzył szeroko oczy, stanął na palcach i zbliżył twarz do portretu kobiety tak bardzo, że nosem dotknął płótna.

W ten sposób już nic nie mógł zobaczyć, ale też wcale tego nie chciał. Stroił sobie żarty, rewanzując się w ten sposób za kpiące spojrzenia.

— Nic tu nie ma — powiedział z namaszczaniem, przedrzeźniając ton uniwersyteckich uczonych. — Szanowny kolego, moje doświadczenie podpowiada mi, że na obrazie tym znaleźć można tylko starą farbę, kurz i musze gówna. Żadnych tajemnic.

Nie był głupcem, ale nawet nie próbował się zastanowić i nie zauważył tego, co dla Domenica Jordana było oczywiste.

Na portrecie namalowanym w roku 1572 Seremonda nosiła

czarny strój, co oznaczało, że swoją słynną żałobę założyła przynajmniej na rok przed śmiercią męża.

* * *

Następnego dnia Dairesowie udali się na pogrzeb, Jordan został zaś w domu, by dopilnować załadunku książek. Praca szła tragarzom szybciej i sprawniej, niż się spodziewał. Gdy wynajęty wóz odjechał w kierunku Alestry, była dopiero trzecia po południu. Dairesowie mieli wrócić godzinę później, koło czwartej.

Domenic Jordan skierował się w miejsce, które najbardziej go intrygowało.

Drzwi do północnego, zalanego wodą skrzydła. Zamknięte na głucho, a jednak z nowymi zadrapaniami wokół zamka.

Jednego ze służących zapytał o klucz, ale nie otrzymał żadnej sensownej odpowiedzi. Klucz był, owszem, trzymano go w pokoju kredensowym – a może w skrzyni z rupieciami? – potem zaginął, tak gdzieś rok temu, albo i półtora. Nikt go nie szukał, bo i po co? Nie chodzi się do tego skrzydła, tam nie ma nic ciekawego, tylko gnijące meble, morze i wrzeszczące mewy.

„Nic ciekawego”. Jordan już drugi raz słyszał ten zwrot i po raz drugi nie uwierzył.

Wyszedł na zewnątrz, nie kłopotząc się zakładaniem płaszcza. Pogoda była ciepła jak na styczeń, niebo czyste, bez śladu chmur. Okrążył dom Dairesów i przez małą furtkę od strony ulicy dostał się do ogrodu. Szedł wzdłuż ściany budynku, aż dotarł do północnego skrzydła. Znalazł okno, w którym szyba była już częściowo zbita, po czym kamieniem rozbił ją do reszty. Dłonią w rękawiczce usunął

odłamki, postawił stopę na parapecie i skoczył w półmrok, wprost w morską wodę.

Sięgała mu do pół łydki. Miejscami czarna jak smoła, miejscami – tam gdzie padało światło słońca – brudnoszara i mętna. Poruszył się ostrożnie. Gruba, dobrze wyprawiona skóra butów chroniła go przed wilgocią.

Minął staroświeckie łoże z oberwanym baldachimem, wybebeszoną otomanę i szyfonierę z urwanymi drzwiami. Złodzieje, którzy tu buszowali, najwyraźniej postanowili zniszczyć wszystko, czego nie zdołali wynieść. Ścienne obicia pokrywała warstwa pleśni, lekko fosforyzująca w półmroku. Jordan szedł powoli, uważając, by nie potknąć się o coś w brudnej wodzie. Jego stopy ślizgały się na szczątkach zbutwiałych dywanów, słyszał szum fal, na twarzy czuł świeże, pachnące morzem podmuchy wiatru, które napływały przez uchylone drzwi.

Skierował się w tę stronę. Zardzewiałe zawiasy skrzypiały, gdy pokonując opór wody, otwierał drzwi, by precyzyjnie się na drugą stronę.

Miał przed sobą morze.

Dawniej, nim runęła północna ściana, musiał tu być pokój muzyczny. Pomiedzy zwałami gruzu leżały szczątki krzeseł i ozdobnych taboretów, a także kawałki malowanych donic, w których niegdyś rosły kwiaty. Nad nimi, pieniąc się i kipiąc, przelewała się woda.

Pośrodku zaś stał czarny fortepian. Niemal nietknięty tkwił pod zimowym, sinobłękitnym niebem, a jego zgrabne rzeźbione nóżki omywały fale.

Jordan uniósł klapę i uderzył w klawisze. Instrument pozostał głuchy, zresztą jego solidność była złudna – z bliska okazało się, że wilgoć i sól mocno już nadwerężyły hebanowe drewno. Tylko mewa, która na fortepianie czyściła sobie piórka, spojrzała na intruza z wyrzutem, po czym rozłożyła skrzydła i odleciała, kreśląc ponad ołowianym morzem łagodnie falistą linię.

Domenic Jordan zawrócił w głąb domu.

Wyżej położone pomieszczenia okazały się wilgotne, zagrzybione i niezdatne do mieszkania, ale przynajmniej nie sięgała do nich woda. Żyły tutaj szczury, których popiskiwanie rozlegały się w mroku, a woń zgniłych obić i dywanów przyprawiała o mdłości.

Dotarł do zamkniętych drzwi, które oddzielały północne skrzydło od reszty domu. Był niewiele mądrzejszy niż przed godziną, gdy stał po drugiej stronie, rozważając, kto otwiera zamek dawno zagubionym kluczem.

Zastanowił się.

W ciągu ostatnich dni ktoś co najmniej dwukrotnie otwierał drzwi. Prawdopodobnie bywał w północnym skrzydle już wcześniej (klucz zaginął pół roku albo i rok temu), ale wizyty te nie mogły być częste, bo w przeciwnym razie mechanizm zamka nie stawiałby oporu przy każdej próbie uruchomienia go. Po co ów ktoś tu przychodzi? Albo, pomyślał Jordan, chce coś znaleźć, albo też przeciwnie, potrzebuje kryjówki. W pierwszym przypadku mam małe szanse zgadnąć, o co chodzi, w drugim przynajmniej mogę spróbować.

Na kryjówkę najlepiej nadawało się suche pomieszczenie.

A przynajmniej w miarę suche. Jordan znalazł takie. Niewielki gościnny pokój przeznaczony pewnie dla jakiegoś ubogiego krewnego. Ściany były tu ceglane, pozbawione obić, które mogłyby nasiąknąć wilgocią i zgnić, a komplet szyb w oknach chronił wewnątrz przed deszczem.

W pokoiku znajdowała się tylko skrzynia na ubrania, łóżko i nocny stolik. Najpierw zajrzał do skrzyni, ale okazała się pusta. Wtedy zwrócił uwagę na łóżko. Chwycił okrywający je koc – zaskakująco suchy zresztą – i uniósł ostrożnie.

Prześcieradło plamiła krew. Duża ilość krwi, jakby ktoś położył tu rannego człowieka. Całkiem niedawno, bo choć plamy wyschły, to ich barwa wciąż była purpurowa, a nie zrudziała niczym ślady rdzy. Kto leżał na tym łóżku ranny, może nawet umierający? I gdzie się podział?

Właśnie wtedy, nim położył koc na miejsce, Jordan postanowił, że niezależnie od nakazów etykiety zostanie w domu Dairesów jeszcze przez jakiś czas.

Część druga: KREW

Na granatowym niebie wisiał napęczniały srebrzystym blaskiem księżyc, niemal idealnie okrągły. Do pełni brakowało jednego dnia. Wiatr poganiał czarne chmury o postrzępionych brzegach, czasem podobne do łagodnych smoków, a czasem do złych wilków o wydłużonych pyskach.

Domenic Jordan znacznie częściej widział wilki niż smoki.

Stał na placu przed kościołem Świętego Gaudrica. Wokół było pusto, bo wszystkie zabawy odbywały się bliżej rynku; zresztą La Gratusse nawet w czasie karnawału uchodziła za najspokojniejszą dzielnicę Mirabel.

Włożył zziębnięte dłonie do kieszeni. Żałował, że nie wziął grubszych rękawiczek. Było ciepło, kiedy wychodził z domu, dopiero potem zerwał się ostry, przenikliwy wiatr. W powietrzu wyczuwało się ciężką od zapachu morza wilgoć. Morze... Wciąż je słyszał. Szum to cichy, to znów głośniejszy, ale zawsze zawierający w sobie cień groźby.

Dotknął palcami listu, który przyszedł dzisiaj z poranną pocztą.

Nawet nie wyobrażasz sobie, panie, jak popularna jest postać, której strój nosisz. Z łatwością zdołałam się dowiedzieć, gdzie mieszka człowiek podający się za Domenica Jordana. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi, panie, tego za złe. Piszę w pilnej sprawie, prosząc o spotkanie. Dowiesz się czegoś niezwykle interesującego, jeśli o godzinie jedenastej wieczór przyjdiesz pod kościół Świętego Gaudrica. Nigdy tam nie byłam, ale słyszałam, że to miejsce odludne, tajemnicze i niepokojące, a więc w sam raz stosowne na sekretne spotkanie.

Zamiast podpisu na dole kartki widniała zamasyście skreślona litera L. Lisica. Jordan zastanawiał się, czy kobieta istotnie ma mu do powiedzenia coś ciekawego. Kpiący ton listu o niczym nie świadczył. Lisica, tak jak Darius Pacome, należała do ludzi, którzy żartują nawet ze spraw poważnych.

Tak czy inaczej, nie zamierzał tracić okazji. Dość często zdarzało mu się dostawać liściki od kobiet podpisane tylko

inicjałami, albo i zupełnie anonimowe. Były wśród nich takie, które wyraźnie sugerowały miłosną schadzkę, i takie, które wspominały o posiadanych przez autorkę ważnych informacjach. W pierwszym przypadku przychodził na spotkanie lub nie – w zależności od humoru – w drugim zjawiał się zawsze.

Zimny i wilgotny podmuch uderzył go w twarz. Odwrócił się plecami do wiatru i roztarł zziębnięte ramiona. Mógłby wejść do kościoła, ale wolał stać na placu i rozglądać się. W oknach kamienic płonęły świece, czasem u wylotu jednej z uliczek pojawiała się sylwetka spóźnionego przechodnia. Lisica nie miała racji, twierdząc, że to odludne miejsce. Nie było także tajemnicze, a przynajmniej Jordan nie widział żadnego powodu, dla którego należałoby je za takie uznać. Czy było niepokojące? Do diabła, tak. Masywna sylwetka kościoła dominowała nad placem, rzucając głęboki cień, a jej kształty raziły oczy przywykłe do łagodnych łuków typowej okcytańskiej architektury. Jest zbyt kanciasta, o zbyt wielu kątach, pomyślał. W dodatku kąty te pojawiały się w nieoczekiwanych miejscach, na pozór bez żadnego architektonicznego uzasadnienia. Wzrok błądził po ostrych jak diabelskie rogi konturach, daremnie próbując odnaleźć w nich sens, i prędzej czy później każdy obserwator gubił się, a w jego sercu rósł niepokój.

Kościół Świętego Gaudrica był po prostu brzydki, przynajmniej dla większości Okcytańczyków. Jednak Domenic Jordan uważał go za fascynujący i dlatego też, korzystając z okazji, spoglądał na niego z odrobiną podziwu. Zastanawiał się przy tym, jakim charakterem musiał być obdarzony człowiek, który kazał coś

takiego zbudować.

Zegar na wieży kościelnej wybił kwadrans po jedenastej. Lisica spóźniała się.

Z prawa dobiegł hałas, tupot nóg i gniewne okrzyki. Jordan odwrócił się. Ktoś pędził z tamtej strony, najpierw jedna sylwetka z latarnią w ręce, potem druga. Pierwsza była męska i przysadzista, druga chudsza i chłopięca. Młodzieniec wyprzedził mężczyznę i pierwszy dopadł Jordana. Chwycił go za ramię.

— To pan? To... pan?

— Co ja? — zapytał z ciekawością Jordan. Przysadzisty mężczyzna stanął obok i uniósł latarnię.

— To pan jest mordercą? — dokończył chłopak, patrząc nieznanemu pilnie w twarz.

— A czy wyglądam na mordercę?

Młodzieniec stropił się, bo nie potrafił powiedzieć ani tak, ani nie.

— Daj spokój — zmytygował go krępy towarzysz. — Szukamy jakiegoś wariata, bardziej zwierzęcia niż człowieka.

— Co się stało?

— Guiu Thierry leży na ulicy i ledwo zipie. Wygląda, jakby go napadł wściekły pies, ale on mówi, że to był człowiek. Człowiek, który gryzie. — Mężczyzna zachichotał ponuro.

* * *

Jordan przepchnął się przez tłum, który stał przy łóżku rannego. Powitał go groźny pomruk. Ucichł, gdy przedstawił się jako lekarz, ale nieufne spojrzenia wciąż śledziły każdy jego ruch.

Ktoś położył rannego na kocu i przeniósł go z ulicy na łóżko, ktoś wcisnął mu pod głowę wypchaną słomą poduszkę. Poza tym nie zrobiono dla niego nic. Blady mężczyzna jęczał i krwawił. Prawą rękę od łokcia aż po nadgarstek miał poszarpaną i naznaczoną śladami zębów. Nie trzeba było wielkiej inteligencji, by domyślić się, że Thierry tą właśnie ręką zasłaniał gardło, do którego sięgał napastnik.

Jordan spróbował pozbyć się gapiów, a gdy jego próby nic nie dały, zrezygnował i zajął się rannym. Pomogła mu starsza kobieta, a chwilę później – trochę niepewnie – niski, śmierzący cebulą mężczyzna. Ona zagrzała wody, on przyniósł brzytwę i gąsiorek wódki, a potem podarł na pasy czystą koszulę. Reszta zebranych tylko patrzyła. Z ciekawością i jednocześnie niechętnie, jakby mieli przed sobą magika, którego z góry uznali za oszusta.

Jordan wyciął strzępki tkanki wzdłuż śladów zębów, oczyścił ranę i opatrzył. Potem pochylił się nad Thierrim

— Kto ci to zrobił?

— Nnnie wiem...

— Przypomnij sobie.

Oczy rannego za nic nie mogły skupić się na jednym punkcie, powieki opadały. Nie tracił przytomności, a po prostu zasypiał. Cuchnął tanim winem i wyglądało na to, że jest bardziej niż trochę pijany.

— Dzieciak... — wymamrotał tylko. — Mały, chudy. Ale... miał... mocne... zęby.

Jordan zrozumiał, że w tej chwili niczego więcej się nie dowie. Wyprostował się i rozejrzał. Gapie wciąż nie spuszczały z niego

wzroku.

Znał takich jak oni. Byli ubodzy, niewykształceni, niewykluczone także, że część z nich dopiero niedawno przybyła do Mirabel z jakiejś okolicznej wsi. Nauczono ich posłuszeństwa wobec władzy – a słowo „lekarz” oznaczało dla nich poniekąd człowieka u władzy – ale to posłuszeństwo miało w sobie sporo biernego oporu. Tacy ludzie przytakują, gdy ktoś każe im coś zrobić, i nie odważą się na słowo sprzeciwu, lecz pozostawieni sami sobie natychmiast robią wszystko po swojemu.

Trudno, muszę zaryzykować, pomyślał.

Ów niski, śmierdzący cebulą mężczyzna wyglądał na w miarę rozsądnego. Wezwany, z wahaniem wyszedł na pustą ulicę.

— Jak się nazywacie?

— Ion Thierry. Tamten to mój brat.

Jordan skinął głową. Domyślił się, że jedyny chętny do pomocy mężczyzna jest krewnym rannego.

— On potrzebuje spokoju. Wyrzucicie stąd wszystkich tych ludzi i pozwólcie mu odpocząć. Nie dawajcie mu wódki, choćby się zbudził, a wam się zdawało, że to zmniejszy jego ból. Przyjdę tu wczesnym rankiem i przyniosę wszystkie potrzebne leki. I nie sprowadzajcie do niego żadnych znachorek!

To zastrzeżenie dodał na wypadek, gdyby komuś przyszło do głowy odczytać uroki. Ostatecznie okoliczności, w jakich młody Thierry został ranny, były na tyle osobliwe, by podejrzewać udział sił nieczystych.

* * *

— Wilkołak? — zapytał Darius Pacome, marszcząc brwi. Zaraz potem roześmiał się niefrasobliwie. — E tam, jeśli rzeczywiście jest mały jak dzieciak, to nie ma strachu. Raz-dwa się go zastrzeli. Straszny mi potwór, który nie potrafi poradzić sobie z jednym pijaczną.

Szli niemal pustymi ulicami, zanurzeni w szarości zimowego świtu. Usłyszawszy o wydarzeniach ostatniej nocy, Pacome postanowił towarzyszyć koledze. Jak twierdził, po to, by nie wyjść z lekarskiej wprawy, ale Jordan podejrzewał, że prawdziwą przyczyną jest po prostu nuda.

— Nie powiedziałem, że to wilkołak. Sam wyciągnąłeś takie wnioski.

— A jakie wnioski miałem wyciągnąć? Wygląda jak człowiek, to raz. — Pacome odliczał na palcach. — Ma zęby mocne jak pies, to dwa. Gryzie, trzy. Więc co to może być?

— Ale jest słaby — zwrócił uwagę Jordan. — Słusznie zauważyłeś, że prawdziwy wilkołak bez trudu poradziłby sobie z pijakiem. Ten sobie nie poradził.

— I to cię martwi? — parsknął Pacome. — Wiesz, Domenicu, czasem mam wrażenie, że ty lubisz mnożyć problemy. Jest słaby, no to dobrze, prawda? Szybko się go złapie, a ty będziesz mógł go pokroić na kawałeczki i zobaczyć, dlaczego jest taki, a nie inny. Wypytam tego, jak mu tam... niech powie dokładnie, kto go napadł. Coś musi pamiętać, choć był wtedy pijany. A potem znajdziemy wilkołaka. Albo może i zwyczajnego człowieka, któremu się ubzdurało, że jest wilkołakiem. Słyszałem o takich przypadkach. No i po kłopotcie. Naprawdę nie widzę, czym się tu

martwić...

Szedł różnym krokiem, zarumieniony i uśmiechnięty. Odkąd wyszli z domu, usta niemal mu się nie zamykały. Jordan słuchał go jednym uchem, wyławiając tylko najważniejsze informacje. Był zmęczony tą paplaniną i odrobinę zirytowany, ale jakby na przekór poczuł cień zainteresowania. Dziesięć lat temu gadanina kolegi bawiła go, a nawet wydawała mu się sympatyczna, lecz nigdy nie próbował doszukiwać się w niej głębszego sensu. Przywykł do myśli, że Darius Pacome jest co prawda miłym towarzyszem, ale w sprawach poważnych nie ma nic do powiedzenia. Teraz miał coraz silniejsze wrażenie, że idący obok mężczyzna sam nie wierzy w to, co mówi, i że gdyby tylko go do tego zmusić, zrezygnowałby z żartobliwego tonu i odpowiedział szczerze na kilka pytań.

Na przykład na pytanie, co właściwie dzieje się w domu Dairesów. Pacome nie był głupcem i nawet jeśli ze wszystkich sił starał się żyć w nieświadomości, to i tak musiał coś zauważyć. Być może nawet wiedział więcej, niż mu się zdawało, że wie.

Nim Jordan zdecydował się zapytać o cokolwiek, stanęli przed bramą domu, w którym mieszkali bracia Thierry.

— To tutaj? — upewnił się Pacome, a Jordan skinął głową.

Weszli do wąskiej, mrocznej sieni. Cała kamienica była podzielona na kilkanaście maleńkich mieszkań, w których gnieździła się biedota. Cuchnęło tu stęchlizną i zmieszany woniami wczorajszych posiłków, głównie gotowaną kapustą. Z podwórka dobiegał gwar trzymanego w klatkach ptactwa, piętro wyżej jakaś kobieta gderliwie i bez przekonania uspokajała dziecko. Ktoś się kłócił, ktoś trzepał materac. Był wczesny ranek, ale

mieszkańcy kamienicy nie nawykli do wylegiwania się.

Jordan zapukał w drzwi po prawej. Odpowiedziała mu cisza, zapukał więc jeszcze raz.

Drzwi po lewej uchylły się lekko i wychynał zza nich skurczony, łysy jak kolano staruszek.

— Jak do braci Thierry, to ich nie ma — poinformował z niejaką satysfakcją. Wyciągał przy tym ciekawie głowę na długiej szyi, a jego zasnutę bielmem oczy błędziły gdzieś w okolicy ramion rozmówców.

— Dokąd poszli?

— Uciekli — zniżył głos do poufnego szeptu. — Był u nich wczoraj pewien człowiek, podobno calutki czarny niczym diabeł albo neahelicki pokutnik. Tak gadali. Guiu słabuje, a tenże czarny wyczyniał nad nim różne cuda, na koniec zaś zapowiedział, że jeszcze tu wróci, Josèp bał się o brata, bo a nuż czarny urok na niego chce rzucić? To i zabrał chorego i poszli dziś o świcie. Dokąd, nikt nie wie, może po prostu na wieś do matki wrócili?

Darius Pacome zachichotał.

— A wy, ojczulku — spytał słodkim jak syrop głosem — nie boicie się aby tego czarnego jegomościa?

— Nie. — Niewidomy staruszek uśmiechnął się. W górnej szczęce brakowało mu siekaczy, ale poza tym zęby miał zaskakująco zdrowe. — Ja potrafię odróżnić przyzwoitego człowieka od zbója.

Pacome z chęcią ciągnąłby dalej tę zabawę, lecz Jordan chwycił go za ramię i delikatnie skierował w stronę wyjścia. Potem wyjął z kieszeni ciężką monetę i wcisnął ją w dłoń staruszka.

— Widzę, że jesteście bardzo rozsądni — powiedział. — To się chwali. Myślę, że mogę wam zaufać. Widzicie, ja szukam tego czarnego mężczyzny. Trzeba go znaleźć jak najprędzej, bo jest bardzo niebezpieczny. Dlatego chciałbym porozmawiać z Guiu Thierrim i zapytać o parę rzeczy. Jeśli bracia wrócą, pošlijcie kogoś na Nadbrzeże do Dariusa Pacome, który mieszka w domu Dairesów. Zapamiętacie? Darius Pacome, Nadbrzeże, dom Dairesów.

Staruszek przytaknął gorliwie.

— Zapamiętam, panie. Dobry z was człowiek. Nie taki jak ten czarny. Jestem ślepy, ale przyzwoitego człowieka zawsze rozpoznam.

* * *

Na ulicy Darius Pacome wciąż chichotał.

— Co zrobisz, jeśli bracia Thierry rzeczywiście wrócą do domu? Przecież cię rozpoznają.

— Ty pójdziesz z nim porozmawiać. Najwyraźniej ja nie budzę w tych ludziach zaufania. — Domenic Jordan wzruszył ramionami.

— A nie możesz zwyczajnie dać sobie spokoju z całą tą sprawą? Jakiś chłop wracał pijany do domu, a po drodze ktoś go napadł i pogryzł. Wielkie mi rzeczy. Pewnie to nawet nie wilkołak, a zwyczajny wariat. Pamiętasz jeszcze profesora Parmenesa, który nas uczył? Tego, który pasjonował się rzadkimi truciznami? Zawsze podejrzewał otrucie, nawet jeśli pacjent cierpiał po prostu z przejedzenia. Jesteś do niego trochę podobny. Tam, gdzie można znaleźć zupełnie niewinne wyjaśnienie, ty z uporem naginasz fakty

do swojej teorii i wszędzie dopatrujesz się działania sił nieczystych, wilkołaków, demonów i tajemnic z piekła rodem. Jesteś pewien, że twoja pasja nie zdławiła aby zdrowego rozsądku?

Jordan zatrzymał się, spojrział na niego ze zdziwieniem i sympatią, a potem uśmiechnął nieoczekiwanie.

— Wiesz, że możesz mieć trochę racji? Być może moje spojrzenie na świat jest odrobinę skrzywione, a mnie czasem ponosi fantazja. Niemniej — zmrużył lekko oczy — nie wymyśliłem sobie krwi, którą widziałem w północnym, zamkniętym skrzydle domu.

— Jakiej krwi? — Pacome zmarszczył brwi, a gdy otrzymał odpowiedź, potrząsnął głową. — Nie mam pojęcia, skąd mogła się tam wziąć. Ale pewnie istnieje sporo całkiem niewinnych wyjaśnień.

— Podaj mi choć jedno.

— Daj spokój. — Były medyk całkiem już stracił dobry humor. — To nie na moją głowę. Nie teraz, nie przed śniadaniem. Jestem głodny i zmęczony, bo przez ciebie okropnie wcześnie wstałem. Daj mi spokój przynajmniej do śniadania.

Przyspieszył kroku, wyprzedzając towarzysza. Ten zawołał za nim cicho. Pacome zatrzymał się niechętnie i odwrócił.

— Co to takiego neahelicki pokutnik?

— Nnnie wiem... — zająknął się, a na jego twarzy pojawiła się niepewność, która szybko przeszła w dziecięce nadąsanie. — Nie masz nic lepszego do roboty, jak tylko zamećczać mnie pytaniami? Sam znajdź odpowiedzi, jak taki ciekawy jesteś.

Szybkim krokiem podążył w stronę domu. Jordan poszedł za nim, zastanawiając się po pierwsze, jak zmusić go, by w końcu

zaczął myśleć, a po drugie, jak skłonić, by podzielił się tymi przemyśleniami.

* * *

Po śniadaniu Stephanus Daires poprosił gościa o chwilę rozmowy na osobności. Odrobinę zdziwiony Jordan odprowadził go do sypialni. Tam gospodarz usiadł na łóżku pod baldachimem – dawniej błękitnym, a teraz brudnoszarym – i narzucił na ramiona pled z grubej wełny.

— Myślę — powiedział, gdy już uspokoił oddech — że już czas, aby pan opuścił nasz dom. Był pan mile widzianym gościem, ale teraz nasza rodzina musi zająć się własnymi sprawami i obecność kogoś obcego nie jest nam na rękę. Z pewnością nas pan zrozumie. Zresztą nie chcemy sprawiać panu kłopotu. Pan chce jeszcze zostać w Mirabel, prawda? W takim razie z przyjemnością mogę powiedzieć, że mój służący wynajął już dla pana pokój w Bursztynowym Kocie.

Domenic Jordan skinął tylko głową, miał nadzieję, że z odpowiednią wdzięcznością. Nie powiedział nic, bo nic nie było do powiedzenia.

Nie mógł się oprzeć podziwowi. Wynajęcie pokoju w czasie karnawału, gdy miasto pękało w szwach, graniczyło z cudem. Komuś bardzo zależało, by jak najszybciej opuścił dom Dairesów, a jednocześnie ów ktoś okazał się na tyle przewidujący i uprzejmy, by zapewnić mu inne lokum. Dziwne. Ktoś umiejętnie wpłynął na Stephanusa Dairesa, bo mało prawdopodobne, by był to jego pomysł. On, chcąc się pozbyć gościa, po prostu wskazałby mu

drzwi i nie martwiłby się niczym więcej.

Godzinę później woźnica, który pod nieobecność Peyretou pełnił czasem obowiązki służącego, wniósł do powozu bagaż swego pana. Jedyne Darius Pacome wyszedł przed dom, by go pożegnać.

— Naprawdę nie rozumiem, co się stało Stephanusowi — wymamrotał. — Próbowałem się od niego dowiedzieć, dlaczego nie możesz tu zostać, ale nie chciał powiedzieć. Gadał tylko o trudnych chwilach, którym rodzina musi stawić czoła w samotności. Same bzdury i nic konkretnego. Ale nie mogłem przecież nalegać. Moja sytuacja... Nie mogę sobie na to pozwolić. Rozumiesz mnie, prawda?

— Rozumiem — powiedział z powagą Jordan.

I rzeczywiście rozumiał, choć jego wiedza pod tym względem była mocno teoretyczna. Żaden racjonalny powód nie bronił Dariusowi Pacome przeciwstawić się Dairesom, żaden prócz tego, który Pacome sam sobie stworzył. Był człowiekiem, który odruchowo cofa się przed trudnościami, stara się ich nie dostrzegać i nawet nie podejmuje prób, by je przezwyciężyć. Jordan wiedział, że istnieją tacy ludzie, i umiał rozpoznać ich sposób myślenia. Ale nie umiał wczuć się w ich rolę. Jego wiedza na temat ludzkich umysłów tak właśnie wyglądała. Rozpoznawał poszczególne typy charakterów na podstawie analogii, bo znał w życiu mnóstwo najróżniejszych osób, a miał przy tym dobrą pamięć i był bystrym obserwatorem. Brakowało mu jednak intuicji, swego rodzaju elastyczności, która przydawała się w wielu sytuacjach. Zdawał sobie sprawę z tego braku i nieraz zdarzało mu się z jego powodu cierpieć, ale wiedział też, że nic nie może na to poradzić.

— To musi być dla ciebie trudne — podjął Pacome, po czym niespodziewanie zachichotał. — Ty chyba nie przywykłeś do porażek, prawda? Wiesz, wszystkie tajemnice rozwiązane, sekrety odkryte... Czy kiedykolwiek spotkało cię niepowodzenie? Takie prawdziwe, poważne?

Zadając to pytanie w związku z wyjazdem, przyznał niejako, że w domu Dairesów kryje się jakaś tajemnica. Nie umknęło to uwadze Jordana, który spojrzał na niego z zainteresowaniem.

— Kiedyś, dawno temu — potwierdził, mając przed oczami karła o przezwisku Ptasznik. — I w pewnym sensie przysłużyło mi się rozczarowanie, jakie wówczas przeżyłem. Stałem się dzięki niemu bardziej uparty. Wiem, że zdaniem niektórych moja ciekawość niebezpiecznie graniczy z obsesją, ale od tamtego czasu nigdy jeszcze nie poniosłem porażki.

Pożegnał się z Dariusem i wsiadł do powozu. Gdy woźnica trzasnął batem, a konie ruszyły, raz jeszcze spojrzał na rezydencję Dairesów.

W oknie na piętrze stała jasnowłosa dziewczęca postać. Chloe albo Gabriela, z tej odległości trudno było rozpoznać. Uniosła dłoń, by go pożegnać, a on – choć przecież nie widział wyraźnie jej twarzy – nabrał pewności, że panna uśmiecha się smutno.

Właśnie wtedy, patrząc na dziewczynę, która równie dobrze mogła być Chloe, jak i Gabrielą, Jordan poczuł nagle, że przegapił coś bardzo ważnego.

* * *

W okrągłym, wyłożonym mozaiką basenie pływały maleńkie

rybki. Poruszały się szybko, myląc oko obserwatora – barwne plamki na tle równie barwnych kamyków. Pośrodku basenu stało sztuczne drzewko. Na jego metalowych, wypolerowanych do połysku gałęziach siedziały złote i srebrne ptaszki. Otwierały i zamykały dziobki, a z ich mechanicznych gardeł wydobywały się monotonne melodie. Karłowate krzewy, które rosły w donicach, oddzielały od siebie dębowe stoły, zapewniając w ten sposób gościom odrobinę intymności. Przyciszony gwar rozmów mieszał się ze śpiewem sztucznych ptaków, pachniało pieczoną rybą, a także egzotycznymi przyprawami: kardamonem i gałką muszkatołową.

— To jest ta podła tawerna, w której pani mieszka? — zapytał uprzejmie Domenic Jordan.

Kobieta zwana Lisicą uśmiechnęła się szeroko.

— Chyba rzeczywiście trochę przesadziłam. Jest całkiem niezła. — Dolała sobie wina z dzbana, który stał na stole. — Właściwie to najlepsza tawerna w mieście. Swoją drogą, to właśnie mnie pan zawdzięcza miejsce do spania. Odstąpiłam panu jeden z moich pokoi. Zawsze zatrzymuję się w Bursztynowym Kocie i zawsze biorę dwa, bo lubię wygodę. No a dzisiaj rano, tak koszmarnie wcześnie, przyszedł tu ten służący i zaczął się awanturować o pokój dla niejakiego Domenica Jordana, a ja sobie pomyślałam: dlaczego nie? Będę miała miłe towarzystwo. Powinien mi pan podziękować.

— Dziękuję.

Jedna z drobnych zagadek została właśnie wyjaśniona.

Zadowolona Lisica skinęła głową.

— Nie przyszedłam wczoraj na spotkanie — ciągnęła, uprzedzając pytanie. — Bo, uczciwie mówiąc, zgubiłam się. Nie mogłam znaleźć tego diabelskiego kościoła. Ciut szkoda, bo podobno warto go zobaczyć.

— Zaprowadzę tam panią — zapewnił Jordan cierpliwie. — A teraz proszę mi powiedzieć, dlaczego właściwie chciała się pani ze mną widzieć.

Odgarnęła z czoła kosmyk rudych włosów. Oczy miała podkrążone, jakby od dawna nie spała, cerę zmęczoną, z widocznymi drobnymi zmarszczkami. Mimo to wciąż promieniowała żywotnością, jakiej pozazdrościć mogłaby jej niejedna młoda dziewczyna.

— W mieście dzieje się coś dziwnego — powiedziała, znów sięgając po wino. Piła sporo, ale alkohol nie uderzał jej do głowy. — Coś napada na ludzi i rzuca im się do gardeł. Albo raczej ktoś — skrzywiła się kpiąco. — Nie słyszałam nic konkretnego, tylko plotki. Ale krąży ich coraz więcej i zaczyna to wyglądać coraz bardziej niepokojąco. Podobno u oktavianek zmarło już kilka osób, a kilkadziesiąt jest pogryzionych. Ranni twierdzą, że napadł ich człowiek, nie zwierzę, i co dziwniejsze, opisują tego człowieka w najróżniejszy sposób: raz jako wysokiego i grubego, innym razem jako małego chudzielca. Czasem nawet jako kobietę czy dziecko. Napady zdarzają się zawsze nocą i w różnych punktach miasta, najwięcej w okolicach rynku, gdzie zawsze jest mnóstwo ludzi...

Mimo lekko żartobliwego tonu Lisica mówiła precyzyjnie, bez uników, skupiając się na najważniejszych kwestiach. Ona także —

podobnie jak Darius Pacome – nie przywykła, by brać życie na poważnie, lecz w przeciwieństwie do Pacome’a miała odwagę stawić czoła rzeczywistości.

— Kiedy to się zaczęło?

— Hmm... Niech pomyślę... Pierwszą wzmiankę usłyszałam chyba z pięć dni temu.

— Przed pięcioma dniami został pochowany Christian Daires. Przypadek?

Być może rzeczywiście mam zbyt bujną wyobraźnię, pomyślał Jordan. Może doszukuję się związku tam, gdzie go nie ma. Ale nie zmienia to faktu, że Lisica ma rację – w Mirabel dzieje się coś dziwnego.

* * *

Szpital oktavianek okazał się po prostu przytułkiem dla ubogich. Prowadziły go siostry zakonne, które nie tyle leczyły, ile powierzały podopiecznych trosce świętej Oktavii. Domenic Jordan miał złe zdanie o tego typu instytucjach, zdziwił się więc, zobaczywszy przestronną i dobrze ogrzaną salę. Chorych było zbyt wielu i tylko najbardziej cierpiący mieli swoje własne łóżko czy choćby rzucony na podłogę siennik. Zdrowsi tłoczyli się po dwóch na jednym pościeliu, lecz mimo to siostronom udało się utrzymać jako taki porządek i czystość. Pośrodku płonął w przenośnych piecykach ogień, a łóżka umierających były oddzielone przy pomocy parawanów z białego płótna. Na końcu sali stał mierzący ponad dwanaście stóp posąg świętej Oktavii, który przedstawiał kobietę w skromnych szatach oplecioną girlandami bladożółtych róż. Skąd

świeże kwiaty o tej porze roku? Jordan zatrzymał jedną z sióstr, która spieszyła gdzieś z naręczem świeżo wykrochmalonych prześcieradeł.

— Róże? — Oblicze młodej zakonnicy rozjaśniło się. — To cud — powiedziała z prostotą i wytłumaczyła, że u świętej Oktavii cuda zdarzają się każdego dnia. Nic wielkiego, nic, co mogłoby zwrócić uwagę świata na ten skromny szpitalik. Po prostu drobne codzienne cuda. Gorączka, która szybko spada, rany, które nie ropieją, lecz zasklepiają się ładnie, nie pozostawiając blizn. A śmiertelnie chorzy, choć nie wracają do zdrowia, to przynajmniej znajdują tu ulgę w bólu i umierają szczęśliwi. Róże zaś kwitną w szpitalnym ogrodzie przez cały rok, nawet w największe mrozy.

Siostrzyczka uśmiechała się ufna jak dziecko. Mogła mieć najwyżej siedemnaście lat. Widziała cierpienie, a także śmierć, lecz mimo to życie wciąż było dla niej pełne radości i widomych oznak łaski bożej.

— Szukam ludzi z ranami po ukąszeniach. Podobno jest ich tu kilku.

Potrząsnęła głową. Wyglądała teraz jak mała zmartwiona dziewczynka.

— Mamy tylko dwóch, ale wczoraj było jeszcze pięcioro. To dużo, bardzo dużo. Ale na szczęście — uśmiech wrócił na jej usta — święta Oktavia ma ich w specjalnej opiece i szybko goi ich rany. Tamci trzej byli u nas tylko jeden dzień i już sobie poszli. Jeden dziękował nam ładnie i świętej się pokłonił na wieczornej modlitwie. A dwóch uciekło nocą przez okno — zachichotała leciutko. — Znaczy musieli być już całkiem zdrowi, prawda? Byli

jeszcze inni, och, chyba kilkunastu w ciągu ostatnich dni. Nie tylko mężczyźni, lecz także kobiety, a nawet dzieci. Niektórych Bóg powołał do siebie i z tych tylko jednego zabrała rodzina, a resztę pochowaliśmy na naszym cmentarzu dla najuboższych. Ale większość bardzo szybko odzyskała siły. W dzień, góra dwa. Spotkałam jedną kobietę, gdy od nas odchodziła. Było po zmroku, więc nie widziałam jej dobrze, ale poruszała się lekko i zwinnie, jakby nie czuła najmniejszego bólu.

Jeden dzień to zbyt mało, by ciężko ranny – a tylko tacy trafiali do oktawianek – wrócił do zdrowia. Nawet biorąc pod uwagę zdolności świętej.

Domenic Jordan patrzył na wesołą twarz młodej zakonnicy, a w jego serce wkradł się chłód. Boże, pomyślał, wiem, że nie mam prawa Cię o nic prosić, ale błagam Cię, spraw, aby to nie było to, o czym myślę.

Poprosił tylko raz i właściwie bez nadziei, że zostanie wysłuchany. Doskonale wiedział, że Bóg nie odpowiada na modlitwy.

— Chciałbym zobaczyć tych dwóch, którzy wciąż tu są.

Siostrzyczka poprowadziła go do łóżka, na którym spał mężczyzna w średnim wieku. Jego szyję znaczyły czerwone łukowate blizny. Miał szczęście – o mały włos, a skończyłby z rozerwaną tętnicą.

Jordan pochylił się i przyjrzał śladom po ugryzieniach. Rozstaw szczęk wyglądał na ludzki, ale zęby napastnika musiały być długie i ostre jak u zwierzęcia.

— Od jak dawna tu jest? — zapytał.

— Przyniesiono go o świcie. Ledwo zdołaliśmy zatamować krew, która się z niego lała.

O świcie, czyli przed sześcioma godzinami. Sądząc po bliznach, Jordan oceniłby, że mężczyzna został ranny przed tygodniem.

— A drugi?

— Jest tam. Chodźmy. — Młodziutka zakonnica energicznie skinęła głową. Nie widziała nic złego w spełnianiu próśb tego osobliwego, na czarno ubranego człowieka.

Drugi ranny był chudym, ale najwyraźniej bardzo żywotnym staruszkiem. Prawy bark i szyję miał owinięte bandażami. Leżał, wpatrując się w sklepienie szeroko otwartymi, pełnymi złości oczami.

— Kto wam to zrobił? — zapytał Jordan.

Ranny spróbował przekreślić głowę, ale zrezygnował z sykiem bólu. Skrzywił usta, jakby zamierzał splunąć.

— Mój sąsiad, Mancipi — wycharczał. — Zbój i bydlak. Króliki mi kradnie, śmieci podrzuca i spać w nocy nie daje. A teraz próbował mnie zabić. I nikt, nikt mi nie chce wierzyć! Mówią, że to musiał być jakiś szaleniec, a ja widziałem wyraźnie! To był ten łajdak Mancipi!

Staruszek uniósł się, a potem z jękiem opadł na posłanie. Przez twarz przebiegł mu skurcz na wpół wściekłości, na wpół bólu.

Domenic Jordan delikatnie dotknął jego ramienia.

— Nie przejmujcie się tak — powiedział. — Ja wam wierzę.

* * *

Kobieta, która w Mirabel kazała się nazywać Lisicą, klasnęła

w ręce.

— Urocze! — roześmiała się głośno, aż przechodnie odwrócili głowy. — Sześciu Domeniców Jordanów!

Po drugiej stronie ulicy stała grupa jasnowłosych ludzi od stóp do głów ubranych w czerń. Zajęci cichą rozmową nie zwrócili na Lisicę uwagi, ale ona nie zamierzała dać za wygraną. Podbiegła i szarpnęła jednego z nich za rękaw czarnego jak węgiel futra. Gdy mężczyzna odwrócił się, zauważyła, że to Neahelita, nie Okcytańczyk. Wszyscy byli Neahelitami.

— Proszę o wybaczenie — powiedziała wesoło — ale nie mogę pohamować ciekawości. Taka jestem, że jak chcę coś wiedzieć, to pytam i już, więc mam nadzieję, że pan zrozumie. Niech mi pan powie, czy to może jakaś nowa moda, że przebieracie się za Domeniców Jordanów, czy może wszyscy nosicie żałobę?

Spoważniała, mówiąc o żałobie, ale zaraz na jej usta wrócił uśmiech. Jasnowłosego mężczyzna patrzył na nią surowo niczym na niesforne dziecko.

— Wśród Neahelitów czerń jest kolorem pokuty, nie żałoby.

— Mam więc rozumieć, że wy wszyscy zrobiliście coś paskudnego i teraz nosicie czerń na znak pokuty? To coś jak u nas posypywanie głowy popiołem, prawda?

Skinął krótko głową i Lisica zrozumiała, że powinna odejść. Nie grzeszyła subtelnnością, ale nie była też bezczelna i nigdy nie przekraczała pewnych granic.

Pożegnała się uprzejmie, dziękując za odpowiedź.

* * *

Przeorysza oktavianek okazała się pulchną, energiczną staruszką. Promieniowała tą samą radością życia, co jej młodziutka podwładna, ale była mniej ufna. Przewidując to, Jordan już na początku rozmowy powołał się na Dariusza Pacome. Trafił w dziesiątkę, bo matka przełożona знаła Pacome'a jeszcze z czasów, gdy ten praktykował medycynę, i od razu stała się bardziej przychylna.

Mimo to musiał dwa razy powtórzyć, co powinna zrobić.

— Pokąsanych trzeba odseparować od reszty chorych — tłumaczył, podczas gdy przeorysza spoglądała na niego z uwagą ponad blatem skromnego czereśniowego biurka. — Najlepiej położyć w osobnej izbie, i to na łózkach, nie na siennikach, tak aby można ich było przywiązać pasami. Wiem, że w szpitalu brak miejsc, ale jestem pewien, że znajdzie się tu jeszcze parę łóżek i jakieś wolne pomieszczenie, choćby składzik, z którego można usunąć część gratów.

— Znajdzie się — powiedziała wolno. — Jeśli naprawdę trzeba, to się znajdzie, nawet gdyby nasze siostry miały spać na podłodze. Jesteśmy zahartowane, a wszak Bóg się raduje, gdy ktoś poświęca odrobinę wygody, by pomóc bliźnim. Ale widzisz, panie, ja wcale nie jestem przekonana, czy to jest konieczne. Czy sugeruje pan, że to coś w rodzaju... zaraźliwej choroby?

Skinął głową coraz bardziej przerażony. Czas kurczył się, a tymczasem kolejne minuty przeciekały mu przez palce. Zmuszał się, by tłumaczyć wszystko powoli i po kilka razy, podczas gdy jego myśli biegły w znacznie szybszym tempie.

— Jeśli można to nazwać chorobą. To nie jeden szalenciec krąży

po Mirabel, rzucając się ludziom do gardeł. Jest ich wielu, coraz więcej. Każdy pokąsany wkrótce sam staje się... — urwał, szukając właściwego słowa.

— Kim? Wilkołakiem, wampirem? — w głosie przeoryszy po raz pierwszy zabrzmiała nutka paniki.

— Niech siostra nazywa ich, jak chce. Ale raczej nie wilkołakami. Wiem co nieco o wilkołakach. Mogą być wampiry. — Uśmiechnął się łagodnie, ale oczy miał poważne. — Te znam tylko z legend i możliwe, że rzeczywiście tak właśnie się zachowują.

— Nie jest pan pewien, prawda?

— Nie jestem. Ale wkrótce będę, jeśli tylko wielebna matka mi pomoże.

Milczała przez chwilę.

— Dobrze. Nie chcę ryzykować. Polecę siostrze, by przeniosły tych dwu mężczyzn. Rozumiem, że chce pan zostać tu przez jakiś czas i zająć się nimi wraz z panem Pacome?

Omów nie zaprzeczył. Nie miał zamiaru nikogo angażować do pomocy, ale w porę pojął, że jeśli przyjdzie sam, to przeorysza prawdopodobnie zamknie mu drzwi przed nosem.

Przytaknął, myśląc jednocześnie, że Pacome wcale nie musi mu pomagać. Wystarczy, że zjawi się u oktawianek wraz z Jordanem, tym samym przekonując matkę przełożoną, że istotnie jest jego znajomym, a potem wróci do domu. Zastanowił się też, czy nie warto wspomnieć o odkopaniu zwłok tych, którzy zostali pokąsani, a potem zmarli. Bardzo chciałby sprawdzić, czy istotnie wszyscy leżą grzecznie w grobach, tak jak powinni leżeć.

Odłożył ten pomysł na później. Nie należało nadużywać przychylności matki przełożonej.

* * *

— No i co my tu będziemy robić? — Darius Pacome przytupywał dla rozgrzewki, krzywiąc się jednocześnie. Był odrobinę znudzony, a przy tym pełen nadziei, niczym widz, który chce dać szansę nieciekawemu przedstawieniu.

Dwaj ranni zostali przeniesieni do nowej, jeszcze niewykończonej kaplicy. Murarze, przerwawszy prace na zimę, nie zdążyli otynkować ścian, które wciąż straszyły cegłami i zaprawą. W kącie leżały worki z wapnem, a podłogę pokrywała warstwa błota zmieszanego ze ścinkami drewna. Najważniejsze jednak, że w oknach nie brakowało szyb, a niedawno położony dach okazał się solidny, dzięki czemu w kaplicy było w miarę ciepło. W miarę, bo Pacome i tak grzał dłonie nad żelaznym koszem, takim samym jak te, które zimą płonęły na ulicach miasta.

Domenic Jordan przysunął sobie krzesło.

— Nie wiem, co ty będziesz robił — powiedział, wyjmując z kieszeni płaszcz księżkę. — Ja poczekam, a przy okazji trochę poczytam.

— Mówiłeś, że nie można tracić czasu.

— To nie potrwa długo, do zachodu słońca niedaleko. A ponadto — uniósł księżkę — czas spędzony na lekturze nigdy nie jest czasem straconym.

— *Opisanie ziem Neahelitów: Historia?* Myślałem, że odesłałeś wszystkie książki do Alestry.

— Zostawiłem trzy tomy *Opisania ziem* i mam nadzieję, że co najmniej jeden z nich okaże się teraz przydatny.

— Przeczucie? — Były medyk uśmiechnął się.

— Nie — odparł Jordan poważnie. — Jak wszyscy miewam przeczucia, ale nie przywykłem im ufać. Po prostu zaintrygowali mnie Neahelici i chciałem o nich poczytać.

Pacome wzruszył ramionami. Był zziębnięty, a przede wszystkim zagubiony. Wciąż nie wiedział, czy powinien się bać, czy też traktować to wszystko jak przygodę, która uwolni go od nudy. Jak dotąd słyszał tylko dziwaczne opowieści i widział dwu pogryzionych mężczyzn, którzy leżeli przywiązani skórzanymi pasami do łóżek. Nie wyglądali groźnie, jeśli zaś chodzi o plotki, które krążyły po Mirabel... cóż, to przecież tylko plotki.

Lecz Domenic Jordan się bał. Były medyk znał go wystarczająco dobrze, by rozpoznać strach pod maską opanowania. A to już coś znaczyło, bo Jordan z pewnością nie należał do tchórzy.

Pacome niepewnie zbliżył się do rannych. Obaj byli pogrążeni we śnie. Zbyt głębokim, nienaturalnym śnie, bo nie otworzyli oczu, nawet gdy wraz z łózkami przenoszono ich do kaplicy.

Rany staruszka zdążyły się zasklepić, tak że nie potrzebował już bandaży, a blizny młodszego mężczyzny zbladły i z trudem można je było dostrzec na tle skóry.

Słońce zachodziło powoli. Domenic Jordan czytał, dopóki mógł, potem odłożył książkę i zapalił świecę.

Pochylił się nad staruszką, oświetlił jego twarz i ostrożnie rozchylił usta.

Darius Pacome gwałtownie wciągnął powietrze.

Zęby śpiącego, już wyraźnie dłuższe i bardziej spiczaste, rosły i wyostrzały się jeszcze bardziej. Przypominało to narastanie sopła lodu – proces był powolny i w pierwszej chwili trudny do uchwycenia, a jednak po kilku minutach zmiany okazały się oczywiste.

Staruszek otworzył oczy i szarpnął całym ciałem, lecz skórzane pasy trzymały mocno.

— Kim jesteś? — Jordan przyglądał mu się z fascynacją. Światło świecy odbite w źrenicach leżącego przypominało ogień rozpalony pod taflą martwego jeziora.

Nie odpowiedział. Powarkiwiał tylko, wiercąc się w więzach jak zwierzę.

W tej samej chwili przebudził się młodszy mężczyzna. W przeciwieństwie do swego sąsiada leżał spokojnie, a gdy usłyszał pytanie, wykrzywił wargi w pogardliwym uśmiechu. W pierwszej chwili Jordan pomyślał, że jego oczy są martwe jak u staruszka, ale gdy pochylił się niżej, dojrzał skryty głęboko na ich dnie błysk zimnej, nieludzkiej inteligencji.

— Dziwne — mruknął Pacome — ten stary chyba całkiem rozum stracił i zachowuje się jak wściekły pies, a ten młodszy... Ten chyba pojmuję, co się do niego gada, i myśli, tylko odpowiadać nie chce. To jakie one w końcu są? Te... wampiry? — Skrzywił się, bo słowo tak poważne i groźne koniecznie trzeba było rozbroić odpowiednią dawką kpiny. — Bardziej przypominają zwierzęta czy ludzi?

— Nie wiem — odparł szczerze Jordan. — Ale się dowiem.

Jest noc, wkrótce będzie ich znacznie więcej.

* * *

Jak widać, nie dane mi było cieszyć się Pana towarzystwem. Przepadł Pan przed tygodniem i od tego czasu nie daje Pan znaku życia. Z Bursztynowego Kota zniknęły także Pańskie rzeczy i woźnica wraz z powozem. Gdzie się Pan podziewa? Mam nadzieję, że nie wpadł Pan w jakieś tarapaty. Wysłałam ten list na adres Dairesów – być może tam wiedzą, gdzie Pan teraz przebywa, i przekażą Panu moją wiadomość. Ja wciąż jestem w Mirabel i wciąż mam ochotę na Pana towarzystwo. Każdego dnia koło trzeciej po południu jem obiad w gospodzie Pod Bramą i tam właśnie może mnie Pan znaleźć. L.

PS. Wiem już, co znaczyły słowa małego Neahelity o „pokutniku”. Pamięta Pan tego zabawnego chłopca, który wskazał nam dom bibliotekarza? Zabawna rzecz, ujrzałam parę dni temu na ulicy sześcioro jasnowłosych ludzi...

Resztę listu Jordan tylko przebiegł spojrzeniem. Wiedział już, co oznacza określenie „neahelicki pokutnik”.

— Proszę uważać. — Chwytał Lisicę za łokieć i pociągnął do tyłu. Błoto, które trysnęło spod kół pędzącej berlinki, ochlapało dół jej sukni.

— Poszaleli — mruknęła i poprawiła przekrzywioną futrzaną czapkę. — Ze szczętem głowy potracili. Ot, niech pan patrzy.

Jordan patrzył. Przed północną bramą kilkanaście powozów czekało na wyjazd z miasta. Strażnicy miejscy zatrzymywali je i zaglądali do środka, a jeśli ktoś podróżował ze szczelnie

zasłoniętymi oknami, prosili go, by wysiadł i w promieniach zimowego słońca zadawali mu jakieś mało ważne pytania.

Strażnicy byli grzeczni, a podróżni sprawiali wrażenie cierpliwych i wyrozumiałych, lecz wyjazd z Mirabel odbywał się w osobliwej, nabrzmiałej emocjami ciszy. Czasem ktoś śmiał się albo wspominał mirabelskie zabawy, ale na twarzach ludzi próżno by szukać radosnego znużenia karnawałowym szaleństwem. Wszyscy hamowali niecierpliwość, chcąc jak najszybciej wydostać się z miasta, i dopiero za bramą oddychali z ulgą.

Wracali do domów, pozostawiając za sobą narastającą grozę.

W chwili, gdy Lisica powiedziała: „niech pan patrzy”, kruchy ład został zburzony. Kryty kocz zajechał drogę berlinie z wymalowanym na drzwiczkach herbem.

Woźnica berlinki zeskoczył na ziemię i wrzeszcząc, zaczął wygrażać pięściami woźnicy kocza, który odwzajemnił mu się soczystymi przekleństwami. Z okna pierwszego powozu wyjrzał siwowłosy mężczyzna i piskliwym głosem dołączył do kłótni. W drugim jakaś kobieta rozplakała się głośno. Woźnica berlinki chwycił woźnicę kocza i ściągnął z kozła. To, co w normalnych warunkach skończyłoby się tylko wymianą wyzwisk, szybko przeszło w krwawą bójkę. Walczących rozdzielili dopiero strażnicy miejscy.

— Chodźmy stąd — powiedziała Lisica, biorąc Jordana pod ramię. — Nie cierpię patrzeć na bijący się motłoch.

Spacerowali wolno ulicami. Od czasu do czasu mijały ich karnawałowe korowody, mniej liczne, a za to jeszcze bardziej roztańczone, z ogniem gorączkowego szaleństwa w oczach.

Niektórzy byli zdecydowani bawić się aż do końca.

W jednym z kościołów zaczęły bić dzwony. Ich dźwięk niósł się daleko ponad miastem. Twarze ludzi powlekła bladość i nawet Lisica zadrżała lekko. Odetchnęła, dopiero gdy dzwony zamilkły.

— Mam wrażenie — powiedziała — że w ciągu ostatnich dwóch tygodni życie w Mirabel stanęło na głowie. Ludzie wyjeżdżają, choć karnawał się jeszcze nie skończył, a ci, którzy zostali, bawią się, jakby śmierć zaglądała im w oczy. Krążą różne pogłoski, ale oficjalnie nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Nie odwołano nawet wielkiego balu z okazji Dimarc Gras! Tylko „zaleca się, aby ci, którzy przyjechali na karnawał, opuścili miasto”. Po prostu zalecenie, nic więcej. Co dziwniejsze, z miasta można wyjechać tylko w dzień, w nocy bramy są zamknięte, a żołnierze, którzy ich pilnują, nie przepuszczają nikogo, nawet pieszych przez furtkę. Dlaczego? Jeśli wszystko jest w porządku, to bramy powinny być otwarte przez cały czas, jeśli zaś panuje zaraza, to powinno się je zamknąć i nie wypuszczać nikogo. Tymczasem z Mirabel można się wydostać, ale tylko w dzień, jadąc w blasku słońca. Kto to wymyślił, don Domenicu? Kto?

Nie odpowiedział i Lisica po chwili milczenia podjęła wątek:

— Tym, którzy zostają w mieście, zaleca się, by w nocy nie wychodzili z domów. I znów „zaleca się”, nie „nakazuje”. Jeszcze nie nakazuje. Na razie wszystkie zabawy mają się kończyć przed zachodem słońca, a po zmroku ulicami krążą uzbrojone po zęby patrole. Ponoć żołnierze mają prawo strzelać, jeśli tylko ktoś zachowuje się podejrzanie. Co znaczy „podejrzanie”, ja się pytam? A jeśli jest chory? Kościelne dzwony nie były jeszcze na trwogę, ale

coraz częściej słyszę o zarazie, ulicami jeżdżą zaś przykryte płótnem wozy meblowe i zwykłe furmanki. Co się na nich znajduje? Założę się o moje lisie futro, że po prostu zwłoki. Karawanów jest już za mało, by starczyły do wywozu trupów. Co tu się dzieje, don Domenicu?

Zatrzymała się i spojrzała mu w oczy. Śmiała, rozsądna kobieta, która nie kierowała się pustą ciekawością, lecz po prostu chciała wiedzieć, na czym stoi. I miała prawo wiedzieć.

— Czy słyszała pani o wampirach, nieumarłych, którzy piją krew i nie mogą znieść blasku słońca?

Skinęła z powagą głową.

— Ukąszenie wampira zaraża ofiarę i w ciągu kilkunastu godzin czyni z niej kolejnego nieumarłego. Zgodnie z legendami nazywam ich nieumarłymi, ale to nieodpowiednie słowo. Jeśli wampir przegryzie komuś gardło, pozbawiając go życia, to taki człowiek po prostu umiera. Nie wstaje z grobu ani nie zmienia się w wampira. Zmieniają się ci, których wampir tylko ukąsił. Zapadają w głęboki sen, podczas którego goją się ich rany, a gdy się budzą, nie są już ludźmi.

Lisica przygryzła dolną wargę. Była opanowana, skupiona na tym, by zadawać właściwe pytania i dowiedzieć się jak najwięcej.

— Czy możliwe jest, by wampir kogoś ukąsił, a ów ktoś mimo to pozostał człowiekiem?

— Owszem. Zależy od tego, jak głębokie są rany, i od odporności ofiary. Na szczęście nie wszystkie wampiry są jednakowe. Każdy kolejny jest słabszy od tego, który go ukąsił, głupszy, bardziej zwierzęcy, a mniej ludzki. I łatwiejszy do zabicia.

Dlatego mamy szansę opanować tę zarazę, jeśli tylko zabijemy najsilniejszych. Z pozostałymi poradzą sobie nawet zwykli ludzie i zaraza wygaśnie.

— Czekał teraz na oczywiste pytanie. Kto jest pierwszym, najpotężniejszym ogniwem w tym łańcuchu. Kogo przede wszystkim trzeba zabić. Był gotów odpowiedzieć, ale Lisicę ciekawiło coś innego.

— Skąd pan to wszystko wie?

— Władze miasta umożliwiły mi przeprowadzenie pewnych doświadczeń. Mieszkam teraz na terenie szpitala oktavianek. Mam do pomocy kilku żołnierzy, w tym nawet jednego felczera. Wszyscy zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa, lecz są odważni, a przede wszystkim chciwi, bo obiecano im sówitą nagrodę.

Spodziewał się teraz pytań o doświadczenia, które przeprowadzał, i o zgony, na które patrzył. Pamiętał, że Lisica lubiła przyglądać się egzekucjom.

Tymczasem ona podniosła na niego zabarwiony smutkiem wzrok.

— Pomaga im pan? Tym pokąsanym, którzy mogą pozostać ludźmi?

Zdziwił się, bo nie posądzał jej o samarytańskie skłonności.

— Nie — odparł krótko, nie próbując wytłumaczyć czy choćby złagodzić zaprzeczenia.

W istocie, odkąd zakończył doświadczenia, jego rola sprowadzała się już tylko do decydowania o życiu bądź śmierci rannych. W chwili, gdy pogryziony przez wampira człowiek zaczynał się zmieniać, Jordan wskazywał go żołnierzom, którzy

dokonywali egzekucji. Po czterech dniach uznał, że ma dość, i przekazał obowiązki felczerowi.

Lisica skinęła głową. Nie zdawkowo, lecz z powagą i zrozumieniem, a on ze skruczą musiał przyznać, że jej nie docenił.

Milczeli przez chwilę. Domenic Jordan z odrobiną rozbawienia zauważył, że dobrze się czuje w jej towarzystwie. Jej prostoduszność była miłą odmianą, bo z większością kobiet z towarzystwa należało rozmawiać przy pomocy skomplikowanego szyfru, w którym spojrzenie, uśmiech czy chwila milczenia potrafiły nadać słowom zupełnie inne znaczenie. Umiał się tym szyfrem posługiwać – częstokroć nawet lepiej niż jego rozmówczynie – ale nie pociągała go taka bezcelowa zabawa.

— Jak duże jest niebezpieczeństwo? — zapytała. — Czy taka zaraza zdarzyła się już kiedyś?

— Owszem. Dawno temu, przed niemal tysiącem lat, na wyspie, którą my nazywamy Serralangue. Wtedy zaraza pojawiała się co jakiś czas i pustoszyła całe miasta. Wolałbym, aby pani zatrzymała tę informację dla siebie. Nie chcę, żeby ktoś powiązał to, co dzieje się w mieście, z Neahelitami.

Ciekaw był, czy kobieta zauważy tę osobliwość, że zaraza, która zniknęła na kilkaset lat, nagle zaatakowała w zupełnie innym miejscu. Ale Lisicy nie obchodziły takie zagadki. Ona interesowała się tylko tym, co działo się wokół niej tu i teraz.

— Pustoszyła całe miasta? W takim razie ja stąd wyjeżdżam — postanowiła energicznie. — Do diabła z karnawałem. Mam trójkę dzieci i nie chcę, żeby zostały sierotami.

— Słusznie.

— Zanim się pożegnamy... — urwała i uśmiechnęła się do niego wesoło. Podjęta decyzja przyniosła jej ulgę i zmieniła na powrót w lekkomyślną, odrobinę prostacką kobietę, która w życiu ceni przede wszystkim dobrą zabawę. — Niech mi pan powie, po kiego diabła ubiera się pan jak ksiądz albo grabarz? Żeby się wyróżnić? Wie pan, przy całej swojej powściągliwości pan mi wygląda na kogoś, kto lubi, gdy ludzie zwracają na niego uwagę.

— To także — przyznał bez wahania. — A poza tym ja po prostu bardzo lubię czarny kolor.

* * *

W domu panowało przeraźliwe zimno. W pierwszej chwili Darius Pacome pomyślał, że jest w nim coś nienaturalnego, że zbyt przypomina chłód cmentarnej krypty. Dopiero po chwili pojął, że zimno ma najzupełniej naturalne wytłumaczenie.

W rezydencji Dairesów już od kilku dni nikt nie palił w piecach, co wystarczyło, by starymi, wilgotnymi murami zawładnął styczniowy mróz.

— Jest tu ktoś? — zawołał, przemierzając puste korytarze, gdzie drobinki kurzu i nitki pajęczyn płynęły dostojnie na falach bladego słońca.

Blask dnia i pistolet, który kupił przed kilkoma dniami, dodawały mu otuchy. Mimo to czuł, że ogarnia go coraz większy strach, i mocniej ścisnął rękojeść broni. Jego kroki brzmiały głucho, a ciężkie od wilgoci ścienne obicia tłumili krzyki.

Ostatnio bardzo rzadko tu bywał. Najpierw – dość krótko – pomagał Jordanowi, a potem uznał, że zasługuje na odrobinę

wypoczynku i przeniósł się do pewnej prostej, miłej kobiety, która od siedmiu lat była jego kochanką. Spędzał z nią większość czasu, bo tylko w jej towarzystwie potrafił się jeszcze śmiać. Żałował, że nie został u niej na stałe. Nie powinien wracać do domu. Od dawna już nic go nie łączyło z tym miejscem.

Lecz gdyby teraz się wycofał, sam siebie musiałby uznać za tchórza, a na to nie miał ochoty. Lubił uważać się za odważnego, choć zdawał sobie sprawę, że jest to opinia trochę na wyrost, bo jak dotąd nie miał okazji stawić czoła poważnemu niebezpieczeństwu.

— Cóż, zobaczymy, ile jestem wart — wymamrotał, podczas gdy rękojeść pistoletu ślizgała się w jego spoconej dłoni.

Wyglądało na to, że dom jest pusty. Służący najwyraźniej spakowali się i uciekli, bo brakowało ich rzeczy osobistych, ale gdzie podziiali się Dairesowie?

Za plecami usłyszał szmer i podskoczył nerwowo. Przez chwilę stał bez ruchu, nasłuchując. Odetchnął z ulgą, dopiero gdy sam siebie przekonał, że to tylko buszujące pod podłogą szczury.

Zaglądał do kolejnych pokoi, niezmiennie zimnych, wilgotnych, a przede wszystkim pustych. Refleksy słońca kładły się na fotelach, w których nikt nie siedział, i na łóżkach, gdzie nikt nie leżał. Cisza coraz bardziej działała Pacome'owi na nerwy. Tylko odgłosy dobiegające od czasu do czasu z ulicy, chrobot szczurzych łapek i szum morza. Żadnych innych dźwięków. Milczały nawet zegary, których nikt nie nakręcił.

Raz zdawało mu się, że słyszy kroki, odgłos tak cichy, że prawdopodobnie był tylko złudzeniem. Czekał, licząc czas pomiędzy kolejnymi uderzeniami serca, ale dźwięk się nie

powtórzył.

Dom sprawiał wrażenie wymarłego, i to nie od kilku dni, lecz od lat, może nawet stuleci. Jakby życie, które toczyło się tu jeszcze niedawno, było tylko snem na jawie, a w domu zawsze panowały wilgoć i chłód. Pacome niemal uwierzył, że minione dziesięć lat przyśniło mu się i nigdy tak naprawdę nie słyszał śmiechu Christiana, Chloe i Gabrieli, nie widział, jak dorastają tu niczym blade, delikatne kwiaty zasadzone w głębokim cieniu.

Nigdy ich tu nie było. Dairesowie umarli, zanim zaczęli żyć.

W bibliotece otworzył okno i głębokimi haustami chwycił powietrze. Słyszał odgłosy ulicznego ruchu, ponad które wyraźnie wybijał się osobliwy dźwięk, metaliczny i jednostajny. Mężczyzna dopiero po chwili zorientował się, co to takiego.

Na bruku turkotały żelazne koła, które mogły należeć jedynie do ciężkich wozów armatnich. W mieście brakowało nie tylko karawanów, lecz i zwyczajnych furmanek, a nawet taczek. Teraz zwłoki wożono na cmentarze także wozami armatnimi.

Wzdrygnął się, ale przynajmniej rześki chłód powietrza uwolnił go od majaków.

Przekonamy się, czy potrafię myśleć, powiedział do siebie. Żaden cudak, który ubiera się jak diabeł z jasełek i udaje wielkiego mądrałę, nie będzie uważał mnie za idiotę.

Stanął przed portretami Milona i Seremondy i przyjrzał im się uważnie.

W pierwszej chwili nie znalazł w nich nic niezwykłego. Ot, miły młody mężczyzna, z gatunku takich, którzy łatwo mogą zawrócić w głowie dziewczynie, i jego ładna żona o odrobinę

egzotycznej urodzie. On uśmiechał się i wyglądał na bardzo szczęśliwego, ona... trudno powiedzieć. Była poważna, ale nie zatroskana. Chyba nie. Zdarzają się przecież ludzie z natury mało skłonni do śmiechu i wcale nie świadczy to o tym, że są nieszczęśliwi.

Jednak dysonans pomiędzy wesołym Milonem a poważną Seremondą trochę niepokoił. Dlaczego ona się nie uśmiecha? Czemu stoi tak sztywno w tej okropnej czarnej sukni?

Pacome zaklął cicho.

— Przepraszam, Domenicu — wymamrotał. — Miałeś rację, jestem idiotą.

Według *Historii miłości* Seremonda nosiła żałobę po zmarłym mężu, lecz autor tej książki, pisząc ją kilkadziesiąt lat po śmierci bohaterki, nie mógł znać wszystkich faktów i chyba nawet nie próbował ich poznać, bo interesował go tylko powierzchowny sentymentalizm tego romansu.

Prawda wyglądała tak, że kobieta założyła żałobę, gdy jej mąż jeszcze żył. Co to mogło znaczyć? Darius Pacome miał pewność, że żadna szczęśliwa mężatka, matka kilkorga dzieci, nie ubierałaby się na czarno jak wdowa, chyba że postradałaby zmysły. A Seremonda nie była wariatką.

Była natomiast Neahelitką, a dla Neahelitów czerń oznaczała pokutę, nie żałobę. Pacome to wiedział, choć nawet nie pamiętał skąd. Dwa tygodnie temu mógł udzielić Jordanowi odpowiedzi, lecz zirytowany i jednocześnie zaniepokojony zdusił myśl, która ledwo kiełkowała mu w głowie.

Teraz postanowił stawić czoła rzeczywistości.

— No dalej, Dariusie — ponaglił sam siebie. — Bądź dzielny i rusz głową. Nie zaszkodzi ci trochę pracy umysłowej. Pokaż, że umiesz myśleć.

Seremonda nosiła czerń, bo za coś pokutowała. Za co? Co wydarzyło się pomiędzy rokiem 1567, gdy wyszła za mąż – niewątpliwie zwyczajna szczęśliwa panna młoda, bo gdyby brała ślub w czerni, ktoś gdzieś wspomniałby o czymś tak dziwnym – a rokiem 1572, gdy został namalowany ten portret?

Musiał przyznać, że nie ma pojęcia. Odłożył ten problem na później i zaczął zastanawiać się nad *Historią miłości*.

Pamiętał, że Domenic Jordan narzekał na zakończenie opowieści, bo jego zdaniem Inkhoudi zbyt szybko pogodził się z małżeństwem córki. I rzeczywiście wyglądało to trochę dziwnie. Rodziny toczyły ze sobą wojnę, a ojciec Seremondy nienawidził Dairesów tak bardzo, że był gotów na wszystko, byleby tylko nie dopuścić do tego związku. A potem ni stąd, ni zowąd zmienił zdanie. Dlaczego?

Pierwsze wytłumaczenie podał autor *Historii miłości* – Inkhoudi po prostu wzruszył się nieszczęściem zakochanej córki. Mało prawdopodobne, ale możliwe. Drugie było bardziej cyniczne. Być może Seremonda zaszła w ciążę, a ojciec, chcąc uniknąć skandalu, pozwolił na ślub. Ale i to rozwiązanie nie wydawało się zbyt prawdopodobne, bo w tej sytuacji Inkhoudi wolałby chyba wydać dziewczynę nie za Milona, a za jakiegokolwiek innego kandydata.

Dlaczego więc zgodził się na to małżeństwo? Zamknął córkę na noc w kościele, kazując jej jak grzesznicy klęczeć przed posągiem

świętego, a rankiem otworzył wrota i powiedział nieszczęsnej, że może poślubić swego wybranka.

Dziwne.

Życie Seremondy zmieniła jedna noc spędzona w kościele przed posągiem Świętego Gaudrica.

Dopiero teraz Darius Pacome zorientował się, że dygocze z zimna. Jak dziecko objął się ramionami. Włoski na jego karku jeżyły się, a po plecach przebiegały dreszcze. Znajdował się bardzo blisko czegoś, czego chyba wolałby nie wiedzieć, ale było już za późno, by się wycofać.

Jak wszyscy mirabelczycy wiedział, że Neahelici mają zwyczaj zostawiać na noc w kościele broń, by święty pobłogosławił ją i nadał jej niezwykle właściwości. To samo zrobił Inkhoudi z Seremondą – zamknął ją w kościele, wcześniej prawdopodobnie poprosiwszy świętego, by w jakiś sposób zmienił dziewczynę.

Pozwolenie na ślub nie miało nic wspólnego z chęcią zakończenia konfliktu. Inkhoudi wciąż nienawidził Dairesów i nade wszystko chciał ich zniszczyć. Pragnął tego tak bardzo, że zdecydował się w tym celu poświęcić własną córkę. Nieświadoma Seremonda posłużyła jako broń, a gdy zorientowała się, do czego wykorzystał ją ojciec, założyła ów słynny czarny strój. Była tylko ślepym narzędziem, lecz uważała się za winną i do końca życia nosiła suknię pokutnicy.

Pacome nie musiał długo myśleć nad tym, co właściwie święty Gaudric uczynił z Seremondą. Odpowiedź okazała się zaskakująco prosta.

Do tej pory uważał, że słabowość Dairesów, ich źle

zbudowane serca i inne wady to efekt zbyt bliskiego pokrewieństwa, ale mogło być i tak, że były one wynikiem jakiejś jednej, niezbadanej jeszcze choroby, którą kolejne pokolenia odziedziczyły po Seremondzie. Choroby, która istniała niegdyś wśród Neahelitów, lecz z czasem zniknęła pokonana i dopiero święty Gaudric na życzenie Inkhoudiego przywołał ją z powrotem i obudził we krwi Seremondy.

Dziewczynie to nie zaszkodziło – może po prostu Neahelici mieli naturalną odporność – lecz jej dzieci były już chore i chorobę przekazały kolejnym pokoleniom. W ten właśnie sposób Inkhoudi osłabił ród Dairesów i w końcu doprowadził go do zguby.

Owa choroba pochodziła z Serralangue i stamtąd też – jak można było wyczytać w *Opisaniu ziem Neahelitów* – pochodziły wampiry. Możliwe więc, że to po prostu dwie postaci jednej choroby, że jeśli krew miesza się ze sobą wystarczająco długo, dając coraz gorsze, coraz bardziej potworne objawy, to w którymś pokoleniu rodzi się odmienna istota. Nie słaba, lecz silna i długowieczna. Nieludzki wampir łaknący krwi, a także mający zdolność zarażania kolejnych osób.

Domenic musi o tym wiedzieć, uświadomił sobie Pacome. Nieraz dawał mi do zrozumienia, że zaraza, która nęka Mirabel, wyszła właśnie z tego domu.

Opętany żądzą zniszczenia znienawidzonego rodu Inkhoudi nie przewidział jednego – tego, że Dairesowie, zawierając małżeństwa między sobą, doprowadzą w końcu do stworzenia wampira, który rozpęta w Mirabel piekło.

Słońce zachodziło, dogasając w żółci bursztynu, oranżu

i rubinowej czerwieni. Cienie w bibliotece stały się dłuższe i głębsze, temperatura spadła.

Dariusz Pacome stał z przymkniętymi oczami, dygocząc lekko. Myślał.

Jeśli jego teoria była słuszna, to wampir przyszedł na świat z kolejnego kazirodczego związku w rodzinie Dairesów. Czy możliwe, aby któraś z dziewcząt urodziła dziecko, a on nie miał o tym pojęcia? Mało prawdopodobne. Lecz z drugiej strony co właściwie wiedział o Chloe i Gabrieli? Nigdy tak naprawdę nie interesował się ich losem, choć Gabriela była jego przybraną córką. Do licha, mógłby nawet przegapić, że zaszła w ciążę z własnym bratem.

Zadrżał, ciaśniej otoczył się ramionami. Ale nie otworzył oczu. Cienie gromadziły się wokół jego stóp, twarz muskały ostatnie, coraz bledsze promienie słońca.

Miał wrażenie, że nie wziął wszystkiego pod uwagę i pomylił się w którymś momencie. Nie wierzył, że przyczyną tej okropnej zarazy jest małe dziecko. Matki, myślał, zmieniają się w bestie i skaczą do gardeł swoim własnym synom, ludzie dokonują samosądów na każdym, kto z takiego czy innego powodu wygląda na wampira, a przed cmentarnymi bramami stoją kolejki, w których pijani grabarze biją się o miejsce na pochówek. I to wszystko przez jedno dziecko, które nie może mieć przecież więcej niż rok czy dwa lata?

Potrząsnął głową. Gdzieś popełnił błąd, ale nie wiedział gdzie.

Zniechęcony, otworzył oczy.

Atak paniki pozbawił go tchu i wepchnął trzepoczące jak ryba

serce do gardła. Jest ciemno, Boże, niemal już noc zapadła.

Wtedy usłyszał kroki. Ktoś nadchodził korytarzem. Stąpił cicho i był bardzo blisko.

Darius Pacome rzucił się w stronę okna, w pierwszej chwili gotów wyskoczyć na zewnątrz, wprost w ciemność, byle dalej od tego koszmarnego domu. Lecz gdy stawiał nogę na parapecie, przyszło opamiętanie. Nie powinien się bać. Miał przecież broń, a ten, kto nadchodził korytarzem, był w zdecydowanie gorszej sytuacji.

Odwrócił się, uniósł pistolet i starannie wycelował w drzwi, które majaczyły w półmroku.

Kroki ucichły, Pacome usłyszał szcęk klamki, a potem cichutkie skrzypnięcie. Zdenerwowany do granic możliwości strzelił dwa razy. Zbyt szybko. Pociski uderzyły w drewno, ledwo uchylone drzwi zamknęły się i nim przebrzmiał ostatni wystrzał, otworzyły z hukiem. Kolejny huk i koło ucha Pacome'a przeleciała kula. Wrzasnął.

— Darius? — zapytał Domenic Jordan. — Zraniłem cię?

* * *

— Omal się nie pozabijaliśmy. — Strach spływał z Pacome wraz z kolejnymi falami chichotu.

Jordan uśmiechnął się. Obaj potrafili żartować z niebezpieczeństwa i pod tym względem świetnie się rozumieli.

— Wybacz — powiedział — ale zadziałałem instynktownie i strzeliłem do ciebie, bo ty strzelałeś. Miałeś szczęście, że chybiłem w mroku.

— Nikogo prócz nas tu nie ma?

Jordan zapalił świecę. Wąły płomień objął knot, napęczał i wystrzelił w górę, rzucając na bibliotekę rozchybotane cienie.

— Nie. Byłem tu jakiś czas temu z grupą żołnierzy, którzy przeszukali to miejsce od piwnic aż po dach, ale znaleźli tylko Stephanusa, Sylwię i Berenicę Dairesów. Zabili ich, oczywiście. Wszyscy troje byli już wampirami. Od tego czasu dom stoi pusty. Dziś wszedłem tu tylko dlatego, że zaintrygowało mnie otwarte w bibliotece okno.

— A Chloe i Gabriela? — spytał Pacome, domyślając się, że kolejny raz usłyszy coś, czego chyba nie chce wiedzieć.

— One nie lubią tego domu i nigdy tu nie wracają. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę to, co zrobiły, by się stąd wydostać.

— Są niewinne! Nie odpowiadają za swoje czyny, bo rodziły się ze skażoną krwią, która w okresie dorastania zmieniła je w potwory.

— Ależ skąd. — Jordan usiadł w fotelu i gestem zaprosił towarzysza, by zajął drugi. Potem pokręcił wolno głową z odrobiną wyzwania na dnie oczu. Zamierzał sprawdzić, jak Pacome przyjmie to, co ma mu do powiedzenia. — One świadomie dokonały takiego wyboru. Od początku wiedziały, co robią i jaka będzie cena. I zdecydowały się ją zapłacić. Napiły się nawzajem swojej krwi i zmieszały ją w ten sposób. To wystarczyło, by zmienić je w wampiry. Podjęły wielkie ryzyko, bo przy swoim słabym zdrowiu mogły nawet wykrwawić się tam, na łóżku, w tym ponurym pokoiku w północnej części domu. Lecz na ryzyko też były przygotowane. Zresztą co miały do stracenia? A wiesz, co jest

w tym wszystkim najzabawniejsze? — W jego uśmiechu nie było cienia wesołości. — To, że Mirabel zgubiły ludzkie uczucia Chloe i Gabrieli. Ich litość. Na początku nie chciały zabijać i tylko raniły ofiary, wysysając z nich krew. W ten sposób stworzyły nowe wampiry. Myślę, mam nadzieję, że teraz są już mądrzejsze i po prostu zabijają.

— Ale... dlaczego to wszystko? — wychrypiał Pacome.

— Bo one chcą żyć. Nade wszystko chcą żyć, nawet gdyby w zamian za ich życie miało zginąć całe miasto. Trudno im się dziwić — dodał ciszej, łagodniej. — Przyszły na świat w tym ponurym, wilgotnym domu i od urodzenia były skazane na wczesną śmierć. Tamtego wieczoru przy kolacji powiedziałem im prosto w oczy, że wkrótce umrą, a one nie chciały mi wierzyć. Potem jednak w bezsensowny sposób zmarł Christian, chłopak w ich wieku, z tej samej krwi, cierpiący na te same dolegliwości. Wtedy już wiedziały, że mam rację. Miały po kilkanaście lat, a mogły umrzeć z błahego powodu. Dotąd żyły niemal jak staruszki, zawsze w domu, nie chodząc na bale ani na zabawy, i gdyby dalej tak było, to prawdopodobnie zyskałyby parę dodatkowych lat. Ale one nie tego chciały. Chciały żyć pełną piersią, kochać, nienawidzić, robić, co im się podoba. I znalazły na to sposób. Obie znały doskonale *Historię miłości Milona i Seremondy*, obie też miały dostęp do drugiego tomu *Opisania ziem Neahelitów*. Nie wiem, jaki tytuł ma ta część, podejrzewam, że po prostu *Obyczaje*, czy coś w tym rodzaju. Sądzę, że Gabriela ukradła ją Focarandowi, nie wiedząc, do czego ją później wykorzysta, po prostu dlatego, że podobnie jak Chloe fascynował ją romans jej przodków i chciała poczytać

o obyczajach ludu, z którego pochodziła egzotyczna Seremonda. A w tej książce musi być dokładny opis procesu stawania się wampirem, którego ja domyśliłem się na podstawie krótkich wzmianek w *Historii*. Mając te dwie książki, *Historię miłości* i drugą część *Opisania ziem Neahelitów*, inteligentna Gabriela bez trudu doszła do odpowiednich wniosków. Bo jestem pewien, że to był właśnie jej pomysł...

Przerwał na chwilę. Myślał o Chloe i Gabrieli, które dorastały w tych wilgotnych murach, słysząc szum morza i wiedząc, że któregoś dnia to morze zabierze im dach nad głową. Chodziły do północnego, zamkniętego skrzydła, bo choć w domu znajdowało się mnóstwo nieużywanych pokoi, gdzie mogłyby być same, to one potrzebowały czegoś sekretnego, jakiejś tylko im znanej kryjówki, o której nikt inny by nie wiedział. Czytywały książki o miłości i odgrywały sztuki, w których była miłość, ale także przemoc, krew i śmierć. A przede wszystkim marzyły, że gdy dorosną, będą mogły po prostu... żyć.

Przypomniał sobie ten dzień, kiedy zobaczył je w zakurzonej salonie pochylone nad książką. To przedziwne wrażenie, że ma przed sobą dwa duchy i patrzy na coś dokonanego, na scenę, która rozegrała się w przeszłości. W pewnym sensie miał rację. Chloe i Gabriela nie były wtedy wampirami, ale już podjęły decyzję, a to wystarczyło, by wyłączyć je z grona zwykłych ludzi. Po pogrzebie Christiana obie panny trzymały się razem, bo tylko w sobie znajdowały oparcie, bo wszyscy inni, służba, cała rodzina Dairesów od dawna pogodzona ze śmiercią, stali się im obcy. Oni zajmowali się codziennymi problemami, one myślały o tym, co zamierzają

zrobić. Żyły jak za szybą, oddzielone od zwyczajnego świata. Miały tylko siebie. Aż do końca, do chwili, gdy przekroczyły granicę, poza którą jest już tylko wieczny mrok.

— Mam sobie do wyrzucenia dwie rzeczy — podjął. — Dwa momenty, gdy zawiodłem. Raz, gdy rozmawiałem z Gabriellą u Focaranda. Pamiętam, że sprawiała wrażenie niespokojnej niczym dziecko, które coś przeszkrobało. Myślę, że gdybym tylko zapytał, co jej dolega, przyznałaby mi się do kradzieży książki. Wtedy był to dla niej drobny grzeszek, którego ciężar z chęcią zrzuciłaby z sumienia. Potem, gdy książkę przeczytała i gdy obie z Chloe zdecydowały się użyć zawartej w niej wiedzy, ja zapytałem, czy nie ma drugiej części *Opisania ziem Neahelitów*, a ona skłamała bez najmniejszego wahania, z pewnością siebie, która zbiła mnie z tropu. Bo kradzież nie była już drobnym wykroczeniem, lecz sprawą życia i śmierci i Gabriela wiedziała, że nie może przyznać się do posiadania tej książki. Wtedy było już za późno, ale wcześniej, u Focaranda, mogłem coś zmienić, gdybym zadał jedno proste pytanie.

— A drugi raz? — Pacome uśmiechnął się dyskretnie. Bawiła go samokrytyka Jordana i ciekawiło, co się za nią kryje.

— Wiedziałem, dlaczego Seremonda ubierała się na czarno i do czego wykorzystał ją ojciec, ale nie skojarzyłem choroby Dairesów z wampirami.

— Teraz to już przesadzasz. — Były medyk wzruszył ramionami. — Nikt nie mógłby tego skojarzyć bez informacji zawartych w *Opisaniu ziem Neahelitów*.

— Owszem, ale ja miałem *Historię* i mogłem ją wcześniej

przeczytać. Gdybym to zrobił, być może zdołałbym ocalić Mirabel przed zarazą.

Pacome zachichotał. Gdy Jordan mówił o Chloe i Gabrieli, był przerażony, a przede wszystkim oszołomiony, ale teraz odzyskał już równowagę. Zawsze szybko ją odzyskiwał. W gruncie rzeczy czuł nawet ulgę, jakby kosztem bólu przeciął wrzód, który dokuczał mu od lat. Dairesowie nie żyli, a on z odrobiną wstydu przyznawał, że nie odczuwa żalu, tylko cieszy się, bo nie będzie dłużej mieszkał w tym domu.

— Daj spokój, Domenicu — powiedział. — Ani ja, ani ty nie jesteśmy ludźmi, którzy mają wyrzuty sumienia z powodu czegoś, co się stało.

— Co znaczy, że w ogóle nie mamy wyrzutów sumienia, bo przecież nie można ich mieć z powodu czegoś, co dopiero się stanie. O to ci chodziło?

— Wiesz, że nie. — Były medyk poruszył się niecierpliwie, zły, że rozmówca źle interpretuje jego słowa. — Miałem na myśli z powodu czegoś, czego nie zrobiłeś świadomie. To jak płacz nad rozlanym mlekiem. Nie stłukłeś specjalnie dzbana, po prostu wysliznął ci się z rąk i mleko się rozlało. Czy jest sens narzekać teraz, że mogłeś być bardziej uważny albo trzymać go mocniej? Po prostu stało się i już. Trudno. To błąd, a nie zbrodnia. Gdyby ludzie mieli poczucie winy z powodu każdej chwili nieuwagi czy roztargnienia, to przez całe życie nic innego by nie robili, tylko pokutowali. Zaraza w Mirabel to oczywiście wydarzenie niezwykle smutne, sam nad tym boleję, ale przecież takie rzeczy się już zdarzały...

— Generalnie zgadzam się z tobą — przyznał Jordan, przyglądając mu się z uwagą. Przed dziesięcioma laty Pacome był uroczym lekkoduchem, a on lubił go, choć nie szanował ani nie rozumiał. Teraz miał zaś przed sobą egoistę, który stracił młodzińczy urok, w zamian nabierając powagi. Rozumiał go znacznie lepiej, a nawet szanował, bo przecież nie był to tchórz ani głupiec. Lecz zdecydowanie go nie lubił. — Z jednym wyjątkiem: to, co dzieje się teraz w Mirabel, to nie smutne wydarzenie. To tragedia.

— Oczywiście, że tragedia. — Darius Pacome gorliwie pokiwał głową, nie zwracając uwagi na osobliwy wzrok towarzysza. — Ale poradzimy z nią sobie. Dzięki tobie. Znajdziemy Chloe i Gabriellę. Do licha, jak właściwie zamierzasz je znaleźć?

Otrzymał odpowiedź tak dziwaczną, że w pierwszej chwili pomyślał, iż jego rozmówca postradał zmysły.

— Ubiorę się w wieczorowy strój, a potem pójdę na bal.

* * *

— Całkiem nieźle się tu urządziłeś — zachichotał Pacome. — No, no... Podziwiam.

Ciasna, ciemna cela, w której dawniej zamykano niepokorne zakonnice, niemal przypominała przytulny pokoik. Proste łóżko, toaletka, stolik z krzesłem i podróżny kufer – wszystko to ustawione odpowiednio nie zajmowało wiele miejsca. Ponadto sprzęty zostały dobrane tak, by harmonizowały kolorami z czerwoną barwą ceglanych murów. Przy minimum wysiłku osiągnięto tu maksimum wygody, a nawet, co Pacome zauważył

z rozbawieniem, pewnej elegancji.

Jordan wyciągnął z kufra jedwabne koszule i rozłożył je na łóżku. Zastanawiał się przez chwilę, w końcu wybrał jedną z nich, o wąskich, ozdobionych koronką mankietach, które od pewnego czasu znów były modne. W Alestrze, nie w Mirabel, ale uznał, że nie zaszkodzi wprowadzić tu pewnych stołecznych nowinek.

Koszula miała skomplikowane zapięcie składające się z kilkadziesiątu haftek i Darius Pacome był ciekaw, jak Jordan poradzi sobie bez pomocy służącego, który został w stolicy – podobno po to, by opiekować się jakąś niewidomą dziewczyną.

Poradził sobie doskonale. Gdy skończył się ubierać, powóz czekał już gotów do drogi.

— Wybacz, ale nie będę ci towarzyszył — powiedział Pacome. Jego niedawno ujawniona odwaga miała pewne granice. — Mimo wszystko Gabriela to moja przybrana córka i nie mogę... Sam rozumiesz.

Jordan zdawkowo skinął głową. Spodziewał się, że na bal w Operze pojedzie sam.

Gdy wsiadał do powozu, w mrocznej ciszy rozbrzmiały cztery strzały. Trzy następujące szybko po sobie i jeden chwilę później, jakby strzelec zawahał się, nim użył broni. W przytułku Świętej Oktavii siostry nie miały już nic do powiedzenia. Teraz rządzą tu żołnierze, którzy zwyczajnych chorych odesłali do domów albo po prostu wyrzucili na ulicę, gdzie dogorywali pozbawieni opieki. Decyzja brutalna, lecz konieczna, bo ich miejsce zajęli pokąsani przez wampiry, których należało pilnować dzień i noc.

Właśnie czterej z nich zaczęli się zmieniać i zgodnie

z zaleceniem Domenica Jordana zostali zabici strzałami w tył głowy.

* * *

Tradycyjnie w Dimarc Gras, ostatni dzień karnawału, odbywał się wielki bal. Ten rok nie należał do wyjątków. O ósmej wieczorem pod gmach opery zaczęły zajeżdżać powozy, z których wysiadali ludzie w strojach niekoniecznie eleganckich, ale zawsze efektownych. Bal, jak i cały mirabelski karnawał, nie był rozrywką elitarną i do opery mógł wejść każdy, kto zapłacił dwieście eccu. W rezultacie mieszały się tu przedstawiciele różnych klas, a próby rozróżnienia ich po stroju bywały zwodnicze. Mężczyzna w modnym fraku równie dobrze mógł być szlachcicem, jak i ubogim mieszczaninem, który na ten właśnie frak oszczędzał przez cały rok, a kobieta w wulgarnej sukni mogła okazać się kokotą albo arystokratką, której przyszła ochota przebrać się za ulicznicę. Niewielu nosiło czerwone maski. Tutaj liczył się przepych, a nie tajemniczość.

Tłum napływał marmurowymi schodami w blasku klejnotów, szeleście jedwabi, gwarze rozmów i śmiechu. Na podeście ci, którzy dopłacili za łoże, odbierali odpowiednie numerki, pozostali goście szli zaś w stronę widowni zamienionej na ten wieczór w olbrzymią salę taneczną. Tam grała już orkiestra i w kandelabrach płonęły świece. Ich blask nie sięgał kątów, gdzie mrok skrywał zacieki na ścianach i spłowiałe pluszowe obicia. Mirabelska opera była stara i z pewnością nie należała do najbardziej eleganckich, ale tak naprawdę nie miało to znaczenia.

Nie w ten dzień i nie dla tego towarzystwa, które pragnęło tylko dobrej zabawy.

Pod ścianami stali uzbrojeni w strzelby i pałasze dragoni, którzy starali się nie rzucić w oczy. Mimo to ich obecność wywoływała w pierwszej chwili fale niespokojnych szeptów i nerwowych chichotów. Potem goście uspokajali się i wracali do tańca, zdawało się nawet, że bliskość niebezpieczeństwa ich podnieca.

Wszyscy ci ludzie wiedzieli, co robią. Każdego dnia słyszeli turkot wozów wiozących trupy, widzieli też krążące po mieście patrole i bandy rzezimieszków rabujących opuszczone mieszkania. W dzień, nie w nocy, bo nocą nawet bandyci nie wychodzili na ulice. W Mirabel panował chaos i ci, którzy zdecydowali się zostać, doskonale o tym wiedzieli. Przybyli tego wieczoru do opery w towarzystwie uzbrojonych po zęby służących, czy choćby wynajętych pachołków, więc zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Jednak w operze czuli się bezpieczni. Mrok i śmierć pozostały za murami, a tutaj trwała zabawa, szalony bal z okazji Dimarc Gras.

Orkiestra grała skoczne ludowe melodie, kandelabry dygotały w rytm przytupów, a oczy tańczących były już szkliste od wina. Muzyka i dzikie wybuchy śmiechu zagłuszały słowa, skomplikowane układy taneczne rozsypywały się najdalej po kilku figurach, a pary zaczynały wpadać na siebie. Nikomu to nie przeszkadzało.

To nie bal, pomyślał złośliwie Jordan, tylko powiększona wersja wiejskiej potańcówki.

Usunął się w cień, schodząc jednocześnie z drogi parze podchmielonych mężczyzn o spoconych twarzach, i zastanowił się, co on tu właściwie robi.

Dowiedział się, jaka jest przyczyna zarazy i jak tę zarazę pokonać, a potem przekazał tę wiedzę odpowiednim ludziom. W ten sposób zrobił, co mógł dla tego miasta i dla zaspokojenia własnej ciekawości. Powinien teraz wyjechać, bo nie był typem bohatera i nie miał najmniejszego zamiaru chodzić nocą po ulicach i strzelać do wampirów – to zadanie żołnierzy, nie jego. Mimo to zdecydował się zostać. Wierzył, że Gabriela i Chloe nie pominą okazji do tak szalonej zabawy i zobaczy je na balu. Przede wszystkim zależało mu na spotkaniu z Gabrielą. Było w tej dziewczynie coś, czego nie mógł zrozumieć. Lekceważył ją jako zwyczajną szarą myszkę i nawet w mieszkaniu Focaranda nie wzbudziła w nim ciekawości. Tam dowiedział się, że zdolna jest do zabójstwa, ale – co było osobliwe – mimo to wciąż wydawała mu się nijaka, niewarta poznania. Ta bystra panna, która tak śmiało przekroczyła wraz z kuzynką granicę mroku, a potem zamieniła Mirabel w piekło, nie miała w sobie nic interesującego. Przegapił okazję, by choć raz z nią dłużej porozmawiać, i teraz zamierzał to naprawić.

Nie wiedział, jak będzie wyglądać ich spotkanie. Czy Chloe i Gabriela uznają go za zagrożenie? Możliwe, że tak, bo Gabriela – a to musiał być jej pomysł – pozbyła się go z domu Dairesów kierowana litością albo właśnie dlatego, że uważała go za potencjalnie niebezpiecznego. A najprawdopodobniej z obu tych powodów jednocześnie.

Na wszelki wypadek rzadko wychodził na środek sali i przez większość czasu starał się trzymać w półmroku, gdzie nie sięgał blask świateł. Miał broń, ale liczył, że nim będzie musiał jej użyć, uda mu się zamienić z Gabrielą choć kilka słów.

— Don Domenic Jordan? — Ubrany w zieloną liberię służący dyskretnie wsunął mu w dłoń bilecik i zniknął w tłumie.

Przeczytał wiadomość skreśloną pospiesznie kawałkiem ołowiu na odwrocie starego listu.

Przyjdź na drugi od schodów balkon po wschodniej stronie.

Żadnego podpisu, nawet inicjału. Lecz pismo zdecydowanie wyglądało na kobiece.

Wsunął liścik do kieszeni i zręcznie lawirując w rozbawionym tłumie, poszedł w kierunku schodów.

Szklane drzwi na balkon były otwarte, ale wejście przesłaniała kotara w kolorze krwi. Falowała lekko w podmuchach lodowatego wiatru, tak gęsto tkana, że nie mógł przez nią widzieć, czy ktoś stoi na balkonie, czy nie. Jordan odsunął ją; ciężki, zimny jak płyta nagrobna materiał dotknął jego twarzy i na chwilę, nie dłuższą niż uderzenie serca, przesłonił mu widok. Potem zobaczył szczupłą dziewczynę. Stała odwrócona do niego plecami, opierając się o barierkę. Była ubrana w błękitną suknię, która w świetle księżyca połyskiwała drobinkami srebra niczym lód, a jasne, rozpuszczone włosy spływały jej do połowy pleców.

Chloe czy Gabriela?

Panna odwróciła się. Miała piegi i pucułowate policzki i w niczym nie przypominała Chloe czy Gabrieli.

Uśmiechnęła się do niego szeroko, po czym zaczęła paplać.

— Tak się cieszę, że pan przyszedł! Wysłałam panu liścik, bo pan wyglądał na takiego samotnego i pomyślałam sobie, że przyda się panu odrobina towarzystwa, ja też tu jestem trochę samotna, bo przyszłam z bratem, ale on przepadł gdzieś z jakąś wymalowaną...

Domenic Jordan nie zwracał na nią uwagi. Ponad jej ramieniem na rozciągającym się wokół opery placu ujrzał dwie dziewczęce sylwetki. Obie dziecięco drobne, obie jasnowłose. Obejmowały się ramionami i z daleka mogły wyglądać na parę gorącokrwistych zakochanych, bo jedna z nich nosiła suknię, a druga spodnie i koszulę, nawet bez kaftana. Stały oblane światłem księżycyca niczym srebrzyste posągi w chłodzie i ciszy nocy. Poza kręgiem ciepłego blasku świec, muzyki, zabawy i tętniącego życia.

Zrozumiał, że nie zamieni z Gabrielą ani słowa. Nie było nic, co mógłby im powiedzieć ani co one mogłyby powiedzieć jemu.

Odwrócił się i poszedł szukać kapitana dragonów, by powiadomić go, że tej nocy jego podwładnych czeka jeszcze jedno zadanie do wykonania.

5. Zabawki diabła

Na widok nagiego ciała przez amfiteatralną salę przebiegł szmer. Spojrzenia studentów prześlizgiwały się po gładkiej skórze, zbyt białej, by mogła należeć do żywej osoby, a potem zatrzymywały w tak interesujących miejscach jak kępka jasnorudych włosów pomiędzy udami i zwieńczone bladymi sutkami piersi. Zduszone śmiechy maskowały zażenowanie. Kobiece ciało nie stanowiło dla młodzieńców tajemnicy, bo nawet ci najbardziej niewinni w taki czy inny sposób zdążyli już zapoznać się z jego urokami. Lecz rozebrana dziewczyna chichocząca gdzieś w zacisznym półmroku strychu czy stajni to było zupełnie coś innego niż ta rudowłosa piękność, która leżała na stole sekcyjnym w tak rozpaczliwie oczywisty sposób martwa i obsceniczna w swojej marmurowobiałej nagości.

W czwartym rzędzie Vittorio Jironi pochylił się do ucha sąsiada.

— Ładna — ocenił szeptem, robiąc minę znawcy. — Młoda i dobrze zbudowana, tylko cycki jej trochę na bok opadają, ale to dlatego, że na plecach leży. Z żywymi jest tak samo. Poza tym nic jej nie brakuje. Trzeba przyznać, że doktor ma dobry gust.

— Vittorio Jironi.

Śmiechy umilkły, wezwany chłopak skulił się. On ma słuch jak zając, pomyślał, wbijając wzrok w pulpit, na którym ktoś wyrył

wpisany w okrąg krzyż – symbol nielegalnej studenckiej organizacji, która buntowała się przeciwko kultowi świętych.

— Dziękuję za pozytywną ocenę mojego gustu. Mniemam, że chętnie zapozna się pan bliżej z damą, która tak pana zauroczyła.

Vittorio wstał i powoli, świadom, że koledzy odprowadzają go wzrokiem, zszedł po schodkach na środek sali.

Niezgrabny, z cerą pokrytą wypryskami, wyglądał, jakby gnębiły go wszystkie problemy dorastania naraz. Zazwyczaj był albo przesadnie rozgadany, albo zbyt cichy, a jego nieśmiałość miała w sobie odcień agresji.

Zatrzymał się przy martwej dziewczynie i wyprostował, mrużąc krótkowzroczne oczy. Usta zacisnął w upartą kreskę, „ja wam pokażę” skierowane nie tyle do wykładowcy, którego szanował i lubił, ile do zebranych w sali studentów.

Domenic Jordan podał mu skalpel.

— Pamięta pan, od czego należy zacząć?

Vittorio skinął głową. Gdy minął pierwszy, najgorszy paroksyzm strachu, poczuł przypływ odwagi. Spojrzenia kolegów sprawiały mu teraz przyjemność, nawet jeśli widział w ich oczach pełne napięcia oczekiwanie, aż popełni błąd.

Był pewien, że sobie poradzi.

* * *

Przed siedmioma miesiącami Domenic Jordan zgodził się poprowadzić dwuletni cykl wykładów z zakresu anatomii. Uznał, że jest to winien uniwersytetowi; wybór przedmiotu też nie nastęrczał trudności. Tylko z anatomii był na tyle dobry, by uczyć innych.

Zdziwiłby się, gdyby wtedy, we wrześniu, ktoś mu powiedział, że po pierwsze, będzie mu to sprawiało aż tak wielką przyjemność, a po drugie, że studenci go polubią. Dopiero potem zrozumiał, że chłopcy dorastając, uczą się doceniać takie zalety jak dyscyplina, jasny sposób przekazywania wiedzy, a nawet ekscentryczne poczucie humoru. W rezultacie na alestrańskim uniwersytecie Jordan był bardziej popularny niż inni wykładowcy, znacznie od niego łagodniejsi. Ci sami studenci, którzy bledli na samą myśl o zdawaniu u niego egzaminu, później w gronie kolegów powtarzali sobie co złośliwsze powiedzonka doktora. Mówili o nim z lękiem, podziwem i swoistą dumą, niczym o własnym na wpół oswojonym tygrysie, którego urok polega w dużej mierze na tym, że może niespodziewanie ugryźć. On sam zdawał sobie z tego sprawę i czasami bardzo go to bawiło.

Wśród podopiecznych nie miał ulubieńców. Obdarzenie kogokolwiek sympatią nigdy nie przychodziło mu łatwo, nie pochwalał też skracania naturalnego dystansu pomiędzy nauczycielem i uczniem. Lecz niektórzy studenci wydawali mu się mniej, a niektórzy bardziej interesujący. Vittorio Jironi należał do tych średnio interesujących.

Czwarty i ostatni syn w rodzinie bogatych bankierów był oczkiem w głowie matki oraz ojca. Zwłaszcza matki, choć ojciec nie pozostawał daleko w tyle. Oboje aż do przesady hołubili to dziecko, najmłodsze i najsłabsze ze wszystkich. Ojciec uważał, że obdarzony wątłym ciałem Vittorio powinien zwrócić się ku sprawom ducha, i widział w nim materiał na księdza, matka zaś wierzyła, że syn zostanie artystą. W rzeczywistości chłopak nie

miał za grosz zdolności artystycznych, a sprawy ducha niewiele go obchodziły. Cieszył się też dobrym zdrowiem, choć rodzice wmawiali mu wszelkie możliwe choroby. Tak naprawdę nie dolegało mu nic prócz skłonności do przeziębień, a jego szara cera była po prostu skutkiem ciągłego braku snu.

Jordan sporo wiedział o Vittorio, głównie z uchwyconych na korytarzach strzępów studenckich rozmów, trochę także od matki chłopaka, którą spotykał od czasu do czasu, bo oboje obracali się w tych samych kręgach towarzyskich. Kiedy miał siedemnaście lat, młodzieniec postanowił się usamodzielnic i w końcu postawił na swoim. Po wstąpieniu na uniwersytet wynajął pokój u pewnej kobiety, choć mógłby, jak jego bogaci koledzy, codziennie jeździć na wykłady własnym powozem. Wydział, na którym rozpoczął studia, też nie spodobał się rodzicom. Medycyna wiązała się z krwią i brudem, a od lekarzy wymagano nie tylko mocnych nerwów, lecz także siły fizycznej. I właśnie dlatego Vittorio ją wybrał. Chciał sprawdzić się w dziedzinie, która nie będzie miała nic wspólnego z przyszłością, jaką planowali dla niego matka czy ojciec. Jego własne zainteresowania – zbyt rozległe i niesprecyzowane – nie miały tu nic do rzeczy.

Vittoria pożerała ambicja tym gorsza, że nie ograniczała się tylko do nauki. Chciał być najlepszy także w picciu, opowiadaniu sprośnych dowcipów czy w studenckich awanturach, a niepowodzenia na tym gruncie bolały go nie mniej niż niskie noty. W rezultacie bywało, że po nocnej libacji w gronie kolegów chłopak siadał nad książką, uczył się, potem pędził na uniwersytet, a po południu szedł jeszcze grać w bule czy rozbijać kamieniami

okna w bursie Wszystkich Świętych, gdzie mieszkali cudzoziemcy.

Trwało to już siedem miesięcy, a fakt, że młodzieniec wytrzymał taki tryb życia, dobrze świadczył o sile jego organizmu. Domenic Jordan obserwował Vittoria, ciekaw, czy ten załamie się i wróci pod opiekuńcze skrzydła rodziców, czy też zostanie na uniwersytecie i w końcu zdecyduje, na czym najbardziej mu zależy.

Tak naprawdę, myślał Jordan, idąc opustoszałym o zmierzchu korytarzem Collegium Medicum, ten chłopak najbardziej nadawałby się do pracy w banku. Jest inteligentny, lecz niezbyt pomysłowy, a przede wszystkim bardzo cierpliwy – po prostu idealny urzędnik, choć sądzę, że ze względu na jego rodzinę ten właśnie rodzaj kariery budzi w nim największy wstręt. A lekarz, uczciwie mówiąc, byłby z niego gorszy niż ze mnie. Dziś kroił tę kobietę ściśle według zaleceń, cięcie po cięciu. I bez żadnej ciekawości, zupełnie jak sumienny rzeźnik ćwiartujący świnie. Stan jej narządów wewnętrznych opisywał przy użyciu tak długich cytatów z podręcznika, że o mało nie zasnąłem na stojąco, a on był niesamowicie z siebie dumny. Całą wiedzę ma w małym palcu, ale nie wykrzesał z siebie ani isierki zainteresowania. Kiedy w końcu powiedziałem mu, na co kobieta umarła, przyjął to tak, jakbym poinformował go, że właśnie wzrosła cena żytniego chleba.

Wyszedł z budynku i skinął głową stróżowi, który stojąc na drabinie, zapalał wiszącą nad drzwiami latarnię. Ciepły blask rozświetlił półmrok. Po placu przed Collegium kręcili się jeszcze studenci. Mężczyzna przystanął, bo być może któryś z nich czekał właśnie na niego. Rozglądając się, dostrzegł wśród młodzieńców

dziewczynę o długich, luźno spływających na plecy włosach. Spacerowała wolno ze spuszczoną głową. Ruchy jej wydawały się odrobinę zbyt sztywne, było w nich coś mechanicznego, co przywodziło na myśl nakręcane żołnierzyki.

Czeka na kogoś, pomyślał odruchowo bez większego zainteresowania. Może na brata, może po prostu na chłopaka, który zawrócił jej w głowie, a teraz nie chce znać. To drugie było nawet bardziej prawdopodobne.

Na placu stała zapalona już latarnia i dziewczyna weszła w krąg światła. Miała pomarańczowe włosy. Peruka? Najprawdopodobniej, choć dziwne, że ktoś zdecydował się na tak nienaturalny odcień.

Jordan zamrugał i złudzenie znikło, nie trwało zresztą dłużej niż przez dwa uderzenia serca. Nieznajoma była już tylko zwyczajną rudawą blondynką o ospałych ruchach kogoś, kto jest śmiertelnie zmęczony.

To przez płonący w latarni ogień, pomyślał. On nadał jej włosom tę niezwykłą barwę. Nadal jednak nie pojmował, jakim cudem jego zazwyczaj trzymana w ryzach wyobraźnia mogła spleść takiego figla. Przecież przez chwilę dziewczyna wyglądała jak...

Jeden z młodzieńców ruszył niepewnie w stronę wykładowcy. Jeszcze nim znalazł się w kręgu światła, charakterystyczna sylwetka zdradziła jego tożsamość. Vittorio Jironi – przygarbiony, z głową schowaną w ramiona i jednocześnie agresywnie wysuniętą do przodu.

— Wraca pan doktor do domu? — wymruczał. — Pieszko?

Jordan przytaknął. Mieszkał sześć przecznic dalej i powóz brał

tylko wtedy, gdy pogoda była naprawdę paskudna.

— W takim razie przejdę się kawalek z panem, jeśli tylko nie ma pan nic przeciwko.

* * *

Szli wolno w ciepłym kwietniowym zmierzchu. Pachniało rozkwitającymi kasztanami i czarnym bzem, oczyszczone niedawną burzą powietrze było świeże, deszcz spłukał do rzeki większość śmieci.

Domenic Jordan spodziewał się, że Vittorio chce zapytać o coś związanego z dzisiejszym wykładem, ale student milczał. Odezwał się dopiero, gdy mijali kawiarnię o nazwie Płonący Feniks.

— Zostałem dziś wieczór sam. — Zatrzymał się, po czym rzucił rozmówcy wyzywające spojrzenie, jakby spodziewał się, że ten potępi go za brak towarzystwa.

— I nie mam co robić. Może pan doktor wejdzie ze mną do Feniksa i napije się kawy?

Starczyło mu odwagi, by z tupetem wypowiedzieć tę propozycję, ale wzroku wykładowcy już nie wytrzymał. Skulił się niczym dziecko oczekujące kary.

— Ja... — wymamrotał. — No wiem, że pan nigdy nie chodzi nigdzie ze studentami. Inni czasem tak, ale pan nie. Nie powinienem pytać. Przepraszam.

Ostatnie słowo powiedział już wyraźnie, znów patrząc rozmówcy prosto w oczy. Jordan poczuł odrobinę współczucia, może nawet sympatii dla tego nieśmiałego młodzieńca, który tak desperacko rzucał wyzwanie całemu światu, a przede wszystkim

swojemu własnemu charakterowi.

* * *

Następnego wieczoru Domenic Jordan wraz z kilkoma znajomymi bawił w kasynie oficerskim. Ostatnio bywał tu coraz częściej. Ruletka nigdy go nie pociągała, ale karty, przy których liczyły się takie cechy jak inteligencja, opanowanie i umiejętność obserwacji, miały dla niego pewien urok. Grał wysoko, lecz częściej wygrywał, niż przegrywał, i to właśnie przywoływał w myślach, gdy szukał usprawiedliwienia dla tak częstych wizyt w kasynie. Wierzył, że zdoła się wycofać, jeśli tylko zacznie przegrywać. Choć z drugiej strony, myślał z ironią, podobna wiara charakteryzuje wszystkich hazardzistów.

Lubił uczyć, lecz niemożność opuszczenia Alestry trochę go irytowała. Był kwiecień i jeszcze przez kilka najbliższych miesięcy Jego Ekscelencja biskup Malartre nie powierzy mu żadnego zadania, które wymagałoby dłuższego wyjazdu ze stolicy. Prawdę powiedziawszy, Jordan zaczynał się trochę nudzić, a ponadto kilkumiesięczny pobyt w jednym miejscu odbił się niekorzystnie na stanie jego finansów. W tej sytuacji wizyty w kasynie były niezłym rozwiązaniem, bo gra nie tylko pozwalała zdobyć pieniądze, lecz także zapewniała odrobinę emocji, których potrzebował.

Brakuje mi już tylko kolejnej zagadki do rozwiązania, pomyślał.

Z trojga jego partnerów najmniej niebezpiecznym przeciwnikiem okazał się don Filibert de Vic, zwany przez wszystkich po prostu Filiberto. Młodzieniec był błyskotliwy, lecz

z trudem się koncentrował. Gra interesowała go mniej niż opowiadane przy stole anegdoty, a nawet odgłosy rozmowy, które dobiegały z sąsiedniej łoży. Z natury leniwy, decyzje podejmował bardzo szybko, ledwie spojrzawszy na karty. Miewał pomysły zaskakująco inteligentne, choć częściej zdarzały mu się godne nowicjusza wpadki. Każdą klęskę kwitował śmiechem, nawet gdy przegrał z kretesem dziecinnie łatwe *misere duberte*.

Drugi gracz, don Culin d'Ortiguier, zażywny kupiec, który niedawno kupił tytuł szlachecki, tak bardzo skupiał się na grze, że nie miał nawet czasu napić się wina. Bezustannie marszczył brwi i pomrukiwał do siebie, rozważając możliwy przebieg rozgrywki, przeciwnicy w jego oczach obdarzeni byli zaś szatańską wręcz przebiegłością. Aby się przed nią obronić, opracowywał przesadnie skomplikowane, dziwaczne strategie, które w puch potrafiło rozbić jedno proste posunięcie Jordana czy nawet radosna dezynwoltura Filiberta. D'Ortiguier również przegrywał z uśmiechem, a przynajmniej starał się to robić. Aspirował bowiem do miana „prawdziwego szlachcica”, co według niego polegało w znacznej mierze na beztroskim traceniu dużych sum pieniędzy. Śmiał się więc, choć protestowała jego kupiecka dusza.

Siwowłosy kapitan Ravost Delsahut był zdecydowanie najbardziej niebezpieczny. Miał pięćdziesiąt cztery lata, a karty po raz pierwszy wziął do ręki, gdy skończył dziesięć. Potrafił grać w każdych warunkach: w trzęsącym powozie i w karczmie pośród pijackich wrzasków, a nawet – jak głosiła plotka – na murach oblężonego miasta, podczas gdy kule armatnie świszczą mu nad głową. Zdawałoby się, że nic nie zdoła zmienić wyrazu jego twarzy,

na której malował się uprzejmy uśmiech. Delsahut rozgrywał partię, podtrzymując jednocześnie beztruską rozmowę, a przy tym bacznie obserwował twarze przeciwników. Jego sposób gry miał jednak wadę – był zbyt konwencjonalny. Kapitan wykazywał przywiązanie do raz sprawdzonych rozwiązań i Domenic Jordan, który kosztem ryzyka potrafił zdobyć się na znacznie większą oryginalność, wygrał z nim kilka partii.

O północy stosik miedzianych żetonów przed Jordanem sięgał już jakichś dwóch cali, co oznaczało wygraną rzędu tysiąca eccu. Zadowolony mężczyzna odchylił się do tyłu, położył głowę na oparciu kanapy i przez chwilę – podczas gdy d’Ortiguier tasował karty – słuchał rozmowy, która dobiegała z sąsiedniej łoży. Nie znalazł w niej nic ciekawego: ot, kilku podstarzałych wojskowych w dość ordynarny sposób dawało wyraz swoim mizoginistycznym poglądom, korzystając z tego, że do kasyna nie wpuszczano kobiet.

D’Ortiguier rozdał karty. Filiberto spasował, Delsahut licytował *misere*, a Jordan przebił go *abondance*.

Kotara, która oddzielała łożę od reszty sali, uniosła się i do stolika podszedł Vittorio Jironi.

Miał na sobie kaftan w kolorze gołęzim, który dwa lata temu, w czasie, gdy chłopak mieszkał jeszcze z rodzicami, był ostatnim krzykiem mody. Spod kaftana wyglądała koszula, znacznie nowsza, ale też znacznie mniej elegancka i tańsza. Strój uzupełniały niezbyt starannie wypastowane buty oraz spodnie. Prano je tak często, że z jasnoszarych stały się sinobiałe, a mimo to wciąż widać było na nich dwie tłuste plamy wielkości kurzych jajek.

Odźwierny z pewnością dwa razy się zastanowił, zanim wpuścił

tu tak niezwykłego gościa.

Odrobinę zdziwiony, Jordan przedstawił swego ucznia znajomym.

— Chcesz się do nas przyłączyć? — spytał wesoło Filiberto, spoglądając na żetony, które Vittorio trzymał w garści.

— Tak. Jeśli tylko panowie nie mają nic przeciwko...

— Ja mam — zaprotestował Jordan. — Nie wypada mi ogrywać w karty własnych studentów.

Chłopak poczerwieniał.

— Umieć grać! — rzucił z oburzeniem.

A ja ciekaw jestem, skąd masz pieniądze, skoro, jak mi wiadomo, jesteś zbyt honorowy, by brać je od rodziców, pomyślał Jordan, głośno zaś powiedział:

— Przegrać z własnym studentem wypada mi jeszcze mniej.

Filiberto i d'Ortiguier zachichotali. Kapitan Delsahut uprzejmie zaproponował kieliszek wina, a gdy chłopak odmówił, wypił sam.

Vittorio stał, ściskając w dłoniach żetony, i najwyraźniej nie zamierzał odejść. Gapił się w podłogę, podczas gdy czterej mężczyźni patrzyli na niego coraz bardziej zdziwieni. Po chwili poderwał głowę niczym nerwowy koń i spojrzał na Jordana.

— Nie musimy grać — powiedział. — Mam dla panów inną propozycję.

* * *

— Trzy zagadki? — Delsahut przeciągał słowa, marszcząc lekko brwi. Propozycja Vittoria, jak wszystko, co nowe, wymagała starannego rozważenia. — Chcesz nam przedstawić trzy zagadki,

a my mamy spróbować je rozwiązać? A czy ty sam wiesz, jak było naprawdę?

— Niestety nie.

— Mniejsza z tym! — wykrzyknął entuzjastycznie Filiberto.

— Możemy się po prostu założyć, kto z nas poda najlepsze rozwiązanie!

— Jestem gotów się przyłączyć — poparł go d'Ortiguier, który przegrawszy cztery ostatnie rozdania, stracił ochotę na grę w karty, lecz za nic by się do tego nie przyznał. — Sędzią będzie Vittorio, a my oczywiście zakładać się będziemy tylko między sobą i dzięki temu nasz dzielny młodzieniec nie straci ani jednego eccu.

— Dwa głosy za — podsumował Delsahut. — Don Domenicu?

Zapytany bawił się, tasując talię. Potem położył karty na stole i wziął tę, która leżała na wierzchu.

Dama kier. Zabawne, bo na obrazku przypominała nie tyle elegancką kobietę, ile raczej wielkooką i rumianą lalkę. Właściwie wszystkie figury w tej talii wyglądały jak lalki, a jasnowłosa dama karo miała nawet z boku coś w rodzaju kluczyka do nakręcania.

Odłożył kartę.

— Zgadzam się — odparł, po czym spojrzał na Vittoria uważnie. Chciał zagadki i oto zagadka sama przysła do niego. Zastanawiające, może nawet budzące niepokój, daleki był jednak od odrzucenia tak niespodziewanego prezentu od losu.

— W takim razie i ja nie mam nic przeciwko — powiedział kapitan. — Usiądź, chłopcze, i napij się wreszcie tego wina, bo widzę, że oczy ci się do niego świecą.

Vittorio Jironi powiódł spojrzeniem po mężczyznach, którzy zgromadzili się wokół zielonego stolika. Wszyscy patrzyli na niego wyczekująco. Na twarzy kapitana Ravosta Delsahuta malował się wyraz konwencjonalnej uprzejmości, obok ciemnowłosa Filibert de Vic uśmiechał się szeroko i szczerze, gotów do nowej zabawy. Po drugiej stronie zajął miejsce Culin d'Ortiguier. Czekał cierpliwie, aż ktoś zabierze głos. Pulchne policzki miał czerwone od wina, które wlewał w siebie od kilkunastu minut. Alkohol usposobił go pogodnie i świeżo upieczony szlachcic czuł, że mógłby tu siedzieć do rana, po prostu ciesząc się dobrym towarzystwem.

Czwarty mężczyzna był jedynym, którego wzroku Vittorio unikał. W badawczym spojrzeniu Domenica Jordana widniało coś niepokojącego. Zbyt wiele chciał wiedzieć, zbyt głęboko dotrzeć.

Młodzieniec odetchnął, zbierając całą swoją odwagę.

— Wszystko, o czym chcę wam opowiedzieć, wydarzyło się jakiś czas temu... a właściwie to już dawno temu w pewnym mieście, którego nazwy nie wymienię...

— Dlaczego nie? — zapytał Jordan.

Vittorio umilkł. To proste pytanie zupełnie zbiło go z tropu.

— Dajże mu spokój, don Domenicu — Filiberto pospieszył na ratunek. — Jakie ma znaczenie, gdzie to się działo? Z pewnością Vittorio nie chce zdradzać szczegółów, aby nie kłaść dobrego imienia zamieszanych w tę historię ludzi.

— Skoro wszystko wydarzyło się „dawno temu”, to bohaterowie tej opowieści prawdopodobnie już nie żyją.

Kapitan Delsahut lekko, niemal niezauważalnie, skrzywił usta.

— Do niczego nie dojdziemy, jeśli będziemy wypytywać tego

chłopca o każdy szczegół.

— Przecież to tylko zabawa — rzucił d'Ortiguier, wzruszając ramionami.

Domenic Jordan pojął, że jest osamotniony w swojej dociekliwości, i chwilowo zrezygnował z pytań. Prawdziwe motywy Vittoria, który tak niespodziewanie pojawił się przy ich stoliku, interesowały go nie mniej niż zapowiedziane trzy zagadki, lecz jego towarzysze zaczęli się już niecierpliwić.

Odsunął się na brzeg kanapy, skrywając twarz w cieniu.

— Mów, Vittorio — zachęcił. — Nie będę ci już przerywać.

— A więc... ee... na czym ja... Ach, tak... — Chłopak z wolna odzyskiwał równowagę. — W pewnym mieście przed kilku laty mężczyzna, którego pozwolę sobie nazwać... hm, jak go nazwać...

— X — podsunął Jordan. Nic bardziej banalnego nie potrafił wymyślić. Ironia nie dotarła do Vittoria.

— X — podchwycił z wdzięcznością — był...

* * *

Pierwsza zagadka

X był samozwańczym kaznodzieją, jednym z tych obłąkańców, którzy na ulicach wyrzaskują hasła o upadku obyczajów i niechybnej karze bożej. Każdego ranka wychodził ze swego nędznego jednoizbowego mieszkania, po czym włóczył się aż do zmroku, przeganiany z miejsca na miejsce przez straż miejską. Chudy, w podartym i sztywnym od brudu odzieniu, wyglądał niczym zabiedzony zółw, gdy włókł się, na plecach niosąc drewnianą skrzynkę po owocach. Tę skrzynkę kładł tam, gdzie gromadzili się

ludzie, a potem stawał na niej i zaczynał mówić. Wtedy ujawniała się jego skrywana energia. Krzyczał, pomstował na niemoralnych arystokratów i wymachując ramionami, wzywał niebo, by pokarało ich piorunami.

Przechodnie chętnie się przy nim zatrzymywali. Jedni po prostu po to, by zabawić się kosztem wariata, inni dlatego, że w głębi duszy trochę się z nim zgadzali.

— Patrzcie, taki łachmyta i obszarpaniec, a jednak całkiem do rzeczy gada — pomrukiwał niejeden szacowny mieszczanin, który dość miał próżnujących arystokratów. Później zaś z lekko wstydliwym uśmiechem wyciągał monetę i rzucał ją mówcy.

X niewątpliwie był szaleńcem, lecz głoszone przez niego poglądy spotykały się z coraz większym zrozumieniem i nawet strażnicy miejscy, którzy dawniej bili go dotkliwie, teraz ograniczali się tylko do sporadycznych poszturchiwań i kopniaków.

Tego wiosennego wieczoru X ustawił swoją skrzynkę na placu targowym, pomiędzy nieczynną już budką rzeźnika a rozkwitłym krzakiem bzu. Woń świeżego kwiecia nie zdołała stłumić ciężkiego zaduchu jatki, lecz ludziom to nie przeszkadzało i wokół mężczyzny zebrał się spory tłumek.

— Oni mają wszystko, a my nic — wrzeszczał X. — Pracujemy, aby oni mogli się bawić! Ich kobiety noszą suknie, które bezwstydnie odsłaniają piersi, i biorą sobie kochanków, których cenią bardziej niż własnych mężów! A mężczyźni każdego wieczoru zbierają się, aby grać z kobietami w „rękawiczki”! Czy zdajecie sobie sprawę, na czym ta gra polega?

— Nie, ale pewno zaraz nam powiesz — mruknął wysoki, ubogo

ubrany chłopak.

— Każda kobieta wrzuca jedną rękawiczkę do jakiegoś pojemnika, a mężczyźni losują te rękawiczki i ta kobieta, do której należy rękawiczka, zostaje partnerką mężczyzny na całą noc, nawet jeśli jest jego siostrą czy córką!

— Nie rozumiem... — poskarżyła się towarzyszka wysokiego chłopaka, który uciszył ją syknięciem.

— Czy potrzeba więcej dowodów na upadek moralny szlachty? Bóg widzi ich postęпки i coraz mniej litości ma w sercu! Mówię wam, coraz bliższy jest dzień kary!

Zapowiedziana kara najwyraźniej niewiele obchodziła wysokiego młodzieńca, który liczył zapewne na kilka pikantnych szczegółów. Odszedł wraz z towarzyszką, a na jego miejsce natychmiast zjawiły się dwie nowe osoby. X nie mógł narzekać na brak powodzenia u publiczności – co prawda nikt nie zatrzymywał się przy nim na dłużej, lecz przez cały czas otaczała go grupka co najmniej kilkunastu słuchaczy.

Wykrzykiwał coraz dłuższe i coraz mniej gramatyczne zdania, co jakiś czas celując palcem w niebo, jakby spodziewał się, że Bóg osobiście poprze jego sprawę.

W opinii wielu świadków Bóg odpowiedział, choć niezupełnie zgodnie z życzeniem kaznodziei.

W pewnym momencie mężczyzna przerwał tyradę, chwycił się za serce, po czym runął na ziemię bezwładnie niczym wypchany sianem materac.

Najbliżej stojący słuchacze cofnęli się z cichymi, zdumionymi okrzykami, wpadając przy okazji na tych, którzy stali za ich

plecami. Zrobiło się zamieszanie. Ci z tyłu wyciągali ciekawie głowy, próbując dojrzeć, co się stało, ci z przodu zaś nie bardzo wiedzieli, co robić. Najszybciej zareagował jeden z mężczyzn, który pochylił się nad leżącym. To przełamało bierność reszty gapiów, którzy zaczęli się tłoczyć, by podejść jak najbliżej ciała. Rozległy się nerwowe szepty, przekazywane z ust do ust niepewne wiadomości.

— Nie żyje?

— Ale jak...? Nie rozumiem...

— Bóg go pokarał... — wymamrotała kobiecina w kraciastej chustce na głowie, żegnając się nabożnie.

— Bzdura — skarcił ją stojący obok starzec. — Zwyczajnie serce mu nie wytrzymało i tyle.

— Oj, nie — odezwał się milczący dotąd ksiądz. — On zginął od ciosu nożem. Nie pojmuję jednak, jak to się mogło stać, skoro przez cały czas nie spuszczaaliśmy z niego oka.

— A ja chciałbym wiedzieć — powiedział ów mężczyzna, który jako pierwszy nachylił się nad zmarłym — gdzie ten nóż się podział, bo nigdzie go tu nie widzę...

* * *

Skończywszy mówić, Vittorio powiódł roziskrzonym wzrokiem po słuchaczach.

Zaczerwieniony i dumny, wyglądał, jakby właśnie zaliczył wyjątkowo trudny egzamin.

— No więc mamy pierwszą zagadkę — powiedział kapitan Delsahut. — X został zabity na oczach kilkunastu świadków nożem, który pojawił się znikąd i którego nikt nawet nie widział,

choć po śmierci mężczyzny przeszukano dokładnie plac.

— Ktoś mógł nóż podnieść — zaprotestował d'Ortiguier.

— Owszem, ale to nie wyjaśnia, w jaki sposób w ogóle nóż znalazł się w sercu mężczyzny, skoro kilkunastu świadków, w tym paru naprawdę szacownych mieszczan, zgodnie twierdziło, że nikt nie podszedł do niego bliżej niż na trzy kroki. Nie da się wbić noża na odległość, i to jeszcze tak, aby nikt tego nie zauważył.

— Zwłaszcza że przez cały czas wszyscy patrzyli właśnie w kierunku kaznodziei — podsumował Filiberto. — Zgadza się?

Vittorio gorliwie pokiwał głową.

— Właśnie tak było.

— Cóż za fascynująca zagadka! — wykrzyknął Filiberto. — Kto podejmuje się ją rozwiązać? Może zaczniemy po kolei, tak jak siedzimy. Panie kapitanie?

Ravost Delsahut zmarszczył brwi. Chętnie wstrzymałby się z wyrażeniem opinii i przemyślał raz jeszcze wszystkie okoliczności tajemniczego zdarzenia. Lecz z drugiej strony była to tylko zabawa, której nie traktował poważnie.

Zawahał się na krótką chwilę, potem podjął decyzję.

— Moim zdaniem X popełnił samobójstwo — powiedział. Nie był zbyt zadowolony z takiego rozwiązania, ale nie należał do ludzi, którzy żałują raz wypowiedzianych słów. — Nie widzę innego wyjścia. Nikt nie podszedł do kaznodziei, a więc kaznodzieja sam musiał wbić sobie nóż w serce, a potem, gdy leżał już na ziemi, ostatkiem sił wyszarpnął go z piersi i odrzucił.

— Dlaczego miałyby to zrobić? — zainteresował się Filiberto.

Kapitan wzruszył ramionami.

— Był szaleńcem, a szaleńcy nie kierują się rozsądkiem.

— No to mamy jedno rozwiązanie, krótkie i po żołniersku proste — zachichotał Filiberto. — A pan, don Culin? Ma pan jakiś pomysł?

D'Ortiguier, mile połączony tym, że został nazwany „donem”, pociągnął jeszcze jeden łyk wina. Potem zmrużył lekko oczy i uśmiechnął się leniwie, najwyraźniej bardzo szczęśliwy, że znajduje się w centrum uwagi.

— A ja myślę — rzucił celowo niedbale — że nasz kapitan, mimo całego szacunku, jaki rzecz jasna dla niego odczuwam, nie ma racji. Oczywiście, że można zabić kogoś z odległości kilku kroków. Wszak wystarczy rzucić nożem, prawda?

— Ktoś by to zauważył — mruknął Delsahut. Samozadowolenie byłego kupczyka drażniło go odrobinę. — Ponadto teoria pańska nie wyjaśnia, co się stało z nożem.

— Tu już — upojony winem i własną pomysłowością d'Ortiguier skłonił się przesadnie głęboko, nie zwracając uwagi na coraz bardziej marsową minę kapitana — ośmielę się przyznać rację mojemu znakomitemu przedmówcy. X z pewnością sam wyszarpnął nóż z rany, a później ktoś podniósł go bezmyślnie i ot, stąd cała zagadka.

— Ja mam lepszy pomysł — roześmiał się Filiberto. — Może ktoś rzucił w kaznodzieję nożem zrobionym z lodu. Lód stopniał i nóż znikł.

Tym razem kapitan Delsahut skrzywił się wyraźnie. Nie znosił głupich dowcipów – jego zdaniem nawet do zabawy należało podchodzić statecznie. Culin d'Ortiguier też wyglądał na

urazonego. Był przekonany, że to właśnie on znalazł właściwe rozwiązanie, a niefrasobliwość młodzieńca umniejszała jego triumf. Domenic Jordan spojrzał na Filiberta.

— Czy tak właśnie wygląda twoja odpowiedź? — zapytał uprzejmie.

Zapytany zmieszał się.

— Tak... to znaczy nie...

— To znaczy — d'Ortiguier parsknął ze złością — że nie masz lepszego pomysłu. Przyznaj się, chłopcze.

— Może to naprawdę Bóg — powiedział Filiberto nieśmiało. — Wiecie, X mówił takie rzeczy, że Bóg mógł...

— Rozgniewać się i zabić go piorunem? — Kapitan Delsahut nie użył ironii. Wystarczyło mu samo skrzywienie warg, aby wyrazić pogardę dla podobnych pomysłów. — Synu, gdyby Bóg miał karać wszystkich, którzy na to zasługują, to zapewniam, że niewielu ludzi chodziłoby teraz po ziemi.

Filiberto poczerwieniał i przez chwilę wydawało się, że dojdzie do sprzeczki. Na szczęście zażegnał ją Vittorio Jironi.

— A pan, don Domenicu? Co pan sądzi o tej sprawie?

Wciąż unikał wzroku wykładowcy, a na jego twarzy malowało się pełne napięcia wyczekiwanie. Nie było tego napięcia wcześniej, gdy swoje rozwiązania podawali pozostali mężczyźni.

Jordan wstał, przeprosił na chwilę, po czym zajrzał do dwu sąsiednich łóż – obie okazały się puste. Gdy wrócił, wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem, ale on nie zamierzał niczego tłumaczyć. Sam zresztą nie był do końca pewien. Miał tylko niejasne wrażenie, że komuś mogło zależeć, by słyszeć tę rozmowę.

Na szczęście wszyscy, ciekawi wyjaśnienia Jordana, nie okazywali zbytniego zainteresowania jego poczynaniami.

— Myślę, że X musiał być bardzo utalentowanym aktorem — zaczął Jordan, gdy zajął na powrót swoje miejsce.
— Znakomicie odegrał śmierć.

— Ależ on umarł naprawdę! — zaprotestował zdumiony Filiberto. — Miał serce przebite nożem! Uważa pan, że Vittorio okłamał nas w tym względzie?

Jordan zaprzeczył ruchem głowy. Przez cały czas obserwował Vittoria, bo zmiany na jego twarzy – gwałtownie rozszerzające się oczy, nerwowe drgnienie warg – interesowały go bardziej niż to, co zamierzał powiedzieć.

— Ależ skąd. Uważam, że ten, kto namówił kaznodzieję na tę komedię, złamał warunki umowy. X moim zdaniem należał do ludzi, którzy uwielbiają ściągać na siebie uwagę. Kogoś takiego nietrudno przekonać, by w odpowiednim momencie odegrał swoją własną śmierć, choćby wmawiając mu, że taka śmierć oraz późniejsze zmartwychwstanie przysporzą mu zwolenników. Tyle że zmartwychwstania nie było. X zgodnie z umową chwycił się za serce i upadł, a wtedy... Cóż, widziałem już wielokrotnie podobne sytuacje. Gdy dzieje się coś niespodziewanego, gdy pośrodku tłumu człowiek nagle pada na ziemię, ludzie w pierwszej chwili są skonsternowani i nie wiedzą, co robić. Dopiero potem ktoś jako pierwszy zbiera się na odwagę i...

— Pan sądzi...? — przerwał mu d'Ortiguier niemal agresywnie.

— Sądzę — podjął Jordan spokojnie — że ów mężczyzna,

który namówił kaznodzieję do owej zabawy, był także pierwszym, który pochylił się nad nieruchomym ciałem. Miał czas, by chowany w rękawie nóż wbić w serce leżącego, a następnie wyciągnąć go i ukryć z powrotem. Niewiele czasu, to prawda, ale wbrew pozorom nie jest to zadanie trudne. Wymaga raczej mocnych nerwów i wiedzy o tym, w które miejsce uderzyć, niż jakiejś niezwyklej szybkości.

— Ktoś by to z pewnością zauważył! — wykrzyknął Filiberto. D'Ortiguier i Delsahut poparli go, kiwając głowami: d'Ortiguier energicznie, Delsahut zaś krótko i oszczędnie.

— Po pierwsze, jak to bywa w takich przypadkach, minęła chwila, zanim reszta gapiów zareagowała, a po drugie... — zawahał się — mam wrażenie, że miejsce, w którym przemawiał X, też było częścią umowy z owym tajemniczym zabójcą. Gdyby X zdecydował sam, pewnie stanąłby na środku placu targowego, bo tam mógłby zebrać wokół siebie większą liczbę osób. Ale on wybrał miejsce pomiędzy krzakiem bzu a budką rzeźnika. Dlaczego? Zakładam, że to był właśnie pomysł mordercy, który wykorzystując jakikolwiek pretekst, doprowadził do sytuacji, w której X udawał martwego w takim miejscu, że trudno się było do niego dostać. Gdy zabójca nachylił się nad ciałem, jednocześnie zasłonił gapiom widok i zablokował dostęp. Rzecz jasna, nie mógł tkwić przy domniemanych zwłokach zbyt długo, bo w końcu ktoś zniecierpliwiony pewnie by go odepchnął, ale zyskał wystarczająco dużo czasu, by zabić kaznodzieję.

Gdy skończył mówić, wszyscy spoglądali na niego ze zdziwieniem, a także szacunkiem dla prostoty i trafności takiego

rozwiązania.

Pierwszy milczenie przerwał Filiberto.

— Poza tym tam było ciemno, prawda? — zauważył bystrze.
— Mówiłeś, Vittorio, że wszystko to wydarzyło się wieczorem, a więc pewnie w szarówce zapadającego zmierzchu, gdy nie widać dokładnie, co się dzieje. Mam rację?

Vittorio spuścił głowę.

— Ja... doprawdy nie wiem... Nie powiedziano mi...
— wymamrotał.

— To mało ważne — przerwał mu kapitan Delsahut.
— Niezależnie od tego, czy było ciemno, czy jasno, uważam, że Domenic Jordan podał najlepsze rozwiązanie. Czy ktoś się sprzeciwia? Vittorio?

Chłopak potrząsnął głową.

Kapitan zadzwonił po sługę i poprosił o jeszcze dwie butelki wina.

— A więc don Domenic wygrał pierwszą turę — podsumował.
— Czekamy na następną zagadkę.

* * *

Dzień wcześniej, godzina ósma rano

Kobieta obudziła się, czując na powiekach ciepło promieni słońca. Z podrażnionych światłem oczu spłynęły łzy. Zamrugła i odwróciła się, wciskając twarz w poduszkę. Wdychała zapach świeżo wykrochmalonego płótna. Przyjemny zapach, bezpieczny.

Potem wstała i cicho, aby nie zbudzić śpiącego mężczyzny, przeszła do ubieralni. Rankiem panował tu półmrok, bo okna

wychodziły na zachód.

Jej mąż nigdy tu nie wchodził. Nie lubił luster. Stała przy toalecie i sięgnęła po szczotkę. Ciesząc się każdą chwilą tej drobnej przyjemności, czesała włosy. Były delikatne, koloru zrudziałego złota. Ludzie mówili, że są piękne, lecz ona nie myślała o nich w ten sposób, tak jak nigdy nie myślała o własnej urodzie. Lubiała jednak swoje ciało, zwłaszcza o poranku, gdy wciąż było rozleniwione snem. Jego miękkość i zapach, szorstki dotyk płótna, gdy wkładała bieliznę, chłód wody, gdy gąbką obmywała twarz, ręce i szyję, sięgając niżej, aż do piersi. Zanurzała się w samotność ukołyszana, bezpieczna we własnej skórze niczym dziecko w łonie matki, a jednocześnie na granicy tej intymności wyczuwała odrobinę podniecenia, kontrast, jaki tworzyły jej nagość i zimno niemal pustego, mrocznego pokoju.

W takich chwilach godziła się z własnym ciałem, z każdym siniakiem i strupem. Mąż bił ją codziennie i codziennie, leżąc u jej stóp, błagał o wybaczenie. To było coś znacznie głębszego niż zwykle poczucie winy. I bardziej przerażającego. W takich chwilach mężczyzna czuł się zdruzgotany ogromem zbrodni, jaką popełnił.

Ubrała się. Jej strój był prosty, taki jaki nosiły uboższe mieszczańki. Halka, pantalony i pończochy, na to gorset – sznurowany z przodu, a więc łatwy do założenia bez pomocy pokojówki. I suknia z białego lnu, ozdobiona wokół dekoltu i rękawów wzorem kremowo-żółtych kwiatów. Teraz poczuła się inaczej. Pewniej, jak ktoś, kto gotów jest stawić czoła światu, choć jednocześnie był w tej pewności siebie jakiś fałszywy rys.

Stara Zelia, którą zatrudniali, przychodziła tylko na kilka godzin dziennie, by posprzątać i ugotować wieczorny posiłek. Mąż jasnowłosej kobiety nie zniósłby, by ktoś obcy z nimi mieszkał, tak więc część obowiązków służącej spadała na barki pani domu.

Jednym z tych obowiązków były codzienne zakupy. Każdego ranka wychodziła z mieszkania, które znajdowało się nad księgarnią uniwersytecką, po czym szła na pobliski targ. Czasem zostawała tam dłużej, niż musiała, choć nigdy nie oddalała się zbyt od domu.

Tego dnia słońce nie dawało zbyt wiele ciepła. Jego blask był rozcieńczony, jakby rozmyty. Nawet jasnoszare cienie wydawały się zaskakująco czyste, wyprane z mroku. Całe miasto sprawiało wrażenie, jakby ktoś obmył je z zimowego błota, a potem pozostawił do wyschnięcia na chłodnym wiosennym wietrze.

Minęła stragan, na którym stały pękate butle oliwy, i drugi, gdzie piętrzyły się słoje kozich serów w zaprawie. Przystanęła dopiero przy nowalijkach. Spoceni i rozgadani ludzie potrącali ją, tłocząc się za jej plecami, lecz ona nie zwracała na nich uwagi.

Mimo onieśmienia czuła się szczęśliwa. Znajdowała się w miejscu, gdzie wrzało życie, a jednocześnie była anonimowa i mało kto zwracał na nią uwagę. Samotność w tłumie okazała się dokładnie tym, czego potrzebowała.

Wybierała rzodkiewki, ciesząc się ich gładkością i krągłymi kształtami. Takie proste, zwyczajne czynności zawsze sprawiały jej radość.

Gdy rzodkiewki zostały umieszczone w koszyku obok nakrapianych przepiórczych jaj oraz małego garnczka miodu,

uniosła głowę i rozejrzała się.

Zobaczyła swojego męża, który przepychał się pomiędzy dwoma straganami. Dokąd on idzie? – pomyślała zdziwiona. W pierwszym odruchu podążyła za nim, chciała nawet zawołać, by zaczekał, ale już po kilku krokach przyszło jej do głowy, że coś jest nie tak. Wyczulona na najdrobniejsze jego odruchy i zmiany nastroju szybko pojęła, że mężczyzna nie chce być widzianym. Po chwili zrozumiała, dlaczego.

Śledził jakiegoś chłopaka, z wyglądu prostego sługę, który na targu robił zakupy.

Coraz bardziej zdumiona, poszła za mężem. Trochę z ciekawości, a trochę dlatego, że się niepokoiła. Więcej nawet niż niepokoiła. Bała się, i to jednocześnie jego i o niego.

* * *

Druga zagadka

— Dobrej nocy, synku — powiedziała staruszka do młodzieńca, który trzymając w dłoni świecę, wspinał się po schodach.

Lubiła go, nawet bardzo lubiła. Ten szczuplutki chłopiec do pewnego stopnia zajął w jej sercu miejsce zmarłego przed kilku laty syna. Miała szczęście, że trafiła akurat na niego. Y nie przypominał innych studentów. Nie rozrabiał, nie pił, nie przyprowadzał do wynajmowanej na poddaszu izdebki dziewcząt. Był grzeczny, zawsze przychodził, by zapytać, czy nie potrzebuje pomocy, a gdy zapraszała go na kolację, nie mógł się nachwalić jej kucharskich umiejętności.

Zaczekała, aż z góry dobiegnie odgłos zamykanych drzwi,

a potem wróciła do swojego skromnego mieszkania.

Usiadła przy stole, na którym wciąż znajdowały się talerze z resztkami posiłku. Zapiekanka ziemniaczana – prosta, sycąca potrawa w sam raz na słotny jesienny wieczór. Później pozmywam, pomyślała, po czym przymknęła oczy, ciesząc się trzaskającym na kominku ogniem, który tak miło współgrał z bębniącym w szyby deszczem.

Nie odwlekała sprzątnania z powodu zmęczenia. Wręcz przeciwnie: mimo iż przekroczyła sześćdziesiąty rok życia, wciąż była pełna energii. Po prostu bała się kolejnego samotnego wieczoru, kiedy zrobi już wszystko, co ma do zrobienia, a potem pozostanie sam na sam ze swymi myślami, licząc minuty, które nie płynęły, lecz sączyły się jak krew z rany.

Powinna się zająć jakąś spokojną i pożyteczną pracą, jedną z tych, w których celowały podobne do niej szacowne wdowy. Jak na przykład haftowanie czy robienie wełnianych pończoch dla dzieci z sierocińca. Ale pech chciał, że palce zawsze miała niezgrabne, niczym wystrugane z marchwi. Nadawały się do szorowania podłóg i co najwyżej do gotowania. Zresztą zawsze nudziły ją zajęcia, które wymagały cierpliwości i finezji.

Stopnie zatrzeszczały pod ciężarem czyjejs stopy. Ktoś szedł na poddasze, do izdebki, którą wynajmował student.

Staruszka czujnie nadstawiła uszu. Była zdania, że młodemu człowiekowi należy się trochę prywatności, i nigdy nie wypytywała o nielicznych przyjaciół, którzy do niego przychodzili, lecz nie przeszkadzało jej to bynajmniej nasłuchiwać. Wszystko, co miało związek ze studentem, żywo ją interesowało.

Gość nie został długo, może z dziesięć minut. Wracił jakoś tak dziwnie: stąpając po schodach szybko, a jednocześnie cicho. Jakby ukradkiem. Staruszka poczuła przyływ niepokoju. Dlaczego Y nie wyszedł go pożegnać? Zazwyczaj odprowadzał kolegów na podest, a ona słyszała, jak śmiejąc się, wymieniają ostatnie żarty.

Wstała i wyjrzała na sień. Czekwała na fałszywe pogwizdywanie, plusk wody wylewanej przez okno, szcęk zamykanej na haczyk okiennicy. Jakikolwiek z tych zwyczajnych odgłosów, które świadczyły, że Y właśnie skończył wieczorną toaletę i kładzie się spać. Nie doczekała się.

Może położył się wcześniej, bo był zmęczony, i już śpi, pomyślała, po czym wróciła do mieszkania. Jednak niepokój nie zniknął.

Źle spała tej nocy. Przewracała się z boku na bok, budząc się i przysypiając na zmianę. Przed świtem poczuła pragnienie, więc boso poszła do kuchni i napiła się wody. Potem zziębnięta wsunęła się z powrotem pod nagrzaną pierzynę, ale nie potrafiła zasnąć. Gdy zegar wybił siódmą rano, usiadła na łóżku.

Y powinien już wstać. Więcej, powinien schodzić na dół, a ona powinna słyszeć jego kroki i trzeszczenie stopni.

Wstała, ubrała się pospiesznie i była jak. Znalazła tylko jeden chodak, drugi gdzieś się zawieruszył. Nie traciła czasu na szukanie. Boso pobiegła do izdebki na poddaszu, zapukała i zawołała chłopca po imieniu.

Gdy nie odpowiedział, nacisnęła klamkę. O dziwo, drzwi były otwarte. Ostrożnie przestąpiła próg, w myślach formułując gładkie słowa przeprosin. „Wybacz starej kobiecie, martwiłam się...”.

Słowa okazały się niepotrzebne.

Trupa rozpoznała tylko po ubraniu i sygnecie, który Y zawsze nosił na palcu. I z całą pewnością chłopak nie umarł zeszłego wieczoru. Zwłoki były w stanie daleko posuniętego rozkładu, jakby leżały w pokoju przez ostatnie kilka tygodni.

* * *

— Hmm, taką zagadkę trudno rozwiązać — mruknął kapitan Delsahut. — Jakim cudem Y mógł wieczorem być żywy, a rano okazało się, że od kilku tygodni jest martwy? Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że w grę wchodzi tu jakieś czynniki nadprzyrodzone. Chociaż nie... — zawahał się. — Nie warto doszukiwać się duchów tam, gdzie wystarczy prostsze rozwiązanie. Przykro to powiedzieć, ale moim zdaniem owa staruszka, która widziała studenta przed śmiercią, po prostu kłamie.

— W takim razie musieliby kłamać też wszyscy, którzy widzieli go żywego przez ostatnie kilka tygodni przed śmiercią — zauważył rozsądnie Filiberto. — Bo przecież trudno przypuszczać, że Y spędził te tygodnie w domu sam na sam ze staruszką, która wynajmowała mu pokój. Był studentem, więc z pewnością chodził na wykłady, spotykał się z przyjaciółmi...

— Ja znam rozwiązanie — wtrącił się d'Ortiguier. — Moim zdaniem owa staruszka znalazła po prostu zwłoki jakiegoś obcego młodzieńca, który zmarł jakiś czas temu. Rzecz jasna, w mistyfikacji musiał brać udział sam Y. W nocy, gdy właścicielka mieszkania zasnęła, wniósł z czyjaś pomocą trupa na górę, przebrał w swoje rzeczy, po czym zniknął.

— To ma sens... — powiedział wolno Filiberto. Były kupiec próbował skromnie spuścić wzrok, ale uśmiechał się przy tym z triumfem. — Choć szczerze mówiąc, wydaje mi się to operacją dość skomplikowaną, a do tego nieprzyjemną. Nieść cuchnące, rozpadające się zwłoki po schodach, a potem przebierać je w swoje rzeczy? Czyste, eleganckie rzeczy? W życiu! Ja na pewno bym czegoś takiego nie zrobił i gotów jestem obalić tę teorię przez sam wzgląd na poczucie estetyki.

Zrobił przy tym zabawną, pełną obrzydzenia minę, na widok której uśmiechnęli się wszyscy prócz d'Ortiguiera. Ten ostatni ścisnął tylko trzymany w dłoni kielich. Tak mocno, że Jordan przez chwilę myślał, że szkło pęknie.

— Potrafisz tylko dowcipkować czy stać cię także na ruszenie głową? — rzucił d'Ortiguier przez zaciśnięte zęby.

Filiberto nie przejął się ani trochę zgryźliwością rozmówcy.

— Pierwsza myśl zazwyczaj jest najlepsza i moim zdaniem właśnie za pierwszym razem kapitan Delsahut zgadł trafnie. W grę wchodzi tu siły nieczyste, ot co.

Były kupiec parsknął z pogardą i jednym haustem wypił resztę wina.

— Panie Jordan? — Filiberto, któremu znacznie mniej zależało na zwycięstwie w tej zabawie, wziął na siebie obowiązek zagadywania kolejnych uczestników.

Nim odpowiedział, Domenic Jordan jeszcze przez chwilę patrzył na tego, kto spośród wszystkich zgromadzonych przy stole osób wydawał mu się najbardziej interesujący.

Na Vittoria Jironiego.

Chłopak wyraźnie czuł się nieswojo. Aby zająć czymś ręce, tasował karty, potem zaczął się bawić sygnetem, który nosił na palcu serdecznym lewej dłoni. Przez twarz przebiegały mu nerwowe tiki, zupełnie jakby w ten sposób tuż pod skórą uzewnętrzniały się niespokojne, poplątane myśli. Gdy czekał na ostatnią odpowiedź, w jego sylwetce znów pojawiło się to charakterystyczne napięcie, które Jordan zauważył już poprzednim razem.

— To trudna zagadka — powiedział zapytany po chwili — lecz możliwa do rozwiązania dla kogoś, kto ma pewną wiedzę z zakresu chemii i medycyny. Obecny tu Vittorio jest dopiero na pierwszym roku, ale niektórzy studenci starszych lat wiedzą, że soki trawienne zwierząt czy mięsożernych roślin można wyizolować w laboratorium, zasuszyć i przechowywać w formie proszku. Najlepiej nadają się do tego celu tkanki *Nepenthes pinnatus*. Otrzymany proszek należy dodać do zasadowego rozpuszczalnika, w którym znajdują się już sole wapnia, zamieszać i wylać na zwłoki. Działa znakomicie, w ciągu kilku godzin trawi ciało tak, że nieboszczyk wygląda, jakby nie żył od kilku tygodni. Proces ten przebiega szybko zwłaszcza w ciepłe, a Vittorio wspomniał przecież, że była jesień, i w izdebce studenta z pewnością w piecu płonął ogień.

— Mordercą jest więc mężczyzna, który odwiedził studenta tamtego wieczoru? — zapytał Filiberto.

Jordan skinął głową.

— Tak sędzę. Człowiek ów wcześniej zaplanował zbrodnię i przyszedł, przynosząc ze sobą to, co potrzebne, czyli słoiczek ze

sproszkowanymi sokami trawiennymi oraz butelkę z zasadowym rozpuszczalnikiem.

— Co o tym sądzisz, Vittorio? Odpowiada ci takie rozwiązanie?

Zapytany potwierdził krótkim, nerwowym ruchem głowy. Wciąż unikał wzroku wykładowcy. Patrzył na wszystkich, tylko nie na Domenica Jordana.

* * *

Dzień wcześniej, godzina dziewiąta rano

Jasnowłosa kobieta odruchowo schowała się w bramie kamienicy.

Jej mąż w pewnym momencie po prostu przystanął i zawrócił. Przeszedł tuż obok, ale na szczęście jej nie zauważył. Po chwili zniknął w tłumie.

Została sama.

Nie bała się, że nie zdoła trafić z powrotem. Była wystarczająco rozsądna, by zwrócić uwagę na trasę, którą szła, a pamięć miała dobrą.

Ciekawiła ją kamienica stojąca po przeciwnej stronie ulicy. Dwupiętrowa, z ciemnoszarego kamienia, zwieńczona obtłuczoną attyką i z portalem, nad którym widniał nieczytelny już herb. Na pierwszy rzut oka wyglądała po prostu na starą i zdewastowaną, lecz było w niej coś dziwnego, czego kobieta w tej chwili nie potrafiła określić.

Do tego właśnie domu wszedł młody służący o twarzy sympatycznego idioty. Nie miała pojęcia, po co jej mąż go śledził,

ale jednego była pewna. Jej męża interesował nie sługa, lecz pan.

Przeszła na drugą stronę ulicy i przyjrzała się fasadzie. Teraz wiedziała już, co takiego wydało jej się dziwne.

Dom tylko na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie rudery, w rzeczywistości jednak ktoś o niego dbał. Szyby w oknach były czyste i – co ważniejsze – całe, a drewno, z którego zrobiono okiennice, wcale nie wyglądało na spalone. Nawet rynna podtrzymywana przez okaleczone maszkarony zgrabnie trzymała się pionu i w czasie deszczu z pewnością dobrze spełniała swoją funkcję.

Albo, pomyślała kobieta, właścicielowi po prostu nie zależy na wyglądzie fasady i dlatego ogranicza się tylko do najpotrzebniejszych napraw, albo wręcz przeciwnie, specjalnie pozostawił fasadę w takim stanie po to, aby ludzie uznali dom za rudere i nie interesowali się tym, co jest w środku.

Z jakiegoś powodu to drugie przypuszczenie wydało jej się bardziej prawdopodobne.

Wszystkie okiennice na parterze okazały się szczelnie zamknięte. Szkoda, bo z ochotą zajrzałyby do środka. I nie miałyby z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. O ile na sprawy dobra i zła była niezwykle wyczulona, o tyle nie dbała zupełnie o konwenanse.

W jej sercu rósł niepokój. Na razie lekki, ale dokuczliwy niczym ćmiący ząb. Znalazła w tym niepokoju coś jeszcze, co rozpoznała bez trudu.

Dawniej mrok był częścią jej życia tak ważną, że w którymś momencie przesłonił wszystko inne. A potem za sprawą pewnego

świętobliwego człowieka zniknął, pozostawiając tylko ból, rozpacz, miłość i poświęcenie. Przez ostatnie kilka miesięcy, mimo wszelkich nieszczęść, nie wyczuwała wokół siebie mroku.

Aż do dzisiaj. Dzisiaj mrok powrócił.

* * *

Trzecia zagadka

Pan Z był zegarmistrzem, niegdyś bardzo cenionym ze względu na swe umiejętności. Gdy wzrok mu się popsuł, sprzedał warsztat i kupił duży, stary dom, w którym zamieszkał. Nie miał rodziny, lecz zatrudniał młodego służącego, którego traktował jak syna. Chłopak nie był zbyt rozgarnięty – prawdę mówiąc, zasługiwał niemal na miano idioty – ale swoje proste obowiązki wykonywał szybko i sprawnie, a przede wszystkim za opiekę odpłacał pracodawcy szczerym przywiązaniem.

Pan Z unikał kontaktów z sąsiadami i z tego powodu uważano go za odludka. Niesłusznie, bo starzec miał krąg znajomych, z którymi spotykał się w różnych miejscach. Takich, do których nie chodzili przyzwoici mieszkańcy. Były wśród nich zarówno ekskluzywne domy publiczne, jak i urzędzone w piwnicach złodziejskiej meliny.

Czasem owi znajomi pojawiali się w domu pana Z. Przychodzili zawsze po zmroku w płaszczach z obszernymi kapturami, którymi osłaniali twarze tak, że nie dało się ich rozpoznać. Najczęściej byli to mężczyźni, choć zdarzało się, że byłego zegarmistrza odwiedzały i kobiety. Bogate kobiety, jak można by sądzić po sukniach, które wyzierały spod płaszczy.

Sąsiedzi chętnie dowiedzieliby się czegoś więcej o tajemniczym panu Z, ale niestety jedynym źródłem informacji pozostawał ów sługa-idiota. Chłopak był zbyt prostoduszny, by zachować wzorową dyskrecję, kłopot jednak polegał na tym, że sam niewiele wiedział. Jedna rzecz szczególnie pobudziła ciekawość ludzi. Otóż pan Z na poddaszu urządził sobie prywatny gabinet i bardzo dbał, by nikt niepowołany tam nie zaglądał. Było to jedyne w całym domu pomieszczenie, do którego sługa pod żadnym pozorem nie mógł wejść. Pan Z zapraszał do tego pokoju owych tajemniczych gości w płaszczach i sam spędzał tam dużo czasu. Gdy znajdował się w środku, zamykał drzwi na zasuwkę, a gdy wychodził, przekręcał w zamku klucz, po czym zabierał go ze sobą. Dostępu do gabinetu broniły też grube kraty w oknach, zaś owe okna znajdowały się tak wysoko, że nawet stojąc na drabinie, nie dało się przez nie zajrzeć.

Ten pokój fascynował sąsiadów pana Z. Co mogło się w nim znajdować? Najprostszym wytłumaczeniem było, że mężczyzna mimo słabego wzroku nie do końca porzucił dawną pasję i dla własnej przyjemności wciąż jeszcze zajmował się konstruowaniem zegarów, lecz to nie wyjaśniało przecież, dlaczego zabronił wiernemu służącemu wchodzić do pracowni.

Każdego ranka młody sługa szedł na targ, gdzie robił zakupy. Zajmowało mu to godzinę do półtorej. Potem wstępował na kufel piwa do pobliskiej gospody i spędzał tam nie więcej niż dwadzieścia minut, te dwie poranne godziny to był jedyne czas, gdy pan Z zostawał sam w domu. Najczęściej spał jeszcze wtedy albo pracował zamknięty na poddaszu.

Tamtego dnia służący wrócił jak zwykle z targu, położył zakupy

w kuchni, po czym przygotował lekkie śniadanie. Niosąc je na tacy, udał się do sypialni chlebowdawcy. Nie znalazł go tam, więc poszedł do gabinetu. Zastukał, spodziewając się, że pan Z otworzy i jak zawsze odbierze posiłek w progu. Nic takiego się nie stało. Sługa pukał, potem nawet walił w drzwi i nawoływał, ale nikt nie otwierał.

Zdenerwowany obszedł cały dom. Zaglądał do każdego pomieszczenia, nawet do komórki na węgiel. Chlebowdawcy nigdzie nie było i nieszczęsny chłopak czuł coraz większe przerażenie. Pan Z rzadko wychodził przed zmrokiem, a jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby wyszedł przed śniadaniem.

W końcu zdesperowany służący zdecydował się poszukać pomocy u sąsiadów. Niektórzy chcieli poczekać, aż zaginiony sam wróci, inni – nie tyle zaniepokojeni jego losem, ile po prostu ciekawi – szybko doszli do wniosku, że były zegarmistrz niechybnie zamknął się na zasuwkę, a potem zasłabł i dlatego nie otwiera. Propozycja, by wyważyć drzwi, zwyciężyła, bo przecież każdy miał ochotę zajrzeć do tajemniczego gabinetu.

Tak więc grupa mężczyzn wdarła się tam przemocą, odrywając zasuwkę od ściany.

Pan Z siedział przy biurku z dziurą po kuli w głowie. Można by sądzić, że popełnił samobójstwo, gdyby nie to, że pistoletu nigdzie nie było. Lecz problem polegał na tym, że z pomieszczenia nikt nie mógł wyjść, bo kraty w oknach okazały się nienaruszone, a drzwi zamknięte od wewnątrz.

* * *

— Zegar bił już drugą w nocy, a ja jestem zmęczony, więc

proszę o udzielanie szybkich i konkretnych odpowiedzi — powiedział kapitan Delsahut. — Tradycyjnie ja zacznę...

— Chwilę. — Domenic Jordan uniósł dłoń. — Proszę o wybaczenie, że przerywam, ale chciałbym zadać jedno pytanie: co właściwie znajdowało się w owym tajemniczym gabinecie?

— Tak jest — poparł go Filiberto — powiedz nam, co tam było.

Vittorio potrząsnął bezradnie głową. Nic nie pozostało z rozpierającej go dumy. Jego cera, o ile to możliwe, stała się jeszcze bardziej szara, chude ramiona drgały lekko. Wyglądał na wyczerpanego i wystraszonego. Jordan miał wrażenie, że chłopak najchętniej wyszedłby teraz i wyrzucił z pamięci cały ten wieczór.

— Nie wiem... — wymruczał.

Filiberto rzucił mu zdumione spojrzenie. Jordan wręcz przeciwnie, nie był zdziwiony. Spodziewał się takiej właśnie odpowiedzi.

— To nie jest przedmiotem naszych rozważań. — Ravost Delsahut bębnił palcami po stole, co w jego przypadku oznaczało najwyższy stopień zniecierpliwienia. Przysypiający d'Ortiguier ocknął się gwałtownie. — Mamy do rozwiązania tajemnicę morderstwa, które zostało popełnione w zamkniętym od wewnątrz pomieszczeniu. Kto zabił pana Z?

Nie mówił podniesionym tonem, ale sam dźwięk jego mocnego, nawykłego do wydawania rozkazów głosu ożywił zebranych przy stole. Domenic Jordan pomyślał, że na początku jego trzej towarzysze podeszli do propozycji Vittoria entuzjastycznie, a potem z każdą kolejną zagadką ich chęć zabawy słabła. I nie chodziło tu

tylko o zmęczenie i późną porę. Nie, oni po prostu wyczuwali to, czego Jordan domyślał się już od pewnego czasu.

— Moim zdaniem — odpowiedział sam sobie kapitan Delsahut — pana Z mógł zabić karzeł, cyrkowiec, jeden z tych bardzo drobnych i jednocześnie bardzo zwinnych mężczyzn, którzy popisują się różnymi sztuczkami ku uciesze gawiedzi. Ktoś taki mógłby zarówno wspiąć się do wysoko położonego okna, jak i precyzyjnie przetrzasnąć kraty. To najprostsze rozwiązanie.

— Kapitan i jego proste rozwiązania — mruknął pod nosem Filiberto, na wpół z rozbawieniem, na wpół z niechęcią, po czym zwrócił się do byłego kupca: — A pan, don Culin? Jaka jest pana opinia?

D'Ortiguier uśmiechnął się z wysiłkiem. Sprawiał wrażenie pijanego, ale wbrew pozorom wciąż potrafił myśleć.

— Pana Z zabił brat bliźniak owego zidiociałego służącego — oznajmił, a w jego głosie zamiast zamierzonej lekkości zabrzmiało rozdrażnienie. Nie liczył już, że podane przez niego rozwiązanie zostanie uznane za najlepsze. — Strzelił, a potem zamknął gabinet na zasuwkę, oczywiście zostając w środku. Tymczasem jego brat, jak wcześniej się umówili, wezwał sąsiadów. Gdy wyważali drzwi, brat idiota odszedł niepostrzeżenie i schował się gdzieś, a potem, gdy mężczyźni wpadli do pomieszczenia, brat mordercy, który przez cały czas znajdował się w środku, po prostu jak gdyby nigdy nic do nich dołączył. Rzecz jasna, oni wzięli go za owego sługę idiotę i sądzili, że wszedł wraz z nimi. Proste, prawda?

Nikt nie uznał tego za proste ani tym bardziej za prawdopodobne i teoria d'Ortiguiera została pominięta grzecznym

milczeniem.

Przerwał je Filiberto.

— A mnie się zdaje, że pan Z mógł popełnić samobójstwo. Przeciwno temu świadczy tylko fakt, że nie znaleziono broni, ale zmarły sam mógł się jej pozbyć. Oczywiście jeszcze przed śmiercią — zachichotał z własnego żartu. — Powiedzmy, że przywiązał pistolet do ogona psa, który stał na zewnątrz, w ogrodzie, a zwierzę spłoszone odgłosem wystrzału uciekło, jednocześnie wyciągając broń z gabinetu... Tylko że w takim wypadku okno musiałoby być otwarte. Pistolet można przeciągnąć przez kraty, ale nie przez szybę. Było otwarte?

Vittorio zawahał się, po czym energicznie zaprzeczył.

— Nie. Było zamknięte.

— No to nie mam innego pomysłu — stropił się młodzieniec.
— Don Domenicu?

— Pozwólcie, że najpierw zadam jeszcze jedno pytanie.
— Spojrzał na Vittoria, który zgarbił się jak uczeń oczekujący, że nauczyciel da mu po łapach linijką. — Gdzie był klucz, na który pan Z zazwyczaj zamykał drzwi gabinetu?

W oczach chłopaka pojawiła się rozpacz.

— Ale... przecież... — wyjąkał desperacko. — Zasuwka...

— Dajmy na razie spokój zasuwce — powiedział Jordan łagodnie. — Mnie interesuje klucz. Czy ktoś w ogóle go szukał po śmierci pana Z?

Vittorio otworzył usta w wyrazie niemego, tępego przerażenia, a potem, zupełnie jakby ktoś na egzaminie podpowiedział mu właściwą kwestię, na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi.

Chwilowej ulgi co prawda, bo nieszczęsny student wciąż przypominał wystraszonego królika.

— Był w kieszeni, tam gdzie pan Z zawsze go nosił.

— Aha. — Jordan uśmiechnął się swobodnie. — W takim razie moim zdaniem morderca zabił Z, a potem wyszedł, zamykając gabinet przy pomocy duplikatu tego właśnie klucza. Widzicie — wyjaśnił — ów klucz służył głównie do tego, aby chronić gabinet przed ciekawością służącego. Nic nie wskazuje na to, by pan Z przejmował się kluczem jakoś szczególnie, gdy przebywał poza domem. Ktoś z jego znajomych, tych, z którymi spotykał się wieczorami, mógł niepostrzeżenie go zdobyć i przekazać umówionemu przyjacielowi czy też słudze, który dorobił u ślusarza duplikat. Potem tą samą drogą, wędrując z rąk do rąk, oryginał wrócił do kieszeni kaftana pana Z, duplikat zatrzymał zaś morderca. Nic trudnego, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że pan Z często spotykał się z przyjaciółmi w domach publicznych, gdzie, jak mniemam, zdejmował także kaftan. Rankiem, gdy służący poszedł na targ, morderca udał się do pana Z, który wpuścił go do gabinetu. Dlatego właśnie twierdzę, że zabójcą był ktoś, komu zmarły ufał i kto znał zwyczaje panujące w jego domu. Obcy nie wiedziałby o kluczu ani o tym, że rano służący chodzi na targ i pan Z zostaje wtedy sam. Nie sądzę, aby zabójca przez przypadek wybrał tak sprzyjającą porę na popełnienie zbrodni.

— A co z drzwiami? — zniecierpliwził się Filiberto.

— Morderca zabił pana Z, wyrwał zasuwkę ze ściany i wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz — odparł Jordan. — Zamki w drzwiach do pokoi zazwyczaj są dość słabe, wystarczy

mocniej pchnąć, by puściły, a co więcej, tak potraktowany zamek nie psuje się, lecz wciąż działa. Rzecz jasna, potrzeba mniej siły, by wyważyć drzwi zamknięte na taki zamek niż na porządną zasuwkę, ale nie sądzę, aby grupka wystraszonych i jednocześnie płonących z ciekawości mieszczuchów potrafiła to ocenić. A ponadto — dodał — ludzie chętnie ulegają złudzeniom: wyrwana zasuwka tak bardzo rzucała się w oczy i nasuwała tak oczywiste skojarzenia, że nikomu nawet nie przyszło do głowy, by poszukać innego rozwiązania. Oczywiście pozostaje jeszcze jedno, najważniejsze pytanie...

— Po co, u licha, ktoś miałby konstruować tak skomplikowaną zagadkę, skoro mógł po prostu zabić i tyle? — Filiberto z dziecięcą prostotą trafił w sedno.

— Dokładnie to miałem na myśli. Według Vittoria... — Jordan zmrużył oczy. Student odwrócił się. Szczupłymi dłońmi pocierał plamy na spodniach, jakby spodziewał się, że je zetrze. — Według Vittoria te trzy morderstwa wydarzyły się w tym samym mieście w niewielkich odstępach czasu, a więc można wnioskować, że popełniła je ta sama osoba, której zależało nie tylko na tym, aby zabić, lecz także, aby stworzyć z każdego zabójstwa tajemniczą zagadkę. Albo ów morderca jest po prostu szalony, albo... — urwał, a potem dodał z lekkim przeprasającym uśmiechem, jakby prosił towarzystwo o wybaczenie, że pośrodku czegoś, co miało być tylko zabawą, porusza tak poważne kwestie — albo jest to ktoś, kogo ja osobiście bym się bał. Bardzo bym się bał.

— Nie pojmuję — poskarżył się Filiberto. — Co może być bardziej przerażającego niż szaleństwo?

Jordan nie odpowiedział. Nie potrafiłby zresztą, bo jego

przypuszczenia nie były jeszcze sprecyzowane.

Vittorio wstał gwałtownie. Jego blada twarz do złudzenia przypominała porcelanowe oblicze lalki.

— Proszę o wybaczenie... — wyjąkał — ale muszę już iść. Źle się czuję. Chyba wypilem za dużo wina...

Wybiegł szybko, a Domenic Jordan poderwał się, by go zatrzymać. Lecz nim zdążył się wydostać zza stołu, stracił cenne sekundy i gdy stanął przed wejściem do kasyna, chłopaka już nigdzie nie było widać. Przepadł w ciemnościach nocy, samotny i przerażony.

* * *

— Kim jesteś?

Jasnowłosa kobieta cofnęła się spłoszona.

— Słucham?

Mężczyzna, który tak niespodziewanie pojawił się w drzwiach, postąpił krok naprzód.

— Chodzisz wokół mojego domu — powiedział osobliwym śpiewnym tonem, w którym nie było ani odrobiny łagodności i który brzmiał, jakby ktoś wygrywał melodię na stalowych nożach. Głos pasował do osobliwej postaci. Bardzo wysoki i bardzo szczupły nieznajomy przypominał giętkie, zahartowane ostrze szpady. Wrażenie to pogłębiał srebrzystoszary strój oraz włosy o barwie mleka – tak białych, delikatnych włosów kobieta nigdy jeszcze nie widziała. Dłonie również miał białe, jakby utoczono je z najlepszego wosku na kościelne świece, jego twarz pokrywała zaś sieć płytkich zmarszczek, pod którymi wciąż dawało się rozpoznać

resztki dawnej urody. Budził niepokój, głównie przez niezwykle połączenie siły i słabości. Wygląda jak wzmocniona stałą jedwabna nić, pomyślała, czując w sercu poruszenie lęku, delikatne niczym trzepot skrzydeł ćmy.

— Proszę mi wybaczyć — odparła szybko. — Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

Mogłaby wymyślić jakąś wymówkę, lecz bardzo rzadko kłamała. Mówienie prawdy było dla niej naturalnym odruchem.

Spoglądał na nią przez chwilę, potem uśmiechnął się. Ten uśmiech nie był zbyt sympatyczny, ale przynajmniej sprawił, że właściciel domu nie wyglądał już niepokojąco. Teraz miała przed sobą zwyczajnego, choć dość ekstrawagancko ubranego starca.

— Mam wrażenie, że źle panią oceniłem — powiedział uprzejmie. — Czy w ramach przeprosin przyjmie pani zaproszenie do mojego domu?

Zgodziła się. Chciała wiedzieć, kim jest ten mężczyzna, i nawet nie przyszło jej do głowy, że przyjmując zaproszenie obcego, łamie powszechnie obowiązujące zasady.

* * *

— On nie zmyślał, prawda? — zapytał Jego Ekscelencja Ipolit Malartre, przesuwając czerwonego gońca. — A przynajmniej nie do końca.

Szachy, jak wszystko w gabinecie biskupa, zachwycały jednocześnie wyrafinowaniem i prostotą. Zostały zrobione z czerwonej oraz czarnej laki – Jego Ekscelencja nie przepadał za bielą i w tym przypadku pozwolił sobie na odrobinę ekstrawagancji.

Nie miały żadnych złociń, w których tak lubują się ludzie o mniej wysublimowanym guście. Jedyne niektóre elementy figur pokrywała warstwa macicy perłowej.

— Nie, Vittorio Jironi nie zmyślał — odparł Jordan, po czym pchnął czarnego piona o dwa pola. — Na początku sam tak myślałem. Młodzieniec wyraźnie plątał szczegóły, nie potrafił odpowiedzieć na pytania, na które powinien znać odpowiedź. W zagadkach, które nam zadawał, brakowało autentyzmu, brzmiały raczej jak akademicki problem do rozwiązania niż krwawa historia prosto z życia. Dlatego właśnie wszyscy tak szybko zaczęli się nudzić. Sądziłem wówczas, że Vittorio sam wymyślił te zagadki. Być może chodziło tu o jakiś zakład, może chłopak obiecał kolegom, że przyniesie „trzy przepisy na tajemniczą zbrodnię” czy coś w tym rodzaju. Ze strony moich studentów niewiele mnie zdziwi.

Lecz potem zorientowałem się, że chodzi tu o coś innego. Po pierwsze, Jironiemu wyraźnie zależało na moich odpowiedziach, na pozostałe niemal nie zwracał uwagi. To mogłoby być jeszcze zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę, że to właśnie ja w jakiś tam sposób byłem częścią owego zakładu. Bardziej znacząca jest druga rzecz. Otóż z każdą chwilą Vittorio był bardziej przerażony. To nie jest głupi chłopak, ojciec, on myśli sprawnie, choć wyjście poza pewne schematy sprawia mu trudność. Dlatego właśnie, jak sądzę, z początku nie potrafił zrozumieć, o co tak naprawdę chodzi w tej sprawie z trzema zagadkami. To było zbyt odległe od tego, do czego przywykł na co dzień.

Biskup przesunął skoczką, młodszy mężczyzna odpowiedział,

cofając zagrożoną wieżę. Nie spał całą poprzednią noc, ale nie sposób było tego po nim poznać.

— Sugerujesz, że ktoś go namówił, aby zadał te zagadki właśnie tobie? — zapytał Jego Ekscelencja.

— Dokładnie tak. Namówienie Vittoria do czegokolwiek jest bardzo proste. Wystarczy mu tylko zasugerować, że nie potrafi tego zrobić. To jeden z tych młodzieńców, którzy robią najgłupsze rzeczy tylko dlatego, że ktoś uraził ich wybujałą ambicję. Na początku chłopak pewnie wcale się nie zastanawiał, po co komu potrzebne są moje rozwiązania trzech skomplikowanych zagadek. Potem jednak zaczął myśleć, a wnioski, do jakich doszedł, przeraziły go.

— Skoro nie są to prawdziwe zagadki — biskup odchylił się do tyłu w fotelu, podniósł dłonie na wysokość ust i złożył tak, że czubki palców stykały się ze sobą — takie, które wydarzyły się w rzeczywistości, ani z drugiej strony nie są to tajemnice całkowicie wymyślone, to istnieje tylko jedna możliwość.

— Owszem — przytaknął Domenic Jordan, krzywiąc się lekko. — Ktoś zamierza popełnić trzy morderstwa, i to ściśle według przepisów, które podałem! Do licha, ojciec nawet nie ma pojęcia, jak wściekły jestem na siebie, że za późno się tego domyśliłem!

Ipolit Malartre spojrział zdumiony, bo jego protegowany bardzo rzadko się denerwował. Dopiero teraz, gdy na chwilę stracił nad sobą kontrolę, można było zauważyć na twarzy młodszego mężczyzny oznaki wyczerpania. Opanował się po chwili.

— Ten człowiek, ten, o którym już myślę jako o mordercy, rzucił mi wyzwanie. Bo przecież trudno to inaczej zrozumieć,

prawda? Zamierzam to wyzwanie podjąć. Zabieram ojcu skoczka, przykro mi.

Zakłopotany biskup pochylił się nad szachownicą, rozważając dalszą strategię.

— Vittorio jest jedną z potencjalnych ofiar, prawda? — zapytał. — Owym studentem Y, którego ciało ma ulec rozkładowi tuż po śmierci. Jakim cudem chłopak nie domyślił się, że w tej zagadce chodzi o niego?

— Domyślił się, ale zbyt późno. Wyobrażam to sobie tak: morderca wybrał trzy ofiary, zapoznał się z ich zwyczajami, trybem życia i tak dalej, po czym wykorzystując owe szczegóły, skonstruował trzy zagadki. Lecz w jednej z nich, właśnie tej dotyczącej studenta Y, szczegóły zostały nieco zmienione, właśnie po to, aby Vittorio nie domyślił się, że chodzi o niego. Swoją drogą, cały ten pomysł wydaje mi się dość karkołomny. Przyszły morderca podał młodzieńcowi coś na kształt szkieletu zagadek, Vittorio w miarę możliwości swej wyobraźni oblekł zaś ów szkielet w ciało i przekazał mi jako gotową historię. Ale powiedzmy, że w którymś momencie Vittoria poniosła fantazja i zmyślił szczegół, który następnie ja wykorzystałem do rozwiązania zagadki? Albo przeciwnie, zapomniał powiedzieć o czymś ważnym? To zmienia postać rzeczy, prawda? Dlatego też byłbym zdziwiony, gdyby morderca popełnił trzy zbrodnie dokładnie w taki sposób, w jaki ja to przedstawiłem... Moim zdaniem nie uda mu się skopiować moich rozwiązań, raczej będzie próbował wymyślić coś na ich podstawie. I ja, szach, ojczy, zamierzam go przed tym powstrzymać.

— Gdzie ja miałem oczy? Nie widziałem tego... — wymruczał skonfundowany biskup.

— Wczoraj zachowywałem się karygodnie — ciągnął Jordan. — W środku nocy pojechałem do domu państwa Jironich, po czym wyrwałem ich ze snu i przeraziłem, żądając natychmiastowej odpowiedzi, gdzie mieszka ich syn. Ciekaw jestem, co sobie o mnie pomyśleli. Choć nie, uczciwie mówiąc, wcale nie jestem ciekaw, mam teraz poważniejsze problemy. Przede wszystkim chcę znaleźć Vittoria, bo w mieszkaniu, które wynajmuje, go nie ma. Poprosiłem o pomoc studentów, którzy z miejsca wskazali mi co najmniej kilkanaście podejrzanych miejsc, w których Vittorio zwykł bywać, i nawet obiecali je dla mnie sprawdzić. Na mój gust ten chłopak, przestraszony i przekonany, że jestem na niego wściekły, zaszył się w jakimś zacisznym, niewielkim burdelu, skąd wyjdzie za parę dni z pustymi kieszeniami i potężnym kacem, w desperacko-bojowym nastroju, gotów stawić czoła niebezpieczeństwu. Wtedy zapewne zechce sam do mnie przyjść, kłopot polega tylko na tym, że morderca może odnaleźć go pierwszy... — Oddał przeciwnikowi pionka. — Dzisiaj wczesnym rankiem rozmawiałem też z porucznikiem Magatou. Niestety, nie może mi na razie pomóc; trudno przecież, żeby angażował swoich ludzi do poszukiwania mordercy, który nikogo jeszcze nie zabił, i to jedynie na podstawie moich domysłów. Ale uzyskałem przynajmniej obietnicę, że powiadomi mnie natychmiast, jeśli tylko się dowie, że w mieście wydarzyło się morderstwo podobne do tych, które mu opisałem.

— Zrobiłeś, co mogłeś...

— Zrobiłem trochę więcej. — Jordan pochylił się i pewnym,

precyzyjnym ruchem przesunął wieżę na koniec szachownicy. — Poprosiłem studentów nie tylko o to, by znaleźli Vittoria. Kilku z nich pilnuje na zmianę domu chłopaka, na wszelki wypadek, gdyby się tam pojawił, inni próbują się dowiedzieć, czy ktoś nie wypytuje o alchemików, którzy potrafią wyizolować soki trawienne, jeszcze innych poprosiłem, aby poszukali kogoś, kto odpowiadałby opisowi X czy pana Z. W sześćdziesięciotysięcznym mieście to niemal jak szukanie igły w stogu siana, wiem, ale jeśli ktokolwiek może ich znaleźć, to właśnie studenci, z których większość zna Alestrę jak własną kieszeń.

Biskup z powątpiewaniem uniósł brwi.

— Nie jestem pewien, czy to było rozsądne. Jak dużo oni wiedzą?

— Tyle, ile trzeba. I oczywiście, że to nie było rozsądne. Rektor obedrze mnie za to ze skóry.

— Daj spokój, studenci cię lubią...

— A dzięki tym nadprogramowym zajęciom stałem się jeszcze bardziej popularny — roześmiał się Jordan. — Co będzie, jeśli w przyszłym roku na moje wykłady zgłosi się mnóstwo studentów mało zainteresowanych anatomią, a za to bardzo – ściganiem po Alestrze zabójców? Sądzi ojciec, że rektor mi za to podziękuje? Zresztą mniejsza o to, tym będę się martwił za pół roku.

— Jak sądzisz, kim jest człowiek, który rzucił ci wyzwanie?

Nim odpowiedział, przyjrzał się sytuacji na szachownicy. Jego Ekscelencja grał dziś wyjątkowo słabo i Jordan wiedział, jaka jest tego przyczyna. To niesprawiedliwe, pomyślał, zwycięzę, bo on niepokoi się o mnie i dlatego nie potrafi się należycie skupić na

szachach.

Szanował, a przede wszystkim lubił Ipolita Malartre, przyszło mu więc do głowy, aby specjalnie popełnić jakiś błąd i pozwolić biskupowi jeśli nie wygrać, to przynajmniej przegrać w lepszym stylu. Gdyby cofnął teraz królową o trzy pola...

— Nie mam pojęcia — odparł uczciwie. — Nie wiem nawet, czy ten człowiek wybrał mnie dlatego, że o mnie słyszał, czy też ma do mnie jakąś osobistą urazę. Staralem się przypomnieć sobie ludzi, z którymi z takich czy innych powodów mam na pieńku, ale nie znalazłem nikogo, kto byłby tak oryginalny i wyrafinowany. Przynajmniej wśród żywych. — Zacisnął usta w czymś pomiędzy uśmiechem a skrzywieniem warg.

Zaczął rozważać strategię, na chłodno angażując swoje zdolności w przegraną, tak jak wcześniej angażował je w wygraną. Spodobało mu się to nowe wyzwanie: jak popełnić błąd tak, aby Jego Ekscelencja w niczym się nie zorientował i nie poczuł urazy?

— Oryginalny i wyrafinowany? — Biskup spojrzał na niego w zamyśleniu. — Mam wrażenie, że ty go podziwiasz.

— Intryguje mnie ten człowiek, przyznaję. Nie wystarczy mu zabicie kogoś, to zbyt proste dla niego. On chce uczynić to zgodnie z pomysłem podanym przez trzecią osobę, obciążając przy okazji tę osobę sporą częścią odpowiedzialności. Swoją drogą, ciekaw jestem, jak poradzi sobie z wprowadzaniem moich pomysłów w życie...

— Zapominasz się, Domenicu — skarcił go biskup. Młodszy mężczyzna podniósł na niego poważny wzrok, w którym nie było ani wyzwania, ani skruchy.

— Nie zapominam się, ojcze. Naprawdę mnie to interesuje, co nie znaczy, że zamierzam pozwolić mu to zrobić. Ojciec zna mnie przecież.

— Tak, wiem. Wybacz...

Po czterech kolejnych posunięciach sytuacja Jego Ekscelencji zaczęła wyglądać odrobinę lepiej. Istniała szansa, że jeszcze wygra tę partię. Uśmiechnął się lekko dumny z siebie. Lecz nieoczekiwana radość znikła równie szybko, jak się pojawiła, a na jej miejsce biskup poczuł przyływ niemal ojcowskiego rozczulenia. Westchnął.

— Martwisz się czymś, synu. Oczywiście cała ta sytuacja jest dla ciebie bardzo trudna, ale mam wrażenie, że jest w tym coś jeszcze, o czym mi nie mówiłeś. Mam rację?

Jordan skinął głową. Był mile zaskoczony, bo Jego Ekscelencja rzadko tak widocznie dawał wyraz swojej sympatii do niego.

— Od wczoraj zdarzają mi się osobliwe rzeczy — odparł. Nie miał ochoty o tym mówić, ale troska Ipolita Malartre zasługiwała na szczerłość. — Pewne szczegóły rzucają mi się w oczy, miewam też coś, co można by nazwać krótkotrwałymi przywidzeniami. Dotyczy to lalek, tych naturalnej wielkości i mechanicznych, na które ostatnio panuje taka moda. I z pewnością nie jestem szalony. Wiem, co to oznacza, zbyt długo zajmowałem się tego typu sprawami, by tego nie wiedzieć. Coś takiego zdarza się, gdy istoty z tamtej strony próbują coś przekazać śmiertelnikom. Kłopot polega jedynie na tym, że ja nigdy nie miałem najmniejszych zdolności magicznych — zakończył niepewnie. Przez krótką chwilę na jego twarzy znów dało się zauważyć oznaki wyczerpania.

— A dlaczego wyklucasz możliwość, że przemawiają do ciebie nie istoty z tamtego świata, ale po prostu Bóg? On nie uznaje ograniczeń takich jak brak zdolności magicznych. Może to On próbuje ci coś przekazać, ostrzec cię przed czymś? Może warto się nad Jego przekazem zastanowić?

— Jak duża jest na to szansa? — spytał z powagą Jordan.
— Jeden do miliona?

— Nie wiem, nie przyszłoby mi do głowy, aby coś takiego obliczać.

— W każdym razie o wiele bardziej prawdopodobne jest, że te zdolności są u mnie przejściowe, że uruchomiły je jakieś szczególne warunki. Nad tym warto się zastanowić, bo to może rzucić nowe światło na te sprawy. Ale daleki jestem od przeceniania wiadomości, które dostajemy z tamtej strony. Są niejasne, często sprzeczne i zazwyczaj zamiast pomagać, tylko szkodzą. Nie ma sensu im wierzyć.

— Może choć raz warto zaufać swojemu sercu, a nie rozumowi? Jeśli nie z przekonania, to choćby... z ciekawości.

— Jest to pewien pomysł — przyznał lekkim tonem Jordan, który od czasu do czasu pozwalał sobie na luksus bycia nieprzewidywalnym. Raz, że sprawiało mu to pewną przyjemność, dwa, że niektóre niekonwencjonalne rozwiązania sprawdzały się nad wyraz dobrze. — Zobaczą, co się da zrobić.

* * *

— Dzień dobry. Ja... Och... — Jasnowłosa kobieta stropiła się, spostrzegłszy swoją pomyłkę.

— Przy klawesynie siedziała nie żywa dziewczyna, lecz naturalnej wielkości lalka w strojnej sukni. Szczupłymi palcami przebiegała po klawiszach, a z instrumentu płynęły dźwięki słodkie, choć odrobinę zbyt monotonne. Po chwili skończyła grać, odwróciła się w stronę wchodzących i przekrzywiła głowę na sztywnej szyi. Cerę miała bladą z wyraźnie zaznaczonymi plamami rumieńców, które nadawały jej wygląd rozpalonego gorączką trupa. Nad górną wargą czernił się uwodzicielski pieprzyk, na w pół otwarte, pełne ostrych zębów usta przywodziły na myśl pułapkę na szczury, która lada moment zatrzaśnie się ze zgrzytem.

— To Glaudia — powiedział mężczyzna, który przedstawił się jako Emmanuel Lot. — Glaudio, poznaj Alais.

Lalka otworzyła oczy i na Alais spojrzały tęczówki w kolorze czystego kobaltu.

— Uroczą, prawda?

Lot na szczęście nie oczekiwał odpowiedzi.

Glaudia ni stąd, ni zowąd pochyliła głowę w mechanicznej parodii zalotnego ukłonu. Kobieta wzdrygnęła się. Lalka została zbyt dobrze wykonana, by uznać ją po prostu za przedmiot, lecz z drugiej strony nie sposób było też pomylić ją z prawdziwym człowiekiem. Ta istota zawieszona gdzieś pomiędzy życiem a śmiercią wydała się Alais czymś nienaturalnym, niemal bluźnierczym.

Lot wezwał służącego, po czym szeptem przekazał mu jakieś polecenia. W tym czasie Alais rozglądała się po salonie.

Znajdowało się tu mnóstwo zegarów, małych i dużych, podróżnych, ściennych i kominkowych. Ich miarowe tykanie

z początku ją uspokoiło. Wydawało się takie zwyczajne... Lecz gdy przyjrzała się zegarom bliżej, lęk powrócił.

Jeden z nich przypominał kształtem błazna w kolorowej trójrożnej czapce. Główkę, a także rączki i nóżki miał malutkie, za to brzuch wielki i pękaty. Na nim właśnie znajdował się cyferblat. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że w brzuchu ziała dziura przypominająca poszarpaną ranę. Widać było przez nią mechanizm, w którym trybiki ułożono i uformowano tak, że wyglądały jak odsłonięte ludzkie wnętrzości.

Na drugim zegarze metalowa figurka diabła kłůła w pośladki figurkę grzesznika. Z każdym „tik” widły wbijały się w ciało, z każdym „tak” potępiony wybałuszał oczy i otwierał usta, niemo krzycząc o pomoc. Diabeł miał twarz obojętną, za to rysy grzesznika wykrzywiało zdumiewająco dobrze oddane cierpienie.

Na trzecim zegarze tarczę podtrzymywały anioły w powiewnych szatach, z bliska jednak okazywało się, że to wcale nie anioły, lecz demony. Miały szpony i błoniaste skrzydła, a uśmiejchy na ich pięknych twarzach nie wróżyły nic dobrego.

Każdy szacowny mieszczanin zastanowiłby się dwa razy, zanim umieściłby w swoim salonie któreś z tych małych arcydzieł. A gdyby nawet to zrobił, prawdopodobnie potem dziwiłby się, dlaczego widok zegara zamiast radości budzi w nim niepokój.

Wrócił słuźący, niosąc na tacy dwie filiźanki świeżo zaparzonej kawy. Alais nigdy wcześniej nie piła tego napoju. Stwierdziła, że jej nie smakuje; jest zbyt gorzki i mocny, ale nic nie powiedziała. Nie chciała urazić gospodarza. Nie potrafiła poczuć do niego sympatii, lecz przecież był dla niej miły i uprzejmy.

Emmanuel Lot bawił ją rozmową. Pytał, od jak dawna przebywa w Alestrze i czy miasto przypadło jej do gustu. Sam wspomniał, że jest zegarmistrzem, ale na skutek pogarszającego się wzroku musiał porzucić zawód.

On nie wygląda na ślepnącego, myślała, dzielnie sącząc smolistoczną ciecz. Wręcz przeciwnie, założyłabym się, że wzrok wciąż ma dobry. I ciekawe, czy naprawdę się tak nazywa. Emmanuel Lot. Imię kobieco miękkie, nawet nieco afektowane, oraz krótkie nazwisko o wyraźnie biblijnej proweniencji. Ich połączenie brzmiało sztucznie i być może był to efekt zamierzony. Kim ten człowiek jest? Poza tym, że niewątpliwie jest zegarmistrzem, a także bardzo uprzejmym gospodarzem?

* * *

Wszystko wyglądało niemal dokładnie tak, jak Domenic Jordan sobie wyobraził. Niemal, bo zauważył jednak pewne różnice.

W porannym powietrzu unosiła się woń mięsa, ale nie było w niej nic odpychającego – przynajmniej nie dla kogoś, kto od czasu do czasu lubi zjeść krwisty antrykot. Tutejszy rzeźnik cieszył się opinią uczciwego i zawsze miał w swojej budce świeży towar. Krzew czarnego bzu przekwitł już i na ziemi leżały zmięte płatki w kolorze brudnej bieli. Tuż obok ktoś porzucił lalkę. Brakowało jej obu rąk i oka, prawy policzek miała rozbity, jakby uderzono ją kamieniem. Wyglądała tak załóżnie, że nawet najbiedniejsze dzieci mijały ją obojętnie.

Po placu targowym kręcili się ludzie. Od czasu do czasu zatrzymywali się i patrzyli ciekawie w stronę miejsca, gdzie stali

Jordan i porucznik Magatou. Pamięć o dramacie, który rozegrał się przed dwoma dniami, wciąż była świeża.

Wysoki, szczupły policjant z wyraźną przyjemnością dotknął sumiastego wąsa, a potem chrząknął.

— Nazywał się Moise Pebrel — powiedział, identyfikując w ten sposób Iksa. — Był zecerem, podobno nawet bardzo dobrym, ale dwa lata temu wyrzucono go z pracy. Oficjalnie dlatego, że często się spóźniał, nieoficjalnie... — Magatou wzruszył ramionami. — Nieoficjalnie po prostu inni pracownicy zaczęli się go bać. Opowiadał, że jakoby jest w posiadaniu jakichś tajnych informacji, które zapoczątkują w kraju przewrót, i groził, że jeśli ktoś nie udzieli mu poparcia, to on go zniszczy. Zainteresowała się nim policja, przez jakiś czas siedział w więzieniu, a potem u wariatów. Dano mu tam porządną nauczkę, po czym wypuszczono kilka miesięcy temu. Na początku wyglądało na to, że lekarze zrobili z Pebrela idiotę. Całymi dniami przesiadywał w karczmie, gdzie jękając się i śliniąc, opowiadał o tym, co kobiety mają pod spódnicami. Podobno był w tym naprawdę dobry. Koronkowe pantalone, rozcięte w kroku majtki – co jedno, to bardziej według niego nieprzyzwoite. Istna obsesja. Ludzi to bawiło i czasem rzucali mu pół eccu albo stawiali kufel piwa. Tak przeżył jakiś czas, a potem niespodziewanie zaczął wracać mu rozum. Nie do końca, rzecz jasna, bo wariat zawsze pozostanie wariatem, ale przynajmniej nabrał nieco energii, mówił jaśniej, a i zainteresowania trochę mu się zmieniły. Chodził z tą swoją dziwną skrzynką po ulicach i przemawiał. Wiesz już mniej więcej, o czym gadał, więc nie będę się powtarzać. Parę razy trafił

do aresztu, a raz został ciężko pobity przez straż miejską. Zwłaszcza tutejszy strażnik był na niego wyjątkowo cięty i dlatego właśnie Pebrel przemawiał nie na środku placu, lecz właśnie tu, obok budki rzeźnika. W ten sposób za plecami miał dziurę w płocie – o, dokładnie tę – przez którą w razie czego mógł dać nogę.

— Naprawdę był niebezpieczny?

— Tak i nie — skrzywił się Magatou. — Takich jak on jest w Alestrze na pęczki i dopóki mamroczą nad kuflami piwa, nikt krzywdy im nie robi. Ale Pebrel po pierwsze uparł się, żeby zostać ulicznym mówcą, a po drugie popełnił jeden poważny błąd. Wymieniał nazwiska. Szlachciców oczywiście, bo niemoralne prowadzenie się arystokracji było jego ulubionym tematem. Wiesz, ten i ten lubi młodziutkie dziewczynki, tamten woli chłopców... Nie wiem, czy to prawda, i szczerze mówiąc, chyba nie chcę wiedzieć. Pebrel pewnie zmyślał, choć czasem może i udawało mu się trafić w sedno.

Domenic Jordan zastanowił się. Czy Moise Pebrel naprawdę mógł mieć jakieś informacje, z których wagi sam nie zdawał sobie sprawy? Czy dlatego zginął? Mało prawdopodobne, choć niewykluczone.

— Chciałbym zobaczyć ciało — powiedział.

* * *

Wyobrażał sobie Iksa jako drobnego, niepozornego mężczyznę, a tymczasem zmarły jeszcze do niedawna musiał być grubasem.

Potem schudł gwałtownie i fałdy skóry zwisały teraz z jego dużych kości. Twarz miał przedwcześnie postarzałą – wyglądał na

pięćdziesiąt lat, choć miał dopiero trzydzieści kilka. Śmierć nie dodała mu ani odrobiny szlachetności. Wydawał się żaloszny i odpychający, gdy leżał w zimnej kostnicy ubrany w zbyt ciasną poszarzałą koszulę, której poły trzymały się razem tylko dzięki dwóm ostatnim haftkom. W koszuli na wysokości serca widniał zgrabny otwór. Krwi nie było dużo – poczerniała, na pierwszy rzut oka sprawiała po prostu wrażenie jeszcze jednej plamy brudu.

— Zgrabny cios — powiedział w zamyśleniu Jordan. — Prosto w serce. Zabójca wiedział, gdzie dokładnie powinien uderzyć.

— I miał ostry nóż, może sztylet — przyznał Magatou. — Trudno powiedzieć.

— Czy ciało badał jasnowidz?

— Tak. Kosztowało mnie to sporo zachodu, bo do takich jak on zazwyczaj się jasnowidzów nie sprowadza. Ja jednak pamiętałem, co mówiłeś wcześniej o tych zabójstwach, i postawiłem na swoim.

— I co? — zapytał Domenic Jordan z ledwie wyczuwalną nutką zniecierpliwienia w głosie.

— Ano kłopot polega na tym, że nic. Z jego wspomnień dowiedziałem się niewiele więcej niż z zeznań świadków. Człowiek, który najpierw namówił Pebrela, żeby udawał martwego, a potem go zabił, wygląda najzupełniej zwyczajnie. Ma trzydzieści kilka lat, ciemne włosy, a także ciemne oczy, opaloną cerę i regularne rysy, bez żadnych znaków szczególnych. Jest wysoki, barczysty. I tyle. W ciągu pięciu minut mogę ci wskazać na ulicy kilkunastu takich.

Jordan uznał, że porucznik trochę przesadza, ale opis rzeczywiście nie był zbyt precyzyjny.

— Ciekawe, dlaczego morderca tak chętnie pokazał swoją twarz? Jest na tyle lekkomyślny, żeby nie powiedzieć głupi, czy też wręcz przeciwnie – jego niefrasobliwość w tym względzie to część jakiegoś skomplikowanego planu?

Wierzył w tę drugą ewentualność. Zdecydowanie wolał mieć do czynienia z przeciwnikiem inteligentnym i wyrafinowanym niż z prymitywnym głupcem.

— Mam prośbę — powiedział. — Każ jasnowidzowi sporządzić jak najdokładniejszy rysopis. Niech poda wszystkie zapamiętane szczegóły, może nawet narysować zabójcę, jeśli ma choć odrobinę talentu. Chciałbym później to zobaczyć. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby morderca był kimś, kogo znałem bądź znam.

* * *

— Przepraszam — szepnęła Alais. — Przepraszam...

Powtarzała to słowo tak często, że straciło już dla niej znaczenie, stało się puste, zużyte jak kawałek bibuły.

Przepraszam.

Nie pamiętała nawet za co. Nie miała za co.

— Nie zniosę tego dłużej! Słyszysz? Nie zniosę tego dłużej!

Odruchowo skuliła się w fotelu, chroniąc najważniejsze organy przed uderzeniami pięści. Czekwała, modląc się w duchu, podczas gdy ból jak przypływ zalewał słowa różańca. ... *sanctificetur nomen tuum...*

Linus potrafił okaleczyć człowieka, o tak, wiedziała o tym doskonale, ale swojej żonie nie zrobił jak dotąd poważnej krzywdy.

Nigdy nie połamiał jej kości ani nie zranił tak, aby pozostały blizny. Siniaki i drobne skaleczenia to nic takiego, są ludzie, którzy cierpią znacznie bardziej, powtarzała sobie. Nie pomagało. Bała się bólu, a jeszcze bardziej tego momentu, gdy widziała, że mąż unosi pięści, a ona może tylko czekać. To było najgorsze, choć trwało tak krótko. Miała wrażenie, że wszystkie jej nerwy wrzeszczą wtedy z przerażenia. Potem czuła zawsze odrobinę ulgi, że cios nie był tak mocny, jak mógłby być.

Tak naprawdę bała się tego, że Linus uderzy kiedyś z całą swoją siłą nie po to, żeby zranić, lecz żeby zabić.

Mężczyzna przestał krzyczeć, uspokoił się, znieruchomiał. Oddychał ciężko, wzrok miał na wpół przytomny.

Alais uniosła głowę i spojrzała zza zasłony potarganych włosów. Nie pamiętała nawet, dlaczego Linus rozgniewał się na nią, zresztą nie miało to żadnego znaczenia. Odsunęła zlepiony potem – a może krwią? – kosmyk, poprawiła naderwany rękaw koszuli nocnej, który zsunął się z ramienia.

Linus stał przed nią lekko zgarbiony. Nie budził już przerażenia, tylko litość. Otwierał i zaciskał pięści, dokładnie tak jak przed chwilą, gdy szykował się do zadania ciosu, lecz teraz sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, co zrobić z dłońmi. Patrzył na nie zdziwiony niczym człowiek, który został gwałtownie wyrwany ze snu. Potem dopiero powoli w jego oczach pojawiło się zrozumienie, a zaraz za nim groza. Nie strach ani lęk, lecz groza, zbyt potężna, by mógł ją znieść. Upadł na kolana i zaczął bełkotać. Alais nie rozumiała słów, ale wiedziała, że Linus błaga ją o wybaczenie. W niczym już nie przypominał tego silnego,

pewnego siebie mężczyzny, którym był jeszcze chwilę temu. Wczepiony w skraj jej koszuli nocnej, kołysał się, dławiał przerażeniem i jęczał, a ona doskonale zdawała sobie sprawę, co będzie dalej.

Po jakimś czasie Linus ucichnie i zobojętnieje. Nie patrząc żonie w oczy, poprosi, by zostawiła go samego. Ona zgodzi się i przez kilka godzin będzie czekała, nasłuchując dobiegających zza zamkniętych drzwi odgłosów. Potem Linus wyjdzie z pokoju, udając, że nic się nie stało, i nie wspomni ani słowem o tej scenie. Ale w jego oczach będzie widziała świadomość doznanego upokorzenia. Klęczał przed zwyczajną kobietą i mówił rzeczy, jakie żadnemu mężczyźnie nie powinny przejść przez gardło. Spróbuje o tym zapomnieć i nie uda mu się, bo ta scena będzie wracać do niego we wspomnieniach, budząc coraz większy gniew. Znienawidzi się za to, co zrobił, a potem ukarze nie siebie, lecz żonę w kolejnym gwałtownym i chaotycznym wybuchu przemocy, po którym znów będzie ją błagał o wybaczenie. Błędne koło.

Przez krótką jak mgnienie oka chwilę Alais poczuła znużenie. Potem wyciągnęła rękę i pogłaskała Linusa, jakby miała do czynienia z dzieckiem.

— Już dobrze — powiedziała łagodnie, uspokajająco. — Nic takiego się nie stało. Już dobrze...

Jej miłość do męża była głęboka, zdolna do wybaczenia każdej krzywdy. Wybaczenie przychodziło Alais łatwo, może nawet zbyt łatwo. Z samej swojej natury nie potrafiła odczuwać urazy. Czasem wydawało jej się to nie zaletą, lecz wadą, jakimś rodzajem kalectwa. Chciała dobrze, a robiła źle. Uczucie, jakie żywiła do

męża, było nie tyle miłością do konkretnej osoby, ile do całego świata, którego Linus był częścią. Zawsze miała w sobie potrzebę naprawiania krzywd, łagodzenia bólu. W ten sam sposób otaczała opieką chore dzieci albo zranione zwierzęta. A przynajmniej otaczałaby, gdyby miłość do Linusa nie wypełniła jej bez reszty. Kochała go nie ze względu na niego samego, lecz dlatego, że tak bardzo jej potrzebował.

Wciąż wierzyła, że naprawdę jej potrzebuje, choć coraz częściej miała co do tego wątpliwości.

Być może, myślała, Gregorius miał jednak rację.

* * *

Słyszała to imię, odkąd przybyli do Lathary. Było na ustach wszystkich: bogatych i biednych, wierzących i niewierzących.

Gregorius, dawniej mnich, który pięć lat temu z niewiadomych powodów opuścił klasztor, by osiedlić się w małym domku na obrzeżach Lathary. Cudotwórca, bo sam jego dotyk wystarczał, by chory wyzdrowiał, nieprzytomny ocknął się, a ślepiec odzyskał wzrok. A ponadto prorok, bo ponoć potrafił przewidywać przyszłość.

Przepowiedział trzęsienie ziemi, które zniszczyło jedną z dzielnic, oraz przybycie do miasta zarażonego dżumą pielgrzyma. Ocalił w ten sposób życie wielu ludziom. Podobno próbował też – niestety, bezskutecznie – powstrzymać mężczyznę, który przed sześcioma miesiącami kupił na targu gładki, ostry nóż do uboju bydła, a potem wrócił do domu, zaczekał, aż wszyscy poza nim zasną, po czym poderżnął gardła swoim dwóm żonom i piątce

dzieci.

Alais słuchała tych plotek z ciekawością, choć tak naprawdę prorocze zdolności byłego mnicha nie miały dla niej znaczenia. Dla niej liczyło się przede wszystkim to, że Gregorius przywrócił Linusowi ludzki wygląd. Po przyjeździe do Lathary wynajęli bosonogiego i brudnego chłopca, który mówił trochę po okcytańsku. Dzieciak obiecał zaprowadzić ich do Gregoriusa, a nawet za odpowiednią opłatą postać w kolejce, która każdego dnia ustawiała się przed drzwiami uzdrowiciela. To drugie okazało się niepotrzebne – gdy tylko przybyli na miejsce, siwobrody prorok skinął na Linusa i zaprosił go do środka. Godzinę później mąż Alais wyszedł stamtąd z odsłoniętą twarzą i bez płaszcza, który wcześniej okrywał go od stóp aż po czubek głowy.

Wszystko odbyło się zaskakująco łatwo. Zupełnie jakby Gregorius wiedział, że się zjawimy, i specjalnie na nas czekał, myślała Alais.

Niepokojące przypuszczenie.

Mogliby wyruszyć z powrotem, ale Linus postanowił jeszcze przez jakiś czas pozostać w mieście. Zatrzymali się więc w jednym z zajazdów dla pielgrzymów, Alais zaś nawet nie zapytała o powody takiej decyzji. Przywykła ślepo spełniać polecenia męża.

Dwa dni później w zajeździe pojawił się Gregorius.

— Zostaw nas samych — polecił Linus żonie.

Kobieta nie oparła się pokusie i w progu odwróciła głowę. Jej mąż pokazywał właśnie gościowi skórzany pas, w którym podczas podróży ukrywał monety. Czyżby chciał zapłacić za przywrócenie ludzkiego wyglądu? Pieniędźmi? Przecież z tego, co wiedziała,

uzdrowiciel nie przyjmował niczego poza owocami, kozim mlekiem i czasem mięsem.

Usiadła na stojącej przed zajazdem ławce. Zapadł już zmierzch. Alais zadrżała, po czym ciaśniej otuliła ramiona chustą. O tej porze roku noce bywały jeszcze chłodne.

Po chwili przy ławce zatrzymał się Gregorius i poczekał, aż kobieta posunie się, robiąc mu miejsce.

Ku swojemu zdumieniu Alais nawet nie miała ochoty pytać, dlaczego prorok przyszedł zobaczyć się z Linusem. Dobrze było tak po prostu siedzieć obok siebie w ciszy i w ciemności, od której odcinała się tylko nieskazitelna biel szaty starca. Po chwili niemal zapomniała, że ma towarzystwo, i skupiła się na swoich problemach.

Niespodziewanie Gregorius przerwał milczenie.

— Jeśli chcesz porozmawiać — wymruczał, nie patrząc na nią — to nie krępuj się.

Większość mnichów miała głos wyraźny i dźwięczny, on zaś mamrotał pod nosem, jakby mówił do samego siebie. A jednak dzięki tej właśnie pozornej obojętności Alais zdołała zebrać się na odwagę.

Opowiedziała mu o wszystkim. O dzieciństwie spędzonym w Mandracourt, gdy żyła zanurzona w łasce bożej. O tym, jak skłamała po raz pierwszy w życiu, a Bóg odebrał jej nie łaskę, jak początkowo myślała, lecz po prostu świadomość swojej obecności. Pozbawiona tego oparcia Alais miała moc, ale nie potrafiła jej używać, była zagubiona i wystraszona. Potem wyszła za Linusa, który biorąc ją sobie za żonę, chciał się po prostu zemścić na bracie.

Wiedziała o tym, a mimo to kochała go tak, jak potrafiła. Nawet wtedy, gdy święty zwany Strażnikiem Nocy zmienił go w potwora. Uratowała mężowi życie, gdy postanowił zniszczyć Mandracourt i jednocześnie siebie samego. Tamtego dnia Linus uwierzył wreszcie, że jego żona potrafi czynić cuda, i ta świadomość go przeraziła. Choć właściwie jednocześnie wierzył w to i nie chciał wierzyć. Czasem widział w Alais kobietę obdarzoną łaską bożą i wtedy bał się jej, czasem zaś była dla niego po prostu żoną – wtedy wstydził się własnego przerażenia i dręczył ją, aby o nim zapomnieć. Odzyskanie przez Linusa ludzkiego wyglądu nic tu nie zmieniło.

— Nie wiem, co robić — wyznała cicho, nie patrząc w stronę rozmówcy. — Staram się być dobra, wybaczam mu...

— A to tylko pogarsza sprawę — podchwycił. Również mówił szeptem, ale brzmiała w nim nieoczekiwana żarliwość. — Alais, ty go zadręczasz swoją dobrocią. Nie pojmujesz? Po tym, co Linus ci zrobił, powinnaś go znienawidzić, ale ty nawet nie jesteś w stanie się rozgniewać. Po prostu wybaczasz i tym samym dajesz mu dowód, że nie jesteś w pełni istotą ludzką. Nikomu wybaczenie nie przychodzi z taką łatwością jak tobie. Linus jest zwyczajnym grzesznym człowiekiem, nic więc dziwnego, że go przerażasz. Łaska boża zawsze przeraża zwykłych ludzi. On się ciebie boi i nienawidzi cię jednocześnie. Tak desperacko pragnie uwierzyć, że żadnej łaski w tobie nie ma – i nie potrafi. Biję cię, by udowodnić, że nie jesteś nikim szczególnym, a potem gdy uświadamia sobie, co zrobił, pada na kolana i błaga o wybaczenie, bo przecież podniósł rękę na wybranekę Boga, nieledwie świętą. To obłąd, zamknięte

koło bez możliwości ucieczki. Och, Alais, naprawdę żał mi tego mężczyzny. Jesteś najdoskonalszym, najbardziej wyrafinowanym katem, jakiego w życiu spotkałem. Tym gorszym, że nieświadomym swego okrucieństwa.

Zasłoniła oczy dłońmi. Słowa uzdrowiciela docierały do niej powoli i jeszcze nie w pełni uświadamiała sobie ich znaczenie. Czy to naprawdę tak wygląda? – zapytała w myślach z dziecięcym zdumieniem.

— Więc co mam robić?

— Zostaw go, niech każde z was radzi sobie w życiu na własną rękę. Razem zadręczycie się nawzajem — odparł, a ją znów opadły wątpliwości. Czy prawdziwy mnich mógłby udzielać takich rad?

— A jeśli naprawdę go kochasz — dodał po chwili — to pojmij, że nigdy nie będzie między wami porozumienia, dopóki nie staniecie się równi sobie. Od ciebie takiej, jaką jesteś teraz, Linus wybaczenia nie przyjmie, bo po prostu nie potrafi tego zrobić, bo twoje wybaczenie budzi w nim tylko lęk i nic więcej. Ale może potrafiłby je przyjąć od zwyczajnej kobiety. Takiej, która przebaczy, ale najpierw się rozżłości. Takiej, która sama nie jest bez winy.

— Mam więc... zacząć grzeszyć? — w jej głosie wciąż dominowało zdumienie. Jeszcze nie potrafiła zrozumieć, że można zadręczyć kogoś dobrocią.

— Owszem — odparł zniecierpliwiony, po czym wstał, dając do zrozumienia, że powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia, i uważa rozmowę za zakończoną. — Większości ludzi przychodzi to bez trudu, a ja wierzę, że i ty sobie poradzisz.

* * *

Czy to, co robię, to już grzech, czy jeszcze nie? – zapytała Alais w myślach i zachichotała nerwowo.

Panująca w pokoju cisza wcale jej nie uspokajała. Wręcz przeciwnie. Niewinny szelest poruszanych wiatrem zasłon czy chrobot w mechanizmie zegara sprawiały, że zamierała w bezruchu, a serce próbowało wyskoczyć jej z piersi. Na nic zdawało się tłumaczenie sobie, że Linus wyszedł i z pewnością nie wróci prędko. A nawet gdyby wrócił, to przecież Alais usłyszy zgrzyt klucza w zamku i zdąży odłożyć wszystko na miejsce. Mąż niczego się nie domyśli, przecież jej ufa i nie przyjdzie mu do głowy, że mogłaby przeglądać jego rzeczy.

Wiedziała, że tak naprawdę dręczy ją sumienie. Bała się, bo nie powinno jej tu być, bo robiła coś zakazanego. A jednocześnie zauważyła, że po raz pierwszy w życiu strach nie otumaniał jej, nie więził w lepkim pajęczym kokonie, przez który dotąd postrzegała świat. Wręcz przeciwnie – nagle wszystko wydało jej się wyraźniejsze, barwy nabrały ostrości, dźwięki mocy i nawet podmuchy wiosennego wiatru zdawały się przenikać głębiej pod skórę, wprawiając każdy nerw z osobna w drzenie. Miała wrażenie, jakby ocknęła się z długiego omdlenia, w sposób dość nieprzyjemny co prawda, bo przecież zbudził ją lęk, jednak ocknęła się i znów żyła.

Odetchnęła głęboko i wraz z czystym, chłodnym powietrzem do jej płuc, a potem niżej, do żołądka, spłynęła radość. Teraz nawet strach smakował inaczej, nie przypominał już stęchłego owocu, lecz raczej pikantną przyprawę, która pobudza serce do szybszego bicia

i rumieni policzki.

Otworzyła szufladę, po czym wsunęła dłoń pod koszule Linusa. Rejestrowała doznania: szorstkość płótna i miękkość jedwabiu, czasem drapiący dotyk koronki. Świeżo wyprane, a potem wypłukane w perfumowanej wodzie koszule pachniały delikatnie. Dawniej uważała tę woń po prostu za zapach kwiatów, teraz rozpoznała poszczególne jej składniki: fiołki, nasiona anyżu i lekka nuta wanilii.

Głęboko na dnie szuflady leżał pas, ten sam, w którym podczas podróży Linus ukrywał złote monety. Nie szukała pieniędzy – te dawno już zostały przeniesione do stojącej na kominku szkatułki. Sama na dobrą sprawę nie wiedziała, co spodziewa się znaleźć. Jakieś sekretne dokumenty czy listy? Mężczyźni w tego typu pasach nosili czasem papiery, które nie powinny wpaść w niepowołane ręce. Tak czy inaczej, Alais miała nadzieję, że znajdzie coś, co wytłumaczy jej, dlaczego Linus tak często wychodzi z domu.

A także dlaczego śledził służącego Emmanuela Lota. I po co w ogóle przyjechał do Alestry.

Na tak wiele pytań chciała znać odpowiedź, choć jeszcze wczoraj wcale jej na tym nie zależało. Nie chodziło tu o pustą ciekawość – po prostu w głębi serca Alais zaczynała rozumieć, że od poznania odpowiedzi zależy jej dalsze życie. Dotąd ślepo ufała Linusowi, teraz postanowiła wziąć los w swoje własne ręce.

Wziąć los w swoje własne ręce. Smakowała to konwencjonalne wyrażenie jak dziecko czekoladę. Dla niej tych kilka słów oznaczało coś ekscytująco nowego, choć na dobrą sprawę nie

bardzo wiedziała co.

Chyba po prostu miała nadzieję, że znajdzie coś, co pozwoli jej zrozumieć Linusa i sprawi, że on zrozumie ją. Nic więcej. Pomyśl, aby opuścić męża, czaił się gdzieś na obrzeżach jej umysłu i z całych sił walczyła, by nie wpuścić go do środka. Zbyt ją przerażał.

Sięgnęła w głąb skrytki i przez chwilę gmerała palcami w ciasnym wnętrzu. Wyczuła coś twardego i metalicznie chłodnego. W pierwszym odruchu pomyślała o zabłąkanej monecie, ale owo coś było kanciaste, nie okrągłe.

Chwyciła to i wyciągnęła. Trzymała w dłoni odłamek lustra. Dziwne, jeśli wziąć pod uwagę, że Linus bał się zwierciadeł.

Odłożyła go na łóżko i ponownie sięgnęła do skrytki w pasie. Namacała jeszcze dwa metalicznie chłodne i niewielkie przedmioty. Oba okazały się kolejnymi zupełnie zwyczajnymi odłamkami, które z jednej strony powleczone były czerwoną emalią, a z drugiej połyskiwały srebrem.

Patrzyła na nie zdumiona. Po co Linus miałby nosić w pasie pod koszulą stłuczone lustro? Po co w ogóle ktoś miałby coś takiego robić?

Podniosła jeden z kawałków do oczu i spróbowała się w nim przejrzeć. Na próżno. Srebrzysta powierzchnia pozostawała martwa, jakby leżała w mroku, i nic się w niej nie odbijało. Alais zmarszczyła brwi, po czym podeszła do okna. Poruszyła odłamkiem, usiłując schwytać światło i wywołać jakikolwiek obraz. Po chwili dała spokój. Może to nie lustro, pomyślała, tylko jakiś osobliwy srebrny kamień.

Usiadła na łóżku i chwyciła drugi kawałek. Tym razem ujrzała odbicie. Jakiś materiał, chyba zielony kaftan, złoty haft na rękawie... dłoń? policzek? tak, teraz wyraźnie widziała siwe włosy...

Powierzchnia lustra okazała się zbyt mała, by objąć coś więcej niż drobne szczegóły, a w dodatku wszystko to zmieniało się jak w kalejdoskopie. Od wpatrywania się rozboleły ją oczy. Na co właściwie patrzyła? I na kogo, bo była pewna, że to nie jest jej odbicie.

Wzdłuż kręgosłupa Alais przebiegł zimny dreszcz. Przywykła do wszystkiego, co ponadnaturalne, ale w myśli, że jej mąż nosi przy sobie odłamek magicznego zwierciadła, było coś niepokojącego. Bardzo niepokojącego.

Oddychała płytko, szybko. Granica pomiędzy lustrem a pokojem zacierała się, odbicie rosło i nie potrafiła powiedzieć, czy to odłamek staje się coraz większy, czy też przeciwnie, ona maleje i jak przez okno zagląda do...

... salonu, w którym siedzi siwowłosy, elegancki mężczyzna. Na razie widać tylko jego plecy i tył głowy, ale po chwili mężczyzna odwraca się, a ona rozpoznaje Emmanuela Lota. Były zegarmistrz mówi coś, jest zły, prawdopodobnie wymyśla komuś, choć nie słyhać słów...

Z wrażenia drgnęła i poruszyła ręką. Obraz salonu zafalował gwałtownie. Alais poczuła się jak na morzu: zakręciło jej się w głowie, a żołądek podszedł do gardła. Upuściła odłamek.

Mdłości przeszły szybko, gdy tylko ujrzała wokół siebie zwyczajny, stabilny pokój, ale lęk pozostał.

Dzięki temu kawałkowi zwierciadła Linus o każdej porze dnia i nocy mógł sprawdzić, co dzieje się z Emmanuelem Lotem. A pozostałe odłamki? Kogo pokazywał ten pierwszy, już martwy? Kogo trzeci?

Strach znów smakował jak stęchły owoc, znów otumaniał. Miała łzy w oczach i drżała. Gdyby teraz wszedł Linus, prawdopodobnie nie zdołałaby nawet wstać. Po prostu czekałaby na karę pokornie niczym schwytyany we wnyki zając.

Po chwili przejaśniło jej się w głowie i odzyskała władzę nad swoim ciałem. Przynajmniej na tyle, by zdobyć się na dwa proste ruchy.

Sięgnęła po ostatni odłamek i podniosła go do oczu.

* * *

— Jest na górze... — powiedział Marius, drobny, wszędobylski blondynek, który znalazł Vittoria Jironiego. Martwego Vittoria Jironiego.

Było to dzisiejszego popołudnia. Marius obchodził miejsca, w których jego zdaniem mógł się ukrywać kolega, aż w końcu trafił do kobiety, która kazała się tytułować *dòną* Emilią. *Dòna* Emilia prowadziła niewielki dom publiczny, który sama nazywała „szacowną, przyzwoitą instytucją, bez żadnych ekstrawagancji”. Tam właśnie Vittorio spędził dwa ostatnie dni, a gdy zabrakło mu pieniędzy, prostytutka o imieniu Francesca dała mu klucz do sypialni na piętrze. Nie miała prawa tego robić – pomieszczenie to było wspólne dla wszystkich dziewcząt i służyło do odpoczynku, a nie do wprowadzania klientów – ale wyraźnie czymś

przestraszony Vittorio budził w niej współczucie.

W czasie gdy pracownicy d'ony Emilii były zajęte na dole, sypialnia stała pusta, nic więc dziwnego, że przez kilka godzin nikt się studentem nie interesował. Dopiero pod wieczór, gdy Marius zaczął rozpytywać o kolegę, Francesca przyznała się, że dała mu klucz.

Domenic Jordan rozejrzał się. Trzy roznegliżowane dziewczęta wyszły do hallu. Na twarzach dwóch malował się niepokój połączony z niezdrową ciekawością. Trzecia, szczupła czarnulka o wielkich oczach, wyglądała na naprawdę przerażoną. Jednak nawet ona zachowała spokój.

Wiedziały już o trupie, ale szefowa surowo przykazała im, by udawały, że nic się nie stało.

Na piętrze Jordan i Marius zatrzymali się przed zamkniętymi drzwiami. Chwilę później po schodach weszła d'ona Emilia, która w zapiętej pod szyję sukni i z włosami związanymi w ciasny kok wyglądała raczej na podstarzałą dewotkę niż na właścicielkę domu publicznego. W ręce trzymała pęk kluczy, a jej mina wyrażała dezaprobatę.

— Czy ktoś tam wchodził? — zapytał Jordan.

— Nie — odparła, po czym, choć wydawało się to niemożliwe, usta zacisnęła w jeszcze węższą kreskę. — Tylko ten tutaj — ruchem głowy wskazała Mariusa — i ta idiotka Francesca, która teraz leży u mnie w salonie i ma napad hysterii. No i ja, oczywiście. Ale ja tylko zajrzałam, wcale nie miałam zamiaru wchodzić dalej. Zaraz zamknęłam drzwi. To wygląda okropnie, sam pan się zresztą przekona.

Klucz zazgrzytał w zamku. Dòna Emilia chwyciła klamkę i spojrzała na Jordana.

— Ten tutaj — znów wskazała Mariusa, a jej twarz wyrażała coraz większy niesmak, jakby to on właśnie był wszystkiemu winny — obiecał, że wezwie tylko pana. Że nie będzie żadnej policji.

— Obawiam się — Jordan zignorował rozpaczliwe miny studenta — że nie uda się uniknąć obecności policji.

Pod wpływem spojrzenia, jakim został obdarzony, młodzieniec skulił się niczym uderzone szczenię.

— Proszę nas zostawić samych. — Jordan delikatnie odsunął kobietę od drzwi.

Ku zdumieniu Mariusa groźna starucha usłuchała bez słowa.

Weszli do sypialni.

Była o wiele skromniejsza niż pokoje na dole, w których dziewczęta przyjmowały klientów. Siedem prostych, przykrytych burymi narzutami łóżek stało ciasno jedno obok drugiego, a resztę miejsca zajmowały solidnie nadgryzione przez korniki szafy, w których trzymano tyle krzykliwych sukien, spódnic, a nawet męskich kaftanów, że drzwi się nie domykały. Na jednej ze ścian wisiało wielkie, upstrzone śladami szminki i pudru lustro, toaletkę zastawiono zaś taką liczbą buteleczek i słoiczków, że starczyłoby tego nie dla siedmiu dziewcząt, lecz co najmniej dla siedemnastu. Jediną ozdobą sypialni był niewielki obrazek, który przedstawiał dziewczynkę w objęciach lalki. Właśnie tak – nie lalkę w objęciach dziewczynki, lecz odwrotnie, bo dziewczynka była mała, najwyżej pięcioletnia, a lalka miała wielkość dojrzałej kobiety. Mimo uśmiechu dziecko wcale nie wyglądało na szczęśliwe.

Vittorio Jironi leżał pod oknem z głową tuż przy łóżku, jakby przed śmiercią usiłował pod nie wypełznąć.

Nie zdążył.

Twarz miał wypaloną aż do nagiej czaszki, nie pozostało na niej nic z wyjątkiem resztek skóry koło uszu i pod linią włosów.

Domenic Jordan wyjął z kieszeni chusteczkę, przyłożył ją do nosa i pochylił się. Tej charakterystycznej woni nie sposób pomylić z niczym innym.

— Tak właśnie wygląda — powiedział głucho Marius zza pleców wykładowcy. — Paskudnie, prawda? Co mu się stało?

— Powinieneś to wiedzieć już choćby na podstawie samego zapachu. Podejź bliżej. — Jordan odsunął się, robiąc towarzyszowi miejsce.

Student wahał się przez chwilę. Egzaminatorski, obojętny ton uraził go, w końcu jednak zwyciężył nawyk posłuszeństwa i zwykła ciekawość. Pochylił się nad ciałem i pociągnął nosem. Na jego twarzy obrzydzenie mieszało się z coraz silniejszym zainteresowaniem.

— Myśle... — wymruczał. — Kwas siarkowy! Mam rację?

— Oczywiście.

Chłopak wyprostował się, dumny z siebie.

— A może — dodał z nadzieją — to wcale nie Vittorio? Ubranie i ten sygnet to jego, ale przecież...

— To on — powiedział Jordan. Już podczas rozmowy w kasynie, gdy po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że Jironi może być studentem Y, pomyślał, że łatwo byłoby rozpoznać jego ciało. Nie po sygnecie, lecz po charakterystycznych zębach,

z których dwa przednie wyrosły mocno zakrzywione do środka.

— Biedak — szepnął Marius. — Mam nadzieję, że nie cierpiał...

— Nie cierpiał — zapewnił mężczyzna. Odgarnął włosy na głowie Vittoria, odsłaniając krótką krwawą rysę. — Spójrz — zachęcił jeszcze raz, tym razem łagodniejszym tonem. — Był nieprzytomny, gdy morderca oblał mu twarz kwasem. Został czymś ogłuszony, możliwe, że po prostu kolbą pistoletu. To by wyjaśniało, dlaczego nawet nie próbował wołać o pomoc. Ktoś groził mu pistoletem, każąc być cicho, a potem, gdy już podszedł odpowiednio blisko, po prostu uderzył. Nie chciał strzelać, bo bał się, że ktoś usłyszy odgłos wystrzału.

Domenic Jordan zastanowił się, kto mógł widzieć mordercę. Na pewno odźwierny, choć wątpliwe, by go zapamiętał – wchodzący tu mężczyźni zapadali mu w pamięć dopiero wtedy, gdy zaczynały się z nimi kłopoty. Niemożliwe jednak, aby nikt nie zwrócił uwagi na zabójcę.

Tknięty nagłą myślą skinął na Mariusa i wyszedł z sypialni.

Dòna Emilia stała na półpiętrze. Jej twarz była odpychająca w wyrazie niechęci tak silnej, że graniczącej nieomal ze wstrętem.

— Czy policja... — zaczęła, lecz przerwał jej bez ceregieli.

— Będę musiał ich zawiadomić, ale proszę mi wierzyć, że wszystko pójdzie sprawnie i szybko, jeśli tylko zechce pani ze mną współpracować.

Zawahała się, potem z ociąganiem skinęła głową.

— Chciałbym porozmawiać z jedną z dziewcząt. Nie wiem, jak ma na imię, ale mogę ją opisać. Brunetka o dużych czarnych

oczach, twarz ma tak wychudzoną, że sprawia wrażenie chorej...

— Aicelina — odpowiedziała od razu. — Pójdę po nią, ale uprzedzam, że to może trochę potrwać. Jest teraz... zajęta. Możecie na nią poczekać u mnie.

Salonik d'ony Emilii był dokładnie taki, jak Jordan się spodziewał. Ściany pomalowane zostały na paskudny kolor rozgotowanego szpinaku, nad sofą wisiał ciężki żelazny krzyż, a jedyną ozdobę stanowiło kilka porcelanowych lalek. Ubrane w niegustowne suknie, wyglądały na nieszczęśliwe i znudzone.

W fotelu drzemała jasnowłosa dziewczyna. Jordan domyślił się, że to owa Francesca, którą najwyraźniej uspokojono przy pomocy laudanum albo po prostu kieliszka wódki, bo pochrapywała cicho, na nic nie zwracając uwagi.

Marius zignorował ją i spojrzał na wykładowcę. W jego wzroku widać było wzruszającą ufność, że otrzyma odpowiedź na każde pytanie.

— Po co ten kwas? Pan wie?

— Domyślałem się — odparł, ale wbrew nadziei studenta nie dodał nic więcej.

Morderca użył kwasu, bo zdobycie sproszkowanego wyciągu soków trawiennych okazało się zbyt trudne. Domenic Jordan czuł się poważnie zawiedziony. Ta zamiana jednego specyfiku na drugi, łatwiej dostępny, zniszczyła cały urok zagadki, bo przecież ciało przeżarte kwasem siarkowym to nie to samo, co ciało w stanie zaawansowanego rozkładu. To było prymitywne, niegodne tego inteligentnego, wyrafinowanego przeciwnika, jakiego zdążył sobie stworzyć w wyobraźni.

Choć z drugiej strony, zreflektował się, może źle go oceniam? Bo skąd zabójca w ogóle wiedział, że powinien przyjść tutaj z jakimś zamiennikiem soków trawiennych? Skoro nie podsłuchiwał naszej rozmowy w kasynie ani, rzecz jasna, nie powiedział mu o tym sam Vittorio?

Jordan poczuł tak dobrze znany dreszcz podekscytowania i uśmiechnął się zadowolony.

W tym momencie dōna Emilia wepchnęła do salonu Aicelinę.

Dziewczyna szła jak na skazanie, ze wzrokiem wbitym w podłogę i twarzą przesłoniętą rozpuszczonymi czarnymi włosami. Na polecenie starszej pani usiadła na sofie, ale dopiero po chwili ośmieliła się unieść głowę.

Jordana znów uderzyła niezwykła uroda młodej kobiety. Wielkie, podkrążone czarne oczy nadawały jej twarzy wyraz jednocześnie uduchowiony i znużony. Aicelina, pomyślał, przeznaczona jest dla klientów o oryginalnych gustach, takich, którym znudziły się krągłe piękności.

Ciekaw jestem, ilu mężczyzn dziennie płaci, aby zostać sam na sam z tą panną o wyglądzie umierającej na gruźlicę artystki?

Dziewczyna otworzyła usta, po czym wąskim językiem przesunęła szybko po wargach. W tej ukradkowej próbie wykorzystania zmysłowości było coś głupio-chytrego, co nie pasowało do jej urody. Jordan zdecydował się na bezpośredniość.

— Był tu pewien mężczyzna — zaczął — który zamiast do pokoju którejś z dziewcząt poszedł na górę, do waszej sypialni. Widziałaś go, prawda?

Nerwowo skinęła głową. Różowy język znów wybrał się

w podróż po wargach.

— To był potwór... — wyszeptała. — Nie człowiek.

— Opisz mi go — polecił. W jego głosie nie słychać było zdziwienia, choć nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

Patrzyła na niego w milczeniu.

— On... — wykrztusiła po chwili — on wyglądał zwyczajnie. Jak pan.

Boże, daj mi cierpliwość, pomyślał, a głośno powiedział:

— Czy mam przez to rozumieć, że twoim zdaniem wyglądam nie na człowieka, lecz na potwora?

Tym razem nie doczekał się żadnej odpowiedzi. W pięknych czarnych oczach malowała się tępa rozpacz. Oczy te – jak zauważył – podmalowano szminką, by nadać twarzy ów charakterystyczny zmęczony wyraz, a głębia źrenic była pozorna. Zdecydowanie pozorna. Uduchowiona Aicelina miała rozumu nie więcej niż kura.

Westchnął.

— Chodź ze mną.

Stanęli w hallu. Za plecami mieli drzwi wejściowe, z przodu prowadzące na piętro schody. Z lewej i prawej strony znajdowały się wejścia do pokoi.

Trzy dziewczyny, które w hallu czekały na klientów, gapiły się na nich z ciekawością.

— Spotkałaś go tutaj, jak sądzę. Opowiedz mi dokładnie, jak to wyglądało. Wszedł tak jak ja teraz, patrz, i co dalej?

— Ja... — przełknęła ślinę. — Podeszłyśmy do niego. To znaczy ja, Clelia i Miquela, bo byłyśmy wolne. On patrzył na mnie, więc myślałam, no, że chce właśnie mnie, i dziewczęta poszły do

następnego, a ja chciałam iść z nim do pokoju, ale on powiedział, że nie, że zna drogę, i zaczął wchodzić po schodach. Powiedziałam mu, że tam nie może iść i że u mnie jest lepiej, ale on nie słuchał. Wystraszyłam się i chciałam go zatrzymać, bo wiedziałam, że dóna będzie zła, a wtedy, wtedy...

Jej oczy zrobiły się okrągłe ze strachu, rysy stężały. Przez chwilę bał się, że dziewczyna zemdleje.

— Zmienił się w potwora... — szepnęła niewyraźnie, jakby usta miała wyciosane z drewna. Ledwo ją rozumiał.

— Tutaj? Na schodach? Tak ni stąd, ni zowąd? I nikt prócz ciebie tego nie zauważył?

Potaknęła. Na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Aicelina z natury nie była zbyt ekspresyjna, a przerażenie zmieniło ją niemal w posąg. Albo – to porównanie nasuwało się nieodparcie – w dużą nieruchomą lalkę.

Rozejrzał się bezradnie. Schody jak schody, do połowy – czyli do miejsca, które widać z hallu – wyłożone ładnym błękitnym dywanem, wyżej już tylko wytartym, uplecionym ze słomy chodnikiem. Na półpiętrze olbrzymie lustro służące dziewczętom, które przed spotkaniem z klientami chciały dokonać ostatniej korekty swojej urody. Dlaczego zabójca, zakładając, że naprawdę posiadał taką zdolność, miałby akurat tutaj zmienić się w potwora? Aby wystraszyć Aicelinę? Przecież ona i tak była przerażona.

Lustro.

Chwycił dziewczynę i przyciągnął do siebie. Pozwoliła na to, bezwładna jak kamień. Skórę miała nienaturalnie zimną i jedynie lekkie drżenie świadczyło, że ma do czynienia z żywą osobą.

Ujął ją pod brodę i zmusił, by spojrzała w zwierciadło.

— Tak to wyglądało, mam rację? Próbowałaś go zatrzymać, a potem odwróciłaś się w bok. I wtedy właśnie zobaczyłaś potwora. W lustrze.

* * *

Wychodząc z domu doney Emilii, Domenic Jordan zderzył się z niskim, zażywnym mężczyzną, który w pośpiechu dopinał kanarkowożółty kaftan. Mężczyzna wymruczał przeprosiny, zszedł po schodkach na chodnik i przystanął. Jordan zatrzymał się tuż obok, patrząc – choć nie zdawał sobie z tego sprawy – w to samo miejsce, które przyciągnęło uwagę kanarkowego tłuściocha.

Po drugiej stronie ulicy stała lalka. Znakomicie wykonana, ale jednak lalka. Sztuczne włosy połyskiwały w zachodzącym słońcu metalicznie, twarz wyglądała jak ubielona mąka, karminowoczerwone usta były otwarte w wyrazie zdumienia. Albo strachu.

Nie czekał, aż złudzenie minie, a lalka zmieni się w zwyczajną kobietę. Po prostu odwrócił się i odszedł.

* * *

Ładna, ocenił markiz Robert d'Estebe, po czym poprawił kanarkowożółty, zbyt obcisły kaftan. Przyszło mu do głowy, że powinien schudnąć, ale myśl ta szybko znikła. Teraz interesowało go coś innego. A raczej ktoś inny.

Jasnowłosa kobieta, która stała po przeciwnej stronie ulicy. Niezbyt młoda i ubrana jak prowincjuszka, ale zdecydowanie ładna,

tą łagodną, trafiającą prosto do serca urodą, w której ostatnio zasmakował.

Dał znak służącemu, który spieszył, by otworzyć przed nim drzwiczki powozu, i podszedł do nieznanym. Już wcześniej zauważył dziwny wyraz jej twarzy. Była blada, z oczami otwartymi tak szeroko, że pod tęczęwkami widział wyraźnie pasma bieli. Wyglądała na pogrążoną w głębokim szoku. Jej usta poruszały się, ale markiz nie mógł odgadnąć, czy mówi do siebie, czy też może odmawia modlitwę. I czy w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, że coś szeptuje.

— Wybacz, pani — powiedział grzecznie, choć raczej nie miał do czynienia ze szlachcianką. — Jeśli mógłbym w czymś pomóc...

Zawiesił głos, spodziewając się odpowiedzi, a przynajmniej tego, że kobieta zwróci na niego uwagę. Ale ona potraktowała go jak powietrze. Patrzyła na niego, wcale nie widząc, i wciąż mamrotała coś do siebie.

Don Robert poczuł się nieswojo. Nieszczęścia innych ludzi niewiele go obchodziły, bo w życiu cenił głównie zmysłowe rozkosze, ale w tej jasnowłosej kobiecie było coś niesamowitego. Zapamiętała się w cierpieniu i zupełnie straciła kontakt ze światem. Już miał się odwrócić i odejść, gdy w pięknych błękitnych oczach pojawił się błysk zrozumienia, a kształtne usta wyartykułowały pierwsze zrozumiałe słowa.

— Tam zginął człowiek — powiedziała, wskazując ruchem głowy dom d'ony Emilii. — Widziałam to. Zabił go mój mąż.

Don Robert odetchnął z ulgą. Nieważne, czy jasnowłosa piękność to zwyczajna wariatka, czy też istotnie była świadkiem

czegoś koszmarnego. Ważne, że zaczęła mówić, więc można się z nią porozumieć. A markiz bardzo dobrze władał słowami.

— Pozwól, pani, że zaopiekuję się tobą — powiedział miękko, biorąc ją pod ramię. Nie cofnęła się, choć zaczęła gwałtownie dygotać. — Nie powinnaś, pani, być teraz sama...

* * *

Domenic Jordan zawsze z pewnym lekceważeniem patrzył na ludzi, którzy bezustannie wracają do przeszłości, rozpamiętują wszelakie „gdyby wtedy” czy próbują naprawiać to, czego naprawić się nie da. Jego zdaniem była to czysta strata czasu. On sam kolejne etapy życia zamykał bez większego żalu. Nie znaczyło to, że wyrzucał z pamięci bolesne wspomnienia – ludzie, którzy tak robili, zyskiwali tylko niespokojne sny i niczego się nie uczyli. Jordan pamięć miał znakomitą, a najbardziej przykre wydarzenia – jak na przykład związana z Ptasznikiem porażka – były dla niego nauczką, przestrogą na przyszłość. I niczym więcej. W przeciwieństwie do większości ludzi nie miał zwyczaju rozdrapywać starych ran.

Raz tylko popełnił błąd i zapragnął otworzyć zamknięty rozdział życia. Wrócił do Mandracourt, by zobaczyć się z bratem. Nie zyskał wtedy nic poza zaspokojeniem ciekawości. Linus okazał się zupełnie obcym człowiekiem, a Jordan czuł do niego jedynie litość. Z czasem nawet ona minęła, pozostała tylko pamięć po niej ułożona wygodnie w odpowiedniej przegródce, tuż obok wspomnienia miłości, jaką darzył brata w dzieciństwie, i bólu, jaki czuł, gdy ten go znienawidził. Litość, miłość, żal – nie były to już prawdziwe emocje, lecz raczej preparaty emocji, zakonserwowane,

opisane i pozostawione na odpowiedniej półce w pamięci.

Jordan wierzył, że tak właśnie ma być, że wszystko, co związane jest z Linusem, należy do przeszłości. Aż do dzisiaj, bo dzisiaj upiór, jak gdyby nigdy nic, wyszedł z grobu.

Linus przyjechał do Alestry, rzucił mu wyzwanie i zabił dwoje ludzi.

Domenic Jordan najpierw poczuł zdumienie, a zaraz potem rozdrażnienie, bo nie potrafił poradzić sobie z uczuciami, które niespodziewanie zwały mu się na głowę. Lecz to szybko minęło. Był co prawda człowiekiem uporządkowanym, ale nie do tego stopnia, by nie lubić niespodzianek. Nawet te przykre miały dla niego podniecający urok nowości. W końcu z miotających nim uczuć na pierwszy plan wybiły się dwa: ciekawość i nagle zmartwychwstała litość. Żałował Linusa, bo ten urodził się, by wieść zwyczajne życie. Mimo dumy i porywczosci w gruncie rzeczy był mężczyzną dość przeciętnym i powinien mu zostać przeznaczony przeciętny los. Linus nie miał w sobie zadatków na wielkość ani jeśli chodzi o dobro, ani o zło. Zmieniła go tamta noc, gdy zginął Albert Jordan, a później Strażnik Nocy, który uczynił z niego potwora. Dręczony nienawiścią do brata i wstrętem do samego siebie Linus stał się tym, kim nie powinien był się stać.

Co prawda, myślał Jordan, wszystko to nie tylko obudziło w Linusie mordercze skłonności, lecz także wyostrzyło mu inteligencję i uczyniło jego umysł bardziej wyrafinowanym. Doprawdy, nigdy bym nie przypuszczał, że mój brat wpadnie na coś takiego, jak ów pomysł z trzema zagadkami. Jak widać, cierpienie, choć niekoniecznie uszlachetnia, to przynajmniej czyni

człowieka bardziej interesującym. Cóż, dobre i to.

Następnego dnia udał się do biskupa, który mimo braku czasu poświęcił mu pół godziny.

— Domyśliłem się prawdy dzięki na pozór zupełnie niewinnym słowom Aiceliny — powiedział Domenic Jordan. — „On wyglądał zwyczajnie. Jak pan”. Większość ludzi zrozumiałaby to tak, że zabójca niczym się nie wyróżniał, ale ja zadałem sobie pytanie, czy ona nie ma przypadkiem na myśli fizycznego podobieństwa pomiędzy mną a mordercą. Zresztą chyba już wcześniej musiałem mieć pewne podejrzenia. Inaczej taka interpretacja nawet nie przyszłaby mi do głowy. Wiedziałem przecież, że mordercą najpewniej jest ktoś, kogo dobrze znam i kto żywi do mnie urazę, choć właściwe rozwiązanie było tak nieprawdopodobne. A potem lustro i odbita w nim potworna sylwetka... Linus był potworem, gdy go ostatni raz widziałem. Jakimś cudem wygląda teraz jak zwyczajny człowiek, ale w zwierciadle wciąż widać jego dawną postać. W końcu dzisiejszego ranka przekonałem się ostatecznie, że mam rację. Poszedłem po prostu do jasnowidza, który badał ciało Pebrela, i poprosiłem go, by przyjrzał mi się uważnie. Potwierdził, że z rysów twarzy przypominam trochę mordercę.

— Co zamierzasz teraz zrobić?

— To, co zamierzałem wcześniej — odparł. O tym, że nie jest tak spokojny, za jakiego chciałby uchodzić, świadczyły tylko zaciśnięte na poręczy fotela dłonie. — Powstrzymam Linusa, nim zabije trzecią osobę, a potem o jego losie zadecyduje prawo. To proste. Gdybym tylko wiedział, kim jest zegarmistrz, pan Z, i co łączy wszystkie trzy ofiary... Bo jestem pewien, że coś je musi

łączyć. Nie wierzę, by Linus zaplanował zabicie trzech przypadkowych osób tylko po to, by wypróbować moją inteligencję i obciążyć mnie poczuciem winy. Nie, oni mają ze sobą coś wspólnego. — Oczy mu rozbłysły, gdy rozważał kolejne możliwości. — Szaleniec, student i zegarmistrz...

Biskup nie podjął rozmowy na ten temat. Czasem brał udział w podobnych spekulacjach, ale pamiętał przecież, że jego zadaniem nie jest rozwiązywanie zagadek, lecz przynoszenie ukojenia ludzkim duszom. A dziś dusza jego protegowanego zdecydowanie potrzebowała ukojenia. Ipolit Malartre sądził, że wie, jak pomóc. Jordan powinien przystąpić do spowiedzi i zrzucić w końcu z sumienia ciężar grzechów. Bo przecież, o czym biskup czasem zapominał, ten człowiek był bezwzględnym mordercą, skrytobójcą, który jako zaledwie czternastolatek popełnił najgorszą możliwą zbrodnię.

Zabójcy, rozważał Jego Ekscelencja, dzielą się na dwa rodzaje. Tych, którzy otrzymawszy rozgrzeszenie, zapominają o wszystkim i żyją dalej szczęśliwie, oraz tych, którzy mimo rozgrzeszenia zadreęczają się poczuciem winy. Ale nie Domenic. On wybrał trzecią drogę, dla mnie zupełnie niepojętą. Nie żałuje, ale pamięć o tym, co zrobił, jest dla niego rodzajem pokuty, a przede wszystkim przestrogą, by nie stoczyć się w otchłań diabelskiego zła, do którego czasem tak mu blisko. Być może, choć to brzmi absurdalnie, Domenic Jordan jest dziś lepszym człowiekiem, niż byłby, gdyby nie popełnił tej zbrodni. Gdyby nie zabił ojca, zbliżałby się do zła powolutku, małymi kroczkami, aż w końcu, nawet tego nie zauważywszy, przekroczyłby granicę, zza której nie

ma już powrotu. Zabójstwo uświadomiło mu istnienie tej granicy, a on zdecydował się pozostać po właściwej stronie. Lecz mimo to nie rozumiem, jak on może tak żyć. Bez sakramentu spowiedzi, bez właściwej pokuty, bez rozgrzeszenia... Być może to, co dla większości ludzi byłoby udręką, dla niego stało się źródłem siły, ale nie jestem tego pewien. Jak mogę być czegokolwiek pewien, skoro tak naprawdę nie znam ani nie rozumiem tego człowieka? I martwię się o niego, dodał biskup w myślach. Boję się, że przyjdzie dzień, gdy on się w końcu załamie. Być może ten dzień jest już bliski...

Jednak na wzmiankę o spowiedzi Jordan odmówił. Tak jak zazwyczaj.

— Przykro mi — powiedział — ale ojciec doskonale zdaje sobie sprawę, że nic z tego nie będzie. A ponadto muszę jeszcze dziś porozmawiać z kolejnym kandydatem na służącego. Kazałem mu przyjść w południe.

Biskup uniósł brwi.

— Nie wiedziałem, że zwolniłeś tego, jak mu tam... Arnaut? — Pamiętał, jak nazywał się ostatni służący Jordana, ale uważał za stosowne udawać, że nie pamięta.

— Zafarbował mi dwie koszule na brązowo, bo uznał, że nie można ich doprać, a na ciemnym tle brud będzie mniej widoczny. — Jordan mówił lekkim tonem, już całkowicie opanowany. A przynajmniej takie sprawiał wrażenie. — Poprzedni stosował jakąś koszmarnie śmierdzącą maść na kurzajki i za nic nie pozwalał sobie tego wyperswadować, a jeszcze wcześniejszy był co prawda czysty i znał się na swojej pracy, ale za to rozumu miał nie więcej niż mieści się na czubku szpilki.

On wcale nie jest opanowany, pomyślał biskup. Mówi za dużo, i to o błahych sprawach.

— Żałuję Peyretou — ciągnął Jordan. — Niestety, coraz więcej czasu spędzał z panną Veronicą d'Amat, a gdy w końcu zirytowałem się i kazałem mu wybierać, czy pracuje dla mnie, czy dla niej, wybrał ją. Przyznaję, na początku cynicznie myślałem, że chłopak ma w tym konkretny cel, że sądzi, iż niewidoma dziewczyna nie będzie zwracać uwagi na różnice społeczne i pozwoli się uwieść prostemu słudze. Ale to nie tak. Wygląda na to, że Peyretou nie pragnie niczego więcej, jak tylko opiekować się Veronicą, czytać jej przed snem, prowadzić pod rękę na spacerze i spełniać każdy jej kaprys. Wzruszający przykład czystej, bezinteresownej miłości. Doprawdy, miło jest wiedzieć, że wciąż istnieją tacy ludzie, choć przyznam, że wolałbym tę wiedzę zdobyć w inny sposób, nie kosztem utraty znakomitego sługi.

* * *

Kandydat na kolejnego służącego nazywał się Jules i był drobnym, ciemnowłosym dziewiętnastolatkiem o delikatnej jak u panienki twarzy. Pozornie wyglądał na zagubione niewiniątko, w rzeczywistości jednak nie brakowało mu ani wiedzy o świecie, ani sporej dozy tupetu.

Gdzie w Alestrze można kupić jedwab glace? Powiedzmy, że kazałbym ci zebrać informacje o kimś – jak byś się do tego zabrał? Czy potrafisz się posługiwać bronią? Gdzie szukałbyś człowieka, który powiedział, że będzie w Płonącym Feniksie? Czy mdlejesz na widok krwi?

Jules odpowiadał na pytania szybko i bez wahania. Nie zawsze zgodnie z oczekiwaniami Jordana, lecz przynajmniej za każdym razem wykazywał się pomysłowością i poczuciem humoru, nie popadając przy tym w niegrzeczność.

Jordan uznałby go za idealnego kandydata, gdyby nie jedna rzecz. Znał ten typ i wiedział, że Jules nie zagrzeje u niego długo miejsca. Był zbyt sprytny i ambitny, by zadowolona go pozycja służącego kogoś takiego jak Domenic Jordan. On mierzył dużo wyżej. Swoje obowiązki z pewnością będzie wykonywał doskonale, lecz przy najbliższej okazji porzuci pracodawcę, by przenieść się do kogoś bardziej utytułowanego. Albo, co także jest bardzo prawdopodobne, Jules zdobędzie jakieś sekretne informacje i z mniejszym bądź większym powodzeniem zajmie się szantażem. A Bóg mi świadkiem, myślał Jordan, że przy mnie nie zabraknie mu okazji, by poznać wstydlive grzeszki okcytańskiej arystokracji. Nie mogę na to pozwolić.

Podziękował kandydatowi za przyjście i odprowadził do drzwi. Chłopak wyglądał na rozczarowanego. Stojąc w progu, użył jeszcze ostatniego argumentu.

— Znam się także trochę na mechanizmach — powiedział. — Umiem naprawiać zegary, zabawki, mechaniczne lalki. Tego typu rzeczy.

Jordan zainteresował się. Nie potrzebował służącego o takich umiejętnościach, ale ostatnio był wyczulony na wszystko, co wiązało się z zegarmistrzami i mechanicznymi lalkami. Znalazł jak dotąd kilkudziesięciu zegarmistrzów, z czego tylko dwóch – Antonio L'Escure oraz Louis Chignaguet – potrafiło także robić

modne ostatnio mechaniczne lalki. Żaden z nich nie był panem Z.

— Kto cię tego nauczył?

— Pracowałem przez jakiś czas u markiza d'Estebe, który uwielbia wszelakiego rodzaju mechanizmy i który mnie właśnie powierzył opiekę nad nimi. — Pogardliwe skrzywienie warg świadczyło, że oliwienie trybików nie należało do ulubionych zajęć Julesa.

Jordan odprawił rozżalonego młodzieńca, po czym zamknął za nim drzwi.

Robert d'Estebe. Nie znał go osobiście, ale oczywiście o nim słyszał. Więcej nawet, dzisiejszego ranka otrzymał od niego zaproszenie na wieczorek, podczas którego „towarzystwu zostanie zaprezentowana nowo zakupiona lalka”. Nie zamierzał tam pójść. Markiz miał opinię dość nudnego gospodarza, a przecież można go było wypytać kiedy indziej, choćby jutro rano, bez konieczności spędzania u niego długiego wieczoru.

Jednak ta przedziwna zbieżność zastanowiła Jordana. Zegarmistrz, którego szukał, oraz lalki, które widywał, a teraz to zaproszenie i Jules opowiadający o swojej pracy dla don Roberta d'Estebe. Przypadek czy też coś więcej?

Rozsądek podpowiadał, że powinien darować sobie ten wieczorek, a przeczucia wręcz przeciwnie, zgodnie twierdziły, że zaproszenie należy przyjąć.

Tym razem postanowił postąpić zgodnie z radą Jego Ekscelencji i zaufać sercu, nie rozumowi.

* * *

To był jeden z najnudniejszych wieczorów w życiu Domenica Jordana. Może nawet najnudniejszy.

Lalka, o której wspominało zaproszenie, przedstawiała baletnicę. Ubrana w krótką spódniczkę popisywała się na środku salonu skomplikowanymi, choć nieco zbyt sztywnymi pas. Wykonana na zamówienie przez Louisa Chignaguet, była prawdziwym arcydziełem. Jordan przyglądał jej się, podziwiając sztukę, która uruchomiła to metalowo-porcelanowe ciało i nadała mu pozory życia.

Niestety, poza lalką nie znalazł tu nic ciekawego. Ani Robert d'Estebe, ani żaden z jego zainteresowanych mechaniką znajomych nie mieli pojęcia, kim może być pan Z. Podawane informacje: starszy mężczyzna, dawniej słynny zegarmistrz, teraz mieszka w dużym domu wraz ze służącym, powodowały jedynie wzruszenie ramion i przeczący gest głową. Jordan zaczynał już tracić nadzieję. Jeśli naprawdę pan Z był tak znany w swoim zawodzie, jak twierdził Vittorio, to ktoś powinien go skojarzyć nawet na podstawie równie skąpych informacji.

Albo więc pan Z w ogóle nie istniał, albo – co bardziej prawdopodobne – różnił się w jakiś sposób od osoby z opowieści Vittoria.

Tylko kto kłamał? Morderca, gdy przekazywał podstawowe dane, czy też student, gdy zadawał zagadkę? I z jakiego powodu?

Kobiety zajęły się plotkami, a mężczyźni podziwianiem broni z bogatej kolekcji markiza. Na uboczu trzymał się jedynie sam gospodarz ubrany w krzykliwy, różowo-pistacjowy kaftan.

Na lalkę, wciąż niezmordowanie płaszącą pośrodku salonu,

nikt już nie zwracał uwagi.

Do Jordana podszedł mężczyzna z długą siwą brodą rozdzieloną na dwa starannie wyczesane pasma. W prawej dłoni trzymał pistolet, którym wymachiwał, jakby to była laska.

— Niech pan na niego spojrzysz. — Niedbałym ruchem ręki wskazał markiza d'Estebe, który patrzył w okno z osobliwym wyrazem twarzy. — Sprosił nas tu wszystkich, a teraz nawet nie zwraca na nas uwagi. Jak pan sądzi, o czym on może myśleć?

Najpewniej o jakiejś kobiecie, pomyślał zapytany, bo markiz d'Estebe znany był ze swego zamiłowania do precyzyjnych mechanizmów, ozdobnej broni i pięknych kobiet. A Jordan pamiętał przecież, że wczorajszego wieczoru wpadł na don Roberta w progu domu dony Emilii. Czyżby markiza zauroczyła któraś z jej dziewcząt? A może po prostu dowiedział się o popełnionym tam morderstwie?

Podszedł do Roberta d'Estebe.

— Zdaje się, że pańska baletnica jest już zmęczona — zagadnął, robiąc aluzję do coraz wolniejszych i bardziej mechanicznych ruchów lalki. Markiz spojrział na niego roztargnionym wzrokiem.

Na jego twarzy rozanielenie mieszało się z cierpieniem i Jordan był już niemal pewien, że chodzi tu o kobietę.

— Mechanizmy — rzucił z pogardą zagadnięty. — Mam ich dość. O wiele ciekawszy są żywi ludzie. A szczególnie żeńska połowa — dodał po chwili, potwierdzając przypuszczenie rozmówcy. — Czy może pan sobie wyobrazić kobietę tak dobrą, tak nieświadomą zła, że o pancerz jej niewinności rozbijają się

wszelkie sztuczki, wszelkie sposoby uwiedzenia jej?

— Owszem, potrafię.

Markiz skrzywił usta, po czym położył dłoń na pistacjowym podołku, jakby tam właśnie odczuwał ból. Jednak jego cierpienia były zdecydowanie sercowej, nie żołądkowej natury.

— Pokazałem jej nieprzyzwoite ryciny, a potem zapytałem, czy jest zaszokowana. Skinęła głową, lecz wyglądała na całkiem obojętną. Zacząłem więc drążyć temat i wie pan, co powiedziała mi ta niesamowita kobieta? Że wcale nie jest zaszokowana, ale potwierdziła, bo ja tego właśnie się spodziewałem, a ona chciała sprawić mi przyjemność! Wyobraża pan to sobie?

— Owszem — powtórzył Jordan.

W tym momencie mechaniczna baletnica znieruchomiała, a don Robert odwrócił się w jej stronę.

— I pomyśleć — wygiął usta w wyrazie kapryśnej, dziecinnej niechęci — że jeszcze wczoraj uważałem to coś za dzieło sztuki. Kupa żelastwa, ot co. Zwyczajna kupa żelastwa. Będę wdzięczny każdemu, kto mnie od niej uwolni.

— Wedle życzenia — powiedział Jordan uprzejmie, po czym podszedł do siwobrodego mężczyzny, poprosił go o pistolet, wycelował i strzelił.

Trafił bezbłędnie, lepiej, niż się spodziewał. Kula utkwiała dokładnie między oczami mechanicznej baletnicy. Lalka stała jeszcze przez chwilę, a radosny uśmiech na jej okaleczonej twarzy sprawiał upiorne wrażenie. Potem upadła z ciężkim metalicznym odgłosem, który wstrząsnął zebranymi w salonie bardziej niż wystrzał.

Natychmiast wszystkie spojrzenia skierowały się w stronę Jordana. W oczach ludzi widział bezbrzeżne zdumienie, a także jedną i tę samą myśl: „O mój Boże, on jest kompletnym wariatem, choć sprawia wrażenie tak dobrze wychowanego”. Najzabawniej wyglądał sam markiz d’Estebe, który wytrzeszczał oczy, na próżno usiłując wykrztusić jakieś zrozumiałe słowo.

— Zapłacę panu za tę lalkę — zapewnił Jordan i przy tym zastanowił się w duchu, ile będzie go kosztować dzisiejszy kaprys.

W istocie zrobił to, co zrobił, z dwóch powodów. Po pierwsze, postanowił sobie, że tego wieczoru – eksperymentalnie – będzie słuchał instynktu, nie rozumu, a miał naprawdę wielką ochotę zniszczyć tę lalkę. Po to, by wstrząsnąć znudzonym towarzystwem, zapewnić sobie odrobinę rozrywki, a także dlatego, że porcelanowobiałe twarze z krwistymi uśmiechami prześladowały go przez ostatnie kilka dni.

Drugi powód był mniej skomplikowany. Jordan liczył na pewien efekt. Co prawda szansa, że ma rację i osiągnie cel, nie była wielka, ale jednak istniała.

Doczekał się.

Do salonu najpierw zajrzał wystraszony służący, a chwilę później równie wystraszona kobieta. Jasnowłosa, ubrana w złotą suknię, którą nosiła tak, jak mała dziewczynka mogłaby nosić suknię matki: niepewnie, lecz ze wzruszającym, niezgrabnym wdziękiem.

Alais.

Jordan nie spodziewał się, że na jej widok poczuje taką radość. I nie spodziewał się, że poczuje ból, gdy kobieta, zobaczywszy go,

cofnęła się odruchowo.

Na szczęście trwało to krótko. Gdy podszedł do niej i wyciągnął rękę, natychmiast na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi. Przytuliła się do niego.

— Zabierz mnie stąd — szepnęła. — Proszę cię, Domenicu, zabierz mnie stąd.

* * *

Na początku po prostu pozwolił jej mówić. Siedząc na kanapie, obejmował ją, przeczesywał palcami jasne włosy i słuchał, próbując uporządkować to, czego właśnie się dowiadywał.

— Nigdy bym nie powiedziała, że Linus może być do czegoś takiego zdolny... — szlochała. — Och, on nigdy nie miał łagodnego charakteru, przecież sam wiesz, potrafił uderzyć kogoś, nawet zabić, gdy... no wiesz, tak jakby wykonywał wyrok, rozumiesz? Sprawiedliwy wyrok, przynajmniej w jego pojęciu. Ale nigdy nie sądziłam, że Linus może być zdolny po prostu do morderstwa, bo przecież ci ludzie niczym mu nie zawinili... Myślę, że ktoś kazał mu to zrobić. Ktoś tam daleko, w Ziemi Świętej, kto zapłacił mu z góry, a potem wręczył trzy magiczne odłamki lustra, w których widać ofiary...

A więc to stąd Linus wiedział, gdzie szukać Vittoria, pomyślał rozczarowany Jordan.

— Powinam była to wiedzieć. — Alais opanowała się na pozór, lecz w jej spokojnym głosie zabrzmiało coś, co przeraziło go o wiele bardziej niż szloch. — Mam przecież moc, prawda? Mimo wszystko mam jeszcze moc. Tylko że ona wcale nie czyni mnie

silniejszą ani mądrzejszą. Wręcz przeciwnie, czuję się przez nią jak dziecko, jak ślepiec, jak kaleka...

Wciąż odruchowo tulił i głaskał Alais. Ale nie zaprzeczył, bo kuzynka miała rację.

Doprawdy, pomyślał, wiele bym dał, żeby ją zrozumieć, wdrzeć się pod jej rozgrzaną łzami skórę i rozebrać na części, tak jak zegarmistrz rozbiera szczególnie interesujący mechanizm. Ciekawe, czy pieszczotami potrafiłbym zmusić ją do krzyku i dreszczu rozkoszy, do tego, by wreszcie okazała się prawdziwym człowiekiem, a nie kalekim dzieckiem z wypalonym w oczach śladem po obecności Boga.

Odsunął ją delikatnie i ujął jej twarz w dłonie.

— Czy wiesz, kim ma być trzecia ofiara?

Skinęła głową. Wiedziała nawet więcej, niż się spodziewał. Znała imię, nazwisko, miejsce, w którym mieszkał pan Z.

Emmanuel Lot, dawniej zegarmistrz.

— Wrócę niedługo — obiecał. — Zaczekasz tutaj sama, czy wolisz, żebym zaprowadził cię do domu mojej znajomej, która mieszka po sąsiedzku?

— Dokąd chcesz iść? — zapytała z rosnącym niepokojem. — Przecież jest środek nocy.

— Wcale nie — zaprzeczył, wskazując okno. — Już świta.

— Nie pozwoliła mu wstać. Objęła go i pocałowała, niezbyt zręcznie zresztą, bardziej z desperacją niż z namiętnością.

— Zostanę — powiedziała. — Jeśli obiecasz mi, że nauczysz mnie grzeszyć.

Do diabła, naprawdę nie pojmował tej kobiety, ale uznał, że

będzie miał mnóstwo czasu, by ją zrozumieć. Już niedługo. A na razie mógł się przynajmniej postarać, by jej desperacja przekształciła się w coś, co może nie było jeszcze pożądaniem, ale już niebezpiecznie je przypominało. I zrobił to z prawdziwą przyjemnością. Uspokoił ją dotykiem i pocałunkami, powstrzymując się w chwili, gdy miejsce narastającej rozkoszy zajął przestrah.

Cóż, grzeszyć należy się uczyć powoli.

— Wrócę po południu — zapewnił, po czym pocałował ją w czoło, po przyjacielsku, by dodać jej otuchy i jednocześnie nie spłoszyć.

W progu odwrócił się i spojrzał na Alais.

Wyglądała tak bezbrinnie, gdy siedziała na tapczanie, obejmując się ramionami i z podbródkiem na kolanach. Nie chciał jej tak zostawiać. Zastanowił się, czy nie zaprowadzić Alais do domu Veroniki d'Amat, ale był pewien, że wśród nieznanych ludzi kuzynka wcale nie poczuje się lepiej. Zresztą, zapewnił sam siebie, walcząc z narastającym, coraz paskudniejszym poczuciem winy, to przecież tylko kilka godzin.

— Chciałem jeszcze o coś zapytać... — zawahał się.

Skinęła głową. Czy powie coś o tym, że wczoraj popołudniu zobaczył ją na ulicy i cofnął się na jej widok? Ona sama bała się o tym wspomnieć. Domenic miał wtedy taki dziwny wyraz twarzy! Wcale nie była pewna, czy chce usłyszeć wyjaśnienie.

— Dlaczego wtedy, gdy zabiłem ojca, zdecydowałaś się dla mnie skłamać?

Napięcie w jej rysach zelzało. Alais z łagodnym smutkiem

uśmiechnęła się do wspomnień.

— To trudno wytłumaczyć. Wtedy wszystko wyglądało inaczej. Bóg był blisko mnie, a ja wszystko postrzegałam tak, jakbym patrzyła przez, och... nie wiem, jak to nazwać! Przez miłość bożą? Może i tak. Cierpiałam i litowałam się nad ludźmi, ale jednocześnie w jakiś przedziwny sposób oni nie wydawali mi się tak do końca prawdziwi, bo widziałam ich na wylot, jakby byli przezroczyści. Tylko ciebie postrzegałam w inny sposób, tylko ty byłeś... wyrazisty. Nie znajduję lepszego słowa, choć niezupełnie o to chodzi. Komuś, kogo widzi się na wylot, można tylko współczuć. Nie ma tu miejsca na gniew, ciekawość, nawet na miłość. A uczucia, które do ciebie żywiłam, były bardziej skomplikowane i jednocześnie prawdziwe. Bardziej ludzkie. Nie chciałam tego stracić.

* * *

Niech piekło pochłonie Domenica i jego durne pomysły, pomyślał Linus. Zrobię to, co mam zrobić, szybko i jak najprościej.

Odetchnął świeżym wiosennym powietrzem. Był wczesny ranek i po ulicach już kręciło się sporo ludzi. Kobiety szły na targ, pełni porannej energii handlarze zaczepiali, kogo tylko się dało. Widział nawet sprzedawcę wody cytrynowej i zdziwił się, bo oni zazwyczaj wychodzili nieco później, gdy robiło się cieplej, a przechodniom zaczynało dokuczać pragnienie.

Choć, prawdę mówiąc, jak na drugą połowę kwietnia było już zaskakująco ciepło. Ludzie ubrani w lniane stroje obrzucali zdumionymi spojrzeniami Linusa, który miał na sobie gruby

węlniany płaszcz. Czarny, rzecz jasna, z kapturem tak obszernym, że rysy mężczyzny dało się rozpoznać jedynie z bardzo bliska.

Stanął przed domem Emmanuela Lota, ujął w dłoń kołatkę i zastukał. Z okna sąsiedniej kamienicy obserwowała go starsza kobieta. Ta wścibska baba, pomyślał, powie policji, że byłego zegarmistrza odwiedził jeden z jego znajomych w czarnych płaszczach, tych, którzy zazwyczaj przychodzą dopiero wieczorem. Sam zastanawiał się, czy nie poczekać do zmroku, ale chciał jak najszybciej mieć to już za sobą. Nawet za cenę pewnego ryzyka.

Wewnątrz domu dał się słyszeć odgłos kroków, a po chwili szcęk otwieranego zamka. Drzwi uchyliły się, a Linus pchnął je brutalnie, omal nie przewracając stojącego za nimi służącego.

W półmroku przerażone oczy chłopaka połyskiwały białkami. Nim zdążył wykrztusić z siebie słowo, mężczyzna uderzył go pięścią w skroń. Niezbyt mocno, nie chciał mu przecież zrobić krzywdy. Zależało mu tylko, żeby sługa na jakiś czas stracił przytomność.

Przekroczył leżące ciało i zamknął drzwi. Przez dłuższą chwilę zastanawiał się, dokąd iść. Rozkład domu znał tylko z opowieści. Emmanuel Lot – niech mu czarci widłami oczy wydłubią – był człowiekiem nieufnym i mimo starań Linusa nie chciał zawrzeć znajomości z obcym.

W ten sposób wymyślony przez Domenica Jordana plan spalił na panewce, a Linus został zmuszony do improwizacji. Nawet mu to odpowiadało. Był zwolennikiem metod jak najprostszych. Raz tylko wpadł na pomysł, by w sposób dość skomplikowany zemścić się na młodszym bracie, by pobić go jego własną bronią, pokazać

mu, że wcale nie jest taki mądry, jak sądzi. Zachwyił się wtedy własną oryginalnością, lecz teraz przyznawał, że ten plan miał niewielkie szanse powodzenia. Zrezygnował z niego bez żalu. Najważniejsze, żeby zabić Emmanuela Lota – na wyrównanie rachunków z Domenikiem przyjdzie jeszcze czas. Później, gdy Linus na powrót stanie się normalnym człowiekiem, takim, który może wejść do salonu bez obawy, że zebrani tam ludzie dostrzegą w lustrze jego dawną postać. To miało być remedium na wszystko, nawet na nieudane małżeństwo, bo wierzył, że jeśli tylko odzyska w pełni człowieczą naturę, przestanie się bać Boga, który patrzył na niego z oczu żony.

Odchylił poły płaszcz i sięgnął po pistolet.

Nie znalazł Lota w jego sypialni – albo przynajmniej w pomieszczeniu, które najprawdopodobniej sypialnią było.

Wedle tego, co wiedział o zwyczajach pana domu, znaczyło to, iż pracuje on na piętrze, w swoim gabinecie.

Linus wchodził po schodach, zastanawiając się po drodze, w jaki sposób skłoni byłego zegarmistrza do odsunięcia zasuwki. Być może, myślał, jeśli zapukam, on po prostu weźmie mnie za służącego, bo przecież nie spodziewa się obcego w domu.

Szedł korytarzem, ściskając w dłoni pistolet. Mijał szeroko otwarte drzwi, za którymi widział zwyczajne, puste i zakurzone pokoje. Z pewnością żaden z nich nie był pracownią Emmanuela Lota. Zostały jednak jeszcze jedne, zamknięte drzwi...

Linus uniósł wolną rękę, by zastukać, ale po chwili wahania zrezygnował i nacisnął klamkę.

Zamek szczęknął pod naciskiem dłoni, drzwi uchyliły się

bezszelestnie.

Właściwie nawet go to nie zdziwiło. Przywykł już, że zebrane przez niego informacje nie zawsze są prawdziwe. Widać Emmanuel Lot nie przestrzegał ściśle zwyczaju zamykania się w gabinecie. I co z tego? Dla niego, Linusa, to nawet lepiej.

Tylko na dnie serca coś szeptało głosem tak cichutkim, że wcale go nie rozumiał.

W gabinecie zasłony były zaciągnięte.

Głosik pisnął trochę wyraźniej, ale Linus wcale nie chciał go słyszeć. Widział przecież Emmanuela Lota z na wpół przymkniętymi oczami wypoczywającego w fotelu. Poznał go, mimo półmroku nie mogło być wątpliwości. Te charakterystyczne białe jak mleko włosy, pociągła blada twarz, szczupła ręka w zamyśleniu postukująca w poręcz fotela...

Głosik już nie pisał, a wręcz wrzeszczał. Lecz było za późno. Linus nie mógł się teraz wycofać, nie mógł nawet zaczekać ani chwili dłużej. Musiał zrobić to, po co tu przyszedł, i wreszcie odzyskać spokój.

Cicho wszedł do gabinetu i strzelił. Dwa razy, i to z takiej odległości, że nie mógł chybić. Obie kule wbiły się w ciało z przykrym dla ucha zgrzytem, postukująca w poręcz dłoń znieruchomiła.

Na karku, pod linią włosów, poczuł chłodny dotyk metalu.

Zalała go fala wściekłości, upokorzenia, nienawiści. Podeszła do jego gardła paląca niczym mdłości. Omal się nią nie zadławił. Przez chwilę nie mógł złapać oddechu, dusił się i dygotał. Przede wszystkim z nienawiści, bo przecież wiedział, kogo zobaczy, jeśli

tylko odwróci głowę.

Domenic Jordan wyjął mu z dłoni bezużyteczny, wystrzelony pistolet, ktoś inny – Emmanuel Lot? – odsunął zasłony. Gabinet zalało słońce.

Linus zobaczył lalki. Całe mnóstwo lalek, jedną doskonalszą od drugiej. W fotelu z przestrzeloną pierśią siedziała postać wyobrażająca Emmanuela Lota. Została tak precyzyjnie wykonana, że nawet w dziennym świetle mógłby dać się nabrać i w pierwszej chwili wziąć ją za żywą osobę.

— Niech pan pójdzie i zobaczy, co ze służącym — polecił Jordan. — Mam nadzieję, że mój brat ma w sobie jeszcze odrobinę przyzwoitości i chłopak żyje. Jeśli jest w stanie chodzić, niech pan go pośle po policję, a jeśli nie, może pan poprosić o pomoc kogoś z sąsiadów.

Emmanuel Lot wyszedł z ociąganiem. Nie wyglądał na kogoś, kto przywykł do posłuszeństwa.

Linus zacisnął dłonie w pięści, odwrócił się i skoczył. Liczył, że Domenic nie strzeli do własnego brata. Mylił się. Domenic strzelił, na szczęście nie w kark, lecz niżej.

Kula przeszła bark Linusa, który upadł na podłogę. Nie zemdłał, choć był tego bliski. Walczył ze słabością, przed oczami tańczyły mu czarne plamy, dobiegające z ulicy odgłosy zlewały się w niewyraźny szum. Ból promieniował na całe ciało, szarpał wnętrzności.

Po chwili Linus uniósł zaciśnięte powieki i ujrzał młodszego brata. W jego oczach malował się niepokój, poczucie winy i jednocześnie zachłanna ciekawość.

Domenic Jordan wpatrywał się w rannego. Szukał w jego twarzy potwierdzenia pokrewieństwa, a przede wszystkim czegoś, co przywołałoby na powrót przeszłość, uczyniło ją realną i zdołałoby powiązać tego mężczyznę z chłopcem, którego pamiętał z dzieciństwa.

Odnalazł w twarzy brata pewne wspólne dla nich obu rysy, ale nic poza tym. Linus stał się obcy, nic go już z nim nie łączyło i dlatego właśnie Jordan mógł mu po prostu współczuć.

— Pomogę ci — powiedział, patrząc, jak starszy brat przyciska do barku dłoni.

— Nie — ranny mówił z wysiłkiem przez zaciśnięte zęby. Twarz miał bladą i skąpaną w pocie, lecz jeszcze większy ból sprawiało mu to, co słyszał w głosie Domenica. Litość! Młodszy brat się nad nim litował! — Rana prawie nie krwawi, a z wyjęciem kuli i tak sobie tutaj nie poradzisz. Przynieś lustro.

— Lustro?

— Owszem. — Poruszył się niecierpliwie i syknął z bólu. — Przecież chcesz wiedzieć, jak naprawdę wyglądam. Mam rację, Domenico?

Użył pieszczotliwej formy imienia brata z pogardą, jakby zwracał się do dziecka, ale w sercu Jordana to jedno proste słowo wywołało zupełnie nieoczekiwane uczucia. Nikt go tak nie nazywał od czasów dzieciństwa. Domenico. Ranny mężczyzna krzywił usta tak samo jak Linus, którego pamiętał, spoglądał tak samo wyzywająco spod zmrużonych powiek, tak samo niecierpliwie szarpał głową, gdy denerwowała go opieszałość rozmówcy.

Jordan rozejrzał się po gabinecie. Lustro wisiało na

przeciwległej ścianie. Zdjął je z gwoździ, podniósł i opierając o krzesło, postawił tak, aby odbijało postać brata.

Ukląkł i spojrział. Wytrzymał ten widok. Patrzył już na wszelkiego rodzaju wynaturzenia, spotwornienia i spowodowane magią deformacje.

Oczywiście to było najgorsze z nich wszystkich.

— Gdy moc Strażnika Nocy zaczęła wzrastać — szepnął Linus — prosiłem go o coraz więcej. O siłę, zręczność, szybkość... A potem już nie musiałem prosić, wystarczyło tylko, bym sobie pomyślał, że dobrze byłoby mieć zęby i pazury wilka i ścięgną jak u żbika... A on spełniał każde takie życzenie, lecz nigdy żadnego nie cofał. Pojmujesz teraz, w jaki sposób stałem się potworem?

— Przede wszystkim stałeś się mordercą — powiedział sucho Jordan. — Zabiłeś dwóch niewinnych ludzi i zamierzałeś zabić trzeciego.

— Nic nie rozumiesz. — Linus z wysiłkiem pokręcił głową. Kropla potu spłynęła z jego czoła i zatrzymała się na policzku. — Gregorius z Lathary obiecał, że przywróci mi ludzki wygląd, jeśli coś dla niego zrobię. Widzisz, on jest... nie znam właściwego słowa, może po prostu prorokiem... On widzi przyszłość, rozumiesz? Zobaczył, że wszyscy ci trzej mężczyźni – Moise Pebrel, Vittorio Jironi, a także Emmanuel Lot – kiedyś popełnią jakąś straszną zbrodnię. Może nawet nie jedną, lecz wiele... Jutro, za tydzień, może za dwadzieścia lat. Kiedyś... Więc poprosił mnie, abym ich zabił. Nie jestem mordercą, bo przecież jest różnica pomiędzy morderstwem a sprawiedliwą karą!

Boże, on w to naprawdę wierzy, pomyślał zdumiony Jordan.

— Nie można kogoś ukarać za zbrodnię, której jeszcze nie popełnił.

Linus skrzywił się na wpół z bólu, na wpół z wściekłości.

— Wiedziałem, że nie zrozumiesz... Gregorius to błogosławiony człowiek. Ma dar! Widzi przyszłość!

— Już to mówiłeś — przypomniał miękko Jordan. — Nie wątpię, że ów człowiek ma dar, bo inaczej nie zdołałby przywrócić ci ludzkiej postaci. Ale to nie znaczy jeszcze, że potrafi przewidzieć, kto kogo kiedyś zabije!

A ponadto, pomyślał Jordan, założyłbym się, że w Alestrze jest znacznie więcej potencjalnych morderców. Dlaczego Gregorius miałby wybrać akurat tych trzech? Zgadzam się, że każdy z nich mógłby kiedyś zabić. Moise Pebrel z powodu swoich poglądów i postępującego szaleństwa, Vittorio Jironi dlatego, że był tak ambitny. Być może nawet Emmanuel Lot, bo jest w nim coś, co mnie niepokoi. Ale potencjalny morderca, do licha, nie jest jeszcze mordercą i nie można go za to karać.

Linus chwycił brata za ramię i ścisnął. Jego usta poszarzały, zlewając się barwą z twarzą, oczy uciekły w górę. Przez chwilę wydawało się, że mężczyzna zemdleje, on jednak przewyciężył słabość i zaczął mówić:

— Zabij Lota, Domenicu. Uwierz mi i zabij go. Tego człowieka nie można pozostawić przy życiu...

Jordan z całego serca pragnął spełnić tę prośbę. Nie wierzył w przepowiednię Gregoriusa, ale chciał odzyskać brata. Emmanuel Lot – przyszły morderca czy nie – nic dla niego nie znaczył. Zabijał już ludzi, cóż znaczy jeden mniej czy więcej? I w końcu cóż znaczy

to, że ten jeden będzie naprawdę niewinny?

Lecz przecież pamiętał o granicy, której obiecał sobie nigdy nie przekroczyć. Emmanuel Lot był dziwny i budził niepokój, ale to jeszcze nie czyniło z niego zbrodniarza. A wczorajszego dnia Domenic Jordan wyczerpał cały swój limit przychylności dla osobliwych przeczuć. Teraz kierował się tylko rozumem, który podpowiadał, że przewidywanie przyszłości to w dziewięćdziesięciu przypadkach na sto bzdura.

— Zrobię wszystko, by sędzia potraktował cię łagodnie, bo sam zostałeś oszukany — powiedział. Nie dodał „przykro mi”. Było mu bardziej niż przykro, ale zdawał sobie sprawę, że Linus nie zniesie jego współczucia.

Ranny uniósł się na łokciu, plunął bratu w twarz, po czym stracił przytomność.

Jordan otarł policzek, potem rozpiął Linusowi płaszcz i odsunął gruby materiał. Koszula przylepiła się do rany, tamując i tak niewielkie krwawienie. Ograniczył się więc tylko do tego, by ułożyć zemdlonego w wygodnej pozycji, i czekał.

* * *

Zegar wybił ósmą rano i Alais, która kuliła się na tapczanie, uniosła głowę. Była zmęczona – przez ostatnie dwie noce niewiele spała, mimo to nie potrafiła zasnąć. Dokuczała jej samotność, po głowie spacerowały coraz czarniejsze myśli, których nie miał kto rozproszyć.

Czy popełniła grzech, opuszczając męża? Czy zostanie za to

ukarana i jak? Bała się Boga, być może dlatego, że w dzieciństwie przebywała w Jego bliskości i wiedziała, jak wielki może być Jego gniew.

Wstała i przespacerowała się po salonie. Widok mieszkania wcale nie podniósł jej na duchu. Meble były tu lekkie, jak nakazywała moda, ale zaskakująco proste, bez żadnych złocen czy intarsji. I ciemne. Czerń hebanu korespondowała z perłowoszarą barwą obić ściennych. Gdzieniegdzie tylko, jakby dla kaprysu, rzucono plamy zimnych kolorów. Malinowe oparcie kanapy, cytrynowożółte zasłony. Jakiś bibelot odcinający się od tła jaskrawym karmazynem, kobaltem czy barwą pomarańczy. Ciekawy efekt, pomyślała, ale w gruncie rzeczy chyba jednak nieprzyjemny. Zbyt wymyślny i chłodny. Zastanowiła się, czy nie wyjść po prostu z mieszkania. Domenic zostawił jej zapasowy klucz, a ona była pewna, że wśród ludzi poczuje się odrobinę lepiej. Mogłaby zająć się czymś codziennym, co rozproszy trochę złe myśli. Ot, choćby kupić sobie jakąś zwyczajną suknię, bo trudno przecież, żeby chodziła w tej, którą podarował jej markiz d'Estebe.

* * *

Przed domem byłego zegarmistrza zatrzymał się czarny powóz policyjny, który jak zawsze wzbudził wśród przechodniów sensację. Nawet z piętra Jordan słyszał zdziwione okrzyki, pytania „po kogo to?”, nawet stukot dwóch kamieni, którymi jacyś ulicznicy rzucili w pudło powozu.

Zadbał, aby Linusa zniesiono po schodach ostrożnie,

i powierzył go opiece porucznika Magatou.

Potem wrócił do gabinetu, gdzie zastał Emmanuela Lota.

— Co z pana służącym?

— Jest przytomny, ale boli go głowa. Kazałem mu wypocząć — powiedział były zegarmistrz. Zaskakujące, ale wyglądało na to, że bliskość śmierci nie zrobiła na nim wrażenia. — Dziękuję panu za pomoc — powiedział uprzejmie, lecz jednocześnie obojętnie, jakby dziękował za drobną przysługę, a nie za ocalenie życia.

Powiesił lustro z powrotem na ścianie, przejrzał się, poprawiając białe, delikatne jak przedza włosy. Nawet nie zapytał, dlaczego lustro znalazło się na podłodze, tak samo jak nie zapytał, skąd Jordan wiedział o planowanym zabójstwie, ani nawet dlaczego Linus zamierzał go zabić. Najwyraźniej nie interesowało go nic poza mechanizmami. Osobliwy człowiek.

Domenic Jordan rozejrzał się po gabinecie, po lalkach, zegarach i dziecinnych zabawkach. Nie było tu nic, czego nie mógłby się spodziewać w pracowni zafascynowanego mechaniką zegarmistrza. Bardzo uzdolnionego zegarmistrza. Dziwne tylko, że Emmanuel Lot wcale nie dbał o rozgłos i mianem „słynnego” określało go jedynie kilkoro najbliższych sąsiadów, a i ci robili to raczej z uprzejmości, niż widząc efekty jego pracy. Dlaczego Lot nie sprzedawał tych lalek, nie chciał, by pokazywano je w salonach arystokracji? Przecież na to zasługiwały. On sam twierdził, że lalki wcale nie są tak dobre, jak mogłyby być, że zwyczajnie wstydzi się ich i dopiero pracuje nad czymś, co naprawdę zadziwi całą Alestrę. Ekscentryczny artysta czy raczej szaleniec?

Emmanuel Lot patrzył na gościa znacząco, dając do

zrozumienia, że pora się pożegnać.

Jordan wcale nie miał ochoty wychodzić. Stał pośrodku gabinetu, spoglądając w martwe oczy lalek, jakby spodziewał się, że któraś z nich ożyje i podpowie mu, co robić.

Trzeba się będzie zainteresować tym człowiekiem, pomyślał. Sprawdzić, dokąd chodzi wieczorami, kim są znajomi w czarnych płaszczach, z którymi się spotyka. Na wszelki wypadek.

Uspokoiwszy w ten sposób sumienie, pożegnał się uprzejmie i opuścił dom Emmanuela Lota.

* * *

Zgubiła się. Z początku trudno jej było w to uwierzyć, ale tak właśnie się stało.

Nie przerażał jej tłum na ulicach, wszyscy ci ludzie, którzy dokądś spieszyli, zręcznie omijając leżące na bruku kupy końskiego nawozu i czasem tylko przystając, by spojrzeć na kobietę w złotej sukni. Czowała się bezpieczna, bo w oczach przechodniów widziała zdumienie, ale też coś na kształt nieśmiałej życzliwości. Niektórzy uśmiechali się, inni proponowali pomoc.

Nie śmieli jej zaczepić nawet ulicznicy, którzy podobne kobiety chętnie obrzucali niewybrednymi epitetami. Podobne, czyli ubrane w zbyt krowne suknie i biegające po mieście pieszo bez towarzystwa mężczyzny. W Alais było coś, co budziło w ludziach ciepłe uczucia.

Dokąd powinna pójść? W dół ulicą, czy też przeciwnie, powinna teraz skręcić tuż obok warsztatu farbiarza? Poznawała ten

zielony budynek, nad którego wejściem kamienna figura świętego trzymała gałązkę wawrzynu. A ślepego flecistę mijala chyba kilka minut temu... Tak, zdecydowanie trzeba zawrócić i pójść w dół ulicą.

Jednak im dalej szła, tym bardziej okolica wydawała jej się nieznaną. Zawróciła więc i spróbowała skrócić, ale i ta droga nie wyglądała na właściwą.

Alais pojęła, że zablądziła, a co najgorsze, nie wiedziała nawet, gdzie mieszka Domenic Jordan, nie znała nazwy ulicy ani domu. Mogłaby pytać o niego, po prostu wymieniając nazwisko, ale wątpliwe przecież, by znał go każdy alestrańczyk.

Wciąż jeszcze się nie bała. Życzliwe uśmiechy ludzi uspokajały ją, pozwalały wierzyć, że zawsze się znajdzie ktoś, kto jej pomoże.

Domenic powinien być teraz w domu Emmanuela Lota. A gdyby po prostu poprosiła kogoś, by ją tam zawiózł? A właściwie nie tam, lecz na targ przy moście Pokutników, gdzie dawniej robiła zakupy. Stamtąd trafi już bez trudu.

Uznała to za dobry pomysł.

* * *

Emmanuel Lot mówił prawdę, gdy wyznał Jordanowi, że nie jest do końca zadowolony ze swoich lalek. Były niezłe, owszem, ale całkiem zwyczajne. Dobre do zabawiania pospólstwa. On zaś pragnął zostać zapamiętany jako twórca dzieł wyrafinowanych i jedynek w swoim rodzaju.

Miał już nawet pewien pomysł. Przeciętne lalki przedstawiały

ludzi w trakcie codziennych czynności: kobiety grające na klawesynie bądź haftujące, mężczyzn podczas kłótni czy bawiące się dziećmi. Natomiast on chciał, by mechaniczne figury odtwarzały najintymniejsze momenty życia ludzkiego.

Na przykład śmierć.

Od dawna już chodziła mu po głowie idea zbudowana swoistej „czarnej kolekcji” lalek, które umierają w najróżniejszy sposób: od trucizny, gorączki czy ciosu nożem. Wiedział, że nie będzie to łatwe, ale lubił wyzwania.

Chodził na publiczne egzekucje, a także do przytułków i szpitali, by przyjrzeć się procesowi konania. Niestety, śmierć pośród rozwrzeszczanego tłumu czy też w sali pełnej chorych nie dawała szansy na właściwą obserwację. Emmanuelowi Lotowi pozostawało więc czekać, aż ktoś zechce umrzeć w jego obecności, albo też samemu kogoś zabić.

Ta druga opcja podobała mu się znacznie bardziej. Przede wszystkim dawała możliwość wyboru właściwej, młodej i pięknej ofiary, a potem dobrania do niej odpowiednio efektownego rodzaju śmierci. Ponadto zaś rozwiązanie to popierali jego znajomi, bogaci członkowie tajnej loży, którym się zwierzył. Jeśli mu się uda, kto wie, czy nie zostanie przyjęty do ich grona szybciej, omijając długi i uciążliwy okres bycia adeptem.

Emmanuel Lot od przeszło dwóch miesięcy poszukiwał ofiary. I znalazł ją dokładnie tego samego ranka, gdy sam omal nie zginął. Stała przed jego domem, jakby na kogoś czekała. Jasnowłosa, w złotej sukni, zagubiona. A przede wszystkim śliczna i pełna łagodnego wdzięku. Będzie prawdziwą ozdobą mojej kolekcji,

pomyślał, gdyż twarz oraz sylwetkę lalki uczynię na jej podobieństwo. W dodatku Lot ją znał, była u niego w domu, piła kawę i opowiadała, że niedawno przyjechała do Alestry. Już wtedy zastanawiał się, czy jej nie zabić, ale zrezygnował, bo jasnowłosa piękność wspominała coś o mężu – jak on się nazywał? – a ten najprawdopodobniej szukałby zaginionej żony.

Lecz jeśli wystaje samotnie przed moim domem, to znaczy, że mąż nie jest nią zbyt zainteresowany, prawda? Ponadto dzisiejsze spotkanie to prawdziwe zrządzenie Abstrakcyjnego Losu, prezent, którego nie można odrzucić. Zobaczyłem ją po raz drugi, bo to ona, nikt inny, została mi przeznaczona na pierwszą ofiarę.

Muszę wybrać właśnie ją, nie zważając na żadne niebezpieczeństwo. Zresztą jakie może mi grozić niebezpieczeństwo, skoro Abstrakcyjny Los jest po mojej stronie?

Uśmiechnął się do siebie. Odnowienie znajomości i zaproszenie Alais do domu nie powinno sprawić mu kłopotu.

* * *

Domenic Jordan wcale się nie zaniepokoił, gdy wrócił do swojego mieszkania i nie zastał tam Alais. Przecież klucz dał jej właśnie po to, by mogła wyjść na miasto, jeśli nabierze na to ochoty.

Sekundy zmieniały się w minuty, minuty w godziny. Jordan zdążył zjeść posiłek w pobliskiej gospodzie, potem odpoczął chwilę w fotelu. Był wyczerpany, i to zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

Pod jednym względem, myślał sennie, los dziś mi sprzyjał.

Przecież tę pułapkę skonstruowałem dosłownie w ostatniej chwili, gdy domyśliłem się, że to właśnie Linus stuka do drzwi. Linus... Nie chciał teraz o nim myśleć.

Zegar na konsoli wybił dziesiątą rano.

Domenic Jordan jeszcze się nie niepokoił. Po prostu był ciekaw, gdzie podziała się Alais.